



ELIZABETH BUCHAN



DRUGA ŽONA



*A teraz omówimy nieco bardziej
szczegółowo walkę o przetrwanie*

Karol Darwin, „O pochodzeniu gatunków”.

Jak wszystko się zaczęło

W dniu mojego ślubu włożyłam czarny żakiet i suto marszczoną spódnicę z czerwonego jedwabiu, żeby ukryć dziesięcioletnią ciążę. Przez dłuższy czas paradowałam przed lustrem w swojej ciasnej sypialni, wygładzając fałdy spódnicy, poprawiałam makijaż i żałowałam, że nie mogę nosić szpilek, bo teraz odczuwałam ból stóp. Chyba próbowałam się oswoić z nową sytuacją, która wkrótce nieuchronnie mnie czekała. „Pani Lloyd”. Odbicie pokazywało moje usta ułożone w kształt tych dwóch słów, ale tak naprawdę widziałam w lustrze „drugą panią Lloyd”.

Wezwaną przez Nathana taksówką pojechaliśmy do urzędu stanu cywilnego. Nathan ubrany był w ciemnoszary garnitur i miał zbyt krótko obcięte włosy, co mi się nie podobało. Wyglądał jakoś niekompletnie i wcale nie przypominał tego wyrafinowanego światowca, który zawrócił mi w głowie; w dodatku odkąd schudł, sprawiał też wrażenie niedożywionego. Nie miał zbyt szczęśliwej miny.

- Mógłbyś okazać choć odrobinę zadowolenia - rzuciłam z kąta taksówki.

Muszę przyznać, że twarz mu się rozpozodziła.

- Wybacz, kochanie, myślałem o czymś innym. Patrzyłam na rowerzystę, wykonującego samobójcze manewry w ulicznym ruchu.

- Jesteśmy w drodze na nasz ślub, a ty myślisz o czymś innym.

- Hej. - Nathan wziął mnie za rękę; od czasu zajścia w ciążę miałam zawsze gorące dłonie. -

Nie ma się o co martwić, daję słowo.

Wierzyłam Nathanowi, ale chciałam, żeby wszystko było jasne.

- To nasz szczególny dzień.

Uśmiechnął się do mnie, w swoim przekonaniu krzepiąco.

- Wszystko jest jak trzeba. I naprawdę o tobie myślę.

- Można zemdleć z wrażenia: pan młody myśli o panie młodej. - Skubnęłam go we wnętrze dłoni.

Nathan zawczasu wyjaśnił gościom, których było w sumie ośmioro, co rozumie przez „cichy ślub”. Oznajmił, że nie chce zamieszania. Żadnych fajerwerków. Zależało mu, żeby ten dzień specjalnie nie różnił się od innych. „Chyba rozumiesz?” - pytał kilka razy, wzbudzając tym moją irytację. W ciąży i do tego, jak się okazało, bez pracy, nie miałam najlepszej pozycji do negocjacji.

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, Nathan osłupiał porażony brzydotą kamiennego bloku, w którym się mieścił urząd stanu cywilnego. Wewnątrz znajdowała się poczekalnia ozdobiona imita-

cją boazerii, prymitywnymi złoconiami i bukietem zakurzonych sztucznych kwiatów w odcieniach paskudnego różu i błękitu.

Tam dołączyła do nas Paige. Pracowała wówczas jeszcze w banku i ubrana była w służbową beżową garsonkę i białą bluzkę. Klapę żakietu miała poplamioną tłuszczem.

- Świetnie wyglądasz, Minty. - Przełożyła z ręki do ręki aktówkę wypchaną papierami. - Mówiliście, żeby się nie stroić, więc wypadłam tak, jak stałam, prosto z zebrania.

- Tak...

- O Boże, jednak chciałaś, żebym się wystroiła... - bąknęła spłoszona.

W odpowiedzi popatrzyłam na nią bez słowa. Rzeczywiście, chciałam, żeby Paige włożyła ciuchy od Alexandra McQueena i wyzywający kapelusz. Marzyły mi się jedwabie i tiule, błysk brylantowych kolczyków, bąbelki szampana, aromat drogich kwiatów, atmosfera ogólnego rozczulenia, kiedy goście do tego stopnia poddają się nastrojowi chwili, że sami mają ochotę zacząć wszystko od nowa.

- Gdzie masz bukiet, Minty? - spytała Paige z groźną miną.

- Nie mam.

- No właśnie. Potrzymaj. - Wcisnęła mi do ręki aktówkę i gdzieś zniknęła.

Nathan gestem przywołał mnie do stojących w grupie gości; Poppy, Richard, Sam i jego żona Jilly rozmawiali z Peterem i Carolyne Shakerami. Poppy była ubrana na czarno, a Jilly, z wyraźnie zaznaczoną ciążą, miała na sobie płócienną bluzę, która aż się prosiła o żelazko. Jedynie Carolyne wysiliła się na tyle, by założyć jaskrawoczerwoną sukienkę i biały żakiet.

- Cześć, Minty - bąknął Sam, nie patrząc mi w oczy.

Jilly dotknęła mojego policzka. Jej długie, jedwabiste włosy załaskotały mnie po twarzy; pachniały szamponem i jakąś odżywką.

- Jak się czujesz? - zagadnęła znaczącym szeptem, jak to ciężarna do ciężarnej.

- Dobrze. Właściwie nie ma specjalnej różnicy. Poza bardzo ciepłymi dłońmi i bólem stóp.

Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem.

- Prawie nic po tobie nie widać, szczęściaro. - Jilly miała na myśli coś dokładnie przeciwnego. Sama obnosiła wydęty brzuch, zachwycona tym oczywistym dowodem własnej płodności. Oparła się o Sama. - Tylko poczekaj. Bolące stopy to dopiero początek - powiedziała z wyraźnym zadowoleniem.

Paige zamasyżuje wkroczyła do poczekalni.

- Masz tu bukiet, Minty. Jest okropny, ale trudno. - Wepchnęła mi do ręki wiązanek czerwonych róż, takich, jakie sprzedają drobni handlarze na ulicach. Kwiaty były ciasno owinięte i na wpół zwiędłe.

Urzędnik stanu cywilnego odchrząknął wymownie.

- Czy jesteśmy gotowi...?

- Celofan - syknęła Paige. - Ściągnij.

Zdjęłam celofan z róż, zgmiotłam w kulę i zostawiłam na stole.

- Och, Minty. - Nathan westchnął. - Zupełnie zapomniałem, że powinnaś mieć kwiaty.

Później, w restauracji, w której zarezerwowałam lunch, dołączyła do nas ciotka Ann, ostatnia żyjąca krewna Nathana. Nastąpiło zamieszanie, bo trzeba było przestawiać krzesła, by przy stole zmieścił się jej wózek inwalidzki.

Przyglądałam się zebranych wokół stołu gościom. Większość miała zacięte miny, jakby wspólnie starali się przetrwać to trudne doświadczenie. Jilly ostentacyjnie piła wodę. Sam troskliwie obejmował żonę. Poppy mówiła z ożywieniem; jedwabny tajski szal na jej szyi połyskiwał czerwienią i złotem. Co chwila dotykała ramienia lub barku Richarda. Raz cmoknęła go w policzek. Żadne z nich nawet nie spojrzało w moją stronę. Padła uwaga na temat tego, że na pierwsze imię mam Susan, co ujawnił urzędnik udzielający nam ślubu. Przez większą część życia nienawidziłam tego imienia, przestałam go używać w wieku piętnastu lat, ale stanęłam w jego obronie.

- Co takiego dziwnego jest w imieniu Susan?

Jilly i Poppy patrzyły na mnie z dezaprobatą.

- Ty po prostu jesteś miętowa jak Minty - skwitowała Jilly.

- Przykro mi, że nie ma tu nikogo z twojej rodziny - odezwał się Sam, gdy jedliśmy solę i przegrzebki.

- Ojciec odszedł w siną dal, kiedy byłam mała, matka nie żyje, a nie mam kuzynostwa.

- Przykro mi.

- Nie brak mi tego, czego nie mam - dodałam z uporem. - To nie takie straszne.

Sam mógł powiedzieć, że teraz oni są moją rodziną. Ale nie powiedział.

Po skończonym posiłku, patrząc, jak Nathan podaje swoją platynową kartę kredytową, żeby zapłacić rachunek, pomyślałam z ulgą, że odtąd nie będę musiała się martwić o pieniądze. Potem poszłam się pożegnać z ciotką Ann. Nachyliłam się nad wózkiem, wdychając zapach pudru i kurzu z jej kapelusza z czarnym piórem.

- Do widzenia. Bardzo dziękuję, że przyjechałaś.

Uniosła zadziwiająco chudą, pokrytą wątrobowymi plamami rękę, na której platynowa obrączka grzechotała o pierścionek z pojedynczym brylantem, i dotknęła mojego policzka.

- Urocza - mruknęła, a ja niespodziewanie miałam ochotę się rozplakać.

Mówi się, że cynicy są jedynymi prawdziwymi romantykami. Wychodziłam za Nathana bez całej tej zwyczajowej pompy i parady, ale to w końcu był mój ślub. Czuły gest ciotki Ann znaczył dla mnie więcej, niż mogłam wyrazić.

Poppy zawisła nad wózkiem staruszki.

- Ciociu Ann, musimy cię zabrać do domu. Obiecałam, że nie pozwolę ci się przeforsować.

Ciotka Ann, wyraźnie zmęczona i skołowana, zwróciła się do mnie z wysiłkiem:

- Do widzenia, Rose.

Rozdział pierwszy

Doszłam do wniosku, że dobrze będzie zainstalować sobie w głowie tabliczkę z wypisanymi kilkoma zasadami. Oto te, które obecnie rządziły moim życiem:

Zasada numer jeden: nie ma sprawiedliwości.

Zasada numer dwa: wbrew nadziejom męża druga żona nie nosi w torebce „Kamasutry”. Już prędzej aspirynę.

Zasada numer trzy: nigdy nie narzekać, zwłaszcza kiedy osobiście dowodzimy istnienia zasady numer jeden. Co mi się zdarzyło.

Zasada numer cztery: nigdy nie podawać wątróbki i tofu. To nierozsądne.

Spieraliśmy się z Nathanem o listę gości zapraszanych na kolację.

- Dlaczego w ogóle mamy wydawać tę kolację? - spytał z sofy.

Było niedzielne popołudnie na początku listopada; chciało mu się spać po pieczonym kurczaku z estragonem, którego zjadł na lunch. Podłogę zaścielały gazety, w pokoju było duszno od centralnego ogrzewania. Bliźniaki bawiły się w lotnisko w swojej sypialni usytuowanej bezpośrednio nad salonem; startowały i lądowały z nieznośnym łomotem.

Oznajmiłam Nathanowi, że jego pozycja w Vistemaksie wymaga czynnego udziału w życiu towarzyskim, że sporządziłam już listę najważniejszych par z Vistemaxu i że byłoby dobrze zmik-sować je z naszymi znajomymi.

Nathan odchylił głowę na oparcie sofy i zamknawszy oczy, zastanawiał się nad posunięciami niezbędnymi do podtrzymywania kariery.

- Już to przerabialiśmy, Minty. Miał na myśli - z Rose.

No właśnie. Mimo że zostawił swoją pierwszą żonę, Rose, zauważyłam, iż wciąż oceniał wszystko w odniesieniu do swojego poprzedniego małżeństwa. Wakacje, meblowanie domu, nawet wybór nowego swetra odbywały się w cieniu przeszłości. A na dodatek Nathan karał się za to, co

uważał za swój i mój występki. Okropny zwyczaj, którego nie udało mi się wykorzenić w zarodku. W tym małżeństwie litość okazała się dobrem deficytowym, a w ciągu siedmiu lat, które spędziliśmy razem, jeszcze jej ubyło, starła się i ściemniała, jak werniks na starym malowidle.

Ominięłam wzrokiem postać na sofie i patrzyłam na zwykłą londyńską ulicę biegnącą przed domem numer 14 przy Lakey Street. Drzewa sprawiały wrażenie ciężkich od brudu, a sterta śmieci przed domem pani Austen z naprzeciwka wydawała się jeszcze bardziej obrzydliwa. Tego rodzaju wymiana zdań pomiędzy nami zdarzała się często i nie przynosiła niespodzianek. Irytowało mnie, wręcz wprawiało w niedowierzanie raczej to, że wciąż bezmyślnie pakowałam się w tę samą sytuację.

Nigdy nie narzekać.

- A Frostowie?

Sue i Jack to przyjaciele Nathana i Rose, ale nie moi przyjaciele. Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie, ponieważ byłam (ktoś słyszał, jak Sue mówiła) „złodziejką mężów i rozbijaczką rodzin”.

Ani jednemu, ani drugiemu nie mogłam zaprzeczyć. W rezultacie zapraszali często Nathana do siebie na miłe wieczory w kameralnym gronie, ale ja nigdy nie przestąpiłam progu ich domu odległego o parę ulic od naszego. Nie wiem, o czym rozmawiali, i nigdy o to nie pytałam. (Czasami z rozbawieniem wyobrażałam sobie, jak na paluszkach omijają niewygodne tematy). Czy Nathanowi mogłabym zarzucić nielojalność? Nie, po prostu czuł potrzebę widywania starych przyjaciół, jednak nikt, naprawdę nikt nie dostrzegł ironii sytuacji: zarówno dla Sue jak i dla Jacka było to drugie małżeństwo.

- Sądysz, że by przyszli? - indagowałam.

Rozległo się syknięcie powątpiewania; Nathan uciekł wzrokiem do obrazu nad kominkiem. Przedstawiał zatokę Priac w Kornwalii, namalowaną, raczej nieciekawie, przez jakiegoś miejscowego artystę. Jednak Nathanowi się podobał, często widziałam, jak wpatruje się w turkusowe fale sięgające skalistego brzegu.

- Nie - odezwał się w końcu.

Od strony znajomych sprawa przedstawiała się nie najlepiej.

- A Lockhartowie? - Ci również byli znajomymi Nathana i Rose.

Nathan poderwał się na nogi i starł jakiś paproch z dolnego prawego rogu malowidła.

- Minty. Nie ma sensu w kółko wracać do tego samego. Oni się czują mocno... - Nie musiał kończyć zdania.

Przeglądałam listę gości, która na razie zawierała tylko nazwiska kolegów z pracy.

- Wspominałam ci, że niedawno spotkałam Sue Frost w supermarkecie i próbowałam z nią ustalić pewne rzeczy?

- Właściwie to ona mi o tym wspomniała - wyznał Nathan. - Ale nie wdawała się w szczegóły.

Wykonałam dwa grube podkreślenia na liście.

- No cóż, to ja się wdam w szczegóły, Nathan. Spytałam Sue, dlaczego, skoro oboje z Jackiem mają za sobą poprzednie małżeństwa, nie jestem przyjmowana na ich dworze. Czym się od nich różnię? Sue Frost postukała różowym zamszowym mokasynem w posadzkę, pojawił się rumieniec na jej ładnej, choć trochę zaciętej twarzy i spoglądając ponad wózkiem pełnym jarzyn i środków czystości, odpowiedziała: „Wydawało mi się, że to oczywiste. To nie ja zostawiłam mego pierwszego męża. To nie ja rozbiłam małżeństwo”.

- No i... - Nathan wsunął ręce do kieszeni spodni, przybierając minę, z której nie dało się nic wyczytać. - Co ty na to?

- Powiedziałam, że chcę, by mi przedstawiła sytuację wprost, tak jak ona ją widzi. Otóż jako druga żona Sue jest w porządku, ponieważ jej mąż przeżywał kryzys wieku średniego i odszedł. Natomiast ja, jako druga żona i powód kryzysu wieku średniego, nie jestem w porządku. Chciałabym wiedzieć, jak by było, gdyby Sue przegoniła swojego pierwszego męża...

Udało mi się rozbawić Nathana. Odprężył się i znów był tym świetnym facetem, który wali się pięściami w piersi i wydaje goryle odgłosy, żeby rozśmieszyć bliźniaków, i który ostatnio namówił zarząd Vistemaxu do ponownego rozważenia polityki firmy wobec przyszłości gazet. Trzeba prawdziwej kultury, żeby sobie pozwolić na jedno i drugie.

- I...?

- Zniknęła w dziale mrożonych ryb.

Nathan zaśmiał się szczekliwie.

- Wygrałaś tę rundę, Minty.

- Tak naprawdę to chciałam ją zapytać, dlaczego ja jestem winna rozbicia rodziny, a ty nie.

Wytrzymał moje spojrzenie. Miał w oczach cień bolesnych wspomnień.

- Ja też jestem obwiniany, Minty.

- Nie jesteś. I o to właśnie chodzi.

Znów uciekł wzrokiem do obrazu, jakby szukał ukojenia w widoku wody i skał.

- Dla Sue nadal jesteś żonaty z Rose. Nic nie mogę na to poradzić. W skomplikowanej hierarchii małżeńskiej moralności Sue dostaje plus, Rose aureolę świętej, a ja minus.

Z twarzy Nathana znikło rozbawienie.

- Wolałabyś, żebym się więcej nie widywał z Frostami?

W „Udanych związkach”, poradniku, który kiedyś pilnie studiowałam, jest napisane, że chcąc przywiązać do siebie partnera, należy go uwolnić. Gorąco wierzę w poradniki-samouczki, choć ostatnio zastanawiam się, czy aby nie mącą człowiekowi w głowie, wmawiając mu, że ma problemy, których istnienia nawet dotąd nie podejrzewał. Przypomniawszy sobie owe zalecenia, oznajmiłam:

- Nathan, nalegam, żebyś się spotykał z Sue i Jackiem Frostami.

Podsunęłam mu przed oczy niedokończoną listę gości, na której figurowali szef Nathana Roger i jego żona Gisela oraz mój szef Barry i jego żona Lucy.

- Nie zaszedłoby zbyt daleko.

Przed ślubem zupełnie inaczej wyobrażałam sobie swoją przyszłość. Któż nie marzy o miłym, przepelnionym harmonią domu, gdzie zbierają się znajomi i rodzina?

- Chyba nie ma sensu zapraszać Poppy i Richarda? A Sam i Jilly są zbyt daleko.

Jak zawsze, Nathan rozpromienił się na wzmiankę o którymś z jego starszych dzieci.

- Poppy rzeczywiście jest bardzo zajęta - zaczął ostrożnie. - I nie wydaje mi się, by Sam w najbliższym czasie planował przyjechać do miasta. I wtedy pewnie odwiedziłby... swoją matkę.

Gdybym miała wybrać jeden nadrzędny cel przyświecający mi w małżeństwie z Nathanem, byłoby nim pozbycie się Rose. Starcie jej z powierzchni tego domu i zakopanie głęboko, tak głęboko, jak kiedyś ona kopała w ogrodzie, wydarcie korzeni Rose, które dusiły nasz związek. Była wszędzie, nie miałam co do tego wątpliwości, a siła tej kobiety brała się z jej przegranej i cierpienia.

- Minty... - Nathan nie lubił, kiedy go ignorowałam, a stanowiło to jedną z moich broni. - Wciąż tu jestem.

Odwróciłam głowę.

- Nie wspominaj o Rose. Nie rób tego.

Podszedł do mnie i postawił mnie na nogi.

- Nie pomyślałem. - Położył mi ręce na ramionach i spojrzał w oczy.

- Musimy spróbować - mruknęłam. Odruchowo.

- Oczywiście.

Pachniał vervetierem i - ledwie wyczuwalnie - estragonem i czosnkiem. Nie do końca mnie obchodziło, o czym myśli, ale bywały momenty, że ciężko mi było znieść rozczarowanie i zniechęcenie, które w nim wyczuwałam. Odchyliłam głowę, żeby mu się dobrze przyjrzeć i zauważyłam, że jest bardzo blady. Nic poważnego, nic, czemu nie mogłaby zaradzić dobra proszona kolacja. Sięgając po inną z moich broni, zarzuciłam mu ręce na szyję.

- Bądź blisko.

Po chwili Nathan zrozumiał, o co mi chodzi, czego się zresztą spodziewałam.

- Czasami, Minty... - bawił się moimi palcami - potrafisz być taka miła. A czasami...

- A czasami...?

- Nie.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz zajęłoby mu to kilka niedziel, a szkoda było tracić czas.

- Cicho.

Wróciłam do pracy nad listą gości i moich własnych myśli, licznych i różnorodnych - choćby takich, dlaczego na tym bezbożnym świecie, gdzie wszystko mogło się zdarzyć i się zdarzało, ja byłam obiektem tak surowej krytyki?

Później, szykując się do snu, odkryłam żółtą karteczkę samoprzylepną na odwrocie mojej szczotki do włosów. Nathan napisał na niej: „Przepraszam”.

Piętnaście po siódmej rano w dniu prośzonej kolacji zadzwoniłam do pięciogwiazdkowej firmy cateringowej.

- Chcę się tylko upewnić, czy wszystko jest ustalone na dzisiejszy wieczór.

Beznamiętny głos wyrecytował:

- Dwanaście podwójnie pieczonych suflerów serowych, kurczak z imbirem w soi i sosie sherry. Wiśnie w maraskino podawane z ciastkami z kremem migdałowym i tarta *pate sable*.

Już chciałam zażądać wydrukowania menu, bo tak mi się podobały nazwy dań, ale Paige się temu sprzeciwiła.

- Mowy nie ma.

Jej stanowczość irytowała mnie, ale ugryzłam się w język. Paige była sąsiadką i jednocześnie przyjaciółką. Nigdy nie poznała Rose i dlatego moja znajomość z nią, nieskazona, miała w sobie szczególną słodycz. Paige znała się na rzeczy; pracując od lat w dziale inwestycji bywała na wielu tego rodzaju kolacjach. Potrzebowałam przewodniczki, żeby omijać rafy. Paige pełniła tę funkcję.

Nie pozwoliła mi też przypiąć z tyłu krzeseł kokard z tafty, moim zdaniem bardzo stylowych.

- Na litość boską, nie prowadzisz burdelu! - wyśmiała mój pomysł.

No tak, ktoś musiał mi doradzić. Tyle sama wiedziałam.

Szybko się uczę, ale jak wykazał incydent z kokardami, nie wyczuwam zbyt dobrze niuansów smaku i tego, co wypada, a co nie. Pracuję nad tym.

Noże, widelce, kieliszki do wina... Sprawdziłam stół w jadalni, który nakryłam tego ranka o wpół do siódmej, zanim bliźniacy wstaną. Brakowało tylko kwiatów na środku; zamówiłam takie,

jak te prezentowane w „Vogue'u”. Stojąc w progu, rzuciłam ostatnie spojrzenie na *mise en scène*, uznając, że wszystko jest bez zarzutu i reputacja Nathana może tylko zyskać.

Wróciłam do stołu, żeby poprawić ułożenie niektórych sztucców.

Mój zegarek wskazywał siódmą dwadzieścia. Musiałam się pożegnać z bliźniakami, a potem biegiem popędzić do fryzjera i do pracy.

Eve, dwudziestodwuletnia Rumunka, niestanowiąca zagrożenia, kąpała chłopców, kiedy wróciłam do domu piętnaście po szóstej.

Przy otwieraniu drzwi przeciąg poruszył klapką w otworze dla kota (od dawna nieużywanym); po raz setny zakląłam, zirytowana wydawanym przez nią dźwiękiem.

- To mama... - rozległ się piskliwy głos Lucasa. Przystanąłam w oczekiwaniu. Oczywiście, Felix odezwał się jak echo. - To mama. - Nigdy nie wchodziłam, dopóki nie usłyszałam tego echa, które oznaczało, że wszystko jest w porządku.

Na górze od razu sięgnęłam po ceratowy czepek pod prysznic. Nie po to wydałam majątek u fryzjera, żeby efekty jego pracy poszły na marne w zaparowanej łazience.

Eve, klęcząc przy wannie, odwróciła w moją stronę spoconą twarz.

- Chłopcy mają mnóstwo energii, pani Lloyd. - Popatrzyła z dezaprobatą na kąpielowy czepek. Nie miałam jej tego za złe - dopóki wywiązywała się ze swoich obowiązków, mogła sobie o mnie myśleć, co tylko chciała. - Lucas padł dziś po południu - poinformowała swoją dziwną angielszczyzną.

Jak na komendę, Lucas wynurzył z wody kolano, żebym je obejrzała. Skaleczenie nabrzmiało wokół brzegów i wyglądało dość poważnie.

- Byłem dzielniejszy od Supermana, mamó.

- Nie wątpię.

- Lucas dużo płakał - odezwał się ponuro Felix z drugiego końca wanny, tego z zatyczką.

- Eve, zdezynfekowałaś ranę?

Szybko pokiwała głową, dając mi do zrozumienia, że to zbędne pytanie. Znała swoje obowiązki. Lucas ciągle doznawał jakichś obrażeń. Szedł przez życie jak burza, a schody, krawężniki i ściany stanowiły dla niego przeszkody, które należy pokonać. Felix był inny. Patrzył, czekał i dopiero potem wykonywał ruch.

Mokre dziecięce ciała kotłowały się w spienionej wodzie. Chłopcy mówili jeden przez drugiego, dzieląc się wrażeniami minionego dnia.

- Śmiesznie wyglądasz, mamó. - Lucas szturchnął stopą nogę Felixa. - Śmiesznie, śmiesznie.

- Wychodzić z wody - poleciłam. - Eve czeka.

Eve usiadła na taborecie z korkowym siedziskiem i Lucas wdrapał się na ręcznik rozpostarty na jej kolanach. Felix bawił się czerwoną plastikową łódeczką. Nie patrzył na mnie. Niechętnie sięgnęłam po drugi ręcznik i rozłożyłam go na spodniach od Nicole Fahri.

- No dobrze, Felix. - Fala uderzyła o brzegi wanny, kiedy niczym kula wyskoczył z wody. - Ostrożnie.

Nie zwracając uwagi na ostrzeżenie, ukrył twarz na moim ramieniu, parszkając cicho, jak kucyki, o których tak lubił czytać.

- A ja mam mamę.

Lucas natychmiast opuścił Eve i również wepchnął mi się na kolana.

- Złaż - rozkazał bratu.

Eve obserwowała scenę w milczeniu. Lubiła tak patrzeć, oceniając moje zachowanie; здавало jej się, że tego nie widzę. Dzięki swoim spostrzeżeniom zyskiwała materiał do rozmów z koleżankami; szczególnej wartości nabierały te, kiedy nie spełniałam jej standardów dobrego macierzyństwa, bo wówczas dopiero miała o czym dyskutować.

Ile Eve wiedziała?

Nathan i ja stworzyliśmy te wijące się istoty, walczące o miejsce na moich kolanach... Te szczupłe ramionka, piskliwe odgłosy śmiechu lub rozpacz, bezustanne domaganie się ciepła i bezpieczeństwa. Chłopcy byli logiczną konsekwencją mojej tęsknoty za miłym, pełnym harmonii domem.

Jednak nawet Eve mogła wyczuć, że to jeszcze nie cała historia. Wiedziała, że kiedy jestem zmęczona lub w złym nastroju, uciekam przed żywiołowością bliźniaków. Trudno mi się pogodzić z tym, że zabierają tyle czasu i energii, że próbują mnie absorbować sobą bez reszty. Wtedy wracam do klatki, z której nie ma wyjścia. Wtedy się bronię, narzucając sztywne reguły postępowania, sporządzając listy, dążąc za wszelką cenę do perfekcji.

W zaciszu własnej sypialni zdjęłam czepek i sprawdziłam w lustrze twarz i włosy - dwa razy dziennie patrolowałam tak granicę pomiędzy (żeby zacytować Paige) wciąż jeszcze „całkiem seksowną” żoną i matką a kobietą, „która wygląda dobrze jak na swój wiek”. Dostrzegałam już różnicę.

Zrobiłam sobie kąpiel. Jednym z moich pierwszych posunięć po urodzeniu bliźniaków było namówienie męża, żebyśmy wybudowali dla siebie oddzielną łazienkę. Wymagało to poświęcenia przez Nathana jego szafy na ubrania i wybicia dziury w ścianie.

Pomysł mu się nie spodobał.

- Nie możemy tego zrobić - stwierdził.

- Dlaczego? Przecież ściany nie są święte. - Było wpół do szóstej rano, a bliźniaki prawie nie sypiały. - Musimy mieć jakieś miejsce, gdzie będziemy ładnie pachnieć.

Nathan siedział na łóżku z Felixem przewieszonym przez ramię.

- Wcześniej sobie radziliśmy.

My. Zignorowałam znaczenie tych niewielu słów, które tak wiele znaczyły. Pochyliłam się i pocałowałam najpierw Felixa, potem Nathana. Spodobał mu się mój gest.

- W porządku - oświadczył. - Będzie nowa łazienka.

Tak naprawdę Nathan uwielbiał tę nową łazienkę. Marmury, kafle z miodowego wapienia, błysk luster i nierdzewnej stali, podwójne umywalki.

- A widzisz... - droczyłam się z nim.

- Umiem się cieszyć z drobiazgów - odparł z uśmiechem.

- W takim razie dam ci mnóstwo drobiazgów, z których będziesz mógł się cieszyć. Dywany, zasłony...

Jednak posunęłam się za daleko, za szybko... i uśmiech zgasł.

- Musimy być ostrożni, Minty. Jest trochę krucho z finansami.

Pocałowałam go w usta, zmysłowo, przeciągle. Pocałunkiem Judasza.

- Obiecuję.

Potrzebowałam czterech lat, by centymetr po centymetrze, przebiegłymi drobnymi krokami wprowadzić zmiany - tu przemalowując sypialnię na ładny żółty kolor, tam zmieniając obicie na fotelu - by przemienić dom Nathana i Rose w dom Nathana i Minty.

W czasach, kiedy Rose i ja przyjaźniłyśmy się - kiedy była moją szefową i redaktorką działu książek w „Weekend Digest”, a ja jej zastępczynią - czarowała mnie opowieściami o swoim domu. Widzę ją teraz: z głową pochyloną nad książką lub maszynopisem przyciska do piersi kubek z kawą i sączy szczegóły w atmosferę iskrzącą od innych znaczeń. „Pietruszka złapała mysz. Nathan kupił mi białego brodaczkę, posadziłam go obok lawendy. Z pralki lała się woda”.

Wyobrażałam sobie szarą pianę płynącą po kuchennej podłodze i jej nerwowe wycieranie, kwiaty brodaczkę kołyszące się na wietrze. Odsłuchiwałam rodzinne rozmowy z wszystkimi ich ukrytymi aluzjami i skrótami myślowymi. Zaczepki Poppy kierowane do brata: „No, to kiedy się urodziłeś?”. I rezolutna odpowiedź Sama: „Przed tobą, ty smarkulo”.

Portret rodziny Rose przypominał obrazek na bombonierce, otoczony ramką miłych, ciepłych słów. Wówczas takie sielskie widoczki były dla mnie czymś obcym. Powiedziałam Rose, że nie mam rodziny i wcale mi to nie przeszkadza. I że nie mam ochoty na dzieci. Po co sobie wiązać kamień u szyi?

Patrząc wstecz, powinnam była nalegać, by uzupełniła opowieść o to, co pominęła. Ale kiedy ją poprosiłam, Rose tylko się roześmiała, przepraszając i słodko.

- Nie ma czego pomijać. Jak by dziś odpowiedziała?

Nigdy się tego nie dowiem. Nigdy więcej nie zaciągnę jej do kawiarni ani nie będę jej towarzyszyć na spacerach, które tak lubiła. Ani nie podniosę słuchawki, by tak po prostu spytać: „Co o tym sądzisz?”. Już nigdy nie będę patrzeć, jak pochyła się nad stosem książek, wertując je z zachłannością dziecka pozostawionego samopas w składnicy zabawek.

Pomiędzy nami rozciąga się najgłębsze i najmroczniejsze z milczeń, zrodzone z bólu i zdrady. I całkowicie uzasadnione.

Rozdział drugi

Kolacja przebiegała bez zarzutu. (Szczegółom plan wisiał w kuchni, przyklejony do lodówki. 8.15 - przybywają goście. 9.00 - podać... Musiałam mieć wszystko rozpisane, żeby zachować spokój umysłu).

Było nas w sumie dziesięcioro; ta liczba pozwalała na prowadzenie rozmów w podgrupach i uniknięcie momentów niezręcznej ciszy. Ostateczna lista gości obejmowała prawie wyłącznie ludzi z Vistemaxu, ale z mojego punktu widzenia wcale nie była zbędna.

Hurleyowie zjawili się dokładnie jedenaście po ósmej. Kiedy otworzyłam drzwi, Martin wepchnął do holu Paige, wielką z powodu siódmego miesiąca ciąży.

- Pomyśleliśmy, że przyda wam się zawczasu wsparcie - mruknął, gdy Nathan pomagał Paige wyswobodzić się z obszernego płaszcza. - A Paige chciała sprawdzić, co na sobie włożyłaś.

Zarumieniłam się.

- Może być?

Martin obrzucił przychylnym spojrzeniem moją zieloną sukienkę.

- Jasne. Wyglądasz świetnie. - Na poparcie swoich słów dotknął mojego ramienia, a ja poczułam się, jakbym dostała milion dolarów.

Jednak chwilę później, jeszcze przed nadejściem Shakerów i Barry'ego z Lucy, Paige nachyliła się, by syknąć mi do ucha:

- Ta sukienka jest za ciasna.

Przesunęłam półmisek miniaturowych blinów z kawiosem w stronę jej brzucha.

- Twoja sukienka też jest za ciasna. Poza tym twojemu mężowi się podobam.

- Mój mąż nie ma bladego pojęcia o dobrym guście. - Rzuciła w jego stronę szybkie spojrzenie, bynajmniej nie czułe. - Posłuchaj, głupia, tego wieczoru ważne są żony, nie mężowie. Rozumiesz jak singel. Żony dobrze zapamiętają sukienkę, pod którą widać ci sutki i to, że nosisz pończochy. - Uniosła palec i postukała się po skroni. - Ba! Zaczną myśleć. Ta kobieta planuje się przespać z moim mężem. Może już się przespała? W samochodzie, w drodze powrotnej do domu, zaczną atakować. Pamiętaj, mężowie słuchają swoich żon, nawet jeśli ich nienawidzą.

- Nie dotknęłabym żadnego z nich nawet patykiem.

- Ba! Spróbuj to powiedzieć ich żonom.

Co jakiś czas zerkałam na Nathana ze swojego końca stołu. Ostatnio służyło mu światło świec. Dodawało blasku jego oczom i jednocześnie skrywało częste zmęczenie i bladość. Podobało mi się to. A ja w świetle świec? Kobieta w zielonej sukni (w ostatniej chwili poluzowanej w biuście), trochę zdenerwowana, ale umiejętnie maskująca niepewność. Oczywiście byłam wyczerpana, co jakiś czas czułam pulsowanie bólu w oczodołach. Podniosłam kieliszek z winem, chcąc, żeby Nathan spojrział na mnie ponad srebrami i szkłem. Chciałam, by dostrzegł urok tej sceny, chciałam się przekonać, że jest ze mnie zadowolony.

Gisela Gard siedziała po jego prawej stronie. Była żoną Rogera, prezesa Vistemaxu i tym samym szefa Nathana; jej prosta czarna sukienka, bukiet od Chanel i błysk brylantów podkreślały status małżonka. Roger miał sześćdziesiąt pięć lat, podczas gdy Gisela czterdzieści trzy i plotka głosiła, że zwabił ją do swej nory pieniędzmi.

- Jasne, że chodziło o pieniądze - potwierdziła mi osobiście Gisela. - A cóż by innego? - Sprawiała wrażenie szczerze zdziwionej. - Ale za to wspaniale się opiekuję Rogerem.

Po lewej stronie Nathana siedziała Carlyne Shaker, zamężna z kolegą Nathana, Peterem. Wybrała na ten wieczór sukienkę w odcieniu kobaltowego błękitu - co było pomyłką, jakkolwiek by na to patrzeć - i krzykliwe złote kolczyki. Przysłuchiwała się rozmowie Giseli z Nathanem. Z zasady Carlyne pozostawiała rozmawianie innym, a sama milczała, z miną sugerującą, że doskonale zna swoje ograniczenia. Nawet najlżejszym mrugnięciem nie dawała do zrozumienia, iż żałuje, że nie błyszczy przy takich okazjach. Ta kobieta wiedziała, gdzie leży jej siła - w domu - i dla mnie także było to pouczające.

Nathan powiedział coś do Giseli i uprzejmie pochylił głowę, żeby się zwrócić do Carolyn. Ta sprawiała wrażenie trochę sennej, ale Nathan szepnął jej do ucha coś, co ją rozśmieszyło.

Po prawej stronie Giseli Peter Shaker gawędził z żoną Barry'ego, Lucy. Na początku Lucy, ubrana w wymyślną kreację nawiązującą do stylu hippisowskiego, wydawała się zdenerwowana, więc skierowałam ją do spokojnej, łagodnej Carolyn. Spełniła pokładane w niej nadzieje, bo Lucy odpowiadała z ożywieniem.

- Dobrze te wiśnie. - Obok mnie Roger zanurzył łyżeczkę w wytrawnym soku. Lubię twarde skórki.

Po mojej drugiej stronie Barry pokiwał głową. Imponowało mu, jak zresztą przypuszczałam, że je kolację w towarzystwie zamożnego i wpływowego prezesa Vistemaxu, a jego zadowolenie wyrażało się przytakiwaniem wszystkiemu, co Gard mówił. Jako zdeklarowany łakomczuch („To nie do uwierzenia, jak się ciska, jeśli nie kupię mu suszonych moreli do owsianki”, powiedziała mi Gisela), Roger przez cały posiłek mówił o jedzeniu. Czy wiedziałam, że najlepsze wiśnie pochodzą z pewnej doliny w Burgundii? Albo że odkąd Japończycy jedzą więcej mięsa, stają się wyżsi? Tę rozmowę, tak dla niego typową, można by określić jako automatyczną, lecz Roger był zbyt mądry, by na to pozwolić. Stosował sztuczkę, polegającą na tym, że patrzył wprost na tego, do kogo się zwracał, i słuchacz cieszył się iluzją swojej wyjątkowości. Czar działał, dopóki nagle nie przysł.

- Pamiętam, że najlepszego łososia jadłem u Zeffana. Dawno temu, kiedy Nathan był jeszcze mężem Rose...

Nastąpiła krótka pauza. Nie przestałam się uśmiechać.

- Tak, Roger...

Wychwyciwszy swoim radarem moment napięcia, Barry zachęcił Rogera, by mówił dalej.

- I...?

- Chociaż minęło tyle lat, pamiętam smak tego łososia doskonale... - Roger ominął pole minowe. - Nathan nie był nim zachwycony... ale go przekonaliśmy.

Przypomniano mi, gdzie jest moje miejsce; przyjemność, którą dotąd czerpałam z tego wieczoru, ustąpiła miejsca niechęci. To Rose siedziała przy końcu wypolerowanego na błysk, zastawionego stołu, nie ja. Rose wybrała kwiatową dekorację z „Vogue'a” i zgromadziła razem tych ludzi. Większość gości przy moim stole pamiętała łagodny charakter Rose, jej dobroć i troskliwość.

W takich sytuacjach nie ma sensu ujawnianie bezradności czy pokazywanie, jak bardzo przytłaczające jest bycie Żoną Numer Dwa. Według mnie najlepiej robić dobrą minę do złej gry, podkreślając w ten sposób, jak rozsądni i dojrzały są wszyscy zainteresowani. Udało mi się zachować promienny uśmiech.

- Czyż to nie wspaniałe, że kariera Rose jako pisarki-podróżniczki się rozwija?

- Owszem - zgodził się ze mną Roger. - Czytałem jej artykuł o Chinach, bardzo dobry, chyba w „Financial Times”.

Barry nie krył rozbawienia. Czułam, że układa sobie w głowie całą historię - pierwsza żona, podrywaczka, uczenie starego psa nowych sztuczek i tak dalej... - w dodatku z takim przejęciem, że istniało niebezpieczeństwo, iż uzna swoją wersję za prawdziwą.

- Jesteś drugą żoną Nathana? - mruknął.

- Owszem. Miałam szczęście, prawda? Nie pierwszą, ale na pewno ostatnią. - Słowa lekko spłynęły mi z języka; zadbałam o to, by Barry dobrze usłyszał moją następną uwagę, skierowaną do Rogera. - Nathan i ja musimy się wybrać do tej wiśniowej doliny. Zmuszę go, żeby mnie tam zabrał.

Roger postukał w pudełko z papierosami.

- Można? - Wydmuchnąwszy kłęb dymu, stwierdził: - Musisz być jedyną osobą na świecie, która potrafi Nathana do czegokolwiek zmusić. Nam czasami ciężko go nakłonić, żeby przyszedł na posiedzenie zarządu. To jedna z jego mocnych stron.

Nagle, niespodziewanie, wyczułam niebezpieczeństwo.

- Vistemax miał wyjątkowy rok - wyjaśniłam Barry'emu. - Rzucili konkurencję na kolana. - Podsunęłam Rogerowi popielniczkę. - Pewnie jesteś zadowolony. Bo Nathan jest.

Nim Roger zdążył odpowiedzieć, przerwał nam rozmowę płacz dobiegający od progu. To był Lucas; ubrany w piżamkę w misie, przestępował z nogi na nogę.

- Nie mogę spać...

Czerwony ślad na policzku świadczył o czymś wręcz przeciwnym. Nathan odwrócił głowę.

- Lukey... - Uśmiechnął się, a Lucas natychmiast rzucił się ku niemu z rozpostartymi ramionami. Nathan odsunął się z krzesłem od stołu, podniósł synka i posadził go sobie na kolanach. - Co tu robisz o tej porze, nieznośny chłopcze?

- Nieznośny chłopcze - powtórzył zgodnie Lucas, przywierając do ojca. Wyczuł, że otworzyła się przed nim szansa, i nie mylił się, sądząc po tym, jak Nathan go do siebie tulił.

Brzęk sztucców stanowił kontrpunkt dla piskliwego szczebiotu Lucasa i niskiego głosu Nathana. Tego nie było w rozkładzie przyczepionym do lodówki. Zerknęłam na Rogera, który obserwował tę niewinną scenę czułości z miną niekoniecznie wróżącą dobrze Nathanowi. A więc tak się sprawy mają, myślał. To dlatego Nathan stracił swój lwi pazur.

Gisela wychyliła się i dotknęła czerwonego śladu na policzku Lucasa.

- Nie chce się spać, co?

Mały uśmiechnął się do niej, a ja wstałam zza stołu.

- Chodź, Lucas.

Ale synek nie miał zamiaru się poddać. Wzięłam go na ręce.

- Nie do łóżka, nie do łóżka - zawodził, a kiedy szepnęłam mu do ucha, wychrypiał: - Mamusiu, nie dawaj mi klapsa.

- Minty... - Nathan rzucił na stół serwetkę, poderwał się z krzesła i wyjął mi dziecko z rąk. - Ja się tym zajmę.

Razem udali się na górę, skąd wkrótce dobiegł nas chichot Lucasa. Policzki mnie paliły; wymieniliśmy z Rogerem poważne spojrzenia.

- Nathan jest zaangażowanym ojcem - skomentował.

- Och, nie tak bardzo - powiedziałam. - Różnie z tym bywa. Zależy, ile ma czasu. - Zmieniłam temat. - Planujesz jeszcze jakieś zmiany w tym roku? Nowe wydanie?

- Przykro mi, ale gdybym planował, nie mógłbym powiedzieć nawet tobie, Minty.

Roger lubił swoje zawodowe sekrety. Właściwie dlaczego nie?

- Oczywiście, Roger. - Zachęciłam Barry'ego, żeby opowiedział szerzej o jednym z ostatnich sukcesów Paradox Productions. Nathan wrócił, trochę potargany, więc wstałam (10.45 - podać kawę) i zaproponowałam, żebyśmy się przenieśli do salonu.

Paige skrzywiła się z niechęcią. Wcześniej debatowałyśmy, czy podać kawę przy stole, czy w salonie. Nigdy nie byłam całkiem pewna. Paige stwierdziła, że to dobre wyjście, gdy goście są znudzeni, na co odpowiedziałam sztywno, że nie planuję nikogo nudzić.

- *Ayant pitié de moi* - błagała Paige, której czasem zdarzało się wracać do swej międzynarodowej przeszłości. - Nie mogę się ruszać. W moim obecnym stanie wolę się zanudzić niż wstawać, a poza tym kiedy trzymam nogi pod stołem, nie widać żyłaków.

Poświęciłam Paige.

Zaprowadziłam Giselę na górę do łazienki dla gości - nieba ze śnieżnobiałymi ręcznikami, zapachami Jo Malone i francuskim mydłem w kształcie syrenki.

- Dom wygląda bardzo ładnie. - Gisela nachyliła się do lustra. Głos miała ciepły i przyjemny; odniosłam wrażenie, że uznała mnie za osobę, z którą warto się bliżej zaznajomić.

Wyrównałam brzeg ręcznika.

- Wymagało to trochę czasu i perswazji. Nathan jest raczej niechętny zmianom... - Nagle sobie uświadomiłam, że ta ostatnia uwaga nie jest rozsądna, kiedy się rozmawia z żoną szefa swego męża, więc dodałam: - ...jeśli idzie o kolor ścian.

- Ci mężczyźni... - Gisela przygładziła włosy. Z pewnością wcale tak nie myślała, była zbyt inteligentna, by powtarzać banały o męskich przywarach. - Nathan wygląda na trochę wymizerowanego... - Wymanikiurowane palce nie przestawały wyglądać i przyklepywać. - Dobrze się czuje?

- Złapał jakiegoś wirusa od bliźniaków. Mężczyźni są bardziej podatni na takie rzeczy niż kobiety.

Obróciła głowę, żeby obejrzeć profil.

- Sprawia wrażenie wyczerpanego.

Kiedys miałam dwadzieścia jeden lat, byłam smukła i olśniewająca. Celebrowałam ten stan, nosząc obcisłe bluzki i szpilki z różowej skóry. Spojrzałam z góry na swój biust, żeby sprawdzić dekolt sukienki.

- Czyż nie można tego powiedzieć o nas wszystkich? Gisela wzięła do ręki mydlaną syrenkę.

- Urocze. - Syrenka wróciła do mydelniczki. - Carlyne naprawdę nie powinna nosić aksamitnych opasek do włosów. I Minty... To piękna sukienka, ale zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby ci w niebieskim? - Wdzięk uśmiechu Giseli zneutralizował nutę krytycyzmu. Przechylając głowę na bok westchnęła z namysłem. - Nie jest łatwo być drugą żoną... ani trzecią.

- Było okropnie?

Gisela wyjęła szminkę z maleńkiej wieczorowej torebki i pomalowała sobie usta.

- Przy bardzo starym Nicholasie miałam mnóstwo roboty jako opiekunka. Doskwierała mi samotność, a dzieci mnie nienawidziły. Richmond nie był aż tak stary, a jego dzieci nie takie znów złe. Prawdę mówiąc, nawet dosyć się lubiliśmy... dopóki Richmond nie umarł. - Zaciśnęła wargi, rozprowadzając po nich kolor. - Testament rozpełtał istne piekło. Mieszkaliśmy w Savannah w rodzinnym domu. Dlatego przyjechałam tutaj, poznałam Rogera i... hm... wszystko się ułożyło. - Brzmiało to lekko, ale przysięgłabym, że z pewnością nie było dla niej łatwe. - Nie zrozum mnie źle, Minty. Dokonałam świadomego wyboru.

Zrobiłam szybki przegląd swojego życia na wewnętrznym projektorze. Końcowy obraz nie przedstawiał się zbyt romantycznie, praktyczny i wykalkulowany, ale los tak chciał.

- Ja też.

Kiedy schodziliśmy na dół, Gisela zaskoczyła mnie, mówiąc:

- Nie sądzisz, że jesteśmy realistkami?

- Chcesz powiedzieć, że same dbamy o swoje sprawy?

Popatrzyła na mnie wzrokiem potwierdzającym wzajemne zrozumienie i wzięła mnie pod rękę.

- Dokładnie to miałam na myśli.

Wniosłam kawę do salonu; Martin pomógł mi ustawić filiżanki na stoliku pod ścianą.

- Będziemy się zaraz zbierać - powiedział. - Paige potrzebuje się wyspać.

Martin, choć jasnowłosy, miał mocno zaznaczone ciemne brwi, które nadawały jego twarzy wiecznie pytający wyraz. Przy najmniejszym zdenerwowaniu zbiegały się ze sobą, sugerując burzliwy charakter, odpowiedni dla zastępcy prezesa banku, w którym poznał Paige.

- Bardzo się o nią troszczysz. Jesteście gotowi na pojawienie się nowego członka rodziny?

- Paige tak - odparł. - Ma zaplanowane wszystko, do ostatniego skurczu.

Podalam kawę Rogerowi, który od razu jej spróbował.

- Bardzo dobra. - Odstawiwszy maleńką filiżankę na spodeczek, spojrzął na Barry'ego zabawiającego Giselę. - Czy Nathan protestował, kiedy wracałaś do pracy po urodzeniu bliźniaków?

Nie byłam zainteresowana tego rodzaju rozmową właśnie teraz, ponieważ od jakiegoś czasu myślałam o zmianach.

- Nie, wcale nie. Ale bliźniaki miały się dobrze, a pracuję tylko na pół etatu. - Po chwili dodałam: - Na razie.

- No tak, oczywiście, że nie - przyznał Roger. - Popęnił ten błąd przy Rose.

Źle spałam. Ogarniał mnie chłód, w myślach szukałam źródła ciepła. Wyobrażałam sobie siebie jako pustkę, wypełnioną jedynie echem, które nie miało żadnego sensu. To, jak inni mnie oceniali, nie miało znaczenia, ale istniała potrzeba przynależności, jakiegokolwiek, do czegokolwiek.

Obok mnie Nathan oddychał głęboko, z pewnym trudem po obfitym posiłku i winie. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego policzka. Dotyk babiego lata. Poruszył się i odsunął. Ręka opadła na pościel.

Okolo wpół do piątej wyslizgnęłam się z łóżka, zeszłam do kuchni i zaparzyłam sobie kubek miętowej herbaty. Wracając na górę zajrzałam do sypialni bliźniaków. Felix leżał płasko na plecach, głośno posapując. Lucas był zwinięty w kłębek, widziałam tylko zarys pleców. Słodki, niewinny sen, jakiego sama nie mogłam zaznać.

Trzymając kubek w dłoniach, weszłam piętro wyżej, do pokoju gościnnego. Obecnie bliźniacy zajmowali pokój, który pierwotnie pełnił funkcję gościnnego, a ten obok sypialni Eve był znacznie mniejszy, ze skosami pod sufitem. Wystarczało w nim miejsca dla jednej osoby, co akurat mi odpowiadało, bo nie miałam ochoty proponować gościom noclegu.

Łóżko stało pod skośną ścianą, a nad nim wisiał obraz przedstawiający białe róże w cynowym wazonie. Nathan bardzo go lubił, podobnie jak ten z Kornwalii, ale ja nie widziałam w nim nic szczególnego. Rzadko przychodziłam do tego pokoju; od czasu wybudowania nowej łazienki Nathan trzymał tu w szafie swoje ubrania. Na łóżku leżała sterta jego wyprasowanych i poskładanych koszul. Podniosłam je i ułożyłam na półce. Robiąc to, natrafiłam palcami na jakiś twardy przedmiot. To był notes, czarny, w twardej oprawie, owinięty gumką rozciągniętą od zużycia. Zsunęłam gumkę i otworzyłam notes. Liniowane kartki zapełniało pochyle, leworęczne pismo Nathana.

Notatki służbowe? Plany wydatków? (Nathan był bardzo skrupulatny, jeśli chodzi o pieniądze). Osobiste zapiski?

Oczywiście, że osobiste. Usiadłam na łóżku, ściskając kubek w dłoniach; bijące od niego ciepło wolno przenikało do moich zziębniętych stawów. Dopilałam herbatę, zanim sięgnęłam po no-

tes i zaczęłam czytać. Zapiski stanowiły swego rodzaju pamiętnik, a sądząc po datach, Nathan zaczął go pisać wkrótce po naszym ślubie.

„5 stycznia. Minty się gniewa...”. To sprzed czterech lat. Skala mojego gniewu nie była wielka, a jego przyczyny łatwo szły w zapomnienie. O co się gniewałam? No tak, lista powodów z czasem się wydłużała. Mażeńskich powodów. Nieznośny zwyczaj Nathana, żeby zostawiać spinki w brudnych koszulach. Drobne, które wysypywały się z jego spodni, zatykając odkurzacz. To, że nie potrafił mi powiedzieć, co chce na Gwiazdkę lub urodziny.

Cofnęłam się w czasie.

„17 marca. Urodzili się Felix i Lucas. Są śliczni. Minty dobrze to zniosła...”.

Dobrze? Nienawidziłam ciąży. Nienawidziłam porodu. „Niech pani spojrzy na swoje maleństwa”, szczebiotała położna, zachęcając mnie, bym zajrzała do plastikowego inkubatora, gdzie spoczywały dwie małe żaby. Pamiętam, jak byłam zaskoczona swoimi odczuciami. Spodziewałam się przyływu gwałtownej czułości, a tymczasem nie nastąpiło nic podobnego, absolutnie nic. Tylko ostry ból rany po cesarskim cięciu.

„20 czerwca. Bliźniaki mają się świetnie. Zmęczenie. Co mogę zrobić, żeby ulżyć Minty?”.

Gdyby Nathan mnie spytał, powiedziałabym mu. Mógł mi pomóc odnaleźć tę czułość i przyjemność fizycznej bliskości z dziećmi. To by mi ulżyło.

Przekartkowałam notes do przodu.

„6 czerwca. (Dwa lata temu). Oddałbym prawie wszystko, by móc pospacerować nad zatoką Priac, wdychać zapach soli i czuć wiatr na twarzy. Uzdrowiająca samotność”.

Potem przeczytałam: „21 lutego. (Tego roku). Rozczarowanie sobą jest nieuchronnym elementem życia. Należy się z tym jakoś pogodzić”.

Oderwałam wzrok od notesu i wyjrzałam przez okno; nad miastem wstawał świt. Jak miałam sobie poradzić z tym odkryciem? Ujawnienie skrywanego życia Nathana oraz to, jak analizował nasz związek, wprawiło mnie w irytację. Miałam świadomość, że powinnam starać się wczuć w sposób myślenia Nathana, żeby go zrozumieć, ale brakowało mi na to energii.

„30 października. (Tego roku). Czytałam gdzieś, że większość ludzi nosi w sobie skrywany żal i chyba tak jest naprawdę”.

A jednak przeszkadzał mi skrywany żal Nathana. Jego istnienie, potwierdzone na piśmie, dotykało rany i ukazywało klęskę. Słowa zapisane w notesie obnażały niedorzeczność naszych ambicji i świadczyły o porażce.

Tak to wyglądało. Zobaczyłam Nathana i wzięłam go sobie za męża. Wiele mówił o „zaczynaniu od nowa”, o „wolności”, o „wychodzeniu z klatki”, co bardzo mi się podobało. Rose płakała, rozpacziała i odeszła, zostawiając mi prowadzenie swojego domu i rodzenie Nathanowi następnych

dzieci. I zanim się obejrzałam, to właśnie stało się istotą mojego związku z Nathanem. Wychowywanie dzieci i prowadzenie domu (a może kolejność powinna być odwrotna?). Zamiast wychodzić z klatki, wleźliśmy do niej najszybciej, jak to było możliwe.

Zmusiłam się do zamknięcia notesu. W kieszonce okładki zauważyłam jakiś złożony dokument. Wyjęłam go. Był to fachowo wykonany rysunek niewielkiego ogrodu - według planu mierzącego dziesięć na piętnaście metrów - z oznaczeniem, że wychodzi na południowy zachód. Powierzchnię ogrodu dzieliła na pół linia drzew, opisanych jako „żywopłot z oliwek”. Inne rośliny także były opisane: *humulus*, *ficus*, werbena... Pod spodem widniały wystukane na maszynie słowa: „Wysokość. Ścieżka. Wypoczynek”.

Nad rysunkiem znajdował się odręczny zapisek: „To jest to. Jak ci się podoba? Może byś to omówił z Minty?”.

Pismo należało do Rose.

W sypialni na dole Nathan spał ułożony na plecach. Zamruczał, kiedy wróciłam do łóżka i wzięłam go w ramiona. - Obudź się, Nathan.

Po chwili przestał się opierać i skorzystałam z ciała mojego męża, zła na niego jak jeszcze nigdy, tak pełna złości, jak on był pełen skrywanego żalu.

Rozdział trzeci

Piętnaście po dziewiątej, z włosami szczesnymi na policzki, pachnącymi migdałowym szamponem, szłam ulicą Shepherds Bush, mijając dwa - wciąż nieodnowione i hałaśliwe puby, które serwowały irlandzkie jedzenie, powracające teraz do łask, oraz Green, wyłożoną świeżą nawierzchnią. „Bush jest nową Bramą”, głosiło graffiti na ceglany murze.

Niegdyś firma ubezpieczeniowa Old United Kingom Provincial była tym, co sugerowała jej dumna nazwa. Obecnie zarząd firmy United Kingom Provincial znajdował się w Bombaju, a jej dawna siedziba dała schronienie siedmiu początkującym przedsiębiorstwom. Łączyła je wspólna recepcja, automaty do kawy i tematy rozmów toczonych na klatkach schodowych, dotyczące głównie zbyt wysokiego czynszu.

Niektóre rzeczy są wieczne, ale ja odkryłam nie te, po których można by się czegoś takiego spodziewać. Niezmienne pozostają zaplamione sztuczne wykładziny oraz zapach plastiku i papieru w biurach. Mimo to cieszyłam się, że mogę pełną piersią wdychać plastikowe opary, kiedy wróciłam do pracy po trzech latach spędzonych w domu z bliźniakami. Od razu poczułam adrenalinę. Nathan nie podzielał mojej radości. To biuro - pokiwał palcem, żeby wzmocnić znaczenie swej

opinii - wcale nie jest tak wspaniałe, za jakie chciałoby uchodzić. Sądząc po jego nastawieniu, można by pomyśleć, że pracuję od ósmej do ósmej pięć dni w tygodniu, a nie trzy, na które z początku się zgodził w ramach kompromisu.

Paradox Pictures było jedną z wielu małych, niezależnych firm producenckich związanych z telewizją, usytuowanych przy Shepherds Bush.

- Czynsze tanie jak barszcz i łatwy dostęp do BBC i Channel 4 - zwierzył mi się Barry, dyrektor naczelny i kierownik produkcji, przeprowadzając ze mną rozmowę kwalifikacyjną przy lunchu w Balzaku. (W liście motywacyjnym dołączonym do podania nadmieniałam, że oboje robiliśmy dyplom na uniwersytecie w Leeds; ten drobny wysiłek badawczy prawdopodobnie sprawił, że w ogóle zostałam zaproszona na rozmowę). Rozejrzał się po zatłoczonej restauracji. - Chyba większość ludzi z BBC siedzi tu teraz nad korytem. Wylali mnie, bo byłem niegrzecznym chłopcem. - W jego głosie wyczułam nostalgiczną nutę. - Była bardzo piękna. W każdym razie podpadłem Ciotce, ówczesnej pani Helm, i musiałem się wynosić do Stanów, gdzie zrobiłem „Wymianę małżonków”. Po moim powrocie obowiązywało rozporządzenie, że BBC ma korzystać z usług niezależnych producentów. Poznałem Lucy. No i jest, jak jest. - Uniósł obie dłonie, zwrócone wnętrzem do mnie. - Już nie jestem niegrzecznym chłopcem.

Nastąpiła pauza, podczas której piliśmy wino, oddając milczący hołd umarłym niegrzecznym chłopcom i, ma się rozumieć, niegrzecznym dziewczynkom. Potem Barry przeszedł do sedna sprawy.

- Potrzebuję pomysłów. Im dziwniejsze, tym lepsze. Musimy dotrzeć do młodszej widowni. Musimy myśleć interaktywnie. Potrzebuję kogoś, kto zna ludzi, kto ma zaplecze.

Bycie postrzeganą jako osoba o bogatym zapleczu sprawiło mi nieopisaną przyjemność.

- Mój mąż... - oznajmiłam Barry'emu - jest dyrektorem naczelnym Vistemaxu. Cały czas się bawimy.

To też przyniosło oczekiwany efekt.

Tak więc trzy razy w tygodniu ocierałam się o dziennikarzy, autorów, agentów i miałam na oku wszelkie rocznice oraz większe wydarzenia społeczne. Oglądałam telewizję, słuchałam radia, czytałam. Szybko się zorientowałam, że pomysłów nie brakuje, ale wprowadzanie ich w życie to już zupełnie inna sprawa. Pomysły kłębiły się w całym biurze, lecz niewiele z nich, och, jakże niewiele, miało szansę na realizację.

Teraz, kiedy ktoś pytał, co robię, odpowiadałam: „Jestem zastępcą szefa działu rozwoju produkcji w Paradox Pictures”, co zabierało trochę czasu, ale tym lepiej. Z pewnością trwało dłużej, niż: „Siedzę w domu z bliźniakami”.

- Dobry - powiedziała Syriol, recepcjonistka władająca czterema językami. Ubrana z wystudiowaną niedbałością w markowe džinsy i tenisówki, w jednej ręce trzymała bułkę i posilała się, drugą sortowała pocztę. Na ekranie komputera migotał scenariusz, który próbowała pisać w chwilach wolnych od pracy. Zapobiegliwie oparła treść na życiu stacji telewizyjnej.

- Dobry - odpowiedziałam echem, biorąc stertę gazet, i poszłam do swojego pokoju, gdzie odłożyłam je na bok, do późniejszego przejrzenia.

Piątek był dniem spotkań, na których przedstawiano pomysły, więc uzbrojona w stosowne materiały udałam się do sali konferencyjnej. Pomieszczenie wyglądało jak prostokątne pudło, wyposażone w naturalne oświetlenie i automat do kawy wydzielający zapach, od którego drapało w gardle. Barry już siedział na miejscu, w białym lnianym garniturze i czarnej koszuli, który to strój dawał do zrozumienia, że jest w „kierowniczym nastroju”. Deb, obecna szefowa działu rozwoju produkcji, w bojówkach i płóciennym zakiecie, uważnie śledziła każdy jego ruch.

- Wyglądasz trochę blado - powitał mnie Barry, unosząc głowę znad ogromnego filofaksu, który przedkładał nad elektroniczne terminarze. Narzekał, że jest tak ciężki, iż nabawił się przezeń łokcia tenisisty, ale nie potrafił się z nim rozstać, będąc w głębi serca staroświeckim facetem.

Zajęłam krzesło obok Deb.

- To z emocji.

Barry uśmiechnął się ponad głową Deb. Jako szef był surowy, ale miły, typ człowieka, który nie ulega codziennej komercyjnej rutynie produkcyjnego biznesu.

- Wydaje fantastyczne kolacje. Jest żoną i matką. Dobrze wygląda. I, na Boga, czyta!

Domyśliłam się, że Barry zyskał coś przy naszym stole. Niemniej wyczuwałam ostrzeżenie ukryte pod słowami pochwały. Barry bez skrępowań wyciskał ostatnie poty ze swoich podładnych.

- To łatwe, kiedy znasz się na rzeczy, Barry. Spytaj Lucy - odpowiedziałam spokojnie.

Pomysł numer jeden został wzięty z książki „Zanikające wiejskie rzemiosła”.

- Wystarczy na serial. - (Plus, bo za serial można wycisnąć od stacji telewizyjnej więcej pieniędzy niż za pojedynczy program). - Byłby to cenny społeczny dokument, oparty na materiałach archiwalnych. - (Minus, bo zawartość czarno-białych wstawek filmowych prawdopodobnie zepchnie program w późnowieczorne pasmo słabej oglądalności.) Podałam przykład wikliniarstwa w Somerset. Rodzina Burtonów przekazywała doświadczenie synom (nawiasem mówiąc, żadnych córek) z pokolenia na pokolenie. Wyroby Burtonów były niezniszczalne, co z jednej strony mogło w oczywisty sposób ograniczać na nie popyt, z drugiej jednak przyczyniało się do wzrostu popularności ich wiklinowych trumien. Miałam cudowny cytat z Johna Burtona: „Mój zawód to moje

życie. Są ze sobą nierozzerwalnie związane. Jak ten krajobraz z wodą, dzięki której rośnie wiklina". Na marginesie wypisałam sobie ewentualny tytuł: „Od kołyski po grób?”.

Barry nie chwycił przynęty.

- To brzmi jak czysto regionalna historia. Możesz dostać jakieś lokalne fundusze, ale żadnych zagranicznych zleceń. Nie biorę. Coś jeszcze?

- Kobiety między wojnami: stracone pokolenie. - Miałam odrobione zadanie domowe na ten temat. - W tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku w Anglii i Walii było dziewiętnaście milionów osiemset trzy tysiące dwadzieścia dwie kobiety, z czego dziewięć i pół miliona w wieku rozrodczym, natomiast mężczyźni osiemnaście milionów osiemdziesiąt dwa tysiące dwustu dwudziestu, z czego mniej niż osiem i pół miliona w wieku zdolnym do ożenku. Tak więc występował nadmiar kobiet w stosunku do zapotrzebowania, co owocowało depresją, niskim poczuciem wartości, biedą i emigracją. - Popatrzyłam na Barry'ego. - To było straszne zbiorowe doświadczenie utraty. Utraty nadziei i ideałów, nie mówiąc już o spokojnej przyszłości.

Barry wzruszył ramionami.

- Może. Do kogo chcesz dotrzeć?

- Ben Pryce z działu historycznego planuje dwutygodniowy cykl programów poświęconych pierwszej wojnie światowej. Wspominał, że brakuje mu materiału o nazistach. Ale głównym celem musi być Channel 4.

Barry nachylił się do Deb.

- Nalej nam kawy.

Już wiedziałam, że pomysł się nie spodobał, ale brnęłam dalej.

- Jedną z tych kobiet, niejaka Maud Watson, założyła Towarzystwo Ratowania Kotów. - Przytoczyłam słowa samej Maud: „Byłam starą panną, bezużyteczną, bo nie miałam szans zostać lekarzem ani prawnikiem. Głupota mężczyzn doprowadziła ich do tego, że dawali się zabijać na polu walki, nie mogłam ich przed tym powstrzymać, ale mogłam ratować koty...”.

Błąd. Powinnam mówić o dyrektorach programowych, zagranicznej sprzedaży i stawkach godzinowych. Powinnam mówić o lunchu.

Barry zamieszał smolistą kawę.

- Połowa dzisiejszej widowni nie słyszała o pierwszej wojnie światowej. - Wymienili spojrzenia z Deb.

W drzwiach stanęła asystentka Barry'ego, Gabrielle. Piersi rozsadzały jej bluzkę, a pasek dżinsów biegł na niebezpiecznej wysokości pomiędzy pępkiem a spojeniem łonowym.

- Barry... pośpiesz się.

Nie chciałam się zarumienić. Gabrielle zagryzła wyblęszczone wargi, przybrała minę świadczącą o ważności sprawy.

- Spotkanie - wyjaśniła Barry'emu, zwracając się jak do pięciolatka. - Z dyrektorem Dwójki. Za dwie minuty powinieneś być w restauracji.

- Zapomniałem. - Barry poderwał się z miejsca. - Deb, posłucham później, co masz do powiedzenia.

I tyle.

Deb zebrała plastikowe kubki, wrzuciła je do kosza na śmieci i zaczęła wycierać blat stołu chusteczką higieniczną.

- Żadnych zielonych świateł dzisiaj. Chyba musimy pogadać, Minty. Jutro. - Nagle sobie przypomniała: - Och, ale ciebie tu jutro nie będzie, prawda? Przychodzisz dopiero w przyszłym tygodniu. - Z wredną miną tarła stół tak mocno, że na powierzchni blatu zostawały strzępki mokrej chusteczki.

- Więc... - Gisela uniosła brwi. - Nathan widuje się z Rose. - Gisela zaprosiła mnie na lunch do Café Noire w ramach podziękowania za kolację. Rozmawialiśmy długo i szczerze i ta długa szczerza rozmowa doprowadziła do zwierzeń, których wcześniej nie planowałam, ale tak jakoś wyszło, że zaczęłam Giseli wyjaśniać, jak odkryłam, że Rose i Nathan się kontaktują. Giseli zabłyśło oko.

- Przeczytałaś ten pamiętnik?

Byłam winna Nathanowi choć trochę lojalności.

- Nie.

Gisela nie uwierzyła.

- Rozmawiałaś z nim o Rose? Zwierzenie się Giseli przyniosło mi ulgę.

- Nie, ale mam zamiar. - Sięgnęłam po szklanekę z wodą, tak obficie wypełnioną lodem, że trudno było się napić. - Taka rozmowa nie jest łatwa. Nie jesteśmy z Nathanem najlepszymi przyjaciółmi, jeszcze nie doszliśmy do tego etapu. Może Rose wpisuje się w tę rolę?

- Raczej nie. - W głosie Giseli wychwyciłam ostrzegawczą nutę. - Raczej nie, Minty.

Lód stukał mi o zęby, jego chłód nieprzyjemnie przenikał przez szkliwo.

- Czy technicznie rzecz biorąc, można popełnić cudzołóstwo ze swoim eks-małżonkiem?

- Więc myślisz, że o to chodzi?

- Nie - zaprzeczyłam pośpiesznie. - Nie. - Zmieniłam temat. - Myślę o powrocie do pracy na cały etat. - Przypomniałam sobie wredną minę Deb. - Kiedy się pracuje na pół etatu dochodzi do pewnych napięć, a poza tym mam wrażenie, że nie poświęcam swoim obowiązkom wystarczająco dużo uwagi.

- Podziwiam cię, że pracujesz w biurze. Ja bym nie mogła. I nigdy nie pracowałam.

- Bywasz, projektujesz wnętrza. Czy to nie ciężka praca? Według mnie tak.

Gisela rozpostarła dłoń; paznokcie miała pięknie uformowane i wypolerowane, skórę nawilżoną.

- Pamiętaj, że starcza mi czasu, by się skoncentrować na jednej rzeczy. Nie mam dzieci ani zawodu i niewiele robię poza tym, że skupiam się na mężu. Przyjemne. I proste. - Na moment przymknęła oczy. - Ale czasami męczące.

Zadzwoiła jej komórka; Gisela wykonała przeproszący gest.

- Nie masz nic przeciwko...? To pewnie Roger. Mniej więcej o tej porze lubi sprawdzać, jakie mamy plany. - Nikt nie mógł zarzucić Giseli, że miga się od obowiązku pilnowania rozkładu dnia Rogera. - Spotkanie jutro o wpół do trzeciej. O trzeciej trzydzieści pięć odwiedzasz pana Evansa na Harley Street. Pamiętaj o urodzinach Annabel... Aha, Roger, goście przychodzą o siódmej. - I tak dalej, na tyle długo, że zdążyłam przed końcem rozmowy dokończyć jeść sałatkę z moreli.

- Minty, przepraszam. Wiem, że to nieładnie, ale jeśli nie jestem do dyspozycji na zawołanie, Roger się denerwuje. - Zauważyłam, że nie wyłączyła telefonu.

Zamieszałam lodem w szklance.

- Mogę cię o coś spytać? Jak sobie radziłaś z pierwszą żoną Richmonda?

- Ach... - Gisela poklepała mnie po ręce. - Wcale o niej nie myślałam, Minty. To wystarczyło. Myślenie jest niebezpieczne. Jeśli człowiek roztrząsa wszystkie trudne rzeczy, które robi, a ja wiem, że je robiłam, może zostać zraniony, a rany mają zwyczaj się zakażać. Miała na imię Myra i uratowała Richmonda, kiedy mu się nie wiodło. Razem prowadzili interes. Ale popełniła błąd. Zapomniała o tym, że powinna go traktować jak męża. Więc... - Gisela na moment popadła w zamyślenie. - Łatwo mi poszło. - Po chwili dodała: - Richmond mnie pragnął. O, tak... Mimo swego wieku. Więc sama widzisz...

Nim zdołałam cokolwiek, odpowiedzieć, komórka znów zadzwoniła. Gisela odebrała ostrym tonem.

- Roger, jem teraz lunch. - Ze zdumieniem odkryłam, że nagle oblała się rumieńcem. - Marcus? Gdzie jesteś? Nie. Nie dziś wieczorem. Mam gości. - Odwróciła się do mnie bokiem.

- Jem lunch ze znajomą. Nie. Tak. Wkrótce.

Tym razem wyłączyła aparat.

- Napij się kawy? - Wciąż zarumieniona otarła serwetką usta, a potem dotknęła oka. - To przez tusz do rzęs - wyjaśniła, zerkając w lusterko wyciągnięte z torebki.

- Wszystko w porządku? - Przyglądałam się, jak wygładza niewidoczne zmarszczki w kątku oka. - Czy Marcus to jeden z tych wrogich członków rodziny?

- Marcus... - Gisela wrzuciła lusterko z powrotem do torebki. Popatrzyła na mnie z namysłem; było jasne, że w jej głowie toczą się jakieś kalkulacje. - Marcus to ktoś, kogo znam całe życie. On jakby... wpasowuje się między moje małżeństwa. Niektórzy ludzie już tacy są. Nie sposób się ich pozbyć.

- Między małżeństwa? Jesteś między małżeństwami?

Obróciła na palcu pierścioneł z brylantem.

- Nie. Ale jest praca i jest zabawa. Dziś przy kolacji, którą wydajemy z Rogerem, nieźle się wynudzę za sprawą osoby siedzącej obok mnie. Jednak nie dam tego po sobie poznać nawet najlżejszym mrugnięciem, zadbam natomiast o dobre samopoczucie gościa, bo to przyniesie korzyść Rogerowi. - Opuściła wzrok na filiżankę z kawą, którą właśnie nam podano. - Nigdy nie mieszam pracy z zabawą.

Gisela pozwoliła sobie na wyjątkową niedyskrecję i byłam ciekawa dlaczego. Patrząc ponad stołem na perfekcyjnie umalowane powieki zakrywające bystre oczy, natychmiast się domyśliłam odpowiedzi na swoje pytanie. Była całkiem prosta, nawet dla niezbyt domyślnej osoby. Gisela doskonale wiedziała, że może mi bez ryzyka wyjawić swój sekret, ponieważ jej mąż jest szefem mojego męża.

Za obopólną niewypowiedzianą zgodą przeszliśmy do bezpieczniejszych tematów: domu we Francji, prezesury Rogera oraz plotki, że jakaś niemiecka korporacja interesuje się Vistemaxem. Dom Gardów w Chelsea był w trakcie remontu i Gisela zastanawiała się nad nową kolorystyką.

- Mówiłam ci, że Maddy Kington, moja dekoratorka, uciekła z budowniczym domu, nad którym ostatnio pracowała? Mieszka teraz w bungalowie w Reading. Przypadek *l'amour du cottage*. Aż się boję pomyśleć, jak wygląda ten *cottage*.

Wróciłam do biura bogatsza o wiedzę, że pod elegancką garsonką Giseli i nienagannie dobraną biżuterią od Bułgariego kryje się wrażliwość, która spod starannie wytuszowanych rzęs każe jej pilnie śledzić i analizować wszystko, co jest niezbędne do przetrwania.

Weszłam do domu pod numerem 14 i zastałam w oczekiwaniu.

Jak można się było spodziewać, u szczytu schodów pojawił się Lucas. Dreptał w opuszczonych do połowy spodenkach. Odłożyłam torebkę i weszłam na górę. Lucas rzucił się w moją stronę, więc wzięłam go na ręce i zaniósłam do sypialni, gdzie Eve usiłowała zaprowadzić jaki taki porządek. Mały wtulał się w moją szyję, łaskotał mnie dotykem wilgotnych ust. Potem zaczął się

wiercić, a kiedy go puściłam, pognął do Eve, która wykorzystała ten moment, żeby ściągnąć mu spodenki.

Kompletnie ubrany Felix stał przy oknie wychodzącym na ulicę. Odwrócił się, gdy weszłam.

- Mamusiu, tam jest biedny kotek. Na pewno szuka dla siebie domu.

Podeszłam bliżej, żeby wyjrzeć przez szybę.

- To nie żaden biedny kotek, Felix. To Tigger. Należy do Blake'ów, przecież wiesz.

- Ale naprawdę wygląda, jakby się zgubił. - Od jakiegoś czasu Felix prosił o kotka. - Gdyby nie miał swojego domu i zamieszkał tutaj, mamu, mógłby ci siedzieć na kolanach. Podobałoby ci się... i mógłby wychodzić tymi specjalnymi drzwiczkami.

Pogłaskałam szczupłe ramionka.

- Nie lubię kotów, Felix.

Popatrzył na mnie bystrymi niebieskimi oczyma.

- Tatusz mówi, że możemy mieć kotka.

- Tak powiedział? Kiedy?

- Wczoraj wieczorem.

- Spałeś, kiedy tatuś wrócił wczoraj wieczorem.

Felix uznał, że lepiej nie przeciągać struny i grzecznie dał się przebrać w piżamkę.

- Wydawało mi się, że to było wczoraj wieczorem. Westchnęłam.

Pół godziny później oparci o mnie z dwóch stron słuchali, jak czytam im historyjkę na dobranoc.

- Dawno temu była wielka dżungla, bardzo gorąca... - Felix odruchowo zaczął ssać kciuk, więc wyciągnęłam mu go z buzi. Ilustrator poszedł na całość. Na drzewach siedziały czerwone i niebieskie papugi oraz bladobeżowe małpy. Na ziemi mrówkojad z długim sterczącym ryjkiem uganiał się za mrówkami, a w lewym rogu leżał groźny zwój boa dusiciela.

Lucas wskazał na małpę.

- Ma takie duże oczy jak ty, mamusiu.

- Mrówki bardzo skrzętnie prowadziły dom - czytałam. - Ale zjawił się mrówkojad i zjadł je wszystkie, co do jednej. - Ilustrator nie szczędził detali; chłopcy pisnęli z przestachu. - Potem zachciało mu się spać i zapomniał się rozejrzeć.

- O... - wtrącił przejęty Felix. - Wąż go ściska.

Na dole drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Teczka Nathana głucho stuknęła o ceramiczną posadzkę. Eve poszła na górę do swojego pokoju i wkrótce dobiegł stamtąd dźwięk włączonego radia.

Ostatnią stronę zapełniało pasiaste futro i obnażone kły, bo tygrys rzucił się na boa dusiciela.

- Mamusiu, czy zawsze wszyscy wszystkich zjadają? - zainteresował się Felix.

- Pewnie... - Lucas wyszczerzył zęby. - Właśnie tak... - Chwycił zębami ramię brata.

Nathan wszedł w sam środek awantury i krzykiem zaprowadził porządek, a ja zbiegłam do kuchni, wyjęłam z lodówki gotowe danie z piersi kurczaka i pieczarek, wsunęłam je do piekarnika, ustawivszy odpowiedni czas podgrzewania. Wzięłam koszyk z praniem zrobionym wcześniej przez Eve i zaniiosłam na półpiętro, gdzie rozstawiłam deskę do prasowania.

Jeśli Eve się nie włączała, Nathan sam prasował sobie koszule i często można go było zobaczyć w tym miejscu. Kiedyś się oparzył; pokazał mi rękę z wyraźnym czerwonym śladem i spytał:

- Co mam zrobić?

Przytrzymałam jego dłoń pod strumieniem zimnej wody, zrobiłam mu herbaty i co godzina pytałam, czy czuje się lepiej. Później przez wiele dni widziałam, jak ogląda ranę, i podsłuchałam, gdy mówił przez telefon do Poppy:

- Mogło być fatalnie.

Po pewnym czasie strup odpadł i została niewielka blizna.

- Poppy mówi - poinformował mnie potem z wyraźną przyjemnością - że tego rodzaju oparzenie figuruje w podręcznikach medycznych jako „syndrom gospodyni domowej”.

Przyjrzałam się swoim gładkim nadgarstkom.

- Jaki z tego wniosek, Nathan?

- Jesteś lepsza w prasowaniu - odpowiedział bez emocji.

Wróciłam na dół. Nathana nie było w gabinecie, więc zajrzałam do salonu. Siedział cicho, bez ruchu na krześle przysuniętym do przeszklonych drzwi i wpatrywał się w spowity mrokiem krzak bzu.

Ciarki przebiegły mi po karku. W kuchni zabrzęczał zegar przy piekarniku, posiłek był gotowy. Weszłam do pokoju.

- Nathan?

Poruszył się z westchnieniem.

- Tak... - Popatrzył na mnie. - O co chodzi?

Nathan podwinął rękawy koszuli i mył kieliszki, zbyt delikatne, żeby je włożyć do zmywarki, a ja nosiłam tace ze sztućcami i szkłem między jadalnią a kuchnią. Było późno, ogrzewanie wysiadło, ramiona miałam pokryte gęsią skórką, w głowie szumiało mi ze zmęczenia.

Mój mąż pracował ze zwykłą dla siebie starannością, wlewał gorącą wodę do każdego kieliszka po kolei i odstawiał na ociekacz. Ja wylewałam wodę z powrotem do komory zlewu, wycierałam kieliszki ścierką i ustawiałam na tacy.

- Nathan, co byś powiedział, gdybym wróciła do pracy na cały etat?

- Znowu to samo. - Nathan westchnął.

- Znowu to samo - powtórzyłam.

Siedem lat wcześniej Timon, mój szef, wezwał mnie do swojego biura w Vistemaksie. Na drzwiach wisiała plakietka z napisem: Redaktor naczelny „Weekend Digest”. Szczególnie pamiętam fantazyjnie zakręcone „D”. Timon, który pozował na Gordona Gekko, miał na sobie prążkowany garnitur i szelki.

- Słuchaj, chcemy, żebyś przejęła obowiązki Rose. - Timon nigdy nie wysiłał się na grzecznościowe wstępy.

Miałam krótką spódniczkę, skórę na nogach opaloną i gładką, wysokie obcasy, włosy bujne i lśniące młodością. Dzięki szaremu tuszowi do powiek moje oczy nabierały uwodzicielskiego wyrazu. Często marzyłam o dominacji, nie takiej o charakterze seksualnym, lecz o swobodnym rządzeniu innymi.

- Wywalasz Rose, Timon?

Timon posłał mi najlepsze ze swoich spojrzeń w stylu Gekko.

- Wiesz doskonale, że sama tego chciałaś.

Poprzedniego wieczoru Nathan wśliznął się do mojego łóżka drżący z emocji. Opuścił Rose. Wtedy nie miał jeszcze zamiaru się ze mną żenić, lecz rozkoszował się zakazanymi urokami romansu. Patrzył mi w oczy tak głęboko, jakby chciał mi przeświecić czaszkę, aż się poczułam nie-swojo. Był zabawny, czuły i znacznie uprzejmiejszy niż większość moich dotychczasowych kochanków.

- Masz coś przeciwko temu? Mogę?

Kiedy kotłowaliśmy się na moim lichym, niepotrzebnie podwójnym łóżku, rozpoczynając ten nowy etap naszej znajomości, powiedziałam sobie, że Rose na takiego mężczyznę nie zasługuje.

Timon nakreślił w notatniku idealnie równe kółko.

- Półroczny okres próbny. Tak czy nie?

- Tak.

Opuściłam jego gabinet roztrzęsiona, ale szczęśliwa. Maslow miał rację, gdy rysował swoją piramidę hierarchii ludzkich potrzeb. Kiedy potrzeby jedzenia, ciepła, bezpieczeństwa i seksu są mniej więcej zaspokojone, stają się ważne, by mieć szacunek kolegów. I szacunek dla samego siebie, oczywiście.

Pół roku później dostałam jeden z tych listów. „Twój okres próbny właśnie dobiegł końca. Doceniamy twój wysiłek w redagowaniu stron poświęconych książkom, ale postanowiliśmy cię nie zatrudniać...” i tak dalej.

Tym razem Timon nie zadał sobie trudu, by wezwać mnie do gabinetu.

Trochę trwało, nim zdecydowałam, gdzie schować ten dowód mojej porażki. W końcu wtknęłam go do „historii rodziny” w starannie uporządkowanych papierach Nathana, dbając o chronologię, pomiędzy zdjęciami z niespodziewanego ślubu Poppy w Tajlandii i chrzcina Friedy, dziecka Jilly i Sama. Nathan chciał wiedzieć, dlaczego to zrobiłam, więc mu odpowiedziałam, że należy stawić czoło faktowi: zostałam wylana. Wściekł się wówczas nie na żarty, krążył po pokoju, miotając przekleństwa pod adresem Vistemaxu. Obserwowałam go z sercem walącym głośno nad ciężarnym brzuchem. Dla Nathana życie przestało być posłuszne i uporządkowane, a jego rodzina straciła formę; wiedziałam, już wtedy wiedziałam, że oprócz winy za rozbitcie rodziny czuje też żal po utracie życiowej symetrii.

Nathan postawił na ociekaczu przedostatni kieliszek. Piana oblepiała mu dłonie, palce miał zaczerwienione.

- Wybrałaś dziwną porę, Minty. Jest późno. - Dopiero po chwili przerwy spytał: - Dlaczego? Znowu przypominałam sobie nieprzyjazną minę Deb.

- Bo pół etatu się nie sprawdza.

Wypuścił wodę ze zlewu; mętna i tłusta, wirując, zniknęła w odpływie.

- Wiem, że się nie sprawdza, ale chłopcy cię potrzebują. Wydaje mi się, że to, co masz teraz, powinno ci wystarczać.

- Chcę pracować i myślę, że szłoby mi lepiej w Paradox Productions, gdybym wzięła cały etat.

Pokiwał głową, wycierając ścierką blat przy zlewie.

- Uważasz to za swój priorytet?

- Owszem. Będzie dobrze, Nathan. Obiecuję. Pogodzę pracę i dom. Setki kobiet to robią. - Objęłam go w pasie i odwróciłam twarzą do siebie. - Chyba nie jesteś zaskoczony?

- Nie, nie jestem zaskoczony. - Odsunął się ode mnie. - Przyszło mi do głowy, że możesz o tym myśleć. Dlaczego nic nie powiedział?

- Nie zachowuj się, jakbym była potworem porzucającym swoje dzieci. Muszę robić coś dobrze. Rozumiesz? - Wyobraziłam sobie, jak pomysły o muślinowych skrzydłach zlatują mi na kolana. Karmiłabym je, pilnowała, by rosły, i patrzyła, jak idą w świat.

- Nie oddajesz całego serca i duszy swoim synom? - Nathan posłał mi długie, poważne spojrzenie, w którym odbijały się wszystkie dzielące nas różnice. - Jestem zmęczony. - Potarł oczy. - Chodźmy spać.

Patrzyłam na niego, próbując wyczytać coś w jego twarzy. Co mogłabym powiedzieć, żeby zniwelować te różnice? Gdzieś - i chyba wiedziałam gdzie - straciłam kontakt z tym prawdziwym Nathanem, tym, który tak chętnie rzucił się w moje objęcia.

Pogasiłam światła, jedno po drugim, i kuchnia pogrążyła się w ciemnościach.

- Już postanowiłam, Nathan.

- No cóż... - odezwał się od progu. - To postanowiłaś.

- Och, na litość boską, mówisz takim tonem, jakbym planowała was wszystkich wymordować.

Odwrócił się do mnie gwałtownie.

- A ty... - Złość wzięła górę nad zmęczeniem. - Ty nigdy nie jesteś zadowolona. - Opamiętał się i następne słowa wypowiedział niskim, kuszącym tonem.

- Minty, nie mogłabyś poprzestać na tym, co mamy? Tak jest całkiem dobrze. Prawda? - Przyciągnął mnie do siebie i ukrył twarz w moich włosach. - Nie kłómy się o to.

Kłótnia groziła kolejną nieprzespaną nocą. Oznaczała to, co poradniki nazywają „rozmową poświęconą rozwiązywaniu problemów”. Oznaczała, że sprawa mojej pracy urośnie z małego problemu do rozmiarów nuklearnej katastrofy. Odwróciłam głowę i pocałowałam Nathana w policzek.

- Nie kłómy się.

Rozdział czwarty

Poprzedniego wieczoru Rose występowała w telewizji. Co prawda w programie na mało popularnym cyfrowym kanale, ale jednak w telewizji.

Nathan był na kolacji organizowanej przez Vistemax, jednej z wielu w okresie przed Bożym Narodzeniem. Przy takich okazjach wracał do domu przesiąknięty zapachem cygar i koniaku, często z miętowymi czekoladkami schowanymi w kieszeni. „Miętówki dla Minty”. Bardzo zadowolony z siebie nalegał, bym zjadła te owoce spadające z drzewa korporacyjnej obfitości.

Z tacą na kolanach zasiadłam na sofie. Na ekranie szły początkowe napisy programu „Cuda świata Rose Lloyd”. Bliźniaki spały, a Eve miała wychodne.

Wiedziałam o tym programie. Poppy zadbała, by mnie o nim powiadomić, kiedy dzwoniła, zapraszając nas na niedzielny lunch.

- To takie podniecające. Mama rzuciła pomysł, że zaprezentuje swoje siedem cudów świata, a oni właściwie dali jej wolną rękę. - Znając mechanizm działania telewizyjnych firm pro-

ducenckich, wiedziałam, że przesadza, ale to jasne, po czyjej stronie Poppy stała. - Ona tam wszędzie była. Niesamowite.

Nastąpiła pauza, po której powiedziałam:

- Wspaniale.

Poppy zważyła i zmierzyła moją szczerość i zapewne uznała ją za wystarczającą, bo paplała dalej.

- No to widzimy się na lunchu. Akurat wypada nasza rocznica, więc pomyśleliśmy... Cudownie być małżeństwem, nie sądzisz? - Uświadomiwszy sobie, że wstąpiła na śliski grunt, zmieniła temat, pytając o niedawne kłopoty żołądkowe Felixa. Zakończyła rozmowę, mówiąc: - O pierwszej. Ale Minty, gdybyś miała ochotę pobyć trochę sama, a pewnie masz, po prostu przyślij do nas tatę i bliźniaków.

Nie miałam zamiaru oglądać programu Rose. Naprawdę. Ale siedziałam przed telewizorem z talerzem utartej marchewki, pomidorem w plasterkach i całkowicie odtłuszczonym sosem do sałatki.

Ile czasu minęło, odkąd ostatnio widziałam Rose? Dwa lata? Trzy? Wszystko jedno, bo w mojej sytuacji nie musiałam jej widywać. Nie trzeba kogoś widzieć, by wiedzieć, że jest, a Rose trzymała się mnie mocniej niż Piotrusia Pana jego cień.

Nie wiedząc właściwie, czy chcę ją widzieć zmizerowaną i wychudłą, a przez to podsycającą moje poczucie winy, czy kwitnącą, jak w istocie się prezentowała, wpatrywałam się w ekran. Rose wyglądała cudownie. Sprawiała też wrażenie kobiety w pełni panującej nad swoim życiem i niczym nieobciążonej; to ostatnie mogło być irytujące dla kogoś, kto się zmagając z obciążeniami, ale mnie przyniosło ulgę. Skoro Rose wyglądała aż tak dobrze, to znaczyło, że wcale nie cierpiała i - być może - szanse się trochę wyrównały. Z drugiej strony, przypominałam sobie, ta kobieta omawiała swoje plany ogrodnicze z byłym mężem, który, tak się składało, obecnie był żonaty ze mną.

Pierwszy cud mieścił się w kopalni soli w Polsce. Ubrana w bojówki i gruby żakiet Rose prowadziła widzów tunelem, a kamera pokazywała figurki i zwierzęta wyrzeźbione w ścianach przez górników.

- Ten jednorożec pochodzi z czternastego wieku - mówiła zza kadru. - A to jest płaskorzeźba sakralna, prawdopodobnie wykonana w czasie, kiedy kościoły były niszczone. Górnicy, robiąc te rzeźby, bronili się przed nudą i strachem. Sprawiali sobie też piękne rzeczy, na które mogli patrzeć. - Opowiadała dalej, że rzeźbili przy świetle lamp i używali najprostszych narzędzi. Najprawdopodobniej skalne kryształy posiadały szczególne właściwości molekularne, które pozwoliły im się zachować, a każdy wyrzeźbiony przedmiot obrósł własnymi historiami i mitami. Kamera posłusznie zatrzymała się na postaci w długim płaszczu z kapturem. - To rzeźnik, który zwabiał dziewczęta do

swojego sklepu. - Obiektyw przeniósł się na figurkę jeźdźca. - A to rycerz, który podobno nawiedza jako zjawa miejscowe lasy, a w letnie noce słychać dźwięk jego rogu.

Rose zawsze wolała beletrystykę od dokumentu.

- Powieści zawierają życiową prawdę - powtarzała kiedyś uparcie tym spokojnym, beznamiętnym tonem, który tak mnie denerwował. Nie udało mi się jej przekonać do zmiany zdania. A teraz? Teraz już jej nie przekonam. Ja trzymam się poradników (które z początku Nathan uważał za rozbijające). On także nie potrzebował do szczęścia beletrystyki. Nie sądzę, aby przeczytał jakąś powieść od... powiedzmy piętnastu lat.

Odsunęłam od siebie tacę, zdjęłam buty i podciągnęłam nogi na sofę.

Kamera pokazywała teraz twarz Rose, niewyraźną w cieniu. Mimo to wyglądała pięknie.

- Prawdziwy skarb kopalni soli, dla którego tu przyjechałam, znajduje się w głębi tego korytarza... - Podążyłam za Rose do komnaty, o ścianach migoczących rozbłyskami światła. - Tutaj... - Jej entuzjazm udzielił się nawet mnie. - Tu znajduje się Matka Boska Solna. Rzeźba pochodzi z piętnastego wieku, a legenda głosi, że pierwowzorem była pewna zakonnica z klasztoru świętej Katarzyny, której przed śmiercią ukazała się matka Chrystusa. Co roku miejscowa społeczność oddaje cześć figurce, według wierzeń chroniącej matki, odbywając podziemną procesję ze świecami. W ustalonym dniu kobiety, które normalnie nie mają wstępu do kopalni, przychodzą tu ze swoimi dziećmi po błogosławieństwo...

Machnęła prawą ręką; gruba złota obrączka zsunęła jej się po palcu.

- Matka Boska Solna, choć na co dzień niewidoczna, jest otoczona czcią. Nazywa się ją „ukrytą matką”. Nawiasem mówiąc, określenia „ukryta matka” używa się także w stosunku do kobiet wychodzących za mąż. Z oczywistych powodów nie wolno dotykać rzeźby, ale teraz, kiedy przed nią stoję, muszę przyznać, że trudno się powstrzymać przed wyciągnięciem ręki, ponieważ wygląda jak żywa...

Dosyć. Tego było już za wiele. Chwyciłam pilota i wyłączyłam Rose.

To, że Poppy nigdy mnie nie akceptowała i bez wątpienia nie zaakceptuje, nic mnie nie obchodziło. No, w każdym razie mało. To, że wystarczyło, by Poppy wydeła swoje karminowe usteczka, a Nathan pędził na każde zawołanie, martwiło mnie całkiem poważnie. „To dobra dziewczyna”, uznał za stosowne mi powiedzieć (i często podkreślał). „Ma złote serce”.

Nie pozwalał krytykować swoich dzieci. Ani jednym słowem, choćbym nie wiem jak taktownie to robiła. Uważałam, że postępuje niemądrze, bo każdemu przydaje się odrobina krytyki, zwłaszcza dzieciom. Jednak kiedy chodziło o Poppy i Sama, Nathan zamykał się w dźwiękochłonej kabinie i żadne pukanie nie było go w stanie zmusić do otwarcia drzwi.

Serce Poppy mogło być zrobione z hartowanej toledańskiej stali, ale często po prostu nie miała racji. Na przykład, nie wypadało się ubierać na czarno na nasz ślub, a jej uporczywe demonstrowanie, co o mnie myśli, po siedmiu latach było wręcz podłe. Kiedy Nathan zostawił Rose, Poppy obraziła się na ojca.

„Nie chcę ciebie więcej widzieć ... ani tej kobiety. Nigdy”. Unosząc się na fali moralnej wyższości, nie zostawiła na nim suchej nitki, nazywając go, jak mi wyznał, „starym capem”.

Poppy i Richard przeprowadzili się z mieszkania do wielkiego domu w wyjątkowo krótkim czasie. Richard zarobił mnóstwo pieniędzy na czymś, co nazywał „strategią”, a Poppy je wydawała. Dom, zbudowany w stylu edwardiańskim, był przestronny i świeżo wyremontowany. Okna i ściany wyglądały nieskazitelnie. Ogródek przed wejściem, urządzony przez profesjonalnego architekta zieleni, przypominał pudełko wyłożone starannie dobranym szarym kamieniem. Na środku stało drzewko oliwne w niebieskiej ceramicznej donicy.

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła Poppy.

- Tatuś! - wykrzyknęła, wpychając się pomiędzy Nathana i mnie. - Jak miło.

Ojciec i córka byli do siebie bardzo podobni. Odziedziczyła po nim karnację i rysy twarzy. Poppy, delikatniej zbudowana, miała talię jak osa - przyłapałam się na tym, że obciążam na biodra różowy kardigan lamowany wstążką. Pod spodem miałam koronkowy stanik-bardotkę, który wrzynał mi się w ciało. Przed urodzeniem bliźniaków takie staniki leżały na mnie jak druga skóra, ale ostatnio niepokojąco uwierały. Poppy, odkąd przestała być studentką, ubierała się schludnie i nigdy nie nosiła okularów, tylko szkła kontaktowe. Nie straciła jednak typowego dla krótkowidzów zwyczaju wpatrywania się w człowieka z bliska, szybkości ruchów i skłonności do egzaltacji. Chwyciła rękę ojca i przytknęła sobie do policzka.

- Wieki cię nie widziałam. Tęskniłam za tobą, tatusiu. Rozpromieniony Nathan objął córkę serdecznie.

- Cześć, Minty - rzuciła Poppy, omijając mnie wzrokiem.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha, rozpościerając ramiona.

- Bliźniaki, liczyłam minuty do waszego przybycia. - Pochylając się, zagarnęła ich w objęcia.

- Mam na sobie czerwone skarpetki - poinformował starszą przyrodnią siostrę Lucas.

- A ja mam niebieskie - pochwalił się Felix.

- Ja też mam skarpetki. - Poppy podciągnęła nogawkę spodni. - W kropki. A teraz, chłopcy, muszę wam zadać ważne pytanie.

Felix dobrze wiedział, na co się zanosi.

- Nie - powiedział szybko. - Ja nie byłem.

Poppy przycisnęła ich do siebie, wsuwając głowę między ich głowy.

- Jak bardzo byliście niegrzeczni? Powiedzcie mi, co się wydarzyło.

Było dużo szeptania i mrużenia, aż w końcu odezwała się Poppy, chichocząc:

- Felix, łaskoczesz mnie w ucho. To wszystko? Ja umiem być o wiele bardziej niegrzeczna - stwierdziła poważnie.

Lunch składał się z udźca jagnięcego gotowanego z fasolą i czosnkiem. Nawiasem mówiąc, fasola tego gatunku jest pożytecznym, oryginalnym warzywem. W połowie posiłku zauważyłam, że Nathan wygląda blado. Mówił o cenach ropy, ale był dziwnie roztargniony, wyraźnie nie czuł się najlepiej, bo często unosił głowę, zaciskając powieki.

Czy Poppy też to dostrzegła? Rozmawiając, bawiła się koralikami drogiego kryształowego naszyjnika (dawno wypadły z łask skórzane rzemyki, pióra i paciorki, które uwielbiała nosić, kiedy ją poznałam). Naszyjnik był piękny; dotykała go z szacunkiem, kiedy sądziła, że nikt nie widzi. Gdy patrzyła na swojego męża, spojrzeniem wyrażała uwielbienie.

Richard natomiast nie zwracał uwagi na żonę. Był nastawiony na rozrywkę i wcale się z tym nie krył. On i Nathan dyskutowali o funduszach ubezpieczeniowych, bliźniacy pochłaniali swoje porcje lodów, a ja starałam się zachowywać poprawnie.

Poppy sprawiała wrażenie niespokojnej, parę razy zniknęła w kuchni. Poderwała się, żeby mi dolać wody do szklanki.

- Tatuś z Richardem strasznie nudzą. - Popatrzyła na nich pobłażliwie, starając się znaleźć jakiś temat do rozmowy ze mną. - Jak tam twoi znajomi, Minty?

- Moi znajomi? Paige ma się świetnie. Wkrótce urodzi trzecie dziecko.

Poppy przesunęła dzbanek na macie i starła ze stołu ledwie widoczny ślad wilgoci.

- Zrezygnowała z bardzo intratnej posady, żeby się zajmować dziećmi, prawda?

- Paige się poświęciła - odparłam lekko.

Poppy wzruszyła ramionami; długimi rękami zasłoniła krótkowzroczne oczy.

- Kobiety po prostu nie wiedzą, w którą stronę pójść.

- Czy to nie zawracanie głowy? Wystarczy dokonać wyboru.

- Ale to jest trudne.

Poppy zmierzała do konfrontacji. Podniósłszy wzrok, zobaczyłam, że Nathan mnie obserwuje. „Proszę”, błagał bezgłośnie. Żadnych kłótni. Nie rozumiałam, dlaczego Poppy miałyby uchościć na sucho tego rodzaju głupie wypowiedzi, ale zrobiłam to, co należało, czyli wykonałam unik.

- Jak ci leci w pracy?

Poppy wcześniej pracowała w wydawnictwie, ale ostatnio zaskoczyła rodzinę, zatrudniając się w firmie, która sprowadzała egzotyczne świece z Chin i sprzedawała je w ekskluzywnych sklepach.

- Świetnie, naprawdę świetnie. Trwa bożonarodzeniowe szaleństwo. Jest taki ruch, że czasami muszę pomagać przy pakowaniu. - Wykonała gest naśladujący zamykanie pudełka. - Podoba mi się to. Odpowiada mi praca fizyczna, a niektóre z tych świec mają cudowne kolory i zapachy. - Na koniec dodała: - Ogólnie rzecz biorąc, za mało pracujemy fizycznie. Nie lubimy brudzić sobie rąk.

Richardowi przypadło opowiedzenie bajki bliźniakom. Lucas parskał śmiechem, ale Felix sprawiał wrażenie skonsternowanego. Znałam tę jego minę. Oznaczała, że podaje w wątpliwość to, co słyszy.

- Wielki brązowy niedźwiedź - mówił Richard, zginając palce i unosząc rękę na wysokość głowy - pożarł czarodzieja.

- Czarodzieje potrafią się obronić - stwierdził z przekonaniem Felix, a ja byłam zadowolona, że nie daje się łatwo nabrać.

Richard opuścił rękę.

- Nie mogę cię zmusić, żebyś mi uwierzył. Lucas zawołał:

- Ja ci wierzę. Ja ci wierzę, prawda, mamusiu?

Już miałam odpowiedzieć: „oczywiście, kochanie”, gdy napotkawszy zaniepokojone spojrzenie Felka, zrozumiałam, że bardzo się boi ośmieszenia. Nathan ledwo widocznie pokręcił głową.

- Możecie wierzyć, w co chcecie, obydwaj - powiedziałam.

- Oczywiście, że tak - potwierdził z zapalem Richard, wciąż w doskonałym nastroju, choć z lekkim skrępowaniem osoby, która nie najlepiej radzi sobie z dziećmi.

Felix zsunął się z krzesła i przybiegł do mnie. Pogłaskałam go po miękkich lokach. Jego oddech miał zapach czosnku, drobne ciało napierało na mnie niecierpliwie. Czy mi się to podobało, czy nie, czułam - dosłownie pod palcami - łączącą nas więź.

Po paru sekundach Lucas zszedł ze swojego krzesła i oparł się o Nathana, naśladując brata.

- Bliźniaki - odezwała się karcącym tonem Poppy. - Jeszcze nie skończyliśmy.

- Daj im spokój. - Nathan stanął w obronie synów.

- Ale nie możesz pozwalać, by byli rozpuszczeni. - Poppy położyła dłoń na ramieniu ojca. - Choćby odrobinę. - Potrząsnęła głową; kryształowy naszyjnik zakołysał się, połyskując elegancko. - Nie wolno ci ich rozpieszczać, tato.

- Nie są rozpieszczeni - zaprotestowałam ostro. - Ani trochę.

Rozmowa na moment zawisła w próżni. Richard zerknął na żonę, po czym zastosował dobrze sprawdzoną taktykę.

- Wyjeżdżacie w tym roku na wakacje? - Udało mu się tak skutecznie udać zainteresowanie, że napięcie ustąpiło.

Byłam mu wdzięczna; dopiwszy resztkę wina, rozejrzałam się po pokoju. Musiałam przyznać, że Poppy okazała niezły gust. Pasiasta tapeta w kolorze starego złota i różu, wygodne krzesła, kwiaty. Wystrój prosty i stonowany, co kazało mi się zastanowić, czy aby nie przedobrzyłam w urządzaniu jadalni przy Lakey Street. Czy przypadkiem nie uzyskałam efektu zagracenia? Za bardzo się starałam? Doszłam do wniosku, że chińskie figurki muszą zniknąć z pólek.

Później świeżo pomalowaną i wyścieloną nowym chodnikiem klatką schodową udałam się do łazienki, mijając po drodze półkę, na której stały zdjęcia, wszystkie tak samo oprawione. Była tam Rose. Oczywiście. Ubrana w szorty i sandały z cienkich paseczków siedziała przy kawiarnianym stoliku, prawdopodobnie w jakimś śródziemnomorskim porcie. Słoneczne światło nadawało scenie opalizującą promienność. Odchylona na oparcie krzesła Rose wystawiała twarz do obiektywu, ufnie, z lekkim uśmiechem na ustach. W jednej ręce trzymała filiżankę z kawą, druga spoczywała na kolanach. Kompozycja zdjęcia nie pozostawiała wątpliwości, że wykonała je czuła ręka. W głębi serca zazdrościłam Rose swobody i dotyku ciepłego słońca na ramionach i nogach.

Idąca tuż za mną po schodach Poppy wyjaśniła:

- To zdjęcie mamy zostało zrobione zeszłego roku w Patos.

- Widziałam jej program parę dni temu. Bardzo dobry.

- Tak, mama jest naprawdę świetna. - Poppy była rozdarta pomiędzy chęcią zaczepki a dobrymi manierami, które sobie narzuciła jako gospodyni. Te ostatnie wzięły górę. - Z której łazienki chcesz skorzystać?

Mruknęłam, że wszystko mi jedno, i kiedy mnie prowadziła do drugiej łazienki dla gości, minęłyśmy niewielki pokój, w którym stał włączony komputer. Po ekranie monitora śmigały jaskrawokolorowe rybki wygaszacza.

Kiedy wracałam z łazienki, ktoś najwyraźniej musiał tam być, bo na ekranie pojawiły się napisy: Poker on-line. Gra piąta.

Przed wyjściem odszukałam Poppy, która układała porcelanę w kuchni.

- Bardzo dziękujemy za lunch - powiedziałam, po czym zaskakując samą siebie dodałam: - Wszystko w porządku?

Podniosła na mnie wzrok znad sterty naczyń i zacisnęła usta. Nie musiałyśmy mówić ani słowa więcej; wiedziała, że widziałam tego pokera. W końcu, patrząc na mnie z natarczywością krótkowidza, oświadczyła:

- Absolutnie. Doskonale.

Kiedy późnym popołudniem jechaliśmy do domu, Nathan dotknął mojego uda.

- Wiem, że się starałaś o zachowanie poprawności w stosunkach z Poppy. - Musiałam się wzdygnąć, bo dodał: - Czyżbym był aż taką świnia? Myślisz, że nie zauważyłem?

- Nie, nie uważam cię za świnie. - Wyrzałam przez okno, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Przyzwyczaiałam się nic nie mówić. Tak czy inaczej milczenie charakteryzujące moje życie z Nathanem było mylące, bo aż huczało od tego, co niewypowiedziane. Przed moimi oczami przesuwały się londyńskie ulice w wersji niedzielnej: akry praktycznego asfaltu i miejskie drzewa walczące o przetrwanie.

Wnętrze naszego terenowego auta wymagało sprzątnięcia i miało zapach soku porzeczkowego, wylanego przez któregoś z chłopców na tylne siedzenie. Pomyślałam, że muszę przygotować listę dla Eve. Sięgnęłam do torebki po chusteczkę.

- Jakoś się dogadujemy z Poppy.

Dłoń Nathana na moim udzie zacisnęła się mocniej.

- Nie ożeniłem się z tobą po to, żebyś się zaprzyjaźniała z Poppy.

To było drobne ustępstwo, ale nagle poczułam ulgę i zadowolenie, że moja pozycja w hierarchii Nathana została ratyfikowana. W głębi torebki natrafiłam palcami na cukierek, który Felix wypluł, a ja usunęłam z siedzenia samochodu. Jego obrzydliwa lepkość oraz fakt, że znajdował się w torebce, którą utrzymywałam w nieskazitelnym stanie, od razu popsuły mi humor i odpowiedziałam ostrzej, niż zamierzałam.

- Ożeniłeś się ze mną, ponieważ sądziłeś, że będziesz szczęśliwy. Myślę, że nie jesteś. I nie wiem, co mogę na to poradzić.

Nathan patrzył przed siebie.

- Czytałaś mój notatnik, prawda?

- Tak.

- Nie powinnaś była.

- To czemu go lepiej nie schowałeś? - Niemal słyszałam, jak w głowie Nathana zatrząskuje się wiele drzwi. - Nathan, powinniśmy znaleźć czas, żeby porozmawiać.

Nie mogę udawać, że wypowiedziałam te słowa z gorliwością i przekonaniem, ale uważałam, że powinnam spróbować.

- Nie tutaj. - Gwałtownie obejrzał się na chłopców, którzy hałaśliwie udawali samoloty.

- Oczywiście, że nie tutaj. Za kogo ty mnie bierzesz?

Zatrzymaliśmy się na światłach; kierowca małego fiata pogroził nam pięścią, wskazując plakietkę na swojej tylnej szybie. „Terenówki to bucówki”. Światła się zmieniły, Nathan skręcił w Lakey Street i zaparkował.

- Minty, ten notatnik zawierał osobiste zapiski. - Potarł czoło. Jednak wyczułam dreszczyk... po prostu ulgę. - Nie mogę ci ufać, że nie będziesz węszyć.

- Co, mamusiu - wtrącił się Lucas. - Co, mamusiu.

- Może i nie. - Postanowiwszy nie drażnić tematu, wysiadłam z samochodu, uwolniłam bliźniaków z pasów, po czym zebrałam zapasowe ubrania, zabawki i książki, bez których Felix nie ruszał się w żadną podróż. Objuczona podążyłam ścieżką za moim mężem i synami.

Nieco później Nathan powiedział:

- Potrzebuję trochę ruchu. Przebrał się w znoszone sztruksy i kraciastą koszulę z wystrzępionymi mankietami.

Wypakowywałam zabawki z koszyka, jednocześnie zastanawiając się, co dam dzieciom na kolację.

- Spacer? Może wziąłbyś ze sobą chłopców.

- Chyba spróbuję pokopać trochę w ogródku.

- Pokopać w ogródku! - Odwróciłam się z drewnianym autkiem w rękę. - Nie robiłeś tego od lat.

- Mimo wszystko będę kopał - oświadczył Nathan z rękami w kieszeniach.

Piłkarskie rozgrywki bliźniaków zamieniły trawnik w pobojuwisko; patrzyłam, jak Nathan idzie do szopy i wyciąga stamtąd szpadel. Sądząc po wyprostowanych ramionach, czuł się pewnie, mogłabym się nawet założyć, że pogwizduje z zadowolenia. Zaczął kopać pod krzakiem bzu i po chwili obok niego była już kupa ziemi.

Pół godziny później wyniosłam mu kubek herbaty. Szybko zapadał zmrok, robiło się chłodno, a Nathan miał koszulę mokrą od potu pod pachami. Wytarł ręce w spodnie.

- Dobra dziewczynka.

- Skąd to nagle zainteresowanie ogrodem? - zapytałam, choć znałam już odpowiedź.

Napił się herbaty.

- Kiedyś był piękny. Przed laty.

- Myślałeś o Rose - rzuciłam oskarżycielskim tonem. - Zgadza się? Rozmawiałeś z nią. Ten szkic, który znalazłam w twoim pamiętniku. Dotyczył ogrodu? - Wskazałam na zniszczone ogrodzenie, wyrosniętą trawę, bezlistny bez. - Wysokość. Ścieżka. Wypoczynek. Chodziło o ten ogród?

- Przestań, Minty - odparł znużony Nathan. - Mieliśmy nie rozmawiać o Rose, prawda?

- Co do tego pamiętnika...

- Zapomnij o nim. Jest moją własnością, osobistą. - Zacisnął powieki, aż brwi mu się zjechały nad nosem.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie. - Postukał się palcem w pierś. - Trochę boli. Za dużo zjadłem.

W trzecim rozdziale „Strategii radzenia sobie z życiem” (obecnie poradnik leży przy moim łóżku) autor w wypadku nietypowych problemów poleca kognitywną terapię behawioralną. Jeśli zła myśl powraca tak często, że uniemożliwia zachowanie równowagi życiowej, wówczas najlepiej wyprzeć ją ze świadomości, skupiając uwagę na czymś innym. Śmiertelnie zmęczona pochyliłam się i wyciągnęłam poskręcany biały korzeń ze sterty wykopanej ziemi.

Myślałam intensywnie o poniedziałkowym rozkładzie zajęć w Paradox Productions i o paluszkach rybnych, wyjętych z zamrażalnika na kolację dla bliźniaków. Przywołałam w głowie obraz chińskich figurek, których dni na półce w jadalni były policzone.

Wszystko na nic. Odwróciłam się do Nathana.

- Dlaczego, u diabła, ci uwierzyłam, kiedy mówiłeś, że przychodzisz do mnie z wymazaną do czysta kartą?

Powinłam była go pocałować, żeby nie mógł mi odpowiedzieć. Żal jest stratą energii, powinłam to powiedzieć i zamknąć mu usta tym niezłożonym pocałunkiem. Powinłam mówić o czymkolwiek innym, tylko nie o tym.

Nathan otarł górną wargę wierzchem dłoni, zostawiając pod nosem ślad ziemi.

- Nie ma sensu się kłócić o coś, na co nie masz żadnego wpływu, Minty.

Poddałam się. Wspomnienia nie podporządkowują się rozkazom. Nawet nie można twierdzić, że przeszłość należy do przeszłości. Ona tam jest, głęboko zakopana.

Zostawiłam go z nią. Wróciłam do domu, nakarmiłam dzieci i położyłam je spać. Pozbierałam swoje notatki i też poszłam do łóżka. Na kuchennym stole zostawiłam samoprzylepną karteczkę, na której napisałam: „Sam weź sobie kolację”.

Rozdział piąty

Hej, Minty. - Wezwanie od Barry'ego zostało przekazane przez wewnętrzny telefon. - Jesteś nam tu potrzebna. Przeglądałam codzienne gazety, trzymając słuchawkę przyciśniętą ramieniem do ucha; poza miała sugerować, że jestem bardzo zajęta. Ostatnio zauważyłam, że bark mam sztywny i obolały. Nathan śmiał się, kiedy mu wyjaśniłam przyczynę, i mruknął z żalem, że przez te wszystkie lata nie wykorzystał takiej sztuczki.

- Możesz poczekać, aż skończę rozmowę, Barry?

- Nie - odparł.

Wyczułam, że sprawa jest poważna. Kiedy się zjawiłam w jego gabinecie, Gabrielle i Deb siedziały na ogromnej sofie, wciśnięte tak głęboko, że jeszcze trochę, a nogi dyndałyby im w powietrzu. Barry patrzył na nie zza pary swych wielkich stóp wyłożonych na biurko. Ubrany był w krótką skórzaną kurtkę i bawełniane spodnie. Na szyi połyskiwała białą starannie udrapowaną elegancką jedwabną białą chustką, a kiedy podniósł rękę, na jego nadgarstku ukazała się czerwona kabalistyczna bransoletka. Spojrzenie miał bystre i inteligentne. Trzymając w górze plastikową zieloną teczkę, powiedział:

- Jest tu mnóstwo materiału o średnim wieku. Co to jest? Kto to jest? Dziewczeta... - wymówił to słowo z naciskiem - ...zgadzają się ze mną, że warto rzucić okiem, ale trzeba się przyłożyć, żeby sprawdzić, czy coś z tego będzie. - Bez cienia ironii wręczył mi teczkę. - Ustaliliśmy razem, Minty, że należy do ciebie.

Gabrielle i Deb wymieniły spojrzenia.

- Gabrielle i ja chyba nie mamy wystarczającej wiedzy na ten temat - oznajmiła Deb.

W głowie rozległo mi się ciche, ale znaczące kliknięcie.

- A ja mam?

Mogłabym przytoczyć dowolną liczbę metafor, żeby wyjaśnić przejście od przekonania, że jest się jedną z dziewcząt, do świadomości, że się nią nie jest, i każda mogłaby wzbudzić mój śmiech lub płacz. O wyborze możliwości zdecydowałabym później.

Deb potrząsnęła burzą długich, falistych włosów, typowych dla północnego Londynu, prerafaelickich; gest miał sugerować szerokie, niczym nieskrępowane spojrzenie i młodzieńczą śmiałość osoby, która dokładnie wie, dokąd zmierza. Gabrielle skupiła całą uwagę na Barrym, a on, jak zwykle, udawał, że tego nie zauważa.

- Wyczuwam tu pewne możliwości. - Barry przekazywał mi pałeczkę. - Myślę, że mogłabyś się tym sprytnie zająć, Minty.

Przebiegłam wzrokiem pierwszy akapit artykułu z „New Statesmana”. „Społeczny i kulturowy nacisk na młodość sprawiły, że wiek średni został zapomniany. Mamy wystarczająco dużo danych kulturowych i finansowych na temat młodości oraz do pewnego stopnia na temat starości. Ale co wiemy o tej ważnej fazie życia pomiędzy nimi?”.

Pilny telefon wywabił Gabrielle z pokoju, co pozwoliło Barry'emu trzeźwo pomyśleć i wziąć udział w „kreatywnej” dyskusji, która potem nastąpiła. Czy wiek średni definiują behawioralne nawyki? (Unikanie niebezpieczeństwa. Bezsensowność? Nietolerowanie kofeiny? Regularne sprawdzanie stanu konta?).

Deb postukała długopisem w podkładkę pod papiery.

- Ja bym nie wiedziała.

Barry wypuścił niewielki balon próbny.

- A może wiek średni jest wtedy, kiedy ludzie utwierdzają się w wierze lub odkrywają na nowo wiarę?

- Wielkie nieba. - Deb nie kryła, że jest zbulwersowana. - Naprawdę?

Barry się wycofał.

- Może nie. Może wiek średni definiują finanse. Kiedy hipoteka jest spłacona.

Deb odgarnęła włosy, przytrzymując je ręką, i odsłoniła gładkie czoło bez choćby jednej zmarszczki.

- Wiek średni to czterdziestka?

- Pięćdziesiątka. - Barry był stanowczy.

- Tak? Aha - powiedziała Deb takim tonem, jakby nigdy nie słyszała o pięćdziesiątce. - Tak sądzisz?

Ani razu podczas tej twórczej wymiany zdań Barry i Deb nie popatrzyli bezpośrednio na mnie. Każda uwaga skierowana do mnie przekazywana była przez tę drugą osobę.

- Minty, porozmawiaj ze swoimi znajomymi. - Barry zakończył spotkanie. - Z ludźmi, którzy wiedzą. Co myślą o wieku średnim?

Deb dodała uprzejmie:

- Wyszukałam parę danych statystycznych, które mogą się przydać. - Podała mi plik papierów; jej włosy zakołysały się, jakby naśladując gibkie ruchy ciała. - Może przejrzysz w czasie swoich wolnych dni?

Następnego ranka przyszedłam wcześniej, wiedząc, że Barry już będzie w swoim gabinecie, i przedstawiłam mu na piśmie, ze szczegółami, dlaczego i w jaki sposób Paradox Productions skorzysta, zatrudniając mnie na pełny etat. Ubrałam się starannie w lniane spodnie, bluzeczkę z dekoltem odsłaniającym lekko przedziałek między piersiami i obcisły płócienny żakiet.

Podziękowania od jego żony na karteczce z jaskrawoniebieską reprodukcją Matisse'a wciąż wisiały przypięte do tablicy w mojej kuchni. „Oboje z Barrym uważamy, że kolacja była doskonała, etc. PS Mogłabym dostać przepis na tego kurczaka?”.

Barry wysłuchał, co mam do powiedzenia. Następnie stukając palcem w swojego filofaksa, odezwał się tonem uprzejmej perswazji.

- Nie jestem pewien, Minty.

Lada chwila miały się rozdzwonić telefony, odbierając mi uwagę Barry'ego. Zawsze wierzyłam w bezpośredniość.

- Mam wszystko, czego potrzebujesz.

- Taaak... - Barry nie zmienił tonu. - Nie zrozum mnie źle, moja droga, bo chciałbym pomóc, naprawdę. - Żeby okazać gorliwość, przebiegł wzrokiem główne punkty mojego podania. - Masz rzeczywiście sporo na głowie.

- Wiem.

- Jest mnóstwo inteligentnych kobiet, takich jak ty, a przy tym mniej obciążonych... Wiesz, o czym myślę. - Świadomy, że stąpa po cienkim lodzie, zmienił taktykę. - Mam rozważyć ewentualne zmiany? Deb by się to nie spodobało. - Na koniec dodał z odcieniem ironii. - Budżet, sama rozumiesz.

Pod skąpą bluzką, z której założeniem wiązałam tyle nadziei, stanik wpijał mi się w skórę, powodując swędzenie.

- Przemyśl jeszcze moją propozycję.

Na twarzy Barry'ego pojawił się koci uśmiech. Wolałby, żeby moja propozycja w ogóle nie padła.

- Rozważę. Porozmawiamy po świętach. Dobrze? Nawet nie spojrzał na mój dekolt.

Pamiętając, że Barry ostrzegał mnie przed Deb, odszukałam ją pod koniec dnia.

- Masz chwilkę?

- Cześć. - Zgarniała swój dobytek do torby z imitacji lamparciej skóry. Nie przerywając zajęcia, spokojnie słuchała, kiedy przedstawiałam jej moje plany, podkreślając, iż rozumiem, że ona rozumie, że nie stanowią zagrożenia dla jej pozycji w firmie. W końcu, nie patrząc w lusterko, pomalowała sobie usta błyszczkiem.

- Tak czy inaczej w żaden sposób mi nie zagrażasz, Minty. Zastanowimy się nad tym w swoim czasie. - Z komórką w dłoni skierowała się do drzwi. - Jutro cię nie ma? No to do pojutra.

- No i...? - Paige władowała się na siedzenie samochodu, manewrując ciałem jak okrętowym kontenerem. Dziecko miało przyjść na świat pod koniec stycznia, ale w trzecim trymestrze ciąży

trudno jej się było poruszać, więc zabierałam ją do miasta na świąteczne zakupy. - Na co komu kategorie wiekowe i przypisywanie im szczególnych zachowań?

- Na nic. Przynajmniej rozsądnym ludziom nie jest to do niczego potrzebne. To biznes i marketing wymagają takich rzeczy.

Paige popadła w zadumę.

- Lepiej uważaj na tę Deborah. Dobrze ci radzę. - Nie były to słowa rzucone na wiatr. Paige dobrze wiedziała, o czym mówi. Przetrwiała wiele takich potyczek. - Zanim dotarła do domu po waszej rozmowie, miała opracowanych kilka scenariuszy wyjaśniających, dlaczego w Paradox Productions nie potrzeba nikogo więcej na pełny etat. Wszystkie źle wróżą twoim planom, zwłaszcza jeśli Barry zapyta ją o zdanie... A zapyta z pewnością.

Zastanowiłam się nad radą Paige.

- Po tym, jak Nathan zostawił Rose i do tego wylali ją z pracy, napisałam do niej list, w którym stwierdziłam, że teraz moja kolej.

- Chyba żartujesz?

- Nie żartuję. Żałuję, że to zrobiłam. Właściwie sama nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobiłam. Chciałam wtedy wyjaśnić, dlaczego stało się tak, jak się stało.

- Rusza się - powiedziała zniecierpliwiona Paige. Spojrzałam na jej wielki brzuch.

- Jak się czujesz?

- W porządku.

To nie była ta sama Paige, co kiedyś - kipiąca energią, elegancka i błyskotliwa, pozująca do fotografii zdobiących dom Hurleyów. Tamta Paige kierowała działem inwestycji znanego banku. Obecna Paige zrezygnowała z tego wszystkiego, kiedy pojawili się Jackson (osiem lat), a po nim Lucy (sześć). Podśluchałam, jak mówiła do Nathana (który skwapliwie to podchwycił), że nie miała wyboru. Dzieci nie rozwijają się właściwie w domu bez matki. Kropka.

Ta Paige była też mocno utrudzona trzecią ciążą. Usta miała pomalowane niestarannie, tak że szminka tworzyła obwódki wokół bladej wypukłości dolnej wargi, a na podobnej do pergaminu skórze pod lewym okiem widniała smuga tuszu do rzęs.

- Wyglądasz na zmęczoną, Paige.

- I co z tego? - Wzruszyła ramionami, nie tracąc entuzjazmu. - Mimo iż czuję się jak największy worek ziemniaków na ziemi, gdybym mogła cofnąć czas, zaczęłabym wcześniej.

- Masz niespożyty energię. Powinnaś pracować w banku.

- Ha.

Przejeżdżaliśmy obok łąk. Paige, rozparta wygodnie na siedzeniu, łapczywie chłonęła widok za oknem.

- Wyglądam jak więzień, któremu dano godzinę na spacerunku?

- Zdradza cię ten ciężowy worek.

Na błoniach aż się roiło od wyprowadzaczy psów; niektórzy z nich zmagali się z szóstką lub nawet ósemką podopiecznych.

- Popatrz na nich - rzuciła Paige ze śmiechem. - Właśnie tak się czuję.

Zima mocno zacisnęła szczęki. Drzewa straciły resztki liści, a po jesiennych ulewach trawa nabrała typowego dla tej pory roku koloru. Sklepy błyszcząły od świątecznych dekoracji. Nagle Paige spytała:

- A gdybym umarła przy porodzie? Kobiety czasami umierają.

- Ty nie umrzesz - odpowiedziałam zaskoczona.

- Gdybym umarła, dopilnujesz, żeby mi wyryli „matka” na nagrobku? - Paige mówiła to ze śmiechem, w którym nie było prawdziwej wesołości.

- Masz na myśli „żona i matka”?

Kiedy pokręciła głową, dostrzegłam zarys drugiego podbródka.

- To już byłaby przesada, nie uważasz?

- Paige, co się dzieje? - Uważałam Paige i Martina za szczęśliwą parę. Reprezentowali niezłomną postawę w ciężkiej batalii o zachowanie rodzinnych wartości. Nagle odniosłam niepokojące wrażenie, że dotąd patrzyłam na niewłaściwy obrazek.

- Nic, kochana. Zupełnie nic. Mężowie bywają męczący, to wszystko. - Nastąpiła pauza. - Mówiłam ci o Lucy? Zapisalam ją do szkoły baletowej Partingtonów. Lucy marzyła, żeby się tam dostać, a lista była taka długa... - Paige wykonała gest, częsty u wędkarzy chwalcących się trofeami. - W każdym razie złapałam Mary Streatham w klubie książki. Jest w zarządzie, dobrze się rozumiemy i powiedziała, że zobaczy, co się da zrobić. Żadnych protekcji. Martin nie jest zachwycony swoją rolą. Ale... żadnych protekcji, rozumiesz... dotacja na rzecz nowego studia nie przeszłaby niezauważona.

Parsknęłam.

- Coś mi to przypomina... Nathan zabrał dostawców papieru do Paryża na długi weekend, żeby się mogli ukulturalnić.

- Zawsze to samo. - Paige nie kryła zadowolenia z siebie.

Już w kuchni u Paige - wyposażonej w tradycyjny angielski piec kuchenny w kolorze różowym oraz miedziane *batterie de cuisine* - rozpakowałam i pochowałam różne rzeczy według instrukcji Paige, która natychmiast po wejściu z jękiem opadła na krzesło. Stół był już nakryty do kolacji pełnym kompletem z chińskiej porcelany, kieliszkami i serwetkami przez Susan, ich *au pa-*

ir. Jedną z zasad wyznawanych przez Paige, pod którą i ja się podpisywałam, było niezachwiane przekonanie, że dzieci uczą się porządnie jeść, sadzając je przy stole z dorosłymi.

- Martin wraca do domu na czas? - spytałam. Paige westchnęła.

- A jak myślisz?

Duży jak na swój wiek, jasnowłosy Jackson w podskokach wpadł do kuchni.

- Mamo, gdzie byłaś?

Nastąpił efekt, który można by porównać do włączenia elektryczności. Paige natychmiast odzyskała wigor.

- Kochanie, jak ci minął dzień? Przywitaj się z panią Lloyd. Jackson aż przebierał nogami, żeby się podzielić nowiną.

- Zgadnij, mamusi... - Jednak nie starczyło mu cierpliwości, by poczekać, aż Paige rozważy różne opcje. - Byłem drugi na sprawdzianie z ortografii.

Nawet ja byłem świadoma swojej powinności.

- To wspaniale, Jackson. Paige ujęła syna pod brodę.

- Dopiero drugi, kochanie. - Zabrzmiało to tak łagodnie i tak nieubłaganie zarazem. - Co poszło nie tak?

Wróciłam od Paige, zaparkowałam i weszłam do domu. W całym kraju rodzice spieszyli do domów, żeby przytulić swoje pociechy. Rodzice, objuczeni aktówkami i dokonanymi w ostatniej chwili zakupami, kopnięciem otwierali drzwi i wołali: „Już jestem”. Ten gatunek rodziców z upodobaniem pławił się w kontakcie z dziecięcym ciałem, ciepłem i ogólnym rozgardiaszem, zominając o swoich ambicjach w chwili obejmowania dzieci.

Zgodnie z rozkładem przypiętym w kuchni, bliźniacy byli na herbatce u Millie Rowe. Przejrzałam pocztę, znajdując w niej tom wierszy feministycznej poetki Hellen Black, o którą otarłam się na jakimś przyjęciu. Tytuł brzmiał: „Pochodzenie nowych gatunków”.

Jedna z niebieskich skarpetek Lucasa leżała na schodach. Podniosłam ją i wygładziłam od-ruchowo. To była bardzo mała skarpetka, lekko przetarta na palcu. Wkrótce miałam zacząć myśleć o kolacji i niezliczonych następnych posiłkach. Potem było przyjęcie gwiazdkowe dla bliźniaków. Na liście napisałam: parówki, pizza, czerwona galaretka w kształcie kota, pirackie kapelusze; wiedziałam, że długo potem będę zbierać kawałki parówek i chrupek wdeptanych w podłogi i dywany.

Drzwi się otworzyły i chłopcy, machając rozpostartymi ramionami niczym wiatraki skrzy-dłami, rzucili się w moją stronę.

- Jest mamusia! - W okrzyku Lucasa dźwięczała nuta nieklamanej radości. Do wyciągniętej ze spodni koszulki przyklepiły się okruchy herbatników. Felix miał na twarzy plamy z zielonej far-by. Obładowana rzeczami Eve weszła ostatnia.

Felix pociągnął mnie za rękę.

- Jesteś moją prawdziwą mamusią, prawda?

- Oczywiście, że tak. Miał poważną minę.

- Lucas mówi, że to Eve jest naszą prawdziwą mamusią.

- Lucas... - Spojrzałam na Eve, która w odpowiedzi tylko pokręciła głową.

Lucas patrzył podejrzliwie.

- Millie powiedziała, że jej niania jest jej prawdziwą mamusią...

Millie była nowo poznaną koleżanką i jedynym dzieckiem rozwiedzionych rodziców, którego życie polegało na krążeniu tam i z powrotem między parą zawziętych dorosłych. Charakteryzowała ją skłonność do dziwienia się wszystkim... i złośliwość zagubionego dziecka. Chłopcy szukali u mnie wsparcia, więc starałam się myśleć szybko i efektywnie.

- Może byśmy zaprosili Millie do nas, żeby sama zobaczyła, kto jest prawdziwą mamusią?

Nathan wrócił do domu blady i wstrząsany dreszczami, więc od razu wysłałam go do łóżka.

Później zaniósłam mu na tacy jajecznicę z wędzonym łososiem i sok porzeczkowy.

- Za dużo bywasz na przyjęciach. - Spulchniłam poduszkę, wygładziłam kołdrę i rozejrzałam się po idealnie schludnej sypialni.

- Szaleje jakaś fatalna grypa. - Dotknął palcem puls, zerkając przy tym na mnie z uśmiechem. - Rozprzestrzenia się w galopującym tempie.

Odwzajemniłam uśmiech.

- Prawdopodobnie śmiertelna.

Usiadłam w nogach łóżka i przyjrzałam się Nathanowi uważnie. Rzeczywiście, nie wyglądał całkiem zdrowo, ale włosy miał gęste, dobrze utrzymane i poprządkowane nitkami siwizny, co wyglądało nawet pociągająco. Dzięki Bogu, nie był szorstki, brodawkowy ani nadmiernie owłosiony. Nie miał też skłonności do tycia, a żyły na jego rękach i ramionach wciąż przyzwoicie kryły się pod skórą. Na szczęście nie był też typem, którego czuć i słyszeć w całym domu, przeciwnie, cechowały go delikatność i taktowne zachowanie.

- Dasz się zbadać? Zanurzył łyżkę w jajecznicy.

- Mógłbym.

- Nalegam.

- Wywierasz na mnie presję - oświadczył bez urazy. - Wolałbym wakacje w Kornwalii. Co ty na to, Minty? - W jego oczach pojawił się dawny błysk. - Byłoby zabawnie. Chłopcy by się ucieszyli. Wszystkim nam dobrze by to zrobiło. Wróciłyby dawne czasy.

Za oknem trzasnęły drzwi samochodu, o szybę uderzyły krople deszczu, ale w sypialni było ciepło i spokojnie. Zignorowałam wzmiankę o Kornwalii.

- Skoro mowa o chłopcach... Chodzi o jasełka.

- Co z jasełkami?

- Pani Jenkins obiecała, że Lucas zagra Mędrca. - Nathan uniósł pytająco brew. - Niestety, Felixowi zaoferowała rolę owieczki.

- Co?! - Nathan aż się uniósł na łóżku. - A ty nie zareagowałaś?

- Nie mogłam nic zrobić. - Uratowawszy tacę przed spadnięciem na podłogę, odstawiłam ją na komodę. - Nie ma co dramatyzować, jestem pewna, że za rok Felix będzie jednym z Mędrców. - Zaczęłam się nerwowo miotać po pokoju. - Może nawet Józefem.

- Minty... chodź tutaj. - Kiedy się zbliżyłam, ścisnął mnie za rękę tak mocno, że aż krzyknęłam. - Czy ty nic nie rozumiesz? Nie rozumiesz potrzeb swoich synów? Nie pamiętasz, jak to jest być dzieckiem? Nie rozumiesz... jak Felix będzie to przeżywał? Jak ta krucha odrobina pewności siebie, którą posiada, zostanie starta na proch? Oczywiście, że każdy musi się nauczyć czegoś o cierpieniu, wykluczeniu i błędach, ale dla naszych chłopców jest na to jeszcze za wcześnie. Jeszcze nie teraz... jeśli mogę mieć na to jakiś wpływ.

Patrzyłam z góry na postać w łóżku. Ciepły, spokojny nastrój prysł.

- Sprawiasz mi ból, Nathan. - Od razu mnie puścił. - Nie sądzisz, że Felix powinien się nauczyć, że świat nie jest sprawiedliwy?

- W wieku pięciu lat, Minty? Czy ty w ogóle nie masz litości?

- Prawie sześciu - usłyszałam własny głos.

Felix był młodszy od brata o dziesięć minut. To było nic i wszystko. Te dziesięć minut jakby zdecydowały o tym, że Lucas otrzymał więcej pewności siebie i uwagi.

- Więc co chcesz zrobić, Nathan? Powiedzieć Lucasowi, że nie może być Mędrcem?

- Jeśli kiedyś spotkam tę kobietę, skręcę jej kark.

- Dlaczego? Ona tylko wykonuje swój zawód.

Nastąpiło długie milczenie; Nathan cicho pogwizdywał pod nosem.

- Cóż, czy w takim razie chłopcy mogą liczyć na swoją matkę?

To zabolalo.

- Ja inaczej patrzę na tę sprawę, Nathan. - Podniosłam tacę, gotowa opuścić sypialnię. - A skoro już jesteśmy przy temacie lojalności i wsparcia... Przyjdiesz na przedstawienie, żeby ich zobaczyć?

Nathan potarł się po uchu, a ja dostrzegłam u niego zmęczenie, które mnie zaniepokoiło. Miał dopiero pięćdziesiąt pięć lat.

- Tak się składa, że piątego będzie ciężki dzień. Napięty terminarz spotkań... Ale porozmawiam z Rogerem.

Trochę mi ulżyło.

- Właściwie, Nathan, nie wiem, czy to dobry pomysł. Nie wspominaj o sprawie Rogerowi. Zaufaj mi. Po prostu nic mu nie mów.

- Coś ukrywasz przede mną - rzucił szorstko.

- Nie, to tylko instynkt.

- Hm... Twoje instynkty zwykle nie zawodzą. - Poruszył się niespokojnie, spychając pościel na brzeg łóżka. - Uważasz, że już jestem do niczego.

- Tego nie powiedziałam.

- Ale pomyślałaś.

Zadawałam sobie w duchu pytanie: Jak Rose by sobie poradziła w takiej sytuacji? Przejaw bezradności u Nathana nie wzbudził mojego współczucia; miałam świadomość, że nie potrafię się zmagać z niepewnościami i troskami jego życia. Zamiast tego spytałam:

- Nathan... chciałbyś się napić kawy albo herbaty?

- Nie mogę już pić kawy wieczorem. Wróc tu, Minty.

Przeblýsk dawnej stanowczości u niego trochę mnie zmiękczył; uklękłam przy łóżku i położyłam mu głowę na piersi. Nathan pogłaskał mnie po włosach. W naszym wypadku nie było czasu ani miejsca na stopniowe uwodzenie. Żadnych przedłużających się spotkań przy drinku czy kolacji. Żadnych wycieczek do zoo ani krążenia po parku. Wysłałam mu wiadomość: „Chciałabym cię mieć”. Nathan ją odebrał, zjawił się w moim mieszkaniu i od razu przeszedł do rzeczy. „Chcę się z tobą przespać”. Aż drżał z podniecenia, a ja byłam oszołomiona rozdźwiękiem pomiędzy człowiekiem, którego obserwowałam w pracy, a formą jego propozycji. Wzruszył mnie i trochę rozbawił.

Sypianie z Nathanem okazało się łatwe. Trudna była cała reszta.

- Jak to się dzieje, że nie możemy się nawzajem zrozumieć? - spytał.

Przesuwał delikatnie palcami po mojej szyi i policzku. Dzielący nas mrok i wrogość zanikały, ustępując miejsca poczuciu ciepła i pojednania.

Pragnęłam, żeby te cenne chwile trwały jak najdłużej, żeby nam ich wystarczyło na nadchodzące godziny, dni i lata.

Przed Bożym Narodzeniem przesadziłam ze sporządzaniem list. Jedna dotyczyła prezentów, druga jedzenia i jadłospisów, jeszcze inna wydarzeń.

Na tej z wydarzeniami początkowo było napisane „Sam i Jilly u nas?”. To zostało wykreślone, a pojawiło się „niedziela przed Bożym Narodzeniem u Sama i Jilly”. Gdy zadzwoniłam do Jilly, proponując, żeby przyjechali do nas do Londynu, odpowiedziała, że jest jej strasznie przykro, ale już zaplanowali bożonarodzeniowy lunch w Bath. Kiedy zasugerowałam, że moglibyśmy w takim razie do nich dołączyć, Jilly nie kryła zakłopotania.

- Nie chodzi o to, że nie jesteś mile widziana, Minty, bo oczywiście jesteś, ale będzie tłok. Przyjeżdżają Poppy z Richardem, moi rodzice... no i Rose.

Zaplanowaliśmy, że pojedziemy we czwórkę, Nathan, chłopcy i ja, do Bath w niedzielę przed Bożym Narodzeniem i zorganizujemy osobny posiłek z Poppy i Richardem. Kiedy wszystko było ustalone, Poppy wtrąciła swoje trzy grosze. Zadzwoiła.

- Moglibyście przyjechać do nas w niedzielę przed Bożym Narodzeniem? Inaczej nie mielibyśmy okazji zobaczyć się z tatą i chłopcami, bo wybieramy się z Richardem do Verbier drugiego dnia świąt.

Wyjaśniłam, że jedziemy do Bath.

- Ach, tak. - Poppy westchnęła, nawet nie udając wielkiego żalu. - Wpadniemy do was w Wigilię, jadąc do Sama.

Jechaliśmy do Sama i Jilly w strasznej ulewie, ale dotarliśmy na miejsce punktualnie o pierwszej. Jilly powitała nas w drzwiach, z Friedą na biodrze, ubrana w stare dzinsy i wyciągnięty sweter. Zaskoczyło nas to nieprzyjemnie. Nathan miał na sobie garnitur, a ja najlepszą zieloną sukienkę i kozaczki na szpilce. Co więcej, uparłam się, żeby Nathan zatrzymał się na stacji usługowej przy autostradzie, gdzie umyłam chłopcom buzie i odprasowałam spodenki, żeby wyglądali nienagannie.

- O rany - odezwała się Jilly. - Ale jesteście elegancy. - Wprowadziła nas do kuchni, gdzie Sam siedział z nogami na stole, w zabłoconych ogrodnickach. - Już są - zaszcebiotała, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z mężem. Ich miny sugerowały, że wyszliśmy na durniów.

Jedzony w kuchni lunch składał się z paluszków rybnych dla dzieci i gulaszu dla dorosłych.

- Miałam zamiar - zaczęła Jilly, podając gulasz i raz po raz zerkając znacząco na męża - ...ugotować coś specjalnego. Ale... - wzruszyła ramionami - ...przygotowania do świąt zabierają tyle czasu. Wiecie, jak to jest.

Wkurzona brakiem jakichkolwiek starań z ich strony miałam ochotę odpowiedzieć, że nie, nie wiem. Myślałam o gęsi nadziewanej rodzynkami, którą bym kupiła na taką okazję, o gwiazdkowych ciasteczkach, srebrnych świecach i tiulowych wstążkach, które by zdobiły mój stół.

Nathan schylił się, żeby podnieść widelec rzucony przez Friedę na podłogę.

- Jest uroczko - rzekł spokojnie. - Nie ma potrzeby robić zamieszania.

Jilly usiadła i utkwiała wzrok w talerzu z gulaszem.

- Najważniejsze, że się spotkaliśmy.

- Właśnie - poparł ją Sam.

Kiedy wracaliśmy do domu, zagadnęłam:

- Nie zadali sobie zbyt wiele trudu.

Nathan pilnie wpatrywał się w drogę przed samochodem.

- Istotnie, nie było specjalnie tuczonego cielca - odpowiedział raczej lekkim tonem, ale widziałam, że zacisnął szczęki.

W Wigilię Poppy i Richard przyjechali w pośpiechu autem wypchanym bagażem i prezentami. Poppy, otrząsając w holu mokre włosy, jako że strasznie lało, spytała z pretensją:

- Gdzie choinka? Zawsze stawia się ją w holu. Wyjaśniłam, że w tym roku dla odmiany stoi w salonie.

- Och, jaka szkoda. - Wyminęła mnie, rzuciwszy płaszcz na krzesło. - Tato? Gdzie jesteś? - Uściskała Nathana. - Dawno cię nie widziałam. Jak się miewasz? - Odwróciła się, żeby pocałować Felixa. - Byłeś grzeczny? Nie? Tak myślałam. Nie dostaniesz prezentu. - Na widok przerażonych oczu chłopca opadła obok niego na kolana. - Kochany Feliksie, nie patrz tak na mnie. Oczywiście, że przywiozłam ci prezent. I to duży.

- Jak duży? - Synek okazał podejrzliwość (całkiem uzasadnioną).

Poppy wyrysowała w powietrzu prostokąt.

- Taki duży.

Nieco (choć nie do końca) uspokojony Felix poszedł się pochwalić bratu. Poppy z wdziękiem podniosła się z powrotem do pozycji stojącej.

- Słodki dzieciak - zwróciła się do ojca. - Możemy zostać tylko pół godziny. Inaczej nie zdążymy na kolację do Sama.

- O, nie - jęknął z żalem Nathan. - Sądziłem, że trochę z nami pobędziecie.

- W takim razie bierzmy się do jedzenia - wtrąciłam.

W jadalni na stole, nakrytym śnieżnobiałym obrusem, stał półmisek z kanapkami z ogórkiem (dobra rada: zagotuj pół szklanki wody z brązowym cukrem, dodaj octu jabłkowego i zanurz plastry ogórka na parę godzin). Były też maleńkie kielbaski opiekane w miodzie i musztardzie, kawałki pizzy dla chłopców i świąteczny tort (dziękuję wam, cukiernicy od Selfridge'a) z dekoracją w formie narciarskiej scenki, na której zmieścił się nawet błyszczący narciarski wyciąg.

Kiedy miałam zapalić świece, Poppy wykrzyknęła:

- Nie rób tego dla nas. Musimy zaraz wychodzić. - Omiotła wzrokiem zastawiony stół. - O rany, ale się postaraliście. - Nathan podsunął jej kanapki. - Nie jestem głodna, tato, no i nie chcę zepsuć kolacji.

Richard zachował się uprzejmiej, wziął dwie kanapki i przeżuwał je powoli. Lucas wspiął się na krzesło i sięgnął po krakersa. Nathan posadził go sobie na kolanach. - Poczekaj, młody człowieku. Zaraz się do nich dobierzemy.

Poppy zwróciła się do mnie ściszym głosem:

- Jilly mówiła mi, jak elegancko wszyscy wyglądaliście, kiedy przyjechaliście do nich. Trochę się martwiła, że mógł was urazić jej brak przygotowania. Uspokoiliam ją, że na pewno nie czułaś się dotknięta. Przecież wiesz doskonale, że musiała skupić wszystkie siły na zorganizowaniu samych świąt. - Urwała, po czym spoglądając na pusty talerz przed sobą, stwierdziła ugodowo: - Może jednak wezmę kanapkę. Właściwie Jilly nie musi się o nic martwić. Mama zajmie się gotowaniem świątecznego obiadu. Jest w tym świetna.

Zerknęłam ukradkiem na Nathana. Wciąż trzymając na kolanach Lucasa, rozmawiał z Richardem. Był zmartwiony i smutny. Rzadko budził mój instynkt opiekuńczy, ale tym razem słowa Poppy mnie rozwścieczyły. Nathan czuł się zraniony, i ból pozostanie na długo, zadany przez te dwie kobiety: córkę i synową.

Na mojej zbiorczej liście było napisane: „Boże Narodzenie pod nr 14. Indyk, pieczone ziemniaki, świąteczny pudding x 4”.

Rozdział szósty

W drodze do pracy spotkałam Martina Hurleya. Był poniedziałek, styczeń, bardzo zimno, i wciąż jeszcze nie odzyskałam równowagi po świątach. Nietypowo dla siebie Martin szedł wolno ulicą, dźwigając ciężką aktówkę. Przystanęliśmy, żeby pogadać przed frontowym ogródkiem domu pani Austen; gęstwinę doniczek i pojemników po jogurcie na jej parapecie bielila warstewka szronu. Pani Austen była fanatyczną ogrodniczką, a ponieważ mieszkała na pierwszym piętrze wielorodzinnego domu, nie miała odpowiednich warunków, by się w pełni oddawać swojej pasji. Tego rodzaju życiowy brak często sprawia, że człowiek staje się złośliwy, wścibski i kwaśny jak cytryna, co też miało miejsce w wypadku pani Austen, która jak na zawołanie pojawiła się w oknie.

- Zmieniłeś zwyczaje? - Martina zwykle widywało się, jak wsiada do auta z szoferem.

- Załamanie. - Skrzywił się żartobliwie. - Prawdę mówiąc, czuję się, jakby mnie wypuścili ze szkoły. Mam dziś ważne zebranie, a chętnie bym uciekł. Chodzi mi po głowie, żeby zrobić sobie wagary i pojechać metrem gdzieś za miasto.

Uśmiechnęłam się tylko, bo oboje wiedzieliśmy, że Martin za nic w świecie nie opuściłby żadnego zebrania. Te zebrania dla niego, podobnie jak dla wielu innych pracujących osób, stanowiły treść życia.

- Wątpię, żebyś uznał Ealing czy Hainault za ciekawy cel podróży. A po dwóch sekundach w metrze modliłbyś się o samochód. Możesz mi wierzyć.

- Wierzę ci - powiedział, co było miłe i dość nieoczekiwane. Nie należy postrzegać Martina jako człowieka jednowymiarowego, skupionego wyłącznie na zebraniach. Martin posiadał zmysł spostrzegawczości i potrafił okazać wielkoduszność w wielu sprawach. Nawet w sprawie pieniędzy. Poza tym zawsze miło odnosił się do żony, czego nie można powiedzieć o każdym mężu. Od czasu do czasu, kiedy byliśmy z Nathanem u Hurleyów, widziałam, że obserwuje Paige uważnie i z powagą. Przypominało to pilnowanie ważnego szczegółu, dzięki któremu odnosił takie sukcesy w pracy.

Wyglądanie przez okno nie zaspokoilo pani Austen; wkrótce pojawiła się na progu domu, żeby z bliższej odległości obejrzeć ten ciekawy uliczny spektakl. Pomachałam do niej.

- Paige ma się dobrze?

- W miarę. Cięża to wyjątkowa sprawa. W przeciwieństwie do zapłodnienia.

- Cieszysz się z perspektywy posiadania trzeciego dziecka?

Martin nie odpowiedział od razu, a kiedy już się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała troska.

- Jest gęsto. W życiu, mam na myśli. Trochę mnie to zmartwiło.

- Dość dwuznaczna uwaga jak na tę poranną godzinę, Martin.

- Czuję się dwuznacznie, Minty. Mniejsza o to. Muszę lecieć na zebranie. - Cmoknął mnie w policzek. - Na razie. - Uniósł aktówkę, salutując pani Austen, i rozeszliśmy się każde w swoją stronę.

Ściśnięta w zatłoczonym metrze zaczęłam rozmyślać o Paige i Martinie. „Jestem praktycznie jedyną matką na świecie, gotową dać pierwszeństwo dzieciom - mówiła Paige, nie do końca żartobliwie. - To rodzi samotność. Jak tak dalej pójdzie, na zachodniej półkuli nie będzie ludzi. Spójrz na Włochy. Albo na Niemcy. To kraje bez dzieci". Gorliwość Paige jednocześnie wzruszała i irytowała. Misjonarka wśród pogan. Jednak było też coś krzepiącego w jej prostolinijnym podejściu, bez tych wszystkich „jeśli" i „ale", tych podrzędnych zdań, które pociągają za sznurki zasad i przepisów.

Barry wszedł do mojego biura lekkim krokiem, ale jego powitanie zabrzmiało ostro.

- Co cię zatrzymało?

Zakląłam w duchu, oblewając się rumieńcem, bo byłam dwadzieścia minut spóźniona.

- Przepraszam, Barry. Metro. Spojrzał na swojego rolexa.

- Możesz to nadrobić później. - Opadł na krzesło. - Mam ciężki dzień. Potrzebujemy zielonego światła dla filmu o AIDS, więc się módl. - Włożył ciemny garnitur od Armaniego i czerwony krawat, co oznaczało ważne spotkanie i prawdopodobnie tłumaczyło nie najlepszy nastrój. Rozta-

czał wokół siebie zapach wody po goleniu oraz, ledwie wyczuwalny, ulubionego bordo z minionego wieczoru.

Ponownie spojrzął na zegarek.

- Zostało mi pięć minut do wyjścia, a tracę je z tobą.

A co z Gabrielle?, cisnęło mi się na koniec języka, ale zmilczałam. Przyjrzawszy się Barry'emu uważniej, dostrzegłam, że jest zmęczony; rogi kołnierzyka koszuli znajdowały się na różnych wysokościach. Zrozumiałam, że w tym momencie nie potrzebuje, by go rozpraszał widok pięknego ciała czy seksowny chichot. Przed wyjściem na ważne spotkanie Barry wolał porozmawiać z dojrzałą, rozsądną, kompetentną osobą.

A ja w tym momencie nie wiedziałam, czy płakać, bo już nie należę do kategorii ślicznych i rozpraszających, czy się śmiać, bo właśnie awansowałam do kategorii „poważnych”.

Barry wyszedł, więc mogłam się zabrać do pracy. Ustaliłam, według ważności, rzeczy do zrobienia. Przejrzałam korespondencję, od razu sortując ją na „pilną” i „do załatwienia później”. Rose nauczyła mnie zasad efektywnej pracy biurowej i teraz korzystałam z tej nauki. Zabawne. Rose podała mi umiejętności zawodowe i swojego męża na tacy. Napisałam raport, odbyłam niezbędne rozmowy telefoniczne. Czytałam scenariusze, dopóki nie zaczęło mi się troić w oczach.

W końcu sięgnęłam po teczkę z napisem „Wiek średni”. Unikałam tego. Zdecydowanie unikałam. Otworzyłam notatnik i zapisałam: 1/ O co chodzi? 2/ Dlaczego się tym zajmujemy? 3/ Kto się tym zajmie? 4/ Przewidywalne koszty?

Co można powiedzieć na ten temat? Czyż wiek średni nie stał się wstydliwym, przemilczanym etapem życia? Kiedy kupiłam pierwszy stanik, chyba nie było osoby, której bym się tym nie pochwaliła. Spytajcie ducha mojej zmarłej, nieczulej matki. Ale prędzej bym padła trupem, niż pokazała pierwszy żyłak na nodze. (Dziękuję wam, bliźniacy). Nie miałam ochoty dyskutować o pojawiających się z upływem lat coraz liczniejszych niedoskonałościach mojego ciała. Pierwsze ciosy związane z wiekiem. Przypominało to zwiedzanie ruin przez turystów. Kto z nas chciałby się grzebać w błędach, poczuciu winy, żalu, w monotonii pracy, odżywiania i codziennych trosk? Kto chciałby się przyznać do narastającego z wiekiem poczucia samotności?

„Kiedy kobieta wkracza w wiek średni, odkrywa, że młodsze kobiety także są wilkami, jak mężczyźni”, pisał ekspert w którymś z wycinków prasowych zebranych przez Deb. W tej dziedzinie ja także uważałam się za eksperta.

Pamiętałam, jak sama byłam wilkiem...

Nathan znalazł mnie w Bonne Tartine. Musiał iść za mną od siedziby Vistemaxu. Wśliznąwszy się na siedzenie naprzeciw mnie, ruchem głowy wskazał na moją kawę i talerzyk z maleńkim

nietkniętym croissantem. Wyglądał na przesadnie zadowolonego z siebie, z absurdalnie młodzieńczym wyrazem twarzy i zmierzwionymi włosami.

- Leży tu tylko jako pokusa?

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Obserwowałem i czekałem.

Poczułam ucisk w gardle z podniecenia i strachu, ponieważ nadszedł moment zadania pewnych pytań.

- A co z Rose?

Nathan starannie pokroił rogalik na małe kawałeczki.

- Rose jest zajęta własnym życiem. Ogólnie rzecz biorąc, nie sędzę, żeby miała coś przeciwko. Nigdy się mną specjalnie nie przejmowała... - Pochyliwszy się nad stolikiem, zaczął mnie karmić croissantem. Czując, jak słodkie okruchy rozplývają mi się w ustach, myślałam: Rose musi być szalona albo głupia, że nic nie widzi.

- Czemu mi to zrobiłaś? - spytała mnie czterdziestodwuletnia Rose, kiedy zabrałam jej Nathana. - Byłyśmy przyjaciółkami.

Owszem, byłyśmy przyjaciółkami. Bliskimi przyjaciółkami.

- Wyglądasz na zamyśloną. - Deb niemal tanecznym krokiem weszła do mojego biura. - Powinam o czymś wiedzieć?

- Nie pytając o pozwolenie, usiadła na krawędzi biurka; z trudem się *powstrzymałam*, żeby jej nie zepchnąć.

- No dobrze. - Rozparłam się na krześle. - Czy kobiety odczuwają wiek średni dotkliwiej niż mężczyźni?

- Mój Boże, nie wiem. - Deb otrząsnęła się przesadnie.

- Czy ludzie w średnim wieku nie czują się podobnie, niezależnie od płci? - Omijając mnie wzrokiem, spojrzała w stronę recepcji, żeby sprawdzić, czy nie czeka tam ktoś ważny.

- Myślę, że mój mąż tak się czuje. Deb znów skupiła uwagę na mnie.

- Barry mówi, że jesteś drugą żoną. Zapewne dużo starszy? Miły?

- Bardzo miły - stwierdziłam obojętnie. - Dlatego za niego wyszłam.

- A różnica wieku?

- Prawie dwadzieścia lat.

Kąciki ust Deb nieco opadły, co raczej oznaczało odrazę.

- To... odważne - powiedziała po chwili niezręcznego milczenia. Potem dodała: - Chciałabym...

- Czego byś chciała? - Marzyła o nowym ciele, nowym życiu? A może chciałyby się zakochać? Wówczas mogłabym ją przed tym ostrzec. Poza wszystkim innym miłość się starzeje. Trzeba się zmagać z bliźniakami, żylakami i niechęcią klanu.

- Mówiłam ci, że moje mieszkanie doprowadza mnie do szału? Mieści się nad restauracją, gdzie okropnie cuchnie curry. Ja też śmierdzę curry. Właściciel nie ma zamiaru nic robić w sprawie wentylacji, a do tego grozi podwyżką czynszu. - Rozłożyła ręce. - Marzę o zamieszkaniu w czystym białym pałacu wysoko ponad drzewami. Marzę o zmianie. Ale w tej chwili przyszłość nie wygląda różowo. - Zawahała się na moment. - Wiedziałaś, że Barry zatrudnia nowego producenta? Nie wiedziałaś? On jest niesamowity.

Odezwała się we mnie złość na Barry'ego. Bez wątpienia miał swoje powody, żeby o tym nie wspominać, kiedy z nim rozmawiałam, co oznaczało tylko tyle, iż nigdy nie powinno się zapominać, że szef zawsze może trzymać w zanadru jakieś sekretne plany. Głośno zamknęłam notes. Może nie była mi pisana przyszłość z Paradoxem. Ta myśl wzbudziła lekki żal, ale istniały przecież inne firmy produkcyjne i mogłam dać Nathanowi satysfakcję, pozwalając mu na: „A nie mówiłem?”.

Deb wstała i przeciągnęła się, odsłaniając pokryty gęsią skórą pas brzucha między spodniami i podkoszulkiem. O mały włos nie powiedziałam (naprawdę o mały włos): Przeziębisz się, jak nie będziesz uważać.

Wróciłam do domu na czas, żeby zmienić Eve, która miała wychodne.

- Dziękuję, pani Lloyd. - Blady, nieczęsty uśmiech rozciągnął jej usta. - To ważny wieczór.

Lepiej było o nic nie pytać. Z okna sypialni chłopców patrzyłam, jak idzie ulicą, stukając tanimi szpilekami. Sprawiała wrażenie odprężonej i szczęśliwej; rozpuściła włosy, które zwykle spinała w węzeł w stylu więziennej strażniczki. Powiedziałam sobie w duchu, że nie wolno mi zapominać, że Eve ma prawo do własnego życia.

- Jesteś zapracowaną mamusią. - Jasne włosy Lucasa, które ostatnio zaczynały ciemnieć, były rozwichrzzone, co upodabniało go do ojca.

Na komodzie tykał zegar w kształcie lokomotywy. Dwie pary skarpetek, dwa podkoszulki i dwie pary majtek zwisały z fotela obitego materiałem w smoki. Ciała chłopców skulone pod kołderkami potrzebowały jeszcze dużo czasu, by urosnąć na tyle, żeby dosięgnąć końca łóżka. Wielu lat.

- Nie aż tak zapracowaną, żeby nie mieć czasu dla was. - Próbowałam sobie przypomnieć, na którym łóżku usiadłam poprzedniego wieczoru, żeby wybrać to drugie. Felix uśmiechnął się niepewnie, wskazując wzrokiem miejsce nad łóżkiem, gdzie do ściany przypięty był rysunek. Już

miałam go skarcić (Felix, tapeta...), kiedy zwróciło moją uwagę, że rysunek przedstawia wielkiego kota w czarno-białe paski. Pod spodem Felix napisał niebieską kredką: „Mój zgubiony kot”.

Kiedy obaj zasnęli - Felix zwinięty na prawym boku, Lucas rozciągnięty na wznak - zapaliłam nocną lampkę i zostawiłam ich samych.

Nie myśląc o tym, co robię, chyłkiem weszłam po schodach do gościnnego pokoju, gdzie białe róże na obrazie chciały wyskoczyć z ciemnego tła. Sięgnęłam między koszule Nathana w poszukiwaniu jego notatnika.

21 stycznia, przed trzema dniami, napisał: „Lepiej się nie przejmować?”. A zaledwie wczoraj dodał: „Mam wrażenie, że tak naprawdę nie istnieję. Patrzę w lustro i nie wierzę oczom”.

Zamknęłam notatnik i dopiero wtedy dostrzegłam żółtą samoprzylepną karteczkę na okładce. Widniało na niej jedno słowo, napisane ręką męża: „Osobiste”.

Uśmiechnęłam się. Skoro zapiski były takie osobiste, to dlaczego Nathan nie ukrył lepiej notatnika? Odpowiedź: chciał, żebym je przeczytała. Rzucił mi wyzwanie, które ja podjęłam. Zezszłam na dół po pióro i dopisałam pod spodem: „Porozmawiasz ze mną, Nathan?”.

Świece na stole dopalały się, kapiąc. Nathan powoli jadł piersi kurczaka z pieczarkami.

- Niezłe.

Niezłe? Każdy kęs kosztował fortunę. Dojadłam ostatni kawałek ze swojej porcji, jakby był bezcenny, i powiedziałam:

- Któregoś dnia nauczę się gotować.

Nathan wydał z siebie nieokreślony odgłos, coś pomiędzy śmiechem a kpiącym prychnięciem.

- To do ciebie niepodobne, Minty.

Na piętrze coś huknęło. Mimo surowych ostrzeżeń bliźniacy zamieniali się łózkami. Robili to prawie co noc. Nathan nadstawił ucha.

- W porządku - uspokoiliam go. - Powiedz mi, co słyszeć w Vistemaksie. Kiedy rozmawiałam wczoraj z Gisela, wspomniała, że Roger jest zmartwiony. Sądziłam, że mieliście dobry rok?

Nathan odsunął od siebie opróżniony do połowy talerz.

- Mamy duży proces o zniesławienie - wyznał. - W „Weekend Digest” ukazał się artykuł o łapówkach dla menedżerów piłkarskich. Ta sprawa będzie sporo kosztowała Vistemax, a rzecz zdarzyła się na moim dyżurze.

- Ale to nie twoja wina.

- Nie bezpośrednio. Jednak to ja ponoszę odpowiedzialność.

- Powinieneś był mi powiedzieć. - W kuchni panowała cisza. - Dziennikarze - mruknęłam. Od czasu opuszczenia Vistemaxu straciłam orientację co do wydarzeń w firmie. Nathan natomiast swobodnie pływał w morzu liczb i strategii. - Powinieneś był coś powiedzieć - powtórzyłam.

Nathan wzruszył ramionami.

Nastąpiła cisza, jaka zapada między dwójgim ludzi, którzy nie umieją się porozumieć na tym samym poziomie. Tutaj „Udane związki” stawiały sprawę jasno i stanowczo: taki problem wymaga rozwiązania.

- To dla ciebie - usłyszałam własny głos. Wręczyłam Nathanowi buteleczkę witamin, którą kupiłam podczas przerwy na lunch.

Rozbawiłam go tym. Przerzucił buteleczkę z jednej ręki do drugiej.

- Dziękuję ci, matko Minty.

Przebrał się w starą niebieską koszulę, tak spraną, że miał ją chyba od zarania dziejów, a nawet nie chciał słyszeć o jej wyrzuceniu. W świetle świec kolor wydawał się ciemniejszy. Moja czarna spódnica natomiast nabrała grafitowego odcienia. Jedna ze świec zamigotała i zgasła; Nathan pochylił się i zgniótł knot między palcami, mówiąc z żalem:

- Minty, nie powinnaś spędzać życia na doглядaniu mnie.

- To rzeczywiście był ciężki dzień. Podmuchał na osmolone palce.

- Tak, rzeczywiście.

- Nathan... - zaczęłam trochę drżącym głosem. Jaki żal w sobie skrywasz, chciałam zapytać, choć znałam odpowiedź i nie miała dla mnie znaczenia. Skrywanym żalem Nathana była Rose i przeszłość... podobnie jak moim. - Weź witaminę. - Sięgnęłam po buteleczkę i zdjęłam nakrętkę. - Ja też zażyję. - Przytrzymałam tabletkę w palcach. - Bądź grzecznym chłopcem.

Nathan przyglądał mi się przez chwilę.

- Później - odezwał się w końcu.

Powinno być nalegać, żebyśmy porozmawiali o jego pamiętniku. Żebyśmy się wspólnie zastanowili, dlaczego jest nieszczęśliwy. Jednak mina Nathana nie pozwoliła mi wydobyć z siebie słów zachęty. W jego twarzy widziałam nie tylko zniecierpliwienie i niechęć, choć i to dało się zauważyć... nie wiadomo, czy skierowane do siebie samego, czy do mnie. Gorsza była nieobecność. Nathan oddalił się duchem z kuchni, a ja nie miałam pojęcia dokąd.

Spróbowałam jeszcze raz.

- Nathan, wiem, że nie powinno czytać twoich zapisków, ale powinniśmy o tym porozmawiać.

- Co? - Z wyraźnym wysiłkiem znów skupił się na mnie. - Właściwie... - Nie dokończył.

Zdobyłam się na wielki wysiłek.

- Nathan, chcę z tobą porozmawiać o... pamiętniku. O tym, co przeczytałam.

- Nie - przerwał mi. - Nie chcę o tym rozmawiać. To głupie i bardzo osobiste.

- Ale... - Nasuwało się oczywiste pytanie: dlaczego zostawiłeś mi go do przeczytania? Nauczyłam się jednak, że większość spraw w naszym związku przedstawiana jest od dziwnej strony. Przypominało to szukanie wyjścia z labiryntu.

- Powiedziałem, że nie chcę o tym rozmawiać.

- Skoro tak uważasz... - Nagle straciłam ochotę na zgłębianie psychiki męża. Odsunęłam krzesło i wstałam od stołu. Gdybym miała trzy magiczne życzenia, wszystkie trzy dotyczyłyby odzyskania dawnego Nathana. Nie mogłam go mieć jako młodego mężczyzny, ale wystarczyłby mi ten, który zawiadacko wtargnął do mojego życia i zaproponował, byśmy razem uciekli.

- Będę potrzebowała twojej pomocy przy zmywaniu. Możesz mi podać tę sosjerkę? - Zajęłam się napełnianiem zlewu gorącą wodą z detergentem.

- Jasne. - Jeśli nawet zaskoczyła go zmiana mojego nastroju, nie zamierzał zadawać na ten temat żadnych pytań. - Ale jest coś...

Dźwięk dzwonka u drzwi rozszedł się po całym domu. Nathan wyraźnie się wzdrygnął.

- Powinienem był ci o tym wspomnieć. Zesztywniałam, ale zwróciłam się do niego w miarę spokojnie.

- Lepiej idź otworzyć. Mam nadzieję, że chłopcy się nie pobudzili.

- Ale... - Wyczuwałam w Nathanie ożywienie i jakby strach, którego nie rozumiałam. Wzruszył ramionami. - Dobrze.

Wyszedł do holu; usłyszałam głosy, a potem stuk zamykanych drzwi.

Nathan wprowadził gościa do salonu. Wytarłam ręce, poprawiłam włosy i poszłam zobaczyć, kto złożył nam wizytę.

Nathan odwrócił się gwałtownie na moje wejście; na jego ustach igrał dziwny uśmiezek.

- Zobacz, kto przyszedł. Ale ja już wiedziałam. Rose.

Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz ją widziałam? To spotkanie stanowiło pożywkę dla moich późnowieczornych lęków, niespokojnych snów i porannych rachunków sumienia, gdy rozliczałam się z tego, co zrobiłam. W pierwszym odruchu miałam ochotę się roześmiać, bo obecność Rose wydała mi się niedorzeczna. A potem ugięły się przede mną kolana.

- Rose. - Przytrzymałam się oparcia fotela.

- Cześć, Minty. - Wyciągnęła rękę. - Dobrze wyglądasz. Była ubrana z wysmakowaną prostotą, w dżinsy i tweedowy żakiet ściągany w pasie, wyglądała szczuplej niż w telewizji. Skórę miała opaloną, a włosy wręcz imponujące: długie, błyszczące i jedwabiste. Trudno w niej było rozpoznać kobietę, którą poznałam kiedyś w biurze, ubraną w szarą spódnicę i czarny sweter, powy-

ciągany w najmniej odpowiednich miejscach. Wyobraziłam ją sobie mówiącą jak wówczas: „Literatura, Minty, pełna jest historii o napięciach pomiędzy sługą i panem”. Włosy nosiła wówczas staromodnie upięte, a jej szminka zawsze była zbyt różowa. „Jest takie opowiadanie o dwóch siostrach, które tak się bały kucharki, że nie miały odwagi wejść do własnej kuchni. Przeżyły większość życia nękanie strachem i pragnieniem”.

Tamta Rose balansowała między kpina a śmiechem. Obecna Rose także. Nie było w niej śladu goryczy, jedynie uprzejme zainteresowanie, z jakim oglądała zmiany w urządzeniu salonu.

Cudownie, pomyślałam. Kończymy tam, gdzie zaczęliśmy. Kiedyś ja oglądałam ten pokój oczyma Rose - bladopopielate ściany, sofa i fotele ustawione blisko okna, teraz Rose ogląda go moimi oczyma - kremowe ściany, sofa i fotele przysunięte bliżej kominka. Pewnie doszła do tego samego wniosku co ja kiedyś: „ona nie rozumie istoty tego pokoju”.

- Co tu robisz, Rose?

Spoglądała na przemian to na Nathana, to na mnie.

- Nathan ci nie mówił? - Oczy jej błyszczały. - Nathan, nie powiedziałeś Minty. Nieładnie. Chciałam porozmawiać z Nathanem, więc zaproponowałam, żebym wpadła, bo miałam być w tej okolicy. Prędzej czy później i tak musiałybyśmy się spotkać, nie sądzisz, Minty? Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie wiedziałam. Nie jestem przygotowana.

Rose mogła odpowiedzieć: „Ja nie byłam przygotowana na to, że zabierzesz mi Nathana”. Zamiast tego powiedziała:

- Chyba żadna z nas nie ma się czego obawiać, Minty. Już nie.

Brakowało mi jej... to znaczy brakowało mi tej miłej, łagodnej Rose, żony Nathana, zawsze chętnej do pomocy, mówiącej rzeczy takie jak: „Powiedz mi, co jest nie tak, Minty?” albo „Nie masz się o co martwić”. Nic dziwnego, że Rose zniknęła z mojego życia.

Przełożyła torebkę z modnymi sprzączkami i paskami z jednego ramienia na drugie. Jej upodobanie do wymyślnych torebek także się nie zmieniło. Uśmiech skierowany do Nathana był przyjazny i ciepły; mogłabym przysiąc, że do niego mrugnęła.

- Nathan, co do Sama...

Spojrzałam pytająco na Nathana, który sprawiał wrażenie zupełnie bezradnego. Przejechał dłonią po włosach.

- Sam ma pewien problem i chcieliśmy z Rose o nim porozmawiać...

- Aha - powiedziałam. Ale nie dodałam: „Dlaczego mi nie powiedziałeś?”.

- Tato... - rozległo się wołanie z góry, więc Nathan opuścił salon i szybko wszedł na schody.

- Wracaj do łóżka, Lukey. Natychmiast.

- Naprawdę mi przykro, Minty - odezwała się Rose. - Nie przyszląbym, gdybym wiedziała, że Nathan nie uzgodnił tego z tobą. Powinnam wiedzieć, że zrobi unik. - Kiedy się zaśmiałam, dodała: - Pamiętam twój śmiech. Jest charakterystyczny, zawsze po nim poznawałam, gdzie jesteś.

Z jakiegoś powodu rozzłościło mnie to i jednocześnie zasmuciło.

- Nadal spotykasz się z Halem? - spytałam. - Jak on się miewa?

Zmrużyła oczy, ale odpowiedziała spokojnie.

- Nadal się widzimy, ale nie jesteśmy w związku. Łączy nas coś w rodzaju czulej przyjaźni.

- Zawsze się nad tym zastanawiałam.

Nathan wrócił i zaproponował coś do picia, kawę lub coś innego, na co Rose miałyby ochotę. Przystała na kieliszek wina.

- Sprawdź, co u bliźniaków - powiedziałam. - A wy sobie rozmawiajcie. Mną się nie przejmujcie.

Nathan posłał mi spojrzenie, które mówiło: „Proszę, nie bądź taka”. Odpowiedziałam mu spojrzeniem, które mówiło: „Podaj mi choć jeden dobry powód, dlaczego nie powinnam być taka”.

- Bliźniaki? Jak się mają? Dużo o nich słyszę. - Rose zdobyła się na uprzejme zainteresowanie dwójką dzieci, których nigdy nie widziała. - Domyślam się, że Frieda... córka Sama dobrze się z nimi dogaduje.

- Wiem, kim jest Frieda, Rose.

Nathan wtrącił się ostrzegawczym tonem.

- Minty...

- Ależ głupio palnęłam - zmitygowała się Rose. - Oczywiście, że wiesz. - Następnie zwróciła się do Nathana: - Co do naszego syna...

„Naszego”. To słowo wypadło z ust Rose wraz z wszelkimi prawami do jego używania.

Zostawiwszy ich w salonie, poszłam na górę. Obaj chłopcy spali... zamieniwszy się łózkami. Felix skulony pod kołdrą. Lucas się rozkopał, więc go okryłam, przyciemniłam światło nocnej lampki i znalazłam się na półpiętrze przy desce do prasowania.

Z dołu dobiegał szmer głosów. Słyszałam, jak Nathan śmieje się i mówi: „Nie...”, tonem, który świadczył o rozbawieniu. Miałam wrażenie, że to „nie” brzmi tak celowo, żeby mnie wykluczyć.

Wzięłam jedną z wyprasowanych koszul Nathana i zaczęłam ją składać na różne sposoby. W doskonałym sylogizmie z dwóch przesłanek wynika jedyny możliwy wniosek. Na przykład: Mąż zostawia pierwszą żonę, ponieważ jest nieszczęśliwy. Żeni się z drugą żoną, o której - tu cytat - „wie, że go uszczęśliwi, a ona mu wierzy”. Są szczęśliwi.

Doskonały sylogizm. Niedoskonały świat.

Ścisnęłam koszulę Nathana tak mocno, że aż zabolęły mnie dłonie. Upuściłam ją na podłogę, przekroczyłam i skradałam się w dół po schodach jak złodziejka, którą w istocie się stałam.

Światło z salonu wylewało się do holu. Drzwi były uchylone na tyle, że mogłam zobaczyć scenę rozgrywającą się w środku.

Rozdział siódmy

Nathan i Rose siedzieli obok siebie na sofie. Rose bawiła się kieliszkiem trzymanym za nóżkę. Moją uwagę przyciągnęła gruba złota obrączka, którą miała na prawej dłoni; jej ostry błysk niemal mnie zranił. Nathan, odchylony do tyłu, trzymał rękę wyciągniętą wzdłuż oparcia. Jego swobodna poza oznaczała, że czuje się odprężony. Od czasu do czasu spoglądał na swą pierwszą żonę; miał wtedy minę wygłodzonego psa patrzącego na kość.

- Nigdy nie trwają długo... - mówiła Rose tonem tak pobłażliwym i czułym, że mogła mieć na myśli wyłącznie swoją córkę. - Ile razy już to przerabialiśmy, Nathan? - Nathan spijał każde słowo z ust Rose. - Mimo wszystko trochę się martwię o Poppy. Wyczuwam... hm, pewien niepokój. Kiedy spytałam, czy dobrze jej się układa z Richardem, odpowiedziała, że lepiej niż kiedykolwiek. Ale wiesz, jak to jest, Nathan? Można wyczuć, że coś jest nie tak.

Nathan uniósł rękę spoczywającą na sofie, wykonując gest zrozumienia.

- Chyba nie chodzi o pieniądze? Rose parsknęła nerwowym śmiechem.

- Nie, nie chodzi o pieniądze. Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie może chodzić o pieniądze. Richard przecież bardzo dobrze zarabia.

- Ktoś musi myśleć o pieniądzach. - Uśmiechnął się do niej, porozumiewawczo i czule; do mnie nigdy się tak nie uśmiechał.

Mogłam ich oboje oświecić w kwestii tego, o czym Poppy nie powiedziała matce. Prawie na pewno miało to coś wspólnego z pokerem on-line. Mogłam się zwrócić do nich obojga: „Zdajecie sobie sprawę z tego, że Poppy prawdopodobnie gra i prawdopodobnie przegrywa? A im więcej przegrywa, tym więcej będzie grać. Taka już natura hazardzisty”. Mogliby wówczas skorzystać z szansy na wspólne działanie i spytać: „Ile przegrała i jak głęboko w to zabrnęła?”. Mogliby jako tandem zwrócić się do Poppy: „Możesz nam powiedzieć, jesteśmy twoimi rodzicami. Kochamy cię”. Dlatego zachowałam milczenie. Nie miałam ochoty wstawiać się za Poppy, była to jej prywatna sprawa.

Nathan oparł łokcie na kolanach i pochylił się do przodu. Ta poza naśladowała „Myśliciela” Rodina i należała do ulubionych póz Nathana.

- A co u Sama? Jill będzie zadowolona, jeśli Sam przyjmie tę posadę?

Rose podwinęła nogę pod siebie.

- Właśnie o tym chciałam porozmawiać. Jilly się wścieka na myśl o opuszczeniu Winchecombe. Wręcz grozi, że zostanie. Twierdzi, że nienawidzi Ameryki. A już szczególnie Teksasu.

- Jilly nigdy nie była w Teksasie i nie zostanie w Anglii bez Sama. Nie jest taka. Wie, że to duży awans dla Sama i ten wyjazd jest bardzo ważny.

Rose wydała odgłos podobny do cmoknięcia, ale nie było w nim zniecierpliwienia ani złości. Stanowił po prostu część rozmowy i oznaczał, że Rose zastanawia się nad tym, co powie za chwilę, a mój mąż, mój głupi mąż czekał z uśmiechem tak słodkim, że poczułam się niemal urażona.

- To trudne, Nathan. Jilly jest bardzo zadomowiona w swojej miejscowości. Mają tam świetną radę parafialną, kluby czytelnicze i szkołę... - Rose odwróciła się twarzą do Nathana, włosy rozsypały jej się na ramiona, a Nathan... Nathan wyciągnął rękę i założył jej luźny kosmyk za ucho.

- To niesamowite - powiedział ściszym głosem. - Frieda z każdym dniem robi się coraz bardziej podobna do ciebie.

Rose zignorowała jego gest, ale była wyraźnie zadowolona.

- Tak sądzisz? Jest urocza. Mówiła ci o różowym rowerze? Ostatnio jak tam byłam, bawiłyśmy się w szkołę baletową. Skakałyśmy z foteli i bardzo się starałyśmy układać stopy do puent. - Napiła się wina, podczas gdy Nathan nie spuszczał z niej oczu.

- Rozkoszuj się merlotem - powiedział z rosyjskim akcentem, rozśmieszając tym Rose.

- Nie przypominaj mi o nim - odpowiedziała, a ja nie miałam pojęcia, o co chodzi. Postukała palcem w kieliszek. - Niezłe to wino. Kupiłeś tam gdzie zwykle?

Miałam wrażenie, że patrzę w jarmarczne krzywe zwierciadło, zniekształcające odbity obraz. Teoretycznie to ja powinnam siedzieć na tej sofie, z ręką Nathana za plecami, a Rose powinna podglądać nas zza drzwi.

Musiałam się widocznie poruszyć, bo oboje jednocześnie odwrócili głowy. Nathan natychmiast sztywno się wyprostował, ale Rose pozostała w dotychczasowej pozycji. Weszłam do salonu.

- Skoro pytasz, kochanie, to bliźniaki mają się dobrze. - Usiadłam na fotelu naprzeciw nich. - Rozwiązaliście już swój problem?

Rose podniosła się z sofy i wygładziła na sobie żakiet.

- I tak, i nie. Nathan z pewnością o wszystkim ci powie. Ostatnia uwaga była irytująca, ale zważywszy na okoliczności, nie mogłam dać się ponieść nerwom.

- Podobał mi się twój program w telewizji, Rose. Był bardzo dobry.

- Owszem - odparła po prostu. - Był dobry. Mieliśmy mnóstwo uciechy, robiąc go. Właściwie powstał trochę przypadkiem. Ja miałam pomysł, a Hal przedstawił mnie producentowi. Trzeba było się targować i przekonać go, że jestem właściwą osobą do tego zadania, ale się udało. - Zrobiła minę, która miała wyrażać poufałość. - Niestety, kamera dodaje pięć kilo, ale nie należy się tym przejmować.

Staralam się na nią zbyt otwarcie nie gapić. Musiałam jednak dojść do wniosku, że kobieta siedząca na mojej sofie stanowi wzór, który z wielkim trudem usiłuję naśladować. Rose przetrwała ciężkie chwile swojego życia i oto proszę, pozbierana i kwitnąca tryskała energią, którą to ja powinnam posiadać. A ja... uginałam się pod ciężarem różnych drobiazgów, moich list, moich dzieci... i mojego męża. Przyszło mi na myśl, że setki tysięcy drugich żon muszą znosić podobne spotkania tylko po to, by się przekonać, że ich podejrzenia były słuszne, że dobrowolnie wybrały pozycję młodszego z rodzeństwa, które nigdy, przenigdy nie dorówna temu wspianemu starszemu.

- Możliwe, że będą dalsze odcinki - mówiła Rose. - Nie miałam pojęcia... dopóki... - Tu chwila krępującego milczenia. - ... Mam na myśli to, że dopiero niedawno odkryłam, jak wielki, różnorodny i cudowny jest świat. - Roześmiała się. - Fantastyczne uczucie.

Nathan wstał i przysunął się bliżej Rose.

- Chyba nie musisz jeszcze wychodzić?

Rose знаła Nathana. Ja znałam Nathana i obie wiedziałyśmy, że nieudolnie stara się ukryć dojmujący żal. Gdybym naprawdę kochała Nathana... gdybym go kochała... to upokarzające udawanie rozdarłoby mi serce.

- Daj nam znać - powiedziałam. - Postaramy się obejrzeć. Rose zaczęła czegoś szukać w swojej modnej torebce.

- Czyżbym zostawiła klucze w płaszczu? Nie powinnam tego robić, bo zawsze wypadają. Nie, tu są. - Udało jej się sprawić wrażenie czarującego rozgardiaszu, który jednak nikomu nie sprawia kłopotu.

Nathan, całkowicie zuroczony, patrzył na Rose.

- Zadzwoń jutro do Sama. - Dotknął jej ramienia. - Dowiem się, czy myśli poważnie o przyjęciu tego stanowiska.

- Jutro wyjeżdżam do Włoch. Zdecydowałam się w ostatniej chwili. Długi weekend. Potem muszę napisać parę rzeczy, które wymagają sporo przygotowań, ale powinny być zabawne.

Było jeszcze tyle innych wiadomości, które Rose mogła nam przekazać. Weszła pod numer 14, przynosząc ze sobą nową historię, o której my z Nathanem nic nie wiedzieliśmy. Mogła nam opowiedzieć o swoim nowym, pasjonującym życiu. „Mieszkam tu. Pracuję tam. Jadłam kolację z tym i tym”. Gdybym była przygotowana, lepiej radziłabym sobie w takiej sytuacji. Mogłabym na-

wet chcieć tego słuchać, ponieważ byłabym w stanie dokonywać realistycznych porównań, zamiast tych nierealistycznych.

Położyła Nathanowi ręce na ramionach, wychyliła się i pocałowała go lekko w policzek.

- Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu. I... Co do tej drugiej sprawy... - Światło odbiło się w jej błyszczących włosach, załamało się miękko na tkaninie zakietu. - O niej też porozmawiamy.

Nathan zacisnął dłonie w pięści.

- Jasne. Zadzwoń do ciebie, to porozmawiamy - przerwał jej, wciskając ręce do kieszeni. Zakołysał się na piętach i nagle ujrzałam przeblysk młodszego Nathana - tego, który uratował Rose przed Halem Thorne'em, ożenił się z nią, dał jej dzieci i królestwo, którego strzegła, dopóki ja się nie pojawiłam.

Rose znalazła kluczyki od samochodu. Lampy w salonie dawały korzystne światło - i nic dziwnego, bo bardzo się o to postarałam. Wyglądała w nim tak delikatnie, tak świeżo, tak tajemniczo ze swoimi zamiarami i zajęciami... Choć właściwie co w nich było tajemniczego? Próbowałam ustalić, co tak naprawdę mam przeciwko niej.

Nasuwała się jedna odpowiedź: Rose zyskała moc, ponieważ nie sposób już ją było zaszukować.

Nathan odprowadził Rose do holu, gdzie odbyli jeszcze rozmowę, mniej więcej pięciominutową. Słyszałam, jak mówił:

- Powiedz Friedzie, że będę chciał zobaczyć jej baletowe stópkę, kiedy do niej przyjadę.

Zamknąwszy za gościem drzwi, odszukał mnie w kuchni, by stawić czoło nieuchronnej scenie.

Żeby się czymś zająć, zaczęłam przeglądać szafki z zapasami przed cotygodniową wyprawą Eve na zakupy i dobrze, że to zrobiłam, bo okazały się prawie puste.

Gotów na potężny wybuch, Nathan oparł się zaciśniętą pięścią o blat stołu. Umyślnie stałam do niego plecami.

- Z pewnością nie chciałeś mi sprawić przykrości ani mnie upokorzyć. - Próbując panować nad emocjami, w końcu odwróciłam się do niego twarzą. - Bo niby czemu miałbyś chcieć to zrobić?

Zaskoczony, postąpił krok w moją stronę.

- Oczywiście, że nie chciałem cię upokorzyć. Oczywiście, że nie. Po prostu, jak mi się wydawało, wybrałem rozsądne wyjście. Rose miała być w tej okolicy.

- Może takie rozwiązanie odpowiadało Rose. Ale czy było najlepsze dla nas? - Mój ton miał świadczyć o roztropności i niczym więcej.

- Och, daj spokój - zachnął się, ale przeszedł do defensywy.

- Spójrz na nasz związek - powiedziałam. - Wszystko się poplątało.

Nathan wyjął z kredensu butelkę whisky i nalał sobie trochę na dno szklanki.

- To chyba niewiele oczekiwać odrobiny elastyczności i kultury.

W tym momencie mój gniew wymknął się spod kontroli.

- Byłeś kulturalny, kiedy zostawiałeś Rose? Chyba nie. Nie uznaję zachowywania pozorów za wszelką cenę, Nathanie. Nawet jeśli tego nie okazuje, Rose mnie nienawidzi... i ma do tego prawo. Ja jej nienawidzę.

- Czemu miałabyś jej nienawidzić? Nic ci nie zrobiła.

Patrzyliśmy na siebie ze złością; aż drżałam od nadmiaru adrenaliny, a moje ręce, jakby żyły własnym życiem, wciąż szperały w szafce na zapasy.

- Skoro nie rozumiesz, to ci wytłumaczę. - Natrafiłam palcami na zabłąkaną muszelkę makaronu i już wiedziałam, wiedziałam, że wkraczam w duchowy mrok i zaraz powiem coś, czego będę potem żałować. - To, co czuję do Rose, jest nieracjonalne i z pewnością niekulturalne. Nienawidzę jej, ponieważ... wyrzuciłam jej krzywdę. Nie rozumiesz tego, głupcze? W grę wchodzi walka o posiadanie, ale nie sądzę, żebyś to dostrzegął, a już tym bardziej przyjmował do wiadomości. Poza tym ty chciałbyś mieć i centa, i bułkę. - Przesypałam resztki ryżu (niełuskanego) do szklanego pojemnika. - Chcesz mieć mnie i widywać się z Rose. Chcesz, żebyśmy wszyscy żyli w przyjaźni.

Nathan usiadł przy kuchennym stole i podparł głowę rękami.

- Nie chciałabyś się z nią przyjaźnić? Przecież kiedyś tak było.

Obracałam w dłoniach pudełko po ryżu; nie mogłam znieść widoku rozpaczony Nathana.

- Nie można jednocześnie patrzeć w dwie strony. Mówiąc wprost: nie możesz mieć dwóch żon. Przynajmniej nie w tym kraju.

Słyszałam, jak przełyka kolejną porcję whisky.

- Nie mogę o tym z tobą rozmawiać, Minty. To jest jak próba rozmowy w nieznanym języku albo z zupełnie obcą osobą.

Tego było już za wiele. Stanowczo za wiele.

- W porządku, Nathan, porozmawiajmy po angielsku. Uważam, że kryjesz się za maską poprawności, bo tak naprawdę chcesz się widywać z Rose bez poczucia winy.

Wykonał nieokreślony gest, który mógłby stanowić potwierdzenie moich racji, gdybym takiego potrzebowała.

- To nic nie znaczyło, prawda? - rzuciłam ze złością. - Próbowałam żyć w zgodzie z tobą i twoją rodziną, która mnie nienawidzi. Jeśli pamiętasz, to ty czułeś się uwięziony w swoim małżeń-

stwie z Rose. To ty powiedziałaś, nie ja, że jest ono nudne i puste. Że dlatego ją zostawiłaś. Przekonałaś mnie, a ja ci uwierzyłam.

Nathan zbladł, prawdopodobnie ze złości, bo uderzyłam w jego czuły punkt: nie lubił być źle oceniany.

- Pozwolę sobie zauważyć, że wręcz wychodziłaś z siebie, by mi uwierzyć. Nie mogłaś się nasłuchać o tym, jak bardzo Rose zawiodła.

- Czasy się zmieniają, co? Gdybyś tylko mógł, wróciłbyś do niej biegiem. Gdyby nie dzieci...

- Ktoś musi dbać o ich dobro! - wykrzyknął. Nastąpiła długa, napięta cisza.

- Zapomnę, że to powiedziałaś. Kolejny łyk whisky trafił do ust Nathana.

- Przestań - powiedziałam ostro, zaniepokojona jego bladością. - To ci nie służy.

- Zamknij się.

- Spójrz na mnie, Nathan. Spójrz na mnie. - Usłuchał, choć z ociąganiem. - Powiedz mi prawdę. Chcesz się spotykać z Rose. Tęsknisz za nią. Nasze małżeństwo cię nie zadowala. Jesteś nim rozczarowany? Wyrażam się dość jasno?

- Przestań.

- Rose jest ci bliższa wiekiem, Nathan.

- Przestań.

- Tchórz.

Nathan porwał szklanekę ze stołu i opuścił kuchnię. Po chwili trzasnęły drzwi od gabinetu.

„Ryż”, dopisałam na liście dla Eve. I „makaron spaghetti”.

Podeszłam na palcach do sypialni chłopców i zajrzałam do środka przez uchylone drzwi. Poduszka leżała na podłodze, a miś Lucasa, rzucony, w drugim kącie pokoju. Abażur nocnej lampki był przekrzywiony. Aż mnie ręce świerbiły, żeby to wszystko uporządkować.

Oparłam się o framugę i przymknąwszy oczy, wyobraziłam sobie przyszłość, w której miałam podnosić z podłogi całe setki różnych przedmiotów. I odbywać setki wypraw na zakupy: puszki sosu do spaghetti, kartony soku pomarańczowego.

Co roku będę musiała kupować większe ubrania dla bliźniaków. Z pewnością będą chcieli grać w piłkę nożną lub w krykieta. Piłka nożna! Może Felix będzie wolał uczyć się gry na skrzypcach albo na pianinie. Będą mnie kosztować mnóstwo pieniędzy. Skąd je wezmę? Minał zaledwie tydzień bez Nathanowego: „Musimy być ostrożni. Nasze fundusze nie są nieograniczone”. Chodziło mu o to, że wciąż s płaca Rose za to, że wyprowadziła się z domu przy Lakey Street 14. Nathan mógł się rozchorować. Był w wieku, kiedy ciało zaczyna odmawiać posłuszeństwa. Potrzebował więcej spokoju. Skąd miał go wziąć?

Tej nocy spałam w gościnnym pokoju. Roztrzęsiona i smutna kartkowałam zbiorek wierszy „Pochodzenie nowych gatunków”, przysłany przez Ellen. Wydawca był szczodry... albo działał po prostu, bo dał książce twardą oprawę. Wśród tytułów panowała duża różnorodność: od epickiego „Męskiego lamentu”, przez swojskie „Rzeczy w lodówce”, po widniejące na okładce „Pochodzenie nowych gatunków”.

„W wieku czterdziestu siedmiu lat osiągnęła wiek rozsądku/ już nie kobieta, ale też nie mężczyzna/ Triumf?”.

Dwie ważne informacje. Narratorka ma o dziesięć lat więcej ode mnie, a perspektywy nie takie znowu najgorsze. Język jej poezji pełen był odniesień do „łomotu”, „klepania”, „trzaskania” i „szumu mrocznych przypływów” - wystarczyło na zaangażowanie całej orkiestry - i jej hałaśliwość przenikła do mojego snu.

W środku nocy któryś z chłopców zawołał i zaraz usłyszałam, jak Nathan krząta się w ich sypialni i ścisłym głosem uspokaja tego, który się obudził.

Wczesnym rankiem Nathan wśliznął się do łóżka, wrywając mnie powoli z głębokiej otchłani snu. Był zziębnięty i podniecony. Przytulił się do mnie od tyłu i dotknął ustami mojego nagiego ramienia.

- Dlaczego nie wróciłaś? Powinnaś była wrócić, Minty. Nie powinniśmy zasypiać w złości.

- Ponieważ... - wymruczałam - ...oficjalnie cię nienawidzę.

- Popelnilem błąd, Minty, nie mówiąc ci o niczym. Przyznaję.

Był we mnie chłód wynikający z nadal nierozwiązanego problemu i smutek, jaki zwykle towarzyszy poważnej kłótni.

- W porządku.

Pachniał snem, a w jego oddechu wyczuwałam ślady whisky.

- Co będzie dzisiaj, Minty?

W głowie wciąż dźwięczały mi trzaskające i łomoczące wiersze Hellen.

- Nie wiem, co będzie dzisiaj... - Nagle sobie przypomniałam. - W szkole jest spotkanie z nauczycielami. Przyjdiesz?

- Tak - powiedział tak cicho, że ledwie go słyszałam. - Ale pewnie się spóźnię.

- Musisz się zwolnić u Rogera? - spytałam, nagle czujna. Nathan zachichotał mi do ucha.

- Roger nie jest moim strażnikiem. Ale jeśli spyta, powiem, że mam badania kontrolne. - Przesunął palcami po moim ramieniu. - Nie lubię kłamać. I to bardzo. Ale coś mi mówi, że możesz mieć rację.

Kołdra między nami zwinęła się w nieprzyjemny kłęb. Nie była to najlepszej jakości pościel, zawierała za dużo sztucznego włókna, ale dzięki temu łatwo się prała i służyła jako zmiana dla gości.

- Ty i ja często „pracowaliśmy do późna”. Pamiętasz? - Nathan nacisnął wrażliwy punkt między moimi łopatkami a kręgosłupem. - Wtedy nie uważałem tego za kłamstwo. Czy to nie dziwne?

Co właściwie składało się na tamte dni? Epizody, podczas których ścisnęło mnie w żołądku, miękły mi kolana i serce wyskakiwało z piersi? I tak, i nie. Z pewnością było wrażenie oszołomienia i zachwytu nad własną mocą.

- Daj spokój, Nathan. Większość pracujących matek kłamie codziennie. Badania są dobrą wymówką - dodałam. Czułam, że jego ciało się rozgrzewa. - Dobrze się czujesz?

- Świetnie. Nie martw się o mnie.

Gdybym była w stanie przytomniej myśleć, mogłabym mu wytknąć, że się martwię, bo ostatnio zachowywał się jak stulatek. Co więcej, uważałam, że dobrze by nam zrobiła mała zmiana w trybie życia, może trochę ożywienia w codziennej rutynie, więcej aktywności fizycznej. Na początek bliźniacy chętnie poszliby z nim na kręgle. Albo pograli w piłkę na błoniach.

- Ciekaw jestem, czy przyszło ci kiedyś do głowy, że Roger zbliża się do emerytury? Jeśli nie, a jestem pewien, że tak, może pomyślisz też, kto będzie jego następcą? Mogą się pozbyć Rogera całkiem niedługo. - Naparł na moje biodro. - Trochę niesmaczne?

- Owszem, i? Zmienił temat.

- Czy Barry wypowiedział się konkretniej na temat pełnego etatu?

- Nadal się nad tym zastanawia.

Na chwilę zapadła cisza.

- A co do Rose, Minty...

Westchnienie, które samo wydarło się z moich ust, pochodziło z mrocznej, wypełnionej goryczą głębi mego jestestwa. Miałam dość, serdecznie dość Rose.

- Co z Rose?

- Czemu sobie czasem nie przypomnisz, że byliście przyjaciółkami? Bliskimi przyjaciółkami.

Poranki w Vistemaksie, zapach niedobrej kawy i papieru do ksero, Rose mówi: „Proszę, weź to” i podaje mi sterty poradników na temat diety niskotłuszczowej, diety beztłuszczowej, mongolskiej kuchni lub pięciuset sposobów na wyszczuplenie ud. Pewnego razu przyszłam do biura i zastałam ją zapłakaną, ze zbyt różową szminką rozmazaną na mokrych od deszczu włosach. „To z

powodu Sama", wyznała mi. „Pokłócił się ze swoją dziewczyną i bardzo to przeżywa, żal mi go". Objęłam ją wtedy i pocałowałam w policzek.

- Nathan, zamknij się, proszę. - Ich wspólna historia, wspólne dzieci, ich przeszłość... Wszystko się wymieszało. - Nathan, Rose mówiła, że jest jeszcze coś, o czym musicie porozmawiać...

- Nic takiego - odparł szybko.

- O co jej chodziło?

Odpowiedział dopiero po chwili.

- Nic na tyle ważnego, żeby warto się tym przejmować. Jest takie powiedzenie, że kiedy mężczyzna żeni się ze swoją kochanką, powstaje wakat.

Przysunął się jeszcze bliżej i wsunął rękę między moje uda. Jego zarost drapał mi skórę.

- Minty, a to, co mówiliśmy wczoraj wieczorem...

Nathan sięgnął głębiej; zagryzłam wargi. Był rozpalony i natarczywy. Na dole, w naszej sypialni, na krześle czekała moja spódnica i żakiet. W portmonetce miałam dość drobnych na poranny przejazd i cappuccino. Torebka z dokumentami, zapięta na zamek, też była gotowa. Na moje wyczucie miałam dokładnie godzinę, żeby ogarnąć bliźniaków i siebie, zjeść śniadanie i wyjść.

Tak wiele w życiu sprowadza się do właściwej organizacji czasu. Naprawdę.

Głos Nathana był jak echo przy moim uchu.

- Jeśli idzie o wczorajszy wieczór... - Dopiero wtedy sobie uświadomiłam, co Nathan robi.

- Mój Boże, Nathan...

Jego palce wpijały się w miękką część mojego ramienia.

- Minty... Przepraszam, że cię nie uprzedziłem. Dobrze wyglądała, prawda? Sprawiała wrażenie opanowanej. Zadowolonej. To dobrze, prawda? Nigdy wcześniej jej nie widziałem z takimi długimi włosami...

Odwrócił się do mnie twarzą; oczy mu płonęły gorączką, którą nie ja wzbudziłam.

Odepchnęłam go od siebie z całej siły.

- Nie jestem... Rose. Rozumiesz? Nie jestem Rose.

Rozdział ósmy

W następnym tygodniu Barry wezwał mnie do swojego gabinetu.

- Hej - rzucił na powitanie. - Przykro mi, że tak długo zwlekaliśmy z odpowiedzią w sprawie posady.

Na szczęście tego ranka zadałam sobie trud, żeby się wystroić (powiewna spódnica w kwiaty i czarny żakiet ściągnięty paskiem).

Barry przyjrzał mi się z ukosa i w jego oczach pojawił się błysk lęku. Może sprawy nie poszły zgodnie z planem...

- Wiesz, że ten cykl o AIDS dostał zielone światło?

- Tak. Gratuluję.

- Charles z Channel 4 jest bardzo przejęty. - Barry po kolei wyliczył korzyści: - Duże pieniądze. Duża sprzedaż za granicę. Kevin Stone jako reżyser. Fantastyczny pakiet. - Jeszcze jedno taksujące spojrzenie, raczej pochlebne. - Wiesz, Minty. Dałaś mi do myślenia.

Ogólnie rzecz biorąc, kiedy szefowie zaczynają myśleć, oznacza to dla kogoś kłopoty.

- W Paradoxie jest jak jest. Chcę rozszerzyć produkcję i potrzeba mi mnóstwa pomysłów. Możesz przyjść na cały etat na okres próbny. Sześć miesięcy. Potem się zastanowię, co się sprawdzi, a co nie. O pieniądzach i tych innych rzeczach pogadamy później.

Pomyślałam, że tymi „innymi rzeczami” Barry nie jest specjalnie zainteresowany.

- Cieszę się. Dzięki. Pochylił się ku mnie.

- Żadnych problemów z opieką nad dziećmi? - Uniosłam brew, więc szybko dodał: - Pytam jako przyjaciel.

- Wszystko pod kontrolą.

- W takim razie sześć miesięcy.

Dowcip, który rozszedł się jak bagniste opary po biurach Vistemaxu, kiedy go opuszczałam, był naprawdę śmieszny. W innych okolicznościach doceniłabym pikantny smak *Schadenfreude*. Jaki dowcip? Który członek rady nadzorczej ma dwie żony wylane z tej samej posady? Odpowiedź: Nathan Lloyd. „Wyszedłem na frajera”, stwierdził Nathan. Czy winił mnie za moją porażkę? „A ja na idiotkę”, odpaliłam.

- Odpowiada mi to.

Barry zakołysał się na tylnych nogach krzesła.

- Poza tym... - Na moment zawiesił głos. - Chris Sharp przychodzi do Paradoxu jako producent. Pracował dla mnie w BBC. Wyjątkowy bystrzak. Będziecie pracować razem. Nie toleruje głupoty.

Przeczuwałam walkę godną gladiatorów, ale pstryknęłam palcami, demonstrując stosowny optymizm.

- No to będzie mu u nas dobrze, prawda?

Zostaliśmy przedstawieni Chrisowi Sharpowi na piątkowym spotkaniu. Okazał się człowiekiem wątlej budowy, o ciemnych włosach i orzechowych oczach, ubranym od stóp do głów w czerń od Armaniego. W każdym razie niezbyt rzucał się w oczy. Barry wprowadził go do pokoju.

- Przywitajcie się, dziewczyny. - Obie z Deb uśmiechnęłyśmy się posłusznie.

Chris uniósł palec w geście powitania i usiadł. Deb przedstawiła propozycję sześciocdnikowego serialu o ogrodnictwie „Kop po zwycięstwo”.

- Każdy program będzie rozpoczynany przez innego sławnego ogrodnika i zostanie poświęcony innemu tematowi. To znaczy format każdego programu. Ogólny zarys tematu, plus dwa zagadnienia z nim związane. W miejskich ogrodach pokażemy dwa ogrody w mieście, jeden istniejący, drugi w trakcie powstawania oraz przegląd skrzynek okiennych... skrzynkę emeryta, dziecięcą skrzynkę...

- Nie powinniście dodać skrzynki kawalerskiej? - wtrącił Chris. - Tak dla równowagi... - Potoczył pewnym wzrokiem wokół stołu, kalkulując i oceniając. Było w nim coś kociego, jakby węszył, subtelnie, lecz zdecydowanie, szukając motywu i okazji. - I czy powinnaś się ograniczać do angielskich ogrodów? Skoro chcemy się sprzedawać w Europie?

Zbita z tropu Deb odgarnęła swe północnolondyńskie włosy.

- Jasne - powiedziała, odzyskując inicjatywę. - Doszłabym do tego.

Barry mruknął coś na temat kosztów, na co Chris zsumował kolumnę liczb.

- Może będziecie musieli zwiększyć początkowe koszty, ale przy przewidywanej szerszej sprzedaży i tak uzyskacie korzystniejszą marżę.

Barry sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Świetnie.

Następny był mój temat: „Wiek średni. Koniec czy początek?”. Zaznaczyłam obie części, żeby łatwiej przeglądać notatki, dla pewności i płynności wystąpienia.

- Widzę ten program jako dwuczęściowy. Pierwsza, definiująca, czym jest wiek średni. Druga, ukazanie na wybranej grupie ludzi, jak wpływa na ich życie. Wniosek: to całkiem przyjemny etap życia. - Kontynuowałam, mówiąc o tym, jak w programach zostaną przedstawione problemy: sytuacji finansowej, diety, aktywności fizycznej, operacji plastycznych oraz duchowego rozwoju. Mój komentarz obejmował statystyki i postawy, zwyczaje konsumenckie i osobiste historie. Barry słuchał, bawiąc się długopisem. Chris, trzymając się za podbródek, obserwował mnie uważnie i od czasu do czasu robił notatki.

Deb wstała, żeby nalać kawy. Podsunęła mi kubek. Barry sięgnął do talerza z ciasteczkami.

- Nie powinienem. Nie powinienem. - Wybrał herbatnika z dżemem. - W twoim ujęciu wiek średni kojarzy się z celem turystycznych wypraw - stwierdził bez cienia ironii. Uwadze towarzy-

szyl deszcz herbatnikowych okruchów; Deb ukradkiem wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i wytarła blat stołu.

- Powinniśmy zwrócić uwagę dyrekcji na finansowy potencjał tej grupy wiekowej - ciągnęłam - ...który zdaniem niektórych ekspertów jest niedoceniany. Myślę, że program będzie chętnie oglądany przez ludzi w średnim wieku. Zwłaszcza jeśli będziemy im mówić dobre rzeczy.

Chris wciąż coś pisał.

Barry zjadł drugie ciastko i popadł w zamyślenie.

Chris podniósł głowę znad notatek.

- To dobry temat, ale brakuje mu... - kocie oczy na moment zniknęły pod powiekami - ...ostrzejszego podejścia... Czy nie powinniśmy zapytać: Trzydziesto- czy czterdziestoparolatku, masz poczucie porażki, bo jesteś w średnim wieku?

Brwi Paige podjechały niewiarygodnie wysoko w górę. Podobało mi się wrażenie, jakie u niej wywołałam.

- Rose pojawiła się nagle nie wiadomo skąd? Niesamowite. - Oparta o poduszki, z wyglądu okropnie niewygodne, nie przestając dziergać na drutach, domagała się szczegółów. Historia wydawała się prosta: Rose przyszła, rozmawiała z Nathanem, ja podsłuchiwałam, Rose poszła. Ale nie była prosta.

Po kilku fałszywych alarmach Paige została przyjęta do szpitala, a ja wpadłam ją odwiedzić w drodze powrotnej z Paradoxu. Szpital był wielkości lotniska i uchodził za najnowszy i najlepszy, jaki sobie można wyobrazić. Można sobie wyobrażać różne rzeczy, ale ktoś najwyraźniej nie poradził sobie z kontrolą temperatury, bo w szpitalu było stanowczo za gorąco. Poza tym potrzebowałam całego kłębka wełny i mnóstwa cierpliwości, żeby znaleźć drogę do oddziału położniczego imienia Nelsona Mandeli.

Paige słuchała, cichutko postukując drutami. Kiedy skończyłam opowieść, stwierdziła:

- Nie możesz się w tym zbyt wiele doszukiwać. - Po czym dodała ze śmiechem: - Właśnie mi opisałaś idealny trójkąt. Z Rose na szczycie.

- Wiesz co? Nathan nie dlatego zostawił Rose, że był nią zmęczony. Zostawił ją, bo był zmęczony sobą.

- Możliwe. - Zaczęła nowy rząd oczek.

Jednoosobowy przemysł dziewiarski Paige był dla mnie zaskoczeniem.

- Nie wiedziałam, że umiesz robić na drutach.

Naszej rozmowie towarzyszył płacz noworodków, a właściwie ciche kwilenie, wychodzące z płuc, które dopiero uczyły się normalnie funkcjonować.

- Zrobiłabym wszystko dla swoich dzieci. - Paige zaczęła liczyć oczka. - Lubię sobie wyobrazić, że są ciepło otulone w coś, co sama wykonałam.

- Mogłabyś kupić szal.

- Nie o to chodzi. Poświęcanie się dla nich jest... Dziesięć... dwanaście... czternaście.

Obok łóżka przeszła kobieta o długich jasnych włosach, wlokąc za sobą kroplówkę, z drugą ręką przyciśniętą do brzucha.

Kiedy już wciągnęłam się w temat, trudno mi było zrezygnować.

- Może myślała o Nathanie i dawnych czasach. Może za nim tęskniła. Nie wiem. Wyglądali, jakby im było dobrze razem, Paige. Jakby ich rozmowa nigdy nie została przerwana, tylko ciągnęła się przez te wszystkie lata.

Paige nie posiadała wrodzonego talentu do dziewiarstwa; nakładanie na drut zgubionych oczek sprawiało jej widoczną trudność.

- Pomyśl sobie, że w gruncie rzeczy masz szczęście, bo to było incydentalne spotkanie. W starych powieściach Rose by umarła albo się zabiła z rozpacz i wracałaby, żeby cię straszyc.

- Robi to bez sprawiania sobie kłopotu z umieraniem.

- Szkoda, że nie piszesz albo nie malujesz. To dobry temat, a ty masz doświadczenia z pierwszej ręki. - Paige starannie złożyła druty, owinęła je niedokończoną robótką i upchnęła w torbie.

- Ha, w tym cały problem... - Wciąż towarzyszyły nam dobrze znane dźwięki związane z bliskością noworodków w plastikowych boksach. - O to właśnie chodzi. Wszystko, co robię, jest wtórne... z drugiej ręki. Wszystko już było widziane i robione wcześniej. Nathan kiedyś urządził dom. Miał dzieci. Miał znajomych... - O tak, na przykład tych oziębłych Frostów czy niemiłych Lockhartów... - Całe zastępy. Ustawione w rzędach. Nathan ma rodzinę. Ma rodzinę, która była monolitem, zanim ja się pojawiłam i wcale nie ma zamiaru przestać być monolitem. - Na koniec dodałam: - No i jest Rose.

To zerwało pokrywę ze słoja z robactwem, które rozpełzło się po moim mózgu. Musiałam szybko je wyłapać i z powrotem zamknąć w słoju. Przyjrzałam się swoim dłoniom.

- Nie narzekam ani nic w tym rodzaju - powiedziałam. - Po prostu ci mówię.

- Właśnie, że narzekasz - wytknęła mi Paige. - Ale nie szkodzi. Możesz sobie do mnie ponarzekać. A ja ci odpowiem, że Rose nic nie znaczy. Wyolbrzymiłaś jej znaczenie zupełnie bez powodu.

- Przepraszam. Nie chciałam cię zamęczać. Powinniśmy rozmawiać o twojej ciąży.

- Czy przypadkiem o czymś nie zapominasz? - Paige położyła sobie rękę na brzuchu. - Nikt inny nie ma bliźniaków. Prawda? One nie są z drugiej ręki. Czy może coś przegapiłam?

- Racja - przyznałam.

- A tak na marginesie, będziesz matką chrzestną naszego nowego dziecka.

- O... - Rola matki chrzestnej oznaczała akceptację i ustalone miejsce w hierarchii. - Dziękuję ci, Paige.

Kiedy Samowi i Jilly urodziła się Frieda, Nathan wczuł się znakomicie w rolę dziadka. Chciał znać jej wagę, postępy w jedzeniu, to, czy dobrze sypia i czy nosi te śliczne śpioszki, które dla niej wybrał.

Sama, będąc w ciąży, słuchałam tego wszystkiego jednym uchem. Nigdy nie przypuszczałam, że Nathan da się tak głęboko wciągnąć w całe to zamieszanie. Nie było jednak żadnego zamieszania w kwestii organizacji chrztu Friedy.

- Przykro mi, kochanie - rzekł przeprasząc Nathana; jak na tak doświadczonego człowieka, jego skrepowanie było nawet wzruszające. - Sam i Jilly uważają, że będzie lepiej, jeśli nie usiądziesz razem z rodziną.

Nawet nie mając wyobraźni, można by się domyślić przebiegu rozmowy, jaka miała miejsce za moimi plecami. Ścisnęłam go za rękę.

- Wstawileś się za mną, Nathan? W ogóle o mnie walczyłeś? Przykucnął obok krzesła, na którym siedziałam.

- Oczywiście, że walczyłem, Minty. Walczyłbym o ciebie jak lew. Ale to trudna sytuacja.

Nie aż tak trudna. Rozwody i powtórne małżeństwa się zdarzają.

- Czy chodzi o to, że się mnie wstydzisz? - wycodziłam przez zęby.

- Nie. Nie!

Wiedziałam jednak, że moje pytanie trąciło strunę prawdy i co więcej, że Nathan wstydził się za siebie.

- A gdzie ty będziesz siedział?

- Z przodu.

- Z Rose, ma się rozumieć.

- Ona jest babką - odparł chłodno.

Bycie w ciąży ma niewiele dobrych stron. Właściwie żadnych - poza jedną. Jeśli ma się skłonność do płaczu, a ja miałam, można tę skłonność owocnie wykorzystać. Odwróciłam ku niemu twarz mokrą od łez.

- Wiem, że twoja rodzina mnie nienawidzi.

Pozostawiona przez Nathana w tylnej ławce wiejskiego kościoła w Winchcombe koło Bath i zaopatrzona w kilka poduszek dla wygody, miałam świadomość, że przyciągam wzrok wielu osób

- niektóre z nich chciały, bym padła na kolana (niemożliwe w trzydziestym tygodniu) i błagała o wybaczenie za moje grzechy. Wszyscy poczuliby się znacznie lepiej, nie wyłączając grzeszników.

Ja jednak miałam ochotę wstać i zawołać donośnie: „Słuchajcie, Nathan nie był szczęśliwy z Rose. Powtarzał mi to nieraz. Słuchajcie, ja go wybawiłam”.

Moje rozmyślenia zostały przerwane.

- Minty... - Richard precyzyjnie przycisnął się obok mnie i usiadł na wolnym miejscu po mojej lewej stronie. - Nathan uznał, że może ci się przydać odrobina towarzystwa, a ja pomyślałam, że chętnie ci je zapewnię.

Powiedział to na tyle zalotnie, że mnie rozbroił. Uśmiechnęłam się do niego.

- Miło z twojej strony.

Odpowiedział uśmiechem, współczującym i całkiem przyjaznym.

- Czas na wyznania. Małżeństwo z członkiem klanu Lloydów bywa wyczerpujące, nie sądzisz?

Kiedy główna część ceremonii dobiegła końca, a Frieda wykrzyczała się przy aprobacie rodziny, Nathan przydreptał do miejsca, gdzie siedziałam. Wolałam nie myśleć, ile go to kosztowało, ale wymusiłam na nim łzami taki kompromis. Wśliznął się na miejsce po mojej prawej stronie i wziął mnie za rękę.

- Cześć.

W momencie zdarzenia - na przykład, kiedy kradniesz męża kobiecie, którą lubisz (choć niewystarczająco) - liczy się tylko radość ze zdobyczy. Dopiero później, podczas zimnych, pełnych rozmyślań nocy, to, co się stało, nabiera właściwego wymiaru.

Nathan umieścił zdjęcia z chrztu Friedy w albumie oprawionym w czerwoną skórę, który specjalnie zakupił. Zdjęcie numer jeden przedstawiało Jilly, Sama oraz Friedę odzianą w koronkową komeżkę, służącą kolejnym pokoleniom Lloydów. Frieda miała otwarte usta i ślad mleka na dolnej wardze. Zdjęcie numer dwa przedstawiało Nathana i Rose. Ubrana w ulubiony oliwkowy kolor, dumna Rose trzymała Friedę w irytująco umiejętny sposób, a dziewczynka ścisnęła ją za rękę maleńkimi paluszkami. Mogłam się domyślić, jak się wówczas czuła, bo odwróciła głowę na lewo. „Lewy profil mam lepszy”, wyznała mi kiedyś. Nathan trzymał ręce opuszczone wzdłuż ciała, ale w jego postawie było coś, co pozwalało przypuszczać, że miał ochotę objąć Rose. Zdjęcie numer trzy należało do gatunku tak zwanych grupowych: Jilly, w staromodnym kapeluszu, stała upozowana z dzieckiem na środku, a Sam opiekuńczo zajmował miejsce u jej boku. Nathan, Rose i rodzice Jilly otaczali ich z obu stron, a reszta rodziny, rodzice chrzestni i gromada kuzynów, stanowili tło. Mnie na tym zdjęciu nie było...

Nie zamieniłam też słowa z Rose podczas całej uroczystości. Ale przyłapałam jej wzrok, kiedy na mnie patrzyła. Wiele razy. Ponieważ ja patrzyłam na nią...

Chwyciłam rękę Paige, śliską od potu.

- Jak mogę zabić Rose... w mojej głowie, ma się rozumieć? Jak mogę ją powstrzymać przed psuciem mojego małżeństwa?

Paige spojrzała na mnie z politowaniem zza swojego ogromnego brzucha, uwięzionego pod sztywną pościelą.

- Zdziwiasz mnie. To przecież łatwe. Po prostu myśl o swoich dzieciach.

Wygrzebałam z torby i podałam Paige czasopisma kupione specjalnie dla niej.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Susan zajmuje się wszystkim, a wieczorem Martin przejmuje od niej obowiązki. - Paige zmarszczyła czoło. - Mam przecucie, że Susan chce odejść, co jest absolutnie niemożliwe. - Odśloniła zęby. - Jeśli to robi, to ją zaskarżę. Mój pobyt tutaj wiele komplikuje. Chciałam być obecna na sztuce wystawianej przez klasę Jacksona. Planowałam wielkie przyjęcie z różnymi smakołykami i nawet zaprosiłam jego nauczycieli. Dziecko nie powinno się urodzić w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Bardzo poważnie je do tego zniechęcałam i wiesz co? Wcale mnie nie słucha. - Włókienka wełny przylepiły się do jej nocnej koszuli; zebrałam je i wyrzuciłam. - Dzięki. - Ostrożnie podciągnęła się ku górze i z cichym jękiem opadła na poduszki. - Auu. To mój nerw kulszowy. Martinowi nie poprawił się nastrój. Tak naprawdę nie chce tego dziecka. Twierdzi, że nie będzie miał czasu odetchnąć. - Popatrzyła mi w oczy. - Mówiłam ci, że go wrobiłam w tę ciążę? Może nieładnie, ale to był jedyny sposób... - Urwała w pół zdania. - Znowu się zaczyna. - Poklepała się po brzuchu. - Przestań.

- Paige, wstąpię do twojego domu i sprawdzę, czy wszystko gra. Chciałabyś, żeby ci coś przynieść?

- Właściwie tak. Wielki krwisty stek i micę frytek.

Przy stanowisku pielęgniarskim konferowała grupa kobiet i mężczyzn, pracowników niższego personelu medycznego. Młody człowiek w ładnym niebieskim mundurku ruszył w stronę łóżka Paige.

- Dzień dobry, jestem Mike. Sprawdzam tylko, czy u pani wszystko w porządku, pani Hurley.

- Jak najlepszym, poza tą drobnostką, że mam wydać na świat ogromne dziecko.

Przygładził pościel.

- Już wcześniej pani to robiła.

- Zgadza się, Mike - potwierdziła Paige. Zajrzał do trzymany w rękę papierów.

- Pomyślałem, że zapoznamy panią z kilkoma rzeczami, żeby pani była zorientowana w dotyczących panią planach. Dziś o północy podamy pani...

Nie chcąc słuchać tych intymnych wiadomości, odsunęłam się... i natychmiast stanęłam twarzą w twarz z jeszcze większą intymnością: matkami karmiącymi, przewijającymi i z bolesnym jękiem zmieniającymi pozycję na łóżkach. Niektóre z nich sprawiały wrażenie ogłupiałych, co doskonale rozumiałam, pamiętając własne odczucia. W widocznej nadziei tych kobiet oraz ich krewnych, otaczających wianuszkami plastikowe dziecięce boksy, było coś niemal złowieszczonego. Za każdym razem, gdy w którymś z nich umieszczano niemowlaka, zakładano, że ma przed sobą dobre, udane życie pełne miłości.

Obejrzałam się na Paige. Mike zapisywał coś na karcie, a Paige mówiła do niego takim tonem, jakby się z nim kłóciła. Uśmiechnęłam się pod nosem. Jakie to typowe dla Paige - próbuje opanować coś, co ze swej natury jest nie do opanowania, jak narodziny czy śmierć.

Mike się oddalił i Paige machając przywołała mnie do siebie.

- To miłe, kiedy sympatyczny mężczyzna pyta, czy u mnie wszystko w porządku.

Wykonując unik przed wózkiem, którym wieziono lekarstwa, nachyliłam się, żeby ją ucałować na pożegnanie.

- Muszę już iść, bo potrzebuję paru godzin, żeby znaleźć wyjście z tego labiryntu. - Poczulałam od Paige mleczny zapach - nieomylny znak nadchodzącego porodu. - Co kazało ci porzucić karierę, żeby zostać z dziećmi w domu?

Nawet cień wątpliwości nie zakłócił spokoju Paige.

- Kiedy Jackson był malutki, często płakał w nocy i ja byłam jedyną osobą zdolną go uciścić. Potrzebował mnie i tylko mnie. Proste.

Kiedy wróciłam, Nathan był już w domu, czytał bliźniakom, które wtulały się w niego z obu stron. Pod numerem 14 było ciepło i spokojnie, Eve wstawiła gulasz do piekarnika, a Nathan z Felixem i Lucasem tworzyli uroczą rodzinną scenkę. Stojąc w drzwiach, napawałam się tą chwilą, chłonąc jej kolory i kształty.

Obejrzałam z bliska chłopców, wilgotnych, pachnących mydłem i rozczochranych.

- Lucas, posmarowałeś się kremem? - Lucas miał wysypkę, ale odpierał wszelkie próby jej wyleczenia. Pokręcił głową spod bezpiecznej osłony ojcowskiego ramienia. Przyniosłam tubkę z kremem. - Chodź tu. - Z ociąganiem przechylił głowę i pozwolił sobie posmarować czerwoną plamę koło ucha. Czułam pod palcami, że skórę ma jednocześnie suchą i miękką, miększą niż wszystko inne, czego zdarzyło mi się dotykać. Nathan przeciągnął się i zaczął sobie masować barki.

- Jestem obolały - rzucił lekko. - Sypię się.

- Biedaku. - Usiadłszy na łóżku, zapiełam Felixowi piżamkę i przyglądałam mu włosy. -
Może powinieneś poćwiczyć.

- Jestem na to zbyt zmęczony.

Dostrzegłam grymas bólu na twarzy Nathana; odgadłam, o czym myśli. Gdybym była Rose, poszłabym na górę po maść i uparła się, by natrzeć nią jego zeszywniałe mięśnie.

Skrywany żal.

Mogłam sobie wyobrazić tę ich intymną zażyłość - tę znowę - do ostatniego szczegółu. Nie, ja ją wręcz czułam, ciepłą i przytulną, bez przeszłości rzucającej chłodny cień. Nathan i Rose działali w tandemie. Którą szkołę wybrać dla dzieci? Czy hol wymaga już odświeżenia? „Przetrzymamy wszystko”, mówili sobie przy śniadaniu, po nocy pełnej seksu, od którego błyszcząły im oczy, a ciała mieli obolałe ze zmęczenia.

Czy Rose zdawała sobie sprawę z tego, ile miała szczęścia? Był przy niej młody, silny Nathan, który przynosił jej do łóżka zastawioną śniadaniem tacę z taką lekkością, jakby to było piórko, i który umiejętnie zonglował czasem, znajdując go dość dla pracy, żony i dzieci. „Nie jestem zmęczony. Nie mogę zawieść”.

Zgasiałam światło i przez chwilę oboje staliśmy w progu, podczas gdy chłopcy układali się do snu.

- O czym myślisz? - spytałam.

Nathan objął mnie i pocałował lekko w czubek głowy.

- Właściwie o niczym - odpowiedział.

Rozdział dziewiąty

Następnego dnia wczesnym rankiem - przy krzyku protestujących bliźniaków, porzuconych miseczkach z płatkami, gorączkowym poszukiwaniu elementarzy, zdenerwowanej Eve i zamyślnym Nathanie - zadzwonił telefon. To był Martin.

- Minty, Minty... słuchaj. Mamy drugiego syna. Urodził się wczoraj wieczorem. Czy to nie wspaniale? Jest duży i piękny. Idealny. Nawet wagę ma jak z podręcznika.

- Och, to cudownie. Gratuluję. - Mrugnęłam do Nathana zmierzającego w stronę drzwi. - Jesteśmy zachwyceni. - Nathan podniósł zaciśniętą dłoń z kciukiem do góry i wyszedł.

Małeństwo w plastikowym boksie. Sprawdzone wszystkie cztery kończyny i stosowne wymiary. Czyste i słodkie po traumie narodzin.

Dobre, szczęśliwe, udane życie.

W tle tej rozmowy telefonicznej słychać było odgłosy ulicznego ruchu. Martin najwyraźniej był w drodze do pracy.

- Udało ci się choć trochę przespać? Może powinieneś sobie wziąć dzień wolnego?

- Spałem więcej, niż mogłem się spodziewać.

- O, poszło aż tak szybko?

- Zapytaj matkę. Paige wyrzuciła mnie w ostatniej fazie porodu. Powiedziała, że to jej sprawa, nie moja. - W głosie Martina wyczułam złość i rozczarowanie. - Ale oboje mają się dobrze. - Po pauzie dodał: - Tak mi powiedziano. Zastanawiałam się, co by tu powiedzieć.

- Paige zdażyła dokończyć szal, zanim się zaczęło? Ton Martina był więcej niż cierpki.

- Paige dokończyła szal. Ostatnie rzędy wydziergała podczas drugiej fazy porodu.

- O Boże, Martin, ona jest z żelaza.

- To dobre określenie - przyznał, a ja znów usłyszałam złość.

- Martin, przyjdę do was w weekend. Od następnego tygodnia pracuję na pełny etat.

- Wiem. Paige tego nie pochwała. Uważa, że niepoważne jest zatrudnianie się w pełnym wymiarze godzin, kiedy się nie musi.

Dezaprobatą Paige wisiała nade mną, kiedy załatwiałam dostawę organicznego jogurtu i owoców do szpitala. Jednym z moich najbardziej nieoczekiwanych odkryć było to, że kobiety potrafią być czasem bardziej zażartymi wrogami emancypacji niż mężczyźni.

Zabrałam się do ustalenia ostatecznych rozwiązań organizacyjnych. Samo przygotowanie się do pracy na pełny etat stanowiło zajęcie na pełny etat. Nathan świetnie się bawił, nie szczędząc mi docinków.

- Przecież nie idziesz na wojnę. - A po chwili: - A pociąg z zaopatrzeniem? - Albo: - Pamiętaj, że generał wymaga ekstrawyżerki. - Żartom nie było końca.

Przypięłam na kuchennej tablicy zmieniony rozkład dnia dla Eve i zaczęłam się zastanawiać nad logistyką zakupów i dojazdów do szkoły, klubem filatelistycznym, lekcjami gry na flecie, treningami piłki nożnej i poczułam trochę wstydlivy podziw dla Mussoliniego, za to, że zmusił pociągi do punktualnej jazdy.

Przesunęłam palcem wzdłuż kratek oznaczających dni i godziny. Nie było odwrotu. Skoro już o tym mowa, istnieje teoria, że pierwsza wojna światowa wybuchła nie z powodu strzałów w Sarajewie - świat obyłby się bez jednego czy nawet dwóch arcyksiążąt - tylko dlatego, że Rosjanie zmilitaryzowali kolej. A skoro to nastąpiło, nie dało się zatrzymać pociągów.

Eve zabrała dzieci do szkoły, a także, ku mojemu zdumieniu, zaproponowała, że po lekcjach zabierze je do parku. Już czułam się dziwnie, bo się ich pozbyłam, zadowolona, że ważne sprawy domowe wkroczyły na nowe tory. Jeszcze raz prześledziłam swój rozkład jazdy. Okazałam niezwykłą stanowczość w precyzyjnym rozplanowaniu czasu, wykorzystując go maksymalnie.

Brnęłam dalej. Sprawdzanie garderoby. Nathan potrzebował nowych skarpetek, bliźniacy wyrosli ze spodni ogrodniczek. Wyposażenie kuchenne: „patelnia”, dopisałam do listy zakupów. Żywność: jadłospis na następne dwa tygodnie.

Zadzwoił telefon.

- Minty... - Poppy nie siliła się na wstępne uprzejmości. - Mogę cię o coś prosić? Jak sądzisz, czy mogłabyś porozmawiać z Jilly?

Całkowicie mnie zaskoczyła.

- Dlaczego?

Poppy była bardzo przejęta.

- Nie wiem, czy tata ci wspominał, ale Jilly nie chce jechać z Samem do Stanów, gdzie dostał tę fantastyczną pracę. Wiesz, co to oznacza. Sam będzie celem dla każdej drapieżnej kobiety. A wiedziałaś, że Sam znów spotkał Alice? Pamiętasz ją? Była jego dziewczyną, zanim się ożenił z Jilly. Wściekła się, kiedy ją rzucił dla Jilly. Osobiście uważam, że Alice ukartowała to spotkanie. Nigdy się nie pogodziła z utratą Sama. Tak czy inaczej mówił o niej, kiedy się ostatnio z nim widziałam, i to mnie zaniepokoiło. - Znałam Poppy na tyle dobrze, by wiedzieć, że zaraz dojdzie do sedna sprawy. - Minty. Przykro mi, ale nie da się tego inaczej ująć, więc muszę powiedzieć wprost. Mogłabyś porozmawiać z Jilly i wyjaśnić jej, że ta druga kobieta wykorzystuje okazję. Wiem, nie powinnam być taka obcesowa, ale jeśli Sam wyjedzie bez niej, to... kto wie, jakie szkody Alice może wyrządzić... albo ktoś inny podobny do Alice. Jilly uwierzy, jeśli ty jej to powiesz...

Wciągnęłam głośno powietrze; Poppy musiała to usłyszeć, bo nagle zamilkła. Nie traciłam czasu na gadanie uspokajających banałów w rodzaju: „Sam nigdy by tego nie zrobił”. Nie uświadamiałam Poppy, że istnieje małe prawdopodobieństwo, by Jilly chciała mnie słuchać, i że raczej bardzo, ale to bardzo ją rozzłoszcę. Albo że ja się bardzo, ale to bardzo rozzłoszcę. Albo że nie chcę się wtrącać. Albo że to Jilly może sobie kogoś znaleźć. Zamiast tego wszystkiego, przyjmując do wiadomości, że jestem tą „drugą kobietą”, powiedziałam:

- Zobaczą, co się da zrobić.

- Naprawdę? Porozmawiasz? - Poppy była zaskoczona sukcesem swojej misji. - Mam nadzieję, że nie czujesz się urażona? Wiem, że to daleki strzał, ale nikt inny nie przyszedł mi do głowy. A właściwie ty wydawałaś się najodpowiedniejszą osobą... Wszystko się ostatnio jakoś pogmatwało.

Poppy była na tyle zdenerwowana, że postanowiłam podjąć ryzyko. Wzięłam głęboki wdech.

- A jak tam pokerowe rozgrywki? - spytałam. - Wygrywasz?

- O co ci chodzi? - Na chwilę zamilkła, a potem odezwała się drżącym głosem. - Tata wie?

- Nie. Nic mu nie powiedziałam. To nie mój interes. Ale oboje z twoją matką martwią się o ciebie.

Poppy wstrzymała oddech, a potem zaczęła płakać. Mówiła przez łzy tak niewyraźnie, że jej nie rozumiałam. W końcu usłyszałam:

- Będę musiała poprosić tatę o pieniądze. Miałam trochę ciężki okres...

- Nie poprosisz - weszłam jej w słowo. - I bez tego martwi się o pieniądze, o czym dobrze wiesz. Nie możesz poprosić Richarda?

- Nie. - Sądząc po głosie, Poppy była naprawdę przerażona. - Nie mogę.

- Nie pozwolę ci nękać ojca.

Poppy przestała płakać i przybrała lodowaty ton.

- Nie twoja sprawa.

- Może. - Nie musiała mi przypominać, że mnie nie lubi. - Ale to w niczym nie zmienia sytuacji.

Pożegnałyśmy się w miarę uprzejmie i niemal natychmiast zadzwoniła Deb.

- Deb, masz bardzo radosny głos. Dostałaś Oscara czy co? Deb aż przebierała nogami, żeby się ze mną podzielić nowiną.

- Wyobraź sobie, że spędziłam wieczór z Chrisem Sharpem. Całkiem przypadkowo. On jest rzeczywiście fascynujący. Robiliśmy mnóstwo rzeczy.

Podejrzałam - całkiem prawidłowo - że ta informacja jest głównym powodem, dla którego Deb do mnie zadzwoniła.

- Chris jest twoim nowym najlepszym przyjacielem. - Staralam się, żeby to zabrzmiało jak pytanie, a nie stwierdzenie.

- Moim nowym najlepszym... tak, przyjacielem. Dzwonię do ciebie w sprawie wieku średniego... - Lekki chichot Deb miał podkreślić, jak bardzo ona sama jest od niego daleko. - Doszło mnóstwo nowych danych statystycznych. Niektóre są wręcz szokujące, jak na przykład procent wdów żyjących poniżej minimum socjalnego. Może powinnaś je włączyć?

- Jasne. Dzięki.

- A tak na marginesie, znasz niejaką Rose Lloyd?

- Nie - odpowiedziałam szybko. Nie, nie, nie. - To znaczy tak. Jest pierwszą żoną mojego męża.

Zapadła cisza. Kiedy stało się jasne, że nie mam zamiaru rozwijać tego wątku, Deb powiedziała:

- Ktoś wymienił ją jako ewentualną prezenterkę mojej serii o miejskich ogrodach. Najwyraźniej sprawa jest na dobrej drodze.

- Myślałam, że ten pomysł został odrzucony?

- Ja nie mam zamiaru z niego zrezygnować - oświadczyła Deb z naciskiem.

Kiedy około pierwszej telefon zadzwonił ponownie, zrezygnowana odłożyłam notatki.

- Tu Sam.

- Czym mogę ci służyć, Sam? - Mój głos mógł brzmieć histerycznie.

Sam sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

- Dobrze się czujesz? Masz jakiś dziwny głos. Tata jest w domu? Próbuję go złapać... W biurze powiedzieli mi, że jest na lunchu, ale ma wyłączoną komórkę.

- Nie ma go tu, Sam. - Mówiłam raczej pogodnym tonem, ale po krzyżu przebiegł mi dreszcz niepokoju, a w głowie zrodziło się podejrzenie.

- No cóż, nie ma sprawy. Gdzieś przecież musi być. Mówił ci o mojej nowej pracy? To duża zmiana, ale na pewno korzystna. Jilly nie jest zachwycona, lecz jeśli uda mi się ją namówić na wyjazd, jestem pewien, że się przyzwyczai. Jeżeli nie, możemy improwizować... albo widywać się co pół roku. Oczywiście będziemy tęsknić...

- Sam... uważasz, że to rozsądne? Wyraźnie ochłódł.

- Damy sobie radę, ale dzięki za troskę. Naprawdę nie wiesz, gdzie może być tata?

Ale ja już go nie słuchałam. Najszybciej, jak to było możliwe, zakończyłam rozmowę. Ma się rozumieć, wiedziałam, że stare nawyki nigdy do końca nie wygasają. Dzięki temu różne kliniki

dla uzależnionych osiągają największe zyski. Tamtego ciepłego letniego wieczoru, kiedy Rose przyprowadziła mnie do domu pod numerem 14, żebym poznała Nathana, rozmawialiśmy we trójkę o lojalności i Nathan powiedział: „Człowiek jest lojalny choćby dlatego, że kogoś długo zna”.

Rose i Nathan znali się od zawsze i nic nie mogłam na to poradzić.

Roilałam sobie, że rozwiązałam problem przyszłości, oferując Nathanowi wspaniałe ciało, gorąca krew, emocje i (tu cytuję) pocieszające spojrzenie jako alternatywę dla jego nawyków. Wyobrażałam sobie nasze wspólne życie na podobieństwo kiczowatych fotografii. Zimowe scenki przy kominku, ze śniegiem za oknami. Słoneczne wyżyny z belami pachnącego siana ułożonymi w równe rzędy. Wyobrażałam sobie również, że czułość i śmiech są trwałe.

Chwyciłam torebkę, kluczyki i nie wiadomo kiedy, znalazłam się za kierownicą. Jechałam tą ulicą, powtarzając sobie, że nie wiem, dokąd zmierzam.

Kłamałam.

Zbliżywszy się do rzeki, opuściłam szybę, żeby odetchnąć mulistym zapachem wody. Miasto rozpościerało się przede mną, brudne, butne i prężne - na każdym wolnym skrawku wyrastały nowe budynki, niczym smocze zęby. To było miasto, które podziwiałam, z którym się identyfikowałam. Pełne zgiełku i pośpiechu, pozbawione sentymentów, obojętne i zdolne przetrwać każdy cios. Nie szukałam w nim miłości.

Przed domem Rose znajdował się parking; wjechałam tam. Wyłączając silnik, schowałam twarz w dłoniach. Zastanawiałam się nad tym, co robię. Zastanawiałam się, czy nie przekręcić kluczyka i nie odjechać. Zastanawiałam się, jak niską pozycję w łańcuchu pokarmowym zajmują szpiedzy.

Po jakimś czasie uniosłam głowę. Budynek, który przykuwał moją uwagę, był niewielkim, ładnym georgiańskim domem z wielkimi, bardzo czystymi oknami.

I była w nim Rose. Siedziała w pokoju, prawdopodobnie sypialni, w swoim mieszkaniu na parterze, rozmawiając z kimś, kogo nie widziałam. Wyglądała tak, jakby się wybierała w jakieś eleganckie miejsce, miała na sobie czarną lnianą spódnicę i dopasowany żakiet, ozdobiony bukiecikami sztucznych kameli.

Wzięła do ręki szczotkę i przejechała nią po włosach; słońce wydobyło świetliste błyski z brylantów w jej uszach. Zaraz potem pokręciła głową ze zniecierpliwieniem i odgarnęła włosy palcami. Sądząc po poważnej minie, rozmowa z tą drugą, niewidoczną osobą, musiała być trudna.

Nie przestając mówić, podniosła się z miejsca, podeszła do komody i zaczęła przeglądać jakieś papiery. Towarzysząca jej osoba musiała w tym momencie coś powiedzieć, bo Rose zniechęciła się i uśmiechnęła do niej.

W rogu przy oknie widać było zarys łóżka przykrytego stylową biało-niebieską narzutą. Bardzo ładną i bardzo typową dla Rose. Usiadła na niej, ułożyła papiery obok siebie i wsunęła stopy do butów na wysokich obcasach.

Czy Nathan zajmował to łóżko? Wymykał się z biura z butelką szampana? Kładł na tej biało-niebieskiej narzucie swoją pierwszą żonę i dotykał ustami jej nagiego ramienia, tak jak dotykał mojego? Wsparty na łokciu zadawał jej pytanie w rodzaju: „Potrafisz mi wybaczyć to, co zrobiłem, Rose?”. Albo mruczał: „Nie mogę żyć bez ciebie”.

Czy teraz tam siedział, niewidoczny dla mnie?

Odwrociłam głowę tak gwałtownie, że strzyknęło mi w szyi. Rose mogła cierpieć z powodu sytuacji życiowej, w jakiej się znalazła, ale było jasne jak słońce, że nie cierpiała. Właściwie nie wiem, co sobie wyobrażałam - że Rose dokona żywota na jakimś statku-więzieniu, harując ponad siły? I nie wiem, skąd mi się wzięła myśl, że ktoś, kogo tak skrzywdziłam, powinien bardziej cierpieć? Ale tak myślałam.

Czułam w ustach smak nienawiści i rozpacz, czułam w nagrzanym samochodzie odór własnego potu. Znów się odwróciłam, żeby zajrzeć w błyszczące okna Rose; tak naprawdę patrzyłam w ukryte w moim umyśle lustro, w którym odbijał się mrok i zamęt.

Moją uwagę przyciągnął mężczyzna z bukietem wiosennych kwiatów - pięknych, białych i żółtych w otoczeniu bladej zieleni. Przeciął jezdnię, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, i skierował się do domu Rose. Wysoki, ze spłowiałymi od słońca włosami, ubrany w znoszone spodnie niepasujące do brązowej marynarki ze skórzanymi łatami na łokciach. Znałam go dobrze z fotografii.

Nacisnął guzik dzwonka. Minęła dobra minuta, nim drzwi się otworzyły. Minuta, podczas której Rose powiedziała do Nathana: „I co powiesz?”. A Nathan odparł: „Nie ma sensu dłużej tego ukrywać”.

Rose stanęła na progu.

- Hal... - usłyszałam jej głos. - Och, dobrze, że jesteś. Dobrze. - Uniosła się na palcach, żeby go pocałować, a on otoczył ją ramieniem. A zaraz potem Rose zawołała przez ramię: - Mazarine. On tu jest. - I do drzwi wyszła jakaś elegancko ubrana kobieta. Wypuściłam wstrzymywany oddech.

Przez chwilę rozmawiali we trójkę. Mazarine była niewysoką kobietą o starannie ufarbowanych włosach. Mówiąc, dużo gestykulowała. Hal mniej się odzywał; rozbawiony stał, obejmując ramiona Rose. Kiedy się uśmiechał, pogłębiały mu się zmarszczki na twarzy. A Rose? Rose promieniała, wyraźnie ożywiona i szczęśliwa. Pewnie budziła się z tym szczęściem co dnia, odmierzając nim mijające sekundy i minuty.

Dawało się łatwo wyczuć, że tę trójkę łączy sprawdzona przez czas lojalność. Nawet gdybym nie wiedziała, kim są, byłoby dla mnie jasne, że są starymi przyjaciółmi. Ale ja wiedziałam, kim są. Przed laty, siedząc nad sałatką stanowiącą lunch, rozmawialiśmy o różnych rzeczach, między innymi o przyjaźni Rose z tymi ludźmi.

Z nosem wetkniętym w kwiaty Rose wróciła na moment do domu, po czym znów wyszła i zamknęła drzwi na klucz. Hal wziął obie kobiety pod ręce i razem wyszli na ulicę. Byli zbyt zajęci rozmową, żeby mnie zauważyć. Kiedy mijali mój samochód, usłyszałam, jak przyjaciółka Rose mówi:

- *C'est la bêtise, Rose. Tu sais.* Hal jest niemożliwy... - Rose odwróciła głowę i spojrzała na Hala.

Skierowali się w przeciwną stronę i po chwili zniknęli mi z oczu.

Wróciwszy do domu, weszłam do gościnnego pokoju na górze i zaczęłam szukać notatnika Nathana. Ale już go tam nie było. Białe róże z obrazu na ścianie tkwiły w wyzywającym bezruchu. Zwiędłe płatki rozsypane wokół wazonu układały się w drwiące przesłanie: „Wszystko trwało tak krótko”.

Przeniosłam wstydlive poszukiwania do gabinetu Nathana na parterze. Przeglądałam półki z książkami, otwierałam szuflady, przerzuciłam korespondencję na tacce.

Nic.

Czyżbym traciła zmysły od podejrzeń i przypuszczeń? Możliwe. Czyżbym popadała w szaleństwo od złości i żalu buzujących mi w mózgu? Podniósłszy wzrok, napotkałam swoje rozmyte odbicie w okiennej szybie. Ujrzałam kobietę duszącą się z nienawiści i palącego poczucia winy, a w pobliżu nie było życzliwego chirurga ze skalpelem, żeby upuścił z niej trucizny.

Po jakimś czasie musiałam się pogodzić z przegraną. Nathan wycofał się z rozmowy, którą usiłowałam podtrzymać. Zacierał ślady, odmawiał mi nawet tego maleńkiego przystępu, jaki do niego miałam.

Może gdybym zachowała niezachwiane, wymuszone angielskie milczenie, sprawy miałyby się inaczej. Może gdyby wiedział, że ja wiem, ale nie próbuję obrócić tego w słowa, byłby zadowolony? Nawiasem mówiąc, „Udane związki” nie zawierają żadnych uwag na ten temat.

Jako cudzołożnica byłam przynajmniej barwna i użyteczna. Potrzeba nam grzeszników, żebyśmy mogli się czuć lepsi. Jako „inna kobieta”, jak nazwała mnie Poppy, także byłam przydatna. Jako druga żona budziłam mniejsze zainteresowanie i emocje. Ale tylko to mi zostało. Bez wątpienia moralisci mieli powody do radości i nawet mogłabym im na nią pozwolić... pod warunkiem że najpierw powiem to, co mam do powiedzenia: Nathan był nieszczęśliwy z Rose.

Przed wyjściem z gabinetu Nathana wzięłam samoprzylepną karteczkę i napisałam na niej: „Nie odchódź”.

Przylepiłam ją do drzwiczek szafki.

Rozdział dziesiąty

Nathan nigdy nie wspomniał o tym, czy znalazł moją karteczkę. Ja też o niej nie mówiłam. Ale kiedyś rzuciłam mimochodem:

- Pilnujesz spraw w Vistemaksie? Nathan nigdy nie był głupi.

- Wiesz o czymś?

Jakiś nerw zadrgał mi w policzku.

- O niczym nie wiem. Ale to dżungla i musisz się mieć na baczności.

- Gisela coś mówiła?

- Nie. Ale nie ufam Rogerowi.

- Powiedzieć ci coś? Ja też nie. - Położył palec na moim ramieniu i nacisnął w miejscu, gdzie na obojczyku znajduje się splot nerwowy. - Miejmy nadzieję, że nic się nie stanie. W przeciwnym razie... cóż, wiele rzeczy poza pieniędzmi stanie się problemem.

Jego ucisk był bolesny.

- Gisela ma kochankę, Nathan.

Znieruchomiał.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Obiecałam, że nie powiem. Ale pomyślałam, że powinieneś wiedzieć. To może pomóc. Jesteś moim mężem, więc wiadomo, po czyjej jestem stronie. On, ten kochanek, chce, żeby Gisela odeszła od Rogera. Ale nie sądzę, żeby się na to zdecydowała.

Nathan cofnął rękę.

- Nigdy nie wiesz, do czego ludzie są zdolni.

Rzeczywiście, nigdy nie można być pewnym. Popatrzyłam na Nathana.

Tak naprawdę miałam ochotę spytać: „Będziesz się znowu widział z Rose?”.

Gisela zadzwoniła do mnie do pracy.

- Jak tam nowe obowiązki? - Odpowiedziałam, że jak na razie, po dwóch tygodniach, idzie mi nieźle; spytała, czy mogłybyśmy tego dnia zjeść razem lunch. - Wiem, że dzwonię w ostatniej chwili, ale muszę z tobą o czymś porozmawiać - dodała.

Napisałam: „Taniec? Serial?” na artykule o baletnicach, który czytałam w „Harpers Magazine”, przyznałam, że mam wolną chwilę, i ustaliłyśmy, że zgarnie mnie z biura za piętnaście pierwsza.

Przyjechała służbowym autem Rogera. Wnętrze spryskane było sztucznym zapachem kwiatów, który natychmiast budził tęsknotę za smrodem smoły lub końskiego nawozu, w każdym razie czegoś naturalnego. Luksusowa skórzana tapicerka dawała poczucie izolacji od realnego świata (i pewnie dlatego dyrektorzy firm tak ją lubili).

Głowę miałam pełną pomysłów, tych z tiulowymi skrzydłami, gotowych do lotu.

- Co sądzisz o telewizyjnym cyklu na temat tańca nowoczesnego? Salsa, tango... - paplałam, dopóki się nie zorientowałam, że Gisela w ogóle mnie nie słucha. - O czym chciałaś ze mną rozmawiać?

- O paru rzeczach - odparła zagadkowo. - Po pierwsze o Vistemaksie. Ale najpierw trochę się rozerwijmy.

- Jak się miewa Roger?

- Chodzi ponury. Ma mnóstwo zajęć. Mówi się o sprzedaży „Digest” i wydaniu darmowej gazety. Najwidoczniej młodsze pokolenie nie czytuje gazet i reklamodawcy to zauważyli. Ale Roger jakoś sobie radzi... - dodała szybko. Wskazała ręką za okno. - Widziałaś tamte buty?

Wyobraziłam sobie Nathana i Rogera siedzących bez marynarek przy lśniącem stole konferencyjnym, na którym stoi woda mineralna, kryształowe szklanki i patera z owocami - fantazja szefa kuchni: egzotyczne delikatesy w rodzaju papai i anyżu gwiazdkowatego, których nie tknąłby żaden normalny mężczyzna.

- Roger zapewnia mi przyjemne życie - mówiła z rozmarzeniem Gisela. - I obiecał mi wesołe wdowieństwo. Nie rób takiej miny, Minty. Nieraz o tym z Rogerem rozmawialiśmy.

Samochód przejechał przez Piccadilly i skręcił w lewo, w Dover Street, a następnie w jedną z bocznych uliczek przy Bond Street, by w końcu zatrzymać się przed galerią z wykuszową witryną i dyskretnym złotym napisem na szybie: „Shipley - Sztuki Piękne”.

Gisela zgrabnie wyśliznęła się z samochodu. Ubrana była w żakiet ze skóry tak miękkiej, że wyglądała jak jedwab, a krojony tak doskonale, że ani jedna zmarszczka nie zakłócała linii ramion.

- Chodź. - Skinęła na mnie.

Galeria mieściła się w prostokątnym pomieszczeniu wymalowanym na kremowy kolor i wyłożonym starą drewnianą posadzką. W jednym końcu znajdowało się biurko ozdobione kompozycją kwiatową w tonacji różu i bieli oraz dwa rachityczne krzesła. Nic nie wskazywało, że dochodzi w tym miejscu do jakichkolwiek transakcji, nie widać było żadnych papierów, jedynie stos katalogów.

W przeciwnym końcu dwaj mężczyźni stali przed wielkim obrazem. Przedstawiał trzy pudła różniące się wielkością, zawieszane na nocnym niebie upstrzonym gwiazdami i planetami. Pudła wyglądały tak, jakby można było powkładać jedno w drugie, gdyby nie uniemożliwiały tego przywieszane do każdego z nich przedmioty. Pierwsze, pomalowane na czerwono, miało łańcuch z piłką, na której widniało słowo „bieda”. Do boków drugiego przywarły dziesiątki nagich niemowląt; było ich tak wiele, że dwoje odpadło i leciało w przestrzeń. Z trzeciego pudła wyrastało drzewo, ładny łukowaty kształt z brązowymi, zwiedłymi liśćmi. Obraz został zatytułowany: „Powolna Apokalipsa”.

- Doskonały - szepnęła mi wprost do ucha Gisela.

- Tak?

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Będziemy musieli podszkolić ci oko.

Bez wątpienia była to aluzja - bynajmniej nie pochlebna - do Nathanowego upodobania do kornwalijskich pejzaży. Gisela uniosła lekko brwi, ale mimo iż do pewnego stopnia podzielałam jej zastrzeżenia w tym względzie, nie miałam zamiaru wrzucać Nathana w czarną dziurę spaczzonego gustu.

Wyglądziła rękaw żakietu, a ja swoim niewyszkolonym okiem dostrzegłam, że drżą jej ręce.

- To Marcus. - Wskazała na wyższego z mężczyzn.

Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Zaskoczyła mnie. A więc właśnie z tym mężczyzną łączyła Gisela szczególna przyjaźń i prawdopodobnie kochała go. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Ubrany był w lniany garnitur (dość wygnieciony) ze złotym łańcuszkiem od zegarka. Miał gęste, niesforne włosy, trochę za małe, ale ładne oczy i ogólnie miły wyraz twarzy. Mówił płynnie i dużo gestykulował.

- Po prostu nadać jako przesyłkę... dwa tygodnie. Ubezpieczenie... - I tak dalej. Uniesieniem ręki dał znać, że dostrzegł naszą obecność.

- Okey. - Klient był Amerykaninem, sądząc po stroju, zamożnym. - Zadzwoń, żeby omówić szczegóły.

Marcus uprzejmie odprowadził go do drzwi, po czym odwrócił się w naszą stronę.

- Witam. - Dotknął ramienia Giseli. - To musi być Minty. - Uścisnęliśmy sobie dłonie. - Wybaczcie, ale właśnie finalizowałem sprzedaż, nad którą od dawna pracowałem. - Oczy mu błyszczały radością z udanej transakcji, a głos miał zaskakująco głęboki. - Nieźle, co? Dopiero co otworzyłem ten interes, a muszę płacić czynsz. - Uniósł ramiona gestem, który miał mnie zachęcić do podzielenia jego oburzenia niegodziwością kamieniczników. - Shiptaka jest niezwykłym malarzem. Mam nadzieję, że obejrzyte resztę wystawy.

Wyczułam, że moje towarzystwo nie jest im niezbędne, i oddaliłam się, zauważywszy przedtem, że Marcus przyciąga do siebie Giselę.

Na moment oparła się o niego całym ciałem.

- Jak się miewasz, Marcus?

- Doskonale wiesz, jak się miewam. - Akcent padł na słowo „doskonale”.

- Nie przyjechałabym, gdybym wiedziała, że będziesz taki zły.

- Nie wysilaj się na te gierki, Giselo - powiedział Marcus swoim głębokim głosem.

A Gisela (ta chłodna, opanowana Gisela) wyraźnie zadrżała.

- Przepraszam.

Stojąc w sąsiednim pomieszczeniu, oglądałam podłużny obraz zatytułowany „Poddanie”. Przedstawiał serię szerokich poziomych pasków biegnących przez paletę czerwieni, od ceglastej do najbledszego różu. Oko miało ochotę pozostać przy czerwieni na górze płótna i potrzeba było świadomego wysiłku, by przeciągnąć wzrokiem w dół przez całe spektrum odcieni. Prawdopodobnie o to właśnie chodziło. Dopiero po dokładnym obejrzeniu dolnej części obrazu dostrzegłam, że w bladym różu zawiera się mglisty zarys Afryki. Związek pomiędzy ładnym różowym kolorem a sugestią, że Afryka się wykrwawia, miał szokować i rzeczywiście szokował.

Szmer rozmowy dobiegającej z drugiego pokoju przerywany był raz po raz podniesionym głosem Marcusa.

- Chyba dosyć już tego bałaganu?

Gisela powiedziała coś, czego nie dosłyszałam, a Marcus dodał:

- Staaliśmy pod murem, Giselo.

Wróciłam do głównego pomieszczenia galerii. Marcus, oparty o biurko, wpatrywał się w swoje buty. Gisela, czerwona ze zdenerwowania, bawiła się swoim naszyjnikiem z perskiego koralu.

- Chyba już pójdę - zwróciłam się do nich.

- Ja też idę. - Gisela chwyciła torebkę.

Marcus wywrócił oczami, odpychając się od blatu biurka.

- W porządku.

Gisela otworzyła torebkę, wyjęła lusterko i zaczęła przypudrowywać skórę pod oczami.

- Daj mi minutę.

- Proszę mi coś powiedzieć o tym artyście - zwróciłam się do Marcusa.

Marcus bez mrugnięcia okiem przestawił się na zawodowy ton.

- Porzuconym na ulicach Kioto zaopiekowała się emerytowana gejsza. To malarz polityczny...

Ponad moim ramieniem popatrzył ze złością na Giselę. Kiedy wychodziłyśmy, Marcus ujął Giselę za podbródek, zmuszając ją, żeby na niego spojrzała.

- Kolacja jutro. Jesteś mi to winna.

Idealnie wypielegnowana, porcelanowa twarz Giseli wyrażała jedną wielką tęsknotę i pragnienie. Zachowywała się potulnie, wręcz posłusznie.

- Zatem do jutra.

Jednak kiedy tylko opuściliśmy galerię, natychmiast znów stała się sobą.

- Podobał ci się?

- Bardzo. Ale wybacz, wydaje mi się, że nie jest w twoim typie.

Wzięła mnie pod rękę.

- I o to właśnie chodzi. Nie jest. Czyż życie nie bywa zabawne?

Omijając stertę śmieci wysypujących się z czarnego plastikowego worka, wyszłyśmy na ulicę.

- Roger pewnie wie? - zagadnęłam. - Jak znajdujesz czas na spotkania z Marcusem?

- Och, to drobiazg. - Gisela okazała zniecierpliwienie. - To się zawsze da jakoś zorganizować. A jak ty się spotykałaś z Nathanem? Ale Roger nie wie i nigdy się nie dowie. Okey? - Ścisnęła mnie za łokieć. - Okey?

- Okey.

Przeszłyśmy na drugą stronę ulicy.

- Poznałam Marcusa, kiedy miałam osiemnaście lat i byłam już zamężna z Nicholasem, moim ojcem chrzestnym - powiedziała Gisela. - Nicholas miał pięćdziesiątkę, był zamożny, troskliwy i wielkoduszny. Marcus przyszedł skatalogować jego zbiory książek i od tamtego czasu regularnie pojawia się w moim życiu.

- Czemu za niego nie wyszłaś po śmierci Nicholasa?

Gisela zatrzymała się gwałtownie, wskazując palcem na narożną witrynę sklepu Hermesa. Leżała tam, na fałdach udrapowanego jedwabiu, elegancka beżowa torebka.

- Człowiek się przyzwyczaja do pewnych rzeczy, a Marcus był wówczas bardzo, ale to bardzo biedny. Twierdzi, że jestem poszukiwaczką złota. I ma rację, bo jestem.

Szłyśmy dalej ulicą w stronę restauracji, do której Gisela zabierała mnie na lunch; obok nas z jednostajnym szumem przepływał sznur samochodów, ze sklepowych wystaw kusiły różne godne pożądania przedmioty.

- Gdybym była z Marcusem, szybko byśmy się sobą znudzili - ciągnęła temat Gisela. - Nie chciałam tego, Minty. - Pchnęła mnie lekko w kierunku wejścia do jakiegoś ekskluzywnego lokalu. - Chcę ci postawić porządny lunch.

Kiedy w wytwornym foyer portier pomagał mi zdjąć płaszcz, zadzwoniła moja komórka.

- Tak?

- Minty? - Poczułam, jak ramiona pokrywa mi gęsia skórka. - Tu Rose.

Może jednak Rose mnie widziała przed swoim domem i dzwoniła z ostrzeżeniem, bym tego więcej nie robiła. Albo chciała spytać, dlaczego tak się zachowuję?

Stężałam, nieprzyjemnie zaskoczona.

- Rose, to nie jest dobry moment. Mogę ci oddzwonić? Głos Rose brzmiał jakoś nienaturalnie. Głośno, jakby z wysiłkiem wciągnęła powietrze.

- Minty, czy jest ktoś obok ciebie... obawiam się... że musisz się przygotować. Minty... Minty... Nathan... - Zebrała się w sobie. - Minty, chyba musisz natychmiast przyjechać. Nathan nie czuje się dobrze, więc chyba będzie lepiej, jak zaraz przyjedziesz...

- Dokąd? - Zaniepokojona moim tonem Gisela położyła mi dłoń na ramieniu. - Gdzie mam przyjechać?

- Do mojego mieszkania. Najszybciej, jak możesz.

- Co się stało? - spytała Gisela wysokim, niemal piskliwym głosem.

- Chodzi o Nathana, coś z nim nie tak. Dzwoniła Rose. Nathan jest u niej.

- O mój Boże... Nie sądziłam... - Urwała, przywoławszy się do porządku. - Dobrze. Jadę z tobą taksówką.

- Co on robi u niej? Giselo, jak myślisz, co się mogło stać?

- Wezwijmy taksówkę - ucięła krótko Gisela.

Niewiele pamiętam z tego, co się działo potem, poza szybką jazdą i ostrym hamowaniem na światłach. W pewnym momencie jakiś motocyklista podjechał tak blisko, że kierowca taksówki go obsztorcował.

- Nie powinnaś ze mną jechać - powiedziałam do Giseli. - Nie ma takiej potrzeby.

- Brzmiało to trochę niepokojąco, ale pewnie nic wielkiego się nie stało - odparła. - Zresztą chciałabym poznać tę słynną Rose.

- Giselo - powtórzyłam. - Co Nathan robi u Rose?

Unikała mojego wzroku.

- Pewnie ma jakiś ważny powód, żeby tam być.

Gapiałam się przez okno taksówki. Nathan i Rose. Dawne czasy.

Trzymając jedną rękę na mojej nodze dla dodania mi otuchy, Gisela wychyliła się ku kierowcy, udzielając mu niezbędnych wskazówek. Raz odwróciła się do mnie, żeby spytać o jakiś szczegół. Usłyszałam własny, drewniany głos:

- W lewo przy końcu ulicy, a potem w prawo...

Czy Nathan był naprawdę chory? Dzwonił do mnie tego ranka, kiedy szłam do pracy. Odbyliśmy lekką, prawie serdeczną rozmowę.

- Zgubiłem okulary.

- Widziałam, jak je wkładałeś do teczki.

- Aha.

- Co masz dzisiaj w planie?

- Roger chce się ze mną widzieć w jakiejś sprawie. Prawdopodobnie chodzi o ten dodatek o Afryce, który mamy wydać na jesieni. Jak pomagać, nie narzucając naszych zachodnich wartości autochtonom. Nie ma szans, żeby kogokolwiek przekonać, bo w tym wypadku cała ta polityczna poprawność to jedna wielka bzdura.

Roześmiałam się wówczas, a teraz, w pędzącej taksówce, czując niespokojny łomot serca w uszach, zastanawiałam się, czy Nathan słyszał mój śmiech.

Przecież Nathanowi nie mogło się nic stać! A może jednak się stało? Może Nathan tak bardzo tęsknił za miłymi, czułymi słówkami, jakie wymieniają między sobą szczęśliwe pary, że poszedł do Rose i powiedział: „Wróćmy do tego, co było”. I ten wysiłek mu zaszkodził.

Ostatnio wyglądał blado.

Kiedy dotarliśmy do świecącego oknami domu Rose, zaczęłam szukać w torebce pieniędzy na taksówkę.

- Chyba powinnam z tobą zostać, Minty. Może Nathan doznał jakiegoś wstrząsu.

- Giselo, ty o czymś wiesz? - spytałam podejrzliwie. Odepchnęła moją dłoń, w której trzymałam banknoty.

- Ja zapłacę.

Drzwi do mieszkania Rose się otworzyły, sama Rose pojawiła się na progu. Była bardzo blada. Jeszcze nie widziałam twarzy aż do tego stopnia pozbawionej koloru. Na policzkach miała czarne smugi rozmazanego tuszu do rzęs. Popatrzyła najpierw na mnie, potem na Giselę.

- Proszę wprowadzić Minty do środka - zwróciła się do niej.

Weszłam do niewielkiego holu z piaskową posadzką i jasnoseledynowymi ścianami. Przeszło mi przez myśl, że mogłabym mieszkać w takim wnętrzu.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się Rose, rzucając Giseli ostrzegawcze spojrzenie. Ujęła moje dłonie; jej dotyk mnie palił. - Minty, wejdz i usiądź w kuchni, proszę.

Wyswobodziłam ręce z jej uścisku.

- Gdzie jest Nathan? - Rose potrząsnęła głową; niepokój w jej oczach ustępował miejsca narastającemu lękowi. - Skąd się tu wziął?

- Proszę cię, Minty - wydukała. - Chodź... usiądź. - Przez moment sprawiała wrażenie całkiem bezradnej, ale szybko zebrała się w sobie. - Wejdz do kuchni. - Jeszcze raz spojrzała na Gisellę. - Może mi pani pomóc?

- Nathan odszedł? - zawołałam przestraszona. - O to chodzi? Powiedz mi.

Rose zadrżała.

- Próbuję ci wyjaśnić, Minty, ale nie wiem, jak to zrobić.

- Coś mu się stało, tak?

- Tak - potwierdziła, znów chwytając mnie za rękę. Jej palce wpijały mi się w skórę. - Tak, stało się.

- Ale co?

- Czy Nathan ostatnio nie narzekał na zdrowie?

- Nie... to znaczy tak. Trochę się o niego martwiłam. Rose ciągnęła mnie w stronę kuchni.

- Muszę z tobą porozmawiać... zanim... - Wzrokiem poszukała wsparcia u Giseli. - Niestety nie wiem, jak się pani nazywa, ale czy mogłaby pani namówić Minty, żeby usiadła?

Ale ja się zapałam w miejscu.

- Powiedz wprost, o co chodzi, Rose. Masz coś na sumieniu? - wyrzuciłam z siebie pierwszą myśl, jaka mi przyszła do głowy, z nadzieją że opóźnię to, co było przyczyną bladości i roztrzęsienia Rose. - Co wy dwoje knujecie? - Odwróciłam się w stronę drzwi prowadzących w głąb mieszkania. - On tam jest? Nathan! - zawołałam. - Nathan, jesteś tam?

- Nie wchodź... nie wchodź tam. Jeszcze nie teraz. - Rose położyła mi obie ręce na ramionach. - Minty, musisz się przygotować.

W głowie wirowały mi, niczym w szyderczym tańcu, różne możliwości. Nathan mnie zostawił. Lekarz przekazał mu złe wiadomości. Nathan wrócił do Rose.

- Knujecie coś wspólnie z Nathanem? - W złości nie starałam się być uprzejma. Bałam się... i nie potrafiłam wybaczyć, że mój mąż szukał wsparcia u Rose. Próbowałam ją wyminąć, ale chwyciła mnie za rękę tak mocno, że aż syknęłam z bólu.

- Minty, posłuchaj... Przykro mi, ale Nathan nie żyje.

Gisela głośno wciągnęła powietrze, a ja skamieniałam w miejscu. Zupełnie ogłupiała kręciłam głową, nie odzywając się przez dobre pół minuty. W końcu się otrząsnęłam i powiedziałam całkiem spokojnym głosem:

- Nie wygłupiaj się. Rozmawiałam niedawno z Nathanem. Zastanawiał się, gdzie podział okulary. Nie mógł ich znaleźć... - Gisela obejmowała mnie w pasie. Kiedy moje słowa rozplynęły się w ciszy, pomyślałam o chłopcach.

Nie byłam przygotowana. To nie było tak, że oboje z Nathanem zmierzaliśmy do tego momentu. Nie sporządziłam listy. „Oswoić się z tą myślą. Przeczytać w poradniku o żałobie...”. Nie usłyszałam od żadnego lekarza: „Przykro mi, ale...”. Ani od Nathana: „Minty, musimy się pogodzić z tym że...”.

Malarstwo i literatura są pełne scen pożegnania. Żony klęczą przy łóżku... nie zawsze płacząc. Dzieci zazwyczaj stoją w nogach łóżka, płacząc za siebie i za żony. Odziani na czarno krewni czekają na zewnątrz. To pierwsze stadium odchodzenia, ta chwila wielkiego napięcia i podniosłego smutku, powtarzała się tak wiele razy z upływem wieków, że każdy dobrze znał swoją rolę.

Znalazłam się w ciasnym objęciu kobiecego ramienia; owiał mnie słodki jaśminowy zapach. Ramię należało do Rose, objęcie było sztywne i niezręczne.

- To nie jest żart, prawda, Rose? - wymamrotałam.

- Żart? - wykrzyknęła zdumiona.

Odsunęłam się od niej tak gwałtownie, że Gisela wyciągnęła rękę, by mnie przytrzymać.

- Kiedy?

- Godzinę temu. Nie wiem. To się stało... szybko. Bardzo szybko. Tylko westchnął i było po wszystkim.

Przyjrzałam się uważnie swoim dłoniom. Na czwartym palcu lewej ręki miałam niedokładnie wyciętą skórkę, a paznokcie kciuka trochę nadłamane.

Gisela nachyliła się i dotknęła mojego policzka. Była wstrząśnięta i nienaturalnie ożywiona.

- Co mogę zrobić, Minty? Powiedz mi.

- Idź - odparłam. - To najlepsze, co możesz zrobić. Potrzebuję trochę czasu.

Gisela poprawiła na sobie nieskazitelny skórzany żakiet.

- Oczywiście. - Po chwili zamknęły się za nią drzwi. Oderwałam w końcu wzrok od swoich dłoni.

- Chyba muszę usiąść.

Dałam się zaprowadzić do kuchni i posadzić na krześle.

- Musisz chwilę odczekać, żeby dojść do siebie - powiedziała łagodnie Rose. Postawiła przede mną szklankę wody. A ja, gapiąc się na wodę, myślałam o tym, że Nathan nie żyje.

Po jakimś czasie zapytałam:

- Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście. - Zawahała się. - Nie ruszali go. Było już za późno, kiedy przyjechała karetka. Nic przy nim nie robili. Nie ma się czego bać, Minty, zapewniam cię. - Głos Rose dudnił mi w uszach. - Lekarz będzie tu lada chwila. Żeby wydać akt zgonu. Obawiam się, że to konieczne.

- Tak. - Wmusiłam w siebie łyk wody; ten toast bez smaku towarzyszył mojemu przejściu ze stanu małżeństwa do wdowieństwa. Ukryłam twarz w dłoniach. Jak powiedzieć chłopcom? Lucas tego ranka miał nudności. Czy wymiotował? - Rose, muszę zadzwonić do domu.

- Zrobię to za ciebie - zaoferowała Rose. - Wytłumaczę, że wrócisz później, ale nie będę się wdawać w szczegóły. - Pochyliła się nade mną. - Tak będzie lepiej? Chyba tak.

Kiedy wypiłam całą wodę, Rose pomogła mi się podnieść i podprowadziła mnie pod drzwi salonu.

- On tam jest - powiedziała, cofając się od progu.

Rozdział jedenasty

Pokój miał ściany wymalowane na różowo, przy otwartym oknie stał fotel obity spłowiełą bładoniebieską tkaniną, na ścianach wisiało kilka obrazów, a na małym stoliku przy sofie stało zdjęcie.

Powietrze wpadające przez okno było chłodne i wilgotne, takie, od jakiego zwykle kręcą się włosy. Niosło jednak w sobie obietnicę wiosny, bo leciutko pachniało kwiatami z krzewu rosnącego pod oknem.

Siedział w niebieskim fotelu. Popatrzyłam na fotel, skupiając wzrok na poduszce. Uszyta była z surowego jedwabiu, wyglądała na starą i miała na sobie zdumiewającą różnorodność faktur i kolorów.

Miałam wrażenie, że moje stopy nie dotykają podłogi, krew szumiała mi w uszach. Notowałam w myślach detale wyposażenia pokoju. Gdyby mnie przesłuchiowano w sądzie, mogłabym powiedzieć o nim wszystko. Sędzia uznałby, że jestem bardzo pomocna. Niezastąpiona.

Stałam przed niebieskim fotelem.

„Planujemy wydać dodatek o Afryce na jesieni - słyszałam słowa Nathana. - Nie powinnaś zatrzymać Lucasa w domu?”

Siedział cofnięty w głąb fotela, w naturalnie pochylonej pozycji, zwrócony twarzą do drzwi, jakby kogoś lub czegoś nasłuchiwał. Pukiel włosów opadł mu na czoło, tylko nieznacznie posiwiały. Usta, lekko rozchylone, układały się w pogodny wyraz. Czy rozmawiał z Rose, kiedy jego serce nagle zatrzepotało, podskoczyło i oświadczyło: „dosyc”? Lewą rękę miał ułożoną wzdłuż ciała, wnętrzem dłoni ku górze, z lekko podwiniętymi palcami.

Nadal był Nathanem - z jego budową, zarysem podbródka, szerokością czoła. A jednocześnie stał się daleki. Pomiędzy jednym uderzeniem serca a drugim, które nie nastąpiło, podniósł ko-

twicę i odpłynął daleko. Oddalał się od swoich dzieci, od życia ze mną, w stronę horyzontu, o którym nic nie wiedziałam.

- Nathan... - Wyciągnęłam rękę i odgarnęłam mu z czoła niesforny kosmyk. Lubił wyglądać schludnie. Miał wciąż ciepłą skórę, więc na moment zabłysła we mnie nadzieja, że mogłabym wybiec z pokoju, wołając: „On nie umarł, tylko śpi”.

Dotknęłam jego palca, pragnąc, żeby chwycił mnie za rękę. Co mogłam wyczytać z tej twarzy z niewidzącymi, zamkniętymi oczami? Nie było na niej cierpienia, o ile mogłam się zorientować, tylko zaskoczenie... i coś jakby... ulga?

Z sąsiedniego pokoju dobiegał szmer głosu Rose.

Czy ona też delikatnym ruchem przesunęła palcem po jego twarzy, od nosa do podbródka? Czy pochyliła się nad nim, by się upewnić, całkiem upewnić, czy z jego ust nie wydobywa się niemiły zapach, tak jak ja zrobiłam? Czy opadła na kolana i szepnęła: „Nie wierzę, że nie żyjesz, Nathan”, tak jak ja teraz szeptałam?

Nie uroniłam ani jednej łzy, ponieważ szok stłumił we mnie tę normalną reakcję, odbierając mi możliwość pocucia łatwej ulgi. Jeszcze raz przyjrzałam się twarzy Nathana. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?, pytałam nieruchomą postać, klęcząc przed nią niczym skruszona winowajczyni. Wiedziałam... bałam się, że Nathan walczył z chorobą całkiem sam. „Powinieneś być mnie wezwać. Przyszłabym. Oczywiście, że bym przyszła”.

Jak miałam powiedzieć jego dzieciom?

Jakich miałam użyć słów? Palce u nóg mi zdrętwiały, ale cieszyłam się z tej niewygody.

W końcu ból stał się zbyt dokuczliwy, więc podniosłam się z kolan i odszukałam Rose. Była w kuchni, siedziała przy stole z głową w dłoniach. Na moje wejście podniosła wzrok.

- Dobrze się czujesz?

- A jak myślisz? Pokręciła głową.

- Nic nie myślę, Minty. Opadłam na krzesło.

- A ja myślę, jak niesprawiedliwie los potraktował Nathana. Nie zasłużył na to.

Rose podniosła się od stołu, poszperała w kredensie, wyjęła stamtąd butelkę i podała mi napelniony kieliszek.

- Brandy. Dobrze nam zrobi, jak się napijemy.

Kieliszek był ciężki, z rżniętym wzorem. Rozpoznałam go, mieliśmy dwa identyczne na La-key Street. „Podzieliliśmy rzeczy - wyjaśnił mi Nathan, kiedy rozwiedli się z Rose. - Równy, jak leci. Należała jej się połowa wszystkiego”. - Był tak zadowolony ze swej wielkoduszności, iż zamknęłam usta, powstrzymując się przed uszczypliwą uwagą, że dwa kieliszki z kompletu liczącego

cztery nie są takie znowu przydatne, a połowa posrebrzanych sztućców również znacząco ogranicza możliwości ich używania.

Posłusznie napiłam się brandy.

- Były jakieś sygnały, że Nathan ma problemy z sercem? - spytała Rose.

- Nie. Ale też ich nie wypatrywałam. Przyjęła moją odpowiedź bez komentarza.

- Martwiłam się o niego. Nie pytaj dlaczego, bo nie widywałam go tak znów często. Jednak mimo to... - Była zbyt poruszona, żeby się przejmować taktem. - Mimo to istniała między nami więź i czułam, że coś jest nie tak. Próbowалаm go wypytywać o zdrowie, ale znasz Nathana... - Drżącą ręką uniosła szklankę do ust. - Jakie to dla niego typowe, jakie to typowe dla Nathana nie powiedzieć.

Nie potrafiłam mówić o śmierci. Temat i sytuacja były zbyt niepojęte, zbyt przerażające i ostateczne.

- Dzwoniłaś do Eve?

- Tak. Poradzi sobie, więc nie musisz się martwić. Rozmawiałam z nią bardzo oględnie.

Nie zdoławszy się powstrzymać, wypaliłam:

- Z Nathanem też rozmawiałaś bardzo oględnie?

- Przestań, Minty. - Rose odwróciła ku mnie pobladłą twarz. - Przestań.

Przestałam. Zamiast tego zaczęłam szukać rozwiązania tej strasznej zagadki.

- Był na badaniach jakieś dwa miesiące temu. Zdarzało mu się skarżyć, że czuje się zmęczony, ale to wszystko.

Znów zapadła bolesna, przytłaczająca cisza, której nie da się niczym wypełnić. Piłam brandy dużymi łykami, jak sok pomarańczowy. Mówi się, że ludzie ranni podczas bitwy z początku nic nie czują. Dopiero później. Brandy miała temu zapobiec.

Nathan rzadko mówił o śmierci. Przynajmniej do mnie. Zbyt zajmowały nas rozmowy o życiu. A kiedy już o niej wspominał, to było jak przesadne kiwanie palcem. „Byle nie przyszła za szybko”.

Co Nathan robił w mieszkaniu Rose?

Ziębnięta i słaba z trudem próbowałam myśleć o Feliksie i Lucasie. Nie rozumieją, przynajmniej nieprędko. Próbowалаm też myśleć o Samie i Poppy.

I o Rose.

Jednak na usta cisnęło mi się tylko to jedno pytanie:

- Rose, skąd Nathan się tu wziął? - Patrząc w głąb szklanki, czekałam na odpowiedź. - Muszę wiedzieć.

Rose odstawiła swoją brandy i wstała. Wolno podeszła do miejsca, gdzie siedziałam, nachyliła się i mnie objęła. Ten gest był bolesny dla nas obu i obie z trudem go wytrzymałyśmy. Rose musiała go wykonać, ponieważ leżał w jej naturze. Ja musiałam go przyjąć, ponieważ potrzebowałam otuchy płynącej z fizycznej bliskości, choćby od niej. Wydała z siebie głębokie, urywane westchnienie.

- Biedna Minty, co ty sobie musisz wyobrażać...

- Właśnie, co ja sobie muszę wyobrażać - powtórzyłam jak echo.

Przytknęła miękki policzek do mojej twarzy.

- Nathan miał powód, żeby tu być. Powiedział ci, co się stało?

Żałośnie było kłamać, kiedy martwy Nathan znajdował się w sąsiednim pokoju, zwłaszcza jeśli się należało do osób lubiących nazywać rzeczy po imieniu.

- Tak... - mruknęłam, głównie dlatego, że nie wiedziałam, co Rose ma na myśli, a za nic nie chciałam się do tego przyznać.

- Więc wiesz, że Vistemax... - Twarz Rose znalazła się tuż przy mojej twarzy, a jej ramię oplatało mnie jak sidła.

- Tak... - Potwierdzenie zabrzmiało fałszywie, ale uparcie trwałam przy kłamstwie. Kran w zlewie kapał, a lodówka wydawała dziwny stłumiony odgłos, jakby się krztusiła. Obie wiedziałyśmy, że nie mówię prawdy, a Rose zastanawiała się, jak potraktować mój brak wiedzy o czymś, co najwyraźniej miało istotne znaczenie.

- Właśnie dlatego. - Puściła mnie.

Czy śmierć nie powinna być oczyszczająca? Jest ciosem, tak potężnym i miażdżącym, że unicestwia wszelkie drobne niesnaski, podstępny i sekrety. Bez wątpienia wytycza linię.

- Och, na litość boską... - Przygotowałam się na najgorsze. - Nie wiem, Rose. Powiedz mi.

Jednak zadzwonił telefon i Rose odebrała.

- Tak, jego żona tu jest - powiedziała. - Tak, czekamy. - Była chłodna i opanowana, jak osoba nawykła do załatwiania różnych formalności. - To lekarz - zwróciła się do mnie, wciąż trzymając słuchawkę. - Będzie tu lada chwila.

Zniecierpliwiona położyłam obie dłonie płasko na stole.

- Co się stało? I dlaczego Nathan przyszedł... do ciebie. - Naciskałam na blat stołu tak mocno, że zbieleły mi kostki palców. - Dlaczego przyszedł tutaj?

Nie wypuszczając z ręki telefonu, Rose powiedziała prawdę.

- Roger zwolnił go dziś rano. Zwolnił go! - Choć nie do końca niespodziewana, wiadomość była na tyle brutalna, że krew uderzyła mi do twarzy. Przycisnęłam dłonie do policzków. - Biedny Nathan. - Rose odłożyła wreszcie słuchawkę i wpatrywała się w podłogę.

- Więc w końcu go załatwili - powiedziałam. - Zawsze tak jest.

- Vistemax to nie gułag. - Rose oparła się plecami o kuchenny zlew. - A Nathanowi dobrze się u nich wiodło.

- Zawsze widzisz to, co najlepsze w rzeczach i ludziach

- odparłam, ciekawa, jak to możliwe, że nawet w takim momencie Rose zachowuje swoją wielkoduszność. - Często się zastanawiałam, czy to siła, czy słabość.

Rose parsknęła nerwowym śmiechem.

- Pozostawiam ci rozstrzygnięcie. Nie sądzę, żeby Nathan się tego spodziewał. A ty?

Gdybym chciała powiedzieć prawdę, moja odpowiedź brzmiałaby: „Nathan mi się nie zwierzał”.

- Był tam od dawna i znał reguły. - Jednak Nathan najwyraźniej nie znał ich wystarczająco dobrze albo niewystarczająco się chronił przed skutkami cynicznych ocen Rogera. - Przekroczył pięćdziesiątkę... a wszyscy czujemy presję młodości. Pewnie ktoś inny szybko szedł w górę, a wiesz, jak działają w Vistemaksie?

- Owszem - potwierdziła Rose. - Tak się zabawnie składa, że wiem.

- Roger zapewne odpowiednio ubrał to w słowa. Pewnie powiedział: „Zmiany następują szybciej niż kiedykolwiek, więc musimy się w pełni zmobilizować, żeby nie wypaść z gry”. W kwestii form wyrzucania z posady większości ludzi to wystarcza.

Rose dokończyła wymyślony przeze mnie scenariusz.

- Przed końcem zebrania Nathan dał sobie wmówić, że jego poświęcenie jest niezbędne. Nawet pożądane.

Rose mówiła o własnym wyrzuceniu z pracy, tak jak ja mówiłam o swoim.

- Nie. - Musiałam bronić Nathana; dla zasady i dla jasności sprawy. - Nie był aż tak sentymentalny. Znał swoją wartość. Walczył o swoje. Był zły... bardzo, bardzo zły, tak zły, że jego serce nie mogło tego wytrzymać.

Rose się odwróciła.

Rozejrzałam się po kuchni, zatrzymując wzrok na różnych przedmiotach. Biały dzbanek. Przy drzwiach wiklinowy koszyk, z upchniętymi w środku plastikowymi reklamówkami.

- Nathan miał swoje słabe punkty - odezwała się Rose. - Każdy je ma. Roger wiedział, gdzie uderzyć.

Stanął mi przed oczyma Nathan wysłuchujący ujętej w starannie dobrane słowa odprawy. Wiedziałam, wiedziałam, że Roger w swym wyważonym okrucieństwie musiał uderzyć w jego godność. I pewnie w tym momencie Nathan poczuł pierwsze oznaki, że serce go zawodzi. Może

miał duszności i bóle w klatce, ale się do nich nie przyznał? Dobry Boże, Nathan prędzej by umarł (i rzeczywiście umarł), niż poprosił o pomoc człowieka, który go właśnie wywalał z pracy.

Rose dodała:

- Peter Shaker przejmuje jego obowiązki.
- Cóż, jeśli nie co innego, to już to by go zabiło.

Rose wygięła usta w niewesołym uśmiechu.

- Tak, prawdopodobnie.

Później wmawiałam sobie, zmuszałam się do tego, by uwierzyć, że Roger wybrał Petera zamiast Nathana, bo miał ku temu istotny powód. Po latach spędzonych w Vistemaksie Nathan zasługiwał przynajmniej na tyle. Nudny Peter i jego dobroduszna Carlyne w granatowej garsonce ze złotymi guzikami... Oboje nie tak dawna jedli suflet z serem, kurczaka w imbirze i wiśnie w likierze przy naszym stole. W imieniu Nathana poczułam, jak czarna nieopanowana wściekłość wypełnia mi serce po brzegi.

Rose zakrztusiła się i wydała z siebie odgłos przywodzący na myśl wystraszone małe zwierzątko. Odwróciła się gwałtownie i oparta dwoma rękami o krawędź zwymiotowała do kuchennego zlewu. Wstałam, nalałam szklanek wody i wciskając jej do ręki, poradziłam:

- Wypij.

Otarła usta wierzchem dłoni.

- Nie powinno się pić brandy zbyt szybko.

Teraz nadeszła moja kolej, żeby ją objąć i posadzić na krześle.

- Rose, upiłaś się?

To ją otrzeźwiło; na policzki wróciło trochę koloru.

- Nathan był u mnie tylko jakieś piętnaście minut, zanim to się stało. Chciał porozmawiać o tym, co się wydarzyło i jak ma sobie poradzić ze zmianami. Chciał zasięgnąć mojej opinii. - Musiała dostrzec, że odruchowo się zachnęłam, bo dodała: - Z tobą też by porozmawiał, Minty.

To nie podlegało dyskusji i nie było sprawą Rose.

- Nie mów tak.

Sprawiała wrażenie zbitej z tropu.

- Po wizycie lekarza i przedsiębiorców pogrzebowych musisz wyjść, Minty - powiedziała.

- Przedsiębiorcy pogrzebowi?

- Tak, musiałam się z nimi skontaktować. Nathan nie może tu zostać.

Zostawiając Rose w kuchni, wróciłam do zimnego salonu, zapachu wiosny i Nathana.

- Czemu do mnie nie zadzwoniłeś? - zadałam pytanie nieruchomej postaci.

„Ożeniłeś się ze mną, ponieważ...” brzmiał wstęp do tej głupiej, niebezpiecznej gry, w którą graliśmy czasem na początku małżeństwa. Miała tylko jedną zasadę: wszystkie odpowiedzi musiały być żartami. „Wysłałam za ciebie, Nathan, bo mi się podobało, że jeździsz lexusem”.

- I? Co jeszcze, Minty? Mój wygląd, mój dowcip?

- Oczywiście twoje konto bankowe. A ty, Nathan, dlaczego się ze mną ożeniłeś?

- Och, ożeniłem się z tobą, Minty, ponieważ byłaś w ciąży.

W chwili potrzeby Nathan zwrócił się do Rose, nie dlatego że chciał omówić swoją sytuację czy zastanowić się nad przyszłością. Zrobiłby to ze mną i ja umiałabym mu lepiej poradzić. Nie. Nathan zwrócił się do Rose, ponieważ potrzebował jej wsparcia i jej słodczy w godzinie najcięższej próby.

Za moimi plecami Rose weszła do pokoju i zamknęła okno. Doszła do siebie i mówiła całym spokojnie.

- Otworzyłam je, żeby jego dusza mogła swobodnie wylecieć. Myślę... Wydaje mi się, że tak się zwykle robi. - Przekręciła klamkę, a ja miałam ochotę roześmiać się z tego pomysłu. Gdy zaciągnęła zasłonę z gęsto tkanej bawełnianej surówki, z pewnością kosztownej, wyobraziłam sobie, jak dusza Nathana przeciska się przez tkaninę, a potem ulatuje gdzieś w mrok.

- Przyjadą przedsiębiorcy pogrzebowi i będziemy musiały podjąć pewne decyzje. - Rose wyraźnie się wzdrygnęła na myśl o tym, że kiedy dobiegnie końca to spokojne interludium, rozpoczną się zwykle w takich okolicznościach procedury. - Najpierw muszę porozmawiać z Samem i Poppy. - Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby szukała pomocy w wypełnieniu tego przykrego obowiązku, a ja poczułam strach przed tym, co i mnie czekało. - Boję się. To ich dobieje.

- Decyzje?

- Wszyscy musimy zdecydować, czego chcemy. Musimy się zastanowić, czego on by chciał. Poppy i Sam będą mieli swoje zdanie.

- Rose, myślę, że decyzja należy do mnie.

Potrząsnęła głową tak energicznie, że aż zburzyła sobie fryzurę.

- Niemożliwe, Minty. To dotyczy nas wszystkich. Jesteśmy jego rodziną.

- A ja jestem wdową po nim.

- Jak to powiesz Felixowi i Lucasowi? Będzie ci potrzebna pomoc? - Rose przybrała ton, który słyszałam u niej czasami kiedy Sam lub Poppy dzwonili do niej do biura. Niezmiernie łagodny. Uważałam, że brzmi głupio i fałszywie, dopóki nie urodziłam bliźniaków, bo wówczas zrozumiałam, że takim głosem powstrzymuje się panikę.

- Nie - odpowiedziałam bez wahania. Nie chciałam, żeby tą swoją łagodnością i ciepłem kradła mi dzieci.

Spojrzałam na zegarek. Nie mogłam uwierzyć, że jestem tutaj zaledwie od czterdziestu pięciu minut. Zastanawiałam się, kto już wie i może w tym momencie nawet dzwoni z wiadomością do innych albo zamawia wieniec w kwiaciarni. „Z wyrazami najgłębszego współczucia”. Zastanawiałam się, czy zegary staną. Kto będzie szczerze płakał, a kto nie. Zastanawiałam się, czy Nathan był choć trochę przygotowany, czy w ogóle myślał o swojej śmierci. Czy może krąży tam w górze, przeklinając.

- Powinniśmy chyba z nim posiedzieć? - zaproponowała Rose. - Już niedługo tu zostanie.

Posłusznie przysunęłam krzesło do fotela. Nathan oddalał się od nas coraz bardziej, w miarę jak jego ciało zaczynało sztywnieć.

- Twoje dzieci spędziły z nim dzieciństwo. - Byłam zła na niesprawiedliwość, jaka spotkała moich chłopców. - Moim to nie jest pisane.

Rose usiadła na sofie i popatrzyła mi w oczy.

- Tak, Minty, rzeczywiście.

Po chwili Rose zaczęła opowiadać o czasach, kiedy była żoną Nathana. Co roku jeździli na wakacje do Priac Bay w Kornwalii, zawsze do tego samego domu. Opisywała chlupot fal o boki drewnianej rybackiej łodzi, szum przyływu, tłusty zapach makreli.

- Najlepiej zapamiętałam deszcz. Czasami mocno zacinął od zachodu. Kiedy indziej był delikatny jak pieszczota i niepostrzeżenie wsiąkał w ubranie. Choćbyśmy nie wiem jak starannie składali sieci na makrele, zawsze wyciągaliśmy je splątane z szafki następnego roku. Nathan się niecierpliwił i koniecznie chciał kupować nowe, ale ja się nie zgadzałam i próbowałam go rozśmieszyć. Nie przychodziło to łatwo, bo ciągle byłam zmęczona, ale z czasem coraz lepiej sobie radziłam. Pierwszego wieczoru zawsze robiłam dobrą kolację, kupiłam też grzejnik, żebyśmy nie marzli. Już na drugi dzień Nathan lżej oddychał i lepiej spał. Uspokajał się. Kiedy sięgał po książkę, którą dla niego wybrałam, wiedziałam, że zaczyna się najlepsza część wakacji. Traktowaliśmy to jak kurację po całorocznym wyczerpaniu. Chybabyśmy nie wytrzymali tak długo razem bez pobytów w Kornwalii.

- Ja nie pozwalałam mu jeździć do Kornwalii - przyznałam się. - Bo i po co? To było twoje terytorium. Uważałam, że będzie lepiej otworzyć mu nowe horyzonty. Myślałam, że trochę gwarantowanego greckiego lub włoskiego słońca zdziała cuda, ale on nigdy nie lubił upału. Ty o tym wiedziałaś. A chłopcy byli za mali. Od gorąca robili się marudni i nieznośni.

- Ale czułam się zmęczona, zawsze zmęczona - powiedziała Rose. - Dopóki dzieci nie dorosły. Nie zdawałam sobie z tego sprawy i akceptowałam swój stan, po prostu sądziłam, że tak musi być, do czasu aż zaczęłam się czuć lepiej. Naprawdę lepiej. Ale zmiana nastąpiła za późno, Nathan rozejrzał się za kimś innym.

Zjawił się lekarz.

- Wygląda to na zawał - stwierdził, wypełniając jakieś papiery. - Będziemy mieć potwierdzenie po sekcji. - Był zajęтым, wyraźnie przepracowanym człowiekiem i szybko wyszedł.

Potem przybyli przedsiębiorcy pogrzebowi, trzech postawni mężczyźni; kiedy weszli do środka, odniosłam wrażenie, że mieszkanie się skurczyło.

Rose ujęła Nathana za rękę, pocałowała w policzek i odsunęła się na bok.

- Czy mogłabym się z nim pożegnać sam na sam - poprosiłam. Rose i trzech mężczyźni wyszli z pokoju, zostawiając mnie z mężem. - Przepraszam - szepnęłam. Nachylając się nad Nathanem, poprawiłam mu krawat i wygładziłam marynarkę, tak jak lubił. - Bardzo mi przykro.

Gdy go całowałam na pożegnanie, miałam wrażenie, że ciało pod moimi ustami już zaczyna znikać.

Wróciłam do kuchni, gdzie obie z Rose znów napiłyśmy się brandy.

W końcu rozległo się pukanie do drzwi i jeden z przedsiębiorców, starszy mężczyzna, który przedstawił się jako Keith, zadał Rose serię pytań. Było jasne, że uważa ją za wdowę.

- Przepraszam - wtrąciłam się. - Ja jestem obecną panią Lloyd.

Keith przeniósł wzrok na mnie; w jego oczach pojawił się cień zakłopotania, ale bynajmniej nie zdziwienie.

- W takim razie czekam na pani wskazówki, pani Lloyd. Pani mąż zostanie zabrany do pro-sektorium na sekcję, a po wydaniu ciała możemy omówić szczegóły pochówku.

Próbowałam się skupić.

- Niedaleko nas jest kościół. Może się dowiem, kto jest proboszczem...

- Och, nie - zaproponowała Rose. - Nathan chciałby być pochowany w Altringham, Minty. Tam, gdzie leżą jego rodzice...

- W Altringham? Nie, to za daleko! - zawołałam. Keith nieśmiało podsunął:

- Może ta sprawa jest poruszona w testamencie? Takie decyzje zawsze wymagają trochę czasu. Jak już mówiłem, jesteśmy pod telefonem.

Rose nerwowo składała i rozwijała ścierkę. W końcu odłożyła ją na stół.

- Oczywiście.

Wyszli, zabierając ze sobą Nathana. Drzwi wejściowe zamknęły się z cichym stukiem, zostawiając nas obie w kamiennej ciszy.

Przerwałam ją, odzywając się pierwsza.

- Jestem jego żoną, Rose.

Rose westchnęła.

- Ja też. W pewnym sensie. - Wzruszyła ramionami.

- W dziwnym sensie.

- Na litość boską...

- To nie ma znaczenia. Posłuchaj, Minty, nie możemy go zostawić tam, gdzie nikt nie będzie o nim wiedział. Nie możemy go pochować w miejscu, gdzie będzie sam.

Byłam zła na Rose, że ma rację, jak zwykle. I nienawidziłam się za to.

- Ja zdecyduję, gdzie Nathan będzie pochowany, Rose. Odwróciła się gwałtownie.

- Chodź, Minty. - Wypchnęła mnie z kuchni do holu. - Odwiozę cię do domu taksówką. A potem muszę... Chcę się zobaczyć z moimi dziećmi. - Ból ściągnął jej rysy. - Muszę się z nimi zobaczyć...

Kiedy wychodziłyśmy z domu, Rose wzięła stojącą w holu aktówkę i wcisnęła mi ją do ręki.

- Należy do Nathana. Musisz ją wziąć.

Rozdział dwunasty

Ciemność nigdy nie stanowiła dla mnie problemu. To był czas, w którym działały się gorące, przyjemne rzeczy. Czas na sen, snucie planów, dotykanie ciepłego śpiącego ciała, zachwycanie się jego pięknem, siłą lub uświadamianie sobie, że się go nienawidzi.

Ale tej nocy szłam do łóżka ze strachem. Prawdopodobnie wróciwszy do domu, robiłam różne rzeczy, ale niewiele z tego pamiętam. Z koszyka na ubrania chłopców wypływał wodospad skarpetek, majtek i spodni. W łazience mój ręcznik do twarzy był wilgotny. Buty znalazłam w szafie. Zmywarka została włączona i była gotowa do opróżnienia, a w lodówce pomiędzy serem i bekonem stała na wpół wyjedzona puszka fasoli z kolacji chłopców.

Rozmawialiśmy szeptem z Eve, podczas gdy bliźniacy szaleli na górze.

- To takie straszne, pani Lloyd. - Eve była jednocześnie zaczerwieniona z ożywienia i blada; włosy miała uczesane na gładko. - Biedna, biedna pani Lloyd. - Wykonała znak krzyża na piersi. Zrobiła to dwukrotnie, a ja ledwie opanowałam w sobie histeryczne pragnienie, by syknąć, że to mu nie pomoże.

- Eve, powiemy chłopcom dopiero jutro... po szkole. - Na widok jej sceptycznej miny zebrałam w sobie energię, żeby ją przekonać. - Będzie mi łatwiej. Zyskam czas, żeby zrobić pewne rzeczy, zanim skupię się na dzieciach. Mogę się przygotować...

- W porządku.

Wiedziałam, że powinnam robić różne rzeczy, ale właściwie jakie? Istniały określone procedury na taką okoliczność, ale ich nie znałam. No i należało odpowiedzieć na pewne pytania.

Zadzwoiłam do Thea, adwokata Nathana, i musiałam powtarzać wiadomość, że Nathan nie żyje, bo nawet superprofesjonalny Theo nie mógł w to uwierzyć.

- Pomożesz mi? - zwróciłam się do niego, przestraszona, że Vistemax może nie zechcieć wypłacić należnej zmarłemu odprawy.

- Nie martw się. - Theo od razu mnie pocieszył. Młasnął językiem. - Słyszysz ten dźwięk? To kąsek wpada mi między zęby. Zapłacą.

Zadzwoiłam do Barry'ego.

- To straszne. - Sądząc po głosie, szczerze się zmartwił. - Straszne. Straszne. Na razie nawet nie myśl o pokazywaniu się w biurze. Wszystkiego dopilnujemy. Przekażę sprawę Chrisowi.

Chris ukradnie moje pomysły o muślinowych skrzydłach. Trudno, niech tak będzie.

Nie pamiętałam już o Chrisie Sharpie, kiedy dzwoniłam do Paige. Podobny zestaw słów spłynął do słuchawki - zapas, z którego korzystamy w chwilach trwogi lub zagrożenia.

- To straszne - dukała wstrząśnięta Paige. - Okropne. Okropne, Minty. Radzisz sobie jakoś? Przykro mi, że nie mogę ci pomóc w tym momencie. Susan może przyjść i zabrać chłopców.

- Jeszcze im nie powiedziałam. Czekam na odpowiedni moment.

Paige nie potrafiła trzymać języka za zębami.

- Nie domyślą się, że coś jest nie tak? Minty, będą się niepotrzebnie martwić.

- Czy to lepsze od martwienia się potrzebnie? Umiem dobrze udawać.

Na chwilę zapadła cisza.

- Tak, chyba umiesz.

Pomiędzy tymi rozmowami starałam się sporządzić listę. Jednak okazało się to zadaniem ponad moje siły. Zmagałam się ze słowami takimi jak „poświadczenie autentyczności testamentu”, „zgłoszenie śmierci”, „nekrolog”, ale nie chciały się ułożyć w odpowiedniej kolejności.

- Mamo... - Lucas wpadł do domu, niemal się ze mną zderzając. - Mamo, przeczytasz mi bajkę? - Zaróżowiony od ruchu wyglądał tak dorodnie i zdrowo, że każdy reżyser, który by go przypadkiem zobaczył, natychmiast dałby mu rolę.

Inna drobna rączka uczepliła się mojej dłoni.

- Cześć, mamusiu. - To był Felix. - Wyglądasz, jakbyś była smutna. Jesteś smutna, mamusiu?

Pochyliłam się i przygarnęłam obu do siebie; ich małe twarde główki ugniały mi klatkę piersiową. Odtąd ponosiłam za te małe główki całkowitą i wyłączną odpowiedzialność.

Nathan był ze mną podczas tej pełnej lęków nocy. Siedzieliśmy w salonie. Na półokrągłym stoliku pod oknem tykał zegar, o który się pokłóciliśmy. Nathan uważał, że zegar byłby bezpieczniejszy na gzymsie nad kominkiem.

- Proszę, zrób tak, jak mówię, Minty.

Nie odpowiedziałam, ale podniosłam głowę znad próbek farby i usłyszałam własny głos:

- Myślisz, że „wschodni beż” będzie tu dobrze wyglądał?

- Wschodni beż - odburknął. - Już prędzej kompost.

Nathan był w ogrodzie, ubrany w brązowe sztruksy, ulubioną niebieską koszulę i gumiaki, kopał pod krzakiem bzu. Ja na półpiętrze usiłowałam wyprasować koszulę, która za nic nie chciała się wyzbyć zagnieceń, choćbym nie wiem jak zręcznie manewrowała żelazkiem.

Nathan wbił widły w ziemię, a potem sięgnął obiema rękami do wykopanego otworu i wyciągnął stamtąd pakunek owinięty białym, wełnianym szalem.

- To jest mój skrywany żal, Minty - usłyszałam go w tym niespokojnym pół śnie, pół czuwaniu.

W sypialni brakowało powietrza, a ja na przemian pociłam się i drżałam, zapewne w wyniku przeżytego wstrząsu. Czy mogłam zrobić coś więcej? Odpowiedź: tak, mogłam zrobić więcej. Czy Nathan był aż tak nieszczęśliwy? Odpowiedź: tak, był nieszczęśliwy... Wbiegłam na górę do pokoju gościnnego. Wśliznęłam się na niepościelone łóżko między goły materac, a nieobleczoną kołdrę i leżałam w ciemności z otwartymi oczyma.

W mroku nie było widać malowidła ze ściany, a mimo to prześladował mnie widok białych róż. Oceniałam ich rozmiary, kompozycję kształtów na płótnie. Nawiązałam niemal intymną znajomość z każdym ich odcieniem, wyliczając je kolejno na palcach: kredowobiały, śmietankowy, słaba herbata z mlekiem oraz brunatny na zwiedłych płatkach rozsypanych u podstawy wazonu.

Kiedy poczułam, że dłużej nie wytrzymam, wyskoczyłam z łóżka i przewiesiłam obraz zamalowaną powierzchnią do ściany.

Róże w końcu zniknęły.

Chwilę później - ile czasu mogło upłynąć? - znalazłam się w gabinecie Nathana. Otworzyłam szafkę, odsłaniając przegródki schludnie oznaczone etykietkami wypisanymi czarnym atramentem. „Ubezpieczenia” (pomarańczowa teczka). „Dom” (niebieska teczka). „Adwokat” (czerwona). „Zdrowie” (żółta).

Dlaczego Nathan wybrał żółty kolor dla zdrowia? To nie był dobry kolor. Żółty przygnębiał i kojarzył się z chorobą. Żółta febra. Malaria. Żółtaczka. Przekartkowałam zawartość od końca.

Znalazłam tam różne listy od lekarzy adresowane z Harley Street. Jeden dotyczył wyników badania wzroku. Inny badania krwi. Wszystkie rutynowe, wszystkie normalne, z wynikiem negatywnym, niezawierające żadnej groźby. List na wierzchu był inny. „Drogi panie Lloyd. Tak jak ustaliliśmy podczas konsultacji, umówiłem pana na wizytę u mojego kolegi, pana Oxforda, w lon-

dyńskim szpitalu kardiologicznym. Wyjaśniłem mu swoje zastrzeżenia (ciśnienie, szmery etc.) i dalej on poprowadzi badania. Gdyby pan zechciał się z nim bezpośrednio skontaktować...".

List miał datę sprzed sześciu miesięcy.

Przeczytałam kilka razy uprzejme zdania. Pod określeniem „zastrzeżenia” kryła się sugestia, że nie wszystko jest w porządku i że Nathan powinien coś z tym zrobić.

Nathan zlekceważył zalecenia.

Ze złością wyjęłam list z teczki. Dlaczego? I dlaczego mi nie powiedział?

Tak łatwo można było to zorganizować. Mogliśmy razem pójść na wizytę. Siedziałabym cicho jak myszka, czytając „Country Life” albo przeglądając wyświechtane egzemplarze „Hallo”, podczas gdy lekarz oglądałby na ekranie komory serca i arterie Nathana. Słuchając diagnozy, z pewnością wzięłabym go za rękę.

Wystarczyło, by Nathan przyznał: „Mam problemy z sercem”, żebym wkroczyła do akcji. Byłaby to świetna okazja do sporządzania list. Margaryna bez cholesterolu, zielone warzywa, witaminy, stacjonarny rower do ćwiczeń. I rozkładów zajęć, w których też byłam dobra. Ćwiczenia 7.00 - 7.30. Śniadanie 7.45...

Ostateczne milczenie Nathana przypominało mi boleśnie, jak milczący byliśmy za jego życia. Nie udało mi się dać mu wsparcia. Nie pogładziłam go po policzku. Nie siedzieliśmy razem w poczekalni u lekarza.

Podobnie jak mój telefon nie zadzwonił tego ranka, nie odebrałam go i nie usłyszałam, jak Nathan mówi: „Minty, muszę ci o czymś powiedzieć... to będzie szok”.

A więc i on nie usłyszał mojej odpowiedzi: „Pieprzyć Vistemax. Zadzwoniłeś do adwokata? Nathan, to nic osobistego...”. Co gorsza, nie usłyszał też: „Nathan, trzymaj się. Jadę po ciebie i o wszystkim pogadamy...”.

Postanowił ukryć swój niepokój w ciszy, a potem zwrócić się do Rose.

Ale Nathan nie żył.

Opadłam na kolana przed szafką z dokumentami i oparłam dłonie na otwartej szufladzie, bo zawierała fakty, twarde fakty, z których byłam taka zadowolona, fakty z życia Nathana.

Zwiesiłam głowę i w końcu się rozplakałam.

Było wpół do czwartej nad ranem, pierwszego dnia mojego wdowieństwa.

O 9.00 rano siedziałam przy biurku Nathana w jego gabinecie. Chłopcy zostali odprowadzeni do szkoły, a w sąsiednim pokoju Eve włączyła odkurzacz. Hałas wwiercał mi się w czaszkę.

Zadzwonił telefon. To był Roger.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić, Roger.

- Rozumiem, że to był zawał?

Ale ja już odłożyłam słuchawkę i prawie natychmiast musiałam ją znów podnieść.

- Jeśli tylko możemy coś zrobić, będzie zrobione - mówił Roger. - Proszę, daj nam znać, kiedy odbędzie się pogrzeb... Minty, wiem, że to tragiczna sytuacja...

Czy to był odpowiedni moment na wytknięcie Rogerowi, że popełnił wielki błąd, rezygnując z ogromnego doświadczenia Nathana na rzecz zmian? I czy powinnam też wspomnieć, że niemal na pewno przyczynił się do śmierci Nathana?

- Wiem, że masz mieszane uczucia...

- Nie, Roger. Nie mieszane. Bardzo jednoznaczne uczucia.

- Wybraliśmy to, co było najlepsze dla Vistemaxu.

- Petera Shakera? Doprawdy?

Nie miałam nic więcej do dodania. Roger był człowiekiem interesu, a ja wdową i choćbym nie wiem jak chciała to ze sobą pogodzić, nie widziałam możliwości. I tym razem ja zakończyłam rozmowę i odłożyłam słuchawkę na bok. Miałam dość, nie chciałam, żeby znów próbował dzwonić. I nie potrafiłam odpuścić. Jeszcze nie. Może nigdy?

Wycie odkurzacza stało się nieznośnie dokuczliwe.

- Eve, możesz przestać? - zawołałam.

Eve wyszła z salonu.

- Trzeba, żeby w domu było czysto, pani Lloyd. Przyjdą ludzie.

Przyjdą ludzie?

- Źle pani wygląda, pani Lloyd. Przyniosę pani herbaty.

Siedziałam przy biurku Nathana, ścisnęłam gorący kubek z herbatą i zastanawiałam się, jak długo moje palce mogą wytrzymać ból. Ten ból był niczym w porównaniu z bólem, jaki musiałam zadać Lucasowi i Felixowi. Może powinnam się skontaktować z jakimś ekspertem, który mi doradzi, co powiedzieć? Eksperci na wszystko mają gotowe formułki. Tatusz wyjechał w długą podróż i już nie wróci. Czy to wystarczy? Albo... Tatusz na was patrzy, ale nie może być tu z wami.

Rozległ się dzwonek u drzwi, po nim cisza, a potem odgłos kroków Eve w holu.

To była pani Austen, ta irytująca i niechlujna pani Austen.

- Eve, właśnie się dowiedzieliśmy. Tu jest zupa. Z moich pomidorów. Nakarm dzieci.

Dziesięć minut później dzwonek znów zadzwonił. Tym razem przyszła Kate Winsom z naprzeciwnika.

- To takie straszne... - Słyszałam jej głos, nie wychodząc z gabinetu. - Słuchaj, jadę do supermarketu. Może wam zrobić zakupy? Powiedz Minty, że odezwę się w bardziej... w bardziej odpowiednim czasie. Niestety, muszę już lecieć. Dzieci...

Po raz dziesiąty próbowałam się zabrać do wypisania listy. Tylko na co komu lista?

Dzwonek przy drzwiach - och, ten dzwonek - znowu zadzwonił. Przycisnęłam dłoń do twarzy. Poczułam lekki dotyk na ramieniu. Gisela powiedziała:

- Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. Odwróciłam głowę.

- Wiedziałaś, co Roger zamierza zrobić, i nic mi nie powiedziałaś.

- Spodziewałaś się tego? Ty byś powiedziała? Ale miałam zamiar uprzedzić cię podczas lunchu... - Przytrzymała mnie za nadgarstek, żeby mi zmierzyć puls. - Spałaś w ogóle? I kiedy ostatnio coś jadłaś?

Odgarnęłam włosy; miałam wrażenie, że są gorące i ciężkie.

- Wypiłam kubek herbaty. Nie wiem, Giselo. Nachyliła się nade mną, przemawiając do mnie z żarliwością, jakiej jeszcze u niej nie słyszałam.

- Będziesz potrzebowała swojej siły, Minty. Musisz myśleć o bliźniakach. Przygotuję ci jeszcze herbaty i parę tostów. - Zaprowadziła mnie do salonu i posadziła na sofie. - Siedź tu, dopóki nie wrócę.

Ostre, poranne światło wpadające do pokoju raziło mnie w oczy. Wyjrzałam przez oszklone drzwi; krzak bzu wypuszczał pierwsze pączki, a magnolia w sąsiednim ogrodzie po prawej stronie obsypana była kwiatami podobnymi do porcelanowych filiżanek.

- Wiosna jest okrutna - powiedziałam.

- Owszem. - Gisela wróciła z tacą. Odstawiła ją na stolik i sięgnęła do torebki, żeby wyłączyć komórkę.

- Mój Boże - mruknęłam. - Sprawa musi być poważna.

Słońce oświetliło fragment dywanu, który przez lata używania wypłowił, tracąc ciemnoszarzy odcień. Słyszałam Nathana, całkiem wyraźnie, jak mówi: „Nie, nie możemy sobie pozwolić na nowy dywan”.

- Minty... - Gisela posmarowała tosta masłem i pastą kanapkową. - Jedz.

- Nie tykam masła, Giselo. Dbam o linię.

- Dzisiaj tkniesz.

Wzięłam do ust pierwszy kęs. Pasta była nie najgorsza w smaku, a herbata gorąca i mocna. Gisela pociągnęła łyk ze swojego kubka.

- Okropna. Co to za herbata?

- Zwyczajna. Nie wiem.

- Lapsang jest lepsza.

Wykreślić „zwyczajną herbatę” z tygodniowej listy zakupów i wpisać „lapsang”.

Ze swojego punktu widzenia Gisela wydawała się mądra niczym Budda. Od poprzedniego dnia nabrała mocy i powagi, podczas gdy ja stałam się żałośnie skurczoną postacią wciśniętą w kąt sofy.

- Minty. Chodzi o Rose.

Ten temat stanowił istną kopalnię plotek. „Wiesz, gdzie on zmarł? U swojej pierwszej żony”. Było mało prawdopodobne, by ta wiadomość pozostała tajemnicą.

- Roger rozmawiał z Rose. Zadzwoił do niej po rozmowie z tobą. Ma się z nią spotkać dziś po południu.

- Ale tu nie przyjdzie?

- Ja tu jestem. - Odstawiła swój kubek na tacę. - Wiesz, że odtrącanie Rogera nie wskrzesi Nathana.

- Nie. - Ta uwaga była całkowicie nie na miejscu, ponieważ w tym momencie Nathan wcale nie wydawał mi się zmarły. Miałam wrażenie, że jest z nami w salonie, bo mocno czułam jego obecność.

- Pozwól, że dam ci radę - mówiła Gisela. - Nie odrzucaj pomocy Rogera, bo będzie ci potrzebna.

Przesunęłam tosta leżącego na krawędzi talerza.

- Nathan był odpowiedzialny. Należał do tych, którzy starają się nigdy nie zostawiać bliskich w potrzebie. Ale okoliczności go przerosły. Rozwód z Rose, małżeństwo ze mną. Vistemax. Nie mógł temu wszystkiemu podołać. Jego ciało odmówiło posłuszeństwa. - Czułam dziwne mrowienie w głowie, tuż za oczami. - Mówię z sensem?

Gisela miała na sobie śnieżnobiałą bluzkę z rękawami trzy czwarte i marszczeniem przy dekolcie. Francuską, bardzo elegancką. Szyję zdobił jej sznur wielkich pereł, identycznych z tymi, które miała w kolczykach. Siedziała na krześle wychylona do przodu; język jej ciała wyrażał litość dla mnie.

- Nie oczekuję, że będziesz mówiła z sensem. - Wyjęła z torebki notes, coś zapisała i wyrwała kartkę. - Niewiele mogę dla ciebie zrobić, Minty. Najwyżej pomóc ci w drobnych sprawach. Tu są namiary dobrej kwiaciarni. Wystarczy im powiedzieć, czego sobie życzysz, a wszystko zrozumieją.

- Kwiaciarnia? Dziękuję. - Usta mi drżały. - Czy Roger mówił, jak Nathan się wczoraj czuł? - Gisela z przesadną starannością schowała notes z powrotem do torebki. - Chciałabym wiedzieć, co mówił i jak wyglądał.

- W porządku. - Moje pytanie chyba nie było dla Giseli zaskoczeniem. - Roger bał się tego zebrania. Uważał Nathana za przyjaciela. Nie, nie patrz tak, Minty. Wiesz to samo co ja. Roger

przekazał mu wiadomość wprost. Z początku Nathan niewiele się odzywał. Podeszedł do okna, odwracając się plecami do Rogera. Powiedział, że jest zaskoczony i potrzebuje paru minut. Potem zaatakował Rogera, mówiąc, że to szalona i zła decyzja. I że spowoduje niepotrzebną destabilizację w Vistemaksie.

- Nathan walczył. - Dla tych, którzy go bliżej znali, był łatwy do rozszyfrowania. Kiedy zaciskał usta, oponenti mieli powody do obaw. Kiedy wsuwał jedną rękę głęboko do kieszeni spodni, oznaczało, że obmyśla nową strategię.

- Nigdy wcześniej nie widziałam Rogera tak smutnego, załamane. Kiedy miał... to zrobić. A Nathan nie ułatwił mu sprawy.

- Giselo, Nathan miał wszystko do stracenia.

- Nie wszystko. Miał ciebie i chłopców. To był jeden z powodów decyzji. Roger zakładał, że Nathan może być zadowolony ze spędzania czasu w domu z bliźniakami.

Popatrzyłam na Giselę z niedowierzaniem.

- Nathan został zwolniony, ponieważ Roger uznał, że będzie dobrą niańką.

- Nathan miał udane życie - powiedziała Gisela, prawie nie poruszając ustami.

- Miejmy nadzieję, że Roger zachowa to filozoficzne podejście, kiedy sam będzie musiał zejść ze sceny.

- Minty, nie ma potrzeby... - obruszyła się Gisela.

W jej głosie wyczułam panikę.

- Roger naprawdę uważał, że Peter Shaker jest lepszy od Nathana?

Gisela wygładziła mankiet swej nieskazitelnej bluzki. Perły w jej kolczykach zadrżały.

- Czy nie lepiej pomówić o tym później? W tej sytuacji trudno zachować rozsądek i obiektywizm.

- Och, rozsądek. - Westchnęłam. - Jest stanowczo przereklamowany.

Wstałam z sofy i podeszłam do półokrągłego stolika. Bardzo ostrożnie podniosłam z niego zegar i przestawiłam na gzyms nad kominkiem, tam gdzie Nathan zawsze chciał go widzieć.

Gisela chwyciła torebkę.

- Muszę lecieć. Ale pamiętaj, Roger pomoże, jeśli tylko będzie mógł. A ja pomogę ci w sprawach organizacyjnych, jeśli zechcesz.

Usłyszałam własny krzyk:

- Dlaczego Roger to zrobił?

Gisela odstawiła torebkę, położyła mi ręce na ramionach i spojrzała głęboko w oczy.

- Tak już jest. Nie zapominaj, że Nathan robił to innym.

- Ale to go zabiło.

Zacisnęła palce mocniej na moich ramionach.

- Nie, nie to. Nathan lubił whisky, miał stresującą pracę. Miał... bujne życie domowe. Dużą rodzinę. Wszystko to złożyło się na przyczynę. Nie było nią tylko zwolnienie z pracy, Minty. Nathana zabił stan jego serca.

Dzwonek wciąż dzwonił, ale zostawiłam to na głowie Eve. Za każdym razem wracała od drzwi, coś niosąc. Butelkę wina z bilecikiem, na którym było napisane „kondolencje”. Broszurowe wydanie podręcznika „Testamenty i potwierdzanie ich autentyczności”. Okładka poplamiona była kawą, a wiele kartek miało ośle uszy. W rozdziale zatytułowanym 14.4.3, „Uczciwy podział między stronami”, ktoś napisał na marginesie: „Chciałabym mieć tyle szczęścia”. Zapytałam Eve, od kogo pochodzi książka, ale tylko pokręciła głową, twierdząc, że nie rozpoznała tej kobiety.

„Testamenty i potwierdzanie ich autentyczności” leżały przede mną na stole. Zapewne reszta świata radziła sobie całkiem dobrze bez Nathana. Chris Sharp prawdopodobnie miał udany dzień. Dzień Petera Shakera też pewnie nie był najgorszy, nie licząc lekkich wyrzutów sumienia. Żałowałam Carlyne, rozdartej między lojalnością wobec męża a sztywnymi poglądami na to, co wypada. Wyrzucenia Nathana na korzyść Petera nie mogła zaliczyć do tej kategorii.

Podniosłam głowę, bo ktoś wszedł do kuchni.

- Martin.

Postawił na stole próżniowo zapakowaną potrawę i nachylił się, żeby mnie cmoknąć w policzek.

- Przyszedłem najszybciej, jak mogłem. Przyniosłem makaron z serem.

Szukałam w głowie uprzejmej odpowiedzi. Jakiegokolwiek odpowiedzi.

- Lucas uwielbia makaron z serem.

Martin usiadł obok i wziął mnie za rękę.

- Paige poprosiła Susan, żeby ugotowała. - Na chwilę zapadła cisza. - Spotkało cię straszne nieszczęście, Minty, ale dasz sobie radę. Uwierz mi i uwierz w siebie. Może to cię teraz nie przekona, lecz ja wiem, że poradzisz sobie.

Dłonie miał chłodne i mocne i byłam mu wdzięczna za ten uścisk.

- Nie przestawaj mi tego powtarzać, Martin.

- Będę powtarzał.

Danie wyglądało bardzo apetycznie, z chrupiącą serową posypką na wierzchu.

- Nie wiem, od czego zacząć.

Martin wypuścił moje dłonie i wyjął kartkę papieru z kieszeni na piersi.

- Zrobiłem listę - oznajmił. - Poskładałem ją z tego, co zapamiętałem po śmierci rodziców.

Organizacja pogrzebu...

- Listę! - wykrzyknęłam. - Zrobiłeś listę, kiedy masz na głowie tyle innych spraw.

- Od tego są przyjaciele... - Podał mi kartkę. - Dobrze jest się skupić na czymś konkretnym.

- Jak się miewają Paige i dziecko?

Martin lekko się stropił.

- Dobrze. Nie wiem tylko, czy Paige jest w stanie choć trochę odpocząć.

- Noce są ciężkie?

- Chwilowo śpiam w pokoju gościnnym - wyznał z pewnym wahaniem.

Zapadał zmrok, należało zapalić światło, ale nie ruszyłam się, żeby to zrobić; siedzieliśmy w coraz ciemniejszej kuchni i byłam mu niezmiernie wdzięczna za jego obecność przy mnie.

- Dziś wieczorem nie będzie bajki - powiedziałam chłopcom. - Chcę z wami porozmawiać. -

Patrzyli na mnie z nadzieją, wymyśli do snu. - O tatusiu.

Dwie pary ufnych oczu patrzyły na mnie wyczekująco. Poklepałam łóżko Felixa.

- Chodźcie, usiądźcie obok mnie.

Felix usadowił się po mojej prawej stronie, Lucas po lewej. Objęłam ich i mocno przytuliłam. Felix wysliznął się z moich objęć, zszedł z łóżka, przyniósł „Głodną gąsienicę” i podał mi obiema rękami. Pokręciłam głową.

- Dzisiaj nie będzie bajki, Felix. Tatusiu... - Urwałam w obawie, że głos mi się załamie. Rozpaczliwie szukałam w myślach słów, właściwych słów, najlepszych z możliwych. Starłam się nad sobą panować. Musiałam wreszcie im powiedzieć. Musiałam im pomóc przez to przejść.

- Tatusiu... - Lucas był w dobrym, pogodnym nastroju. - Nasz tatuś?

- Tak, wasz tatuś...

Felix wciągnął na łóżko swój ulubiony kocyk i z powrotem usadowił się przy mnie, ciepły i zaskakująco masywny jak na swój wiek.

- Tatuś bardzo was kochał - zaczęłam, przygarniając ich mocniej do siebie. - I zawsze będzie nasz, ale niestety coś mu się stało. Zachorował bardzo poważnie, jego serce nie mogło już dłużej bić i umarł. Odszedł i już nie wróci.

Lucas wybuchnął płaczem.

- Tatuś obiecał przyjść na mecz.

Było mi niezmiernie ciężko, miałam poczucie porażki.

- Lucas, tatuś nie może przyjść na mecz. - Poglaskałam go po szczupłej rączce. - Gdyby mógł, toby przyszedł.

- Dokąd odszedł? - W szlochu Lucasa pojawiły się histeryczne nuty.

- Poszedł do nieba. Pewnie nas widzi i czuwa nad nami. Ja się wami zaopiekuję i pozostaniemy wszyscy razem. Będziemy o nim dużo myśleć, prawda, chłopcy?

Felix się nie odzywał. Odsunął się ode mnie i podszedł do okna.

- Nieznośny tatuś - wyrzucił z siebie ze złością. A potem zamilkł.

- Tatuś nie jest nieznośny, Felix - powiedziałam. - On nic nie może na to poradzić.

- Nieznośny, nieznośny - powtórzył Felix. A potem dodał: - Jest Tigger.

- Wróć, Felix.

Ale on tylko potrząsnął głową, uparcie tkwiąc przy oknie. Lucas westchnął i popatrzył na mnie.

- Czy to znaczy, że dostaniemy nowego tatusia do prowadzenia samochodu?

Rozdział trzynasty

Felix przyszedł do łóżka i mnie obudził.

- Mamusiu, gdzie jest tatuś?

Była szósta rano, dopiero co zapadłam w ciężki sen, ale jego pytanie przyprawiło mnie o dreszcze. Wymamrotałam przez zeszywniałe wargi:

- Mówiliśmy o tym wczoraj wieczorem, pamiętasz? Tatuś odszedł tam, gdzie jest bardzo szczęśliwy i spokojny.

Dziecięcy głos brzmiał w moich uszach natarczywie i zarazem drżąco.

- Ty też odejdziesz?

Wzięłam go w ramiona i leżeliśmy spleceni ze sobą pod ciepłym namiotem kołdry.

- Nie, ja nie odejdę.

- Obiecuj.

Felix przerzucił nogę przez mój brzuch, jednocześnie wtulając głowę w piersi. Trzymając go w tym niewinnym, smutnym uścisku, wyobrażałam sobie strumień DNA przepływający ze mnie do mojego syna. Felix był nim. Był Nathanem. I był mną. Jeszcze nigdy tak starannie nie dobieierałam słów.

- Nie zamierzam nigdzie odchodzić, Felix. Mam was dwóch i muszę się wami opiekować.

Felix trochę się rozluźnił.

- Tatuś jest nieznośny, bo odszedł.

Nathan nie miał wyboru. Nie chciał odejść. Oba z tych zdań wyrażały prawdę. Jednak nawet dziecko wyczuwało, jak beznadziejny i niepewny jest świat, a przecież zadaniem rodzica jest zapewnienie dzieciom poczucia bezpieczeństwa.

Po chwili Felix całkiem się odprężył. Zrobił się ciężki i oddychał miarowo. Wciąż trzymałam go w ramionach, kiedy odgłosy dnia na zewnątrz przybrały na sile, a ja wiedziałam, że muszę wstać, by stawić czoło rzeczywistości.

Ubieraliśmy się razem, ja i chłopcy.

- Idę o zakład, że szybciej włożę spodnie, niż wy włożycie skarpetki. - Uniosłam w jednej ręce czerwoną, w drugiej niebieską parę dziecięcych skarpetek.

- Szybko - rzucił Lucas, ściągając spodenki od pizamy. Na pośladku miał narysowanego czarnym długopisem kota.

- A to co za pomysł? - zdumiałam się. Przy śniadaniu oznajmiłam:

- Jeśli zjecie ładnie owsiankę, możecie na kolację dostać lody. I będzie wyjątkowo długa bajka na dobranoc.

W ten sposób, z małymi potknięciami, z drobnymi przekupstwami i sztuczkami, przetrwaliliśmy ten ranek i śniadanie. Tak miało być przez dłuższy czas: sztuczki, podstępny i przemyślane strategie, byle tylko minął kolejny dzień.

Po tym, jak Eve zabrała chłopców do szkoły, sprzątnęłam ze stołu i zmyłam naczynia. Jestem wdową, myślałam, splukując zlew.

Kiedy szłam na górę, żeby pościelić łóżka, stuknęła klapka przy otworze na listy w drzwiach wejściowych. W szparze ukazało się oko. Rozpoznałam je i szybko otworzyłam drzwi.

- Mamy sprawny dzwonek - powiedziałam do zgiętej w pół Poppy.

- Minty. - Poppy wyprostowała się z gibkim wdziękiem. - Nie byłam pewna, czy powinnam tu przychodzić. Ale mama mnie przysłała. Musimy omówić pewne rzeczy.

Ubrana od stóp do głów w głęboką czerń, oczy miała czerwone od płaczu. Sprawiała wrażenie kruchej i załamanej. Szkoda jej i Sama, szkoda chłopców, szkoda mnie, tłuło mi się po zmęczonej głowie.

- Nie wiem, co powiedzieć, Poppy, poza tym, że bardzo mi przykro.

- Przykro - powtórzyła z zadumą. - Nie widziałam się z nim w ostatnim tygodniu. Odwołałam spotkanie... bo... coś mi wypadło. - Przygryzła wargę. - Czy to nie typowe dla losu lub tego kto... Takie okrucieństwo.

- Owszem.

Richard zaparkował samochód i dołączył do nas. Ubrany był do pracy. Uścisnął pocieszająco obie moje dłonie.

- Minty, dobrze się czujesz?

- Wejdźcie do środka. - Odsunęłam się z progu. Richard objął żonę w pasie i wprowadził do holu. Wzrok Poppy padł na płaszcz Nathana wiszący na wieszaku. Stała jak wryta.

- To jego płaszcz. Och, tatusiu...

Richard pociągnął ją za sobą do kuchni.

- Poppy nie czuje się najlepiej, odkąd usłyszała tę smutną wiadomość. - Posadził żonę na krześle i czułym gestem odgarnął jej włosy z czoła. - Nic dziwnego. - Odwrócił się do mnie. - Mam nadzieję, że ktoś jest przy tobie, Minty.

Poczułam ucisk w gardle, jakby jakaś niewidzialna ręka złapała mnie za szyję. Jedyna osoba, która mogłaby być przy mnie, nie żyła.

- Eve i sąsiedzi są bardzo życzliwi.

Poppy wodziła po kuchni półprzymiśnym spojrzeniem.

- Teraz wiele się zmieni, prawda? - Podniosła wzrok na męża. - Kiedy się obudziłam dziś rano, wszystko wydawało się w porządku. Ale nie było. Będzie cię stać, żeby tu dalej mieszkać? Nie będziesz musiała sprzedać domu?

- Nie wiem. Dopiero się przekonam. Na razie próbuję się jakoś pozbierać.

- Przepraszam - powiedziała Poppy. - Głupio zapytałam.

Bez wycucia. - Przyłożyła dłoń do czoła; chudość jej nadgarstka jeszcze potęgowała wrażenie ogólnej kruchości. - Jestem pewna, że tata zadbał... - Po ledwie zauważalnej pauzie dodała: - O wszystkich.

Od czasu do czasu, choć bardzo rzadko, w ciągu ostatnich siedmiu lat zastanawiałam się, czy Poppy i ja mogłybyśmy się zaprzyjaźnić, niejako omijając osobę Rose. Myślałam o ciepłych, życzliwych stosunkach w rodzinie; można by liczyć na siebie w trudnych chwilach. Przyjacielski układ z Poppy oznaczałby coś naprawdę niezwykłego - przymierze w sytuacji, w której wydawało się niemożliwe. Ale nic takiego nie nastąpiło.

- Gdzie są chłopcy? Jak się miewają? Nie mogę o nich myśleć. W każdym razie... są jeszcze tacy mali. Może jest łatwiej, kiedy jest się takim małym. Może nie czuje się... tego samego.

- Poczyszająca teoria - mruknęłam.

Richard stanął za plecami żony i położył jej dłoń na ramieniu.

- To trochę potrwa - odezwał się, jak zwykle praktyczny. - Ale potrzebują normalności, a nie tego, żeby nad nimi płakać.

- To nie fair - zachnęła się Poppy. Podchwyciłam wątek wprowadzony przez Richarda.

- Chłopcy są w szkole. Kończą w piątek. Próbujemy zachować normalny tryb życia. Są skolowani, ale się trzymają. Na razie. Staralam się im powiedzieć o ojcu w najlepszy sposób, jak umiałam, ale oczywiście nie rozumieją wszystkiego tak do końca. Są jeszcze zbyt mali.

Poppy wydała z siebie stłumiony pisk i zasłoniła oczy rękami. Richard odchrząknął z zakłopotaniem.

- Chciałabyś, żebyśmy ich zabrali na parę dni? - zaproponował wielkodusznie. - Na weekend. Rose jest gotowa pomóc.

Nagle wyobraziłam sobie ze zgrozą, jak wyglądałoby moje życie bez chłopców.

- Nie, proszę nie... - Nie chciałam, żeby to zabrzmiało ani tak wrogo, ale pomysł mnie przeraził. - Zostaną tutaj. Nie możecie mi ich ukraść.

- Minty... - Poppy wyprostowała się sztywno na krześle.

- Nie zamierzamy ich kraść. Chcieliśmy tylko pomóc. Uznaliśmy takie rozwiązanie za najlepsze, kiedy ty będziesz zajęta przygotowaniem do pogrzebu.

Richard nie krył oburzenia.

- Nie mieliśmy złych zamiarów, Minty. Możesz mi wierzyć. Po omacku trafiłam na krzesło.

- Przepraszam. Oczywiście, że nie mieliście złych zamiarów. Wszystko w tej chwili wydaje mi się dziwne i czasami wręcz nie wiem, co mówię. - Richard pokiwał głową ze zrozumieniem. - To miło z waszej strony, ale chyba nie chcieli być zabrani z domu przez obcych ludzi.

- Nie powinnaś tak mówić - zaproponowała Poppy. - Jestem ich przyrodnią siostrą.

Zwilżyłam usta językiem.

- Rose jest obca.

- Już dobrze, dobrze. Nie zamierzamy kraść bliźniaków. Ale propozycja jest wciąż aktualna, gdybyś się jednak zdecydowała. - Poppy niezdarnie podniosła się z miejsca. - Czy to był...

- Zawahała się. - Czy to był zawał?

- Prawdopodobnie. Dowiemy się na pewno dopiero po sekcji.

- Jakie to typowe... - Poppy zaniósła się szlochem. - Cały tata, zaharowujący się, dbający o wszystkich. Musiał się bardzo martwić, a nie miał komu powiedzieć...

- Poppy - wtrącił Richard tonem ostrzeżenia. - Jeszcze nie wiemy.

Poprawiła fałd czarnej spódnicy, który zaczepił się o krzesło.

- Wszyscy mówimy coś, o czym wcale nie myślimy - powiedziała cicho. - Przepraszam. Nikt z nas nie jest sobą. - Przeszła do otwartej drewnianej szafki pod ścianą i przejechała placem wzdłuż półki. - Lubił ten mebel, prawda? I uwielbiał ten biało-niebieski talerz z kalafiorami. Byłam z nim, kiedy go kupował.

- Owszem, lubił.

Richard zajął pozycję między mną a swoją żoną.

- Chcę powtórzyć, że gdybyś czegoś potrzebowała, Minty, wystarczy poprosić.

Richard promieniał młodością i dostatkiem. O zdrowym odżywianiu i posiadaniu pieniędzy świadczyły jego czerstwa cera, pasek do zegarka z krokodyłowej skóry i wypolerowane skórzane buty. Kiedyś Nathan tryskał podobnym zdrowiem i energią.

Poppy podeszła do okna i z zaciekawieniem wyjrzała do ogrodu na tyłach domu.

- Biedna mama - mruknęła. - Jest załamana.

- Minty także. - Richard położył mi dłoń na ramieniu. Gdyby istniała lista rankingowa miłych i do tego powściągliwych mężów, Richard zajmowałby na niej jedno z czołowych miejsc.

- Ogród wymaga pielęgnacji - stwierdziła Poppy, osłaniając oczy przed słońcem. - Przypuszczam, że skoro ojcu dokuczało serce, nie palił się do pracy w ogrodzie, a oczywiście nie miał mu kto pomóc.

Od drzwi wejściowych dobiegł chrobot klucza, potem napomnienie: „Dobrze wychowana osoba tak się nie zachowuje”, po czym do kuchni wtoczyła się Paige, z Lucy trzymaną za rękę i niemowlęciem w nosidle na piersi.

- Minty, Minty, przyszedłam najszybciej, jak mogłam. - Puściła Lucy. Objęła mnie tak, że małenstwo znalazło się pomiędzy nami. - Co mam powiedzieć? - Dotyk jej chłodnego ciała podziałał kojąco; jeszcze nigdy nie cieszyłam się tak z niczyjej wizyty. - Użyłam swojego klucza, żeby tu wejść. Ale widzę, że masz towarzystwo. Mogę wrócić później.

Droga Paige. Musiała sobie zadać wiele trudu, żeby się do mnie wybrać.

- Pamiętajcie Paige. - Przedstawiłam ich sobie. - Dopiero co urodziła dziecko. A to jest Lucy.

Lucy, ubrana w rozpinaną niebieską sukienkę i wełniany sweterek, miała kwaśną minę świadczącą o tym, że czuje się nieswojo. Niemowlę kichnęło. Paige z troską dotknęła jego główki.

- Spokojnie, Charlie. - Następnie zwróciła się do Poppy: - Przykro mi z powodu pani ojca. Był wspaniałym człowiekiem. Będzie nam go brakować.

- Był cudowny, prawda? - podchwyciła skwapliwie Poppy.

Szczerzy żal i smutek w jej głosie zrobił wrażenie na nas wszystkich.

- Może powinniśmy już iść. - Richard czule objął żonę. Poppy nie zwracała na niego uwagi.

- Minty, musimy cię o coś spytać. - Zerknęła z ukosa na Paige. - Ale to osobista sprawa. Dotyczy rodziny. Trzeba podjąć decyzje w pewnych sprawach.

Paige chwyciła aluzję.

- Lucy, kochanie, może poszukamy jakiejś zabawki Lucasa lub Felixa, żebyś się mogła pobawić. - Mrugnęła do mnie, co miało znaczyć: „Zawołaj, jeśli będziesz potrzebować wsparcia”, i wyszła z kuchni. - No chodź, Lucy - dobiegł z holu jej głos.

Poppy wzięła głęboki oddech.

- Co do tego, gdzie tata ma być pochowany, uważam... uważamy, że chciałby spocząć w Altringham, gdzie się wychował. Mówił o tym mamie. Naprawdę. Spytaj ją.

To był zupełnie obcy teren; oświadczenie Poppy niemal zważyło mnie z nóg.

- Przez większość życia mieszkał w Londynie, Poppy. A co z chłopcami? Będą chcieli odwiedzić jego grób i nie powinni mieć z tym trudności.

- Chyba nie chcesz, żeby leżał na jakimś zapuszczonym miejskim cmentarzu. W paskudnej ziemi, w hałasie ulicznego ruchu. Wiem, że tu mieszkał, ale jego miejsce jest tam, gdzie się wychował. Każdy by tak wołał. To śliczny przykościelny cmentarzyk, cichy i spokojny.

- Nie - powiedziałam twardo. - Nie. Musi być blisko chłopców.

Poppy stanęła naprzeciw mnie w bojowej postawie.

- Proszę cię, Minty. Błagam. Wiem, że rzadko się zgadzamy, ale w tej sprawie powinniśmy być zgodne... - Składając ręce jak do modlitwy, dodała, wierząc, że to rozstrzygnie sprawę: - Mamie będzie z tym łatwiej. - Pierś jej falowała z emocji, a w kuchni panował przeraźliwy smutek.

Paige wróciła do kuchni. Zdjęła nosidło i ułożyła sobie dziecko na ramieniu, podkładając pod nie miękką ściereczkę.

- Czy Lucy może się pobawić... - Nagle postanowiła skończyć z udawaniem. - Przypadkiem podsłuchałam i wiem, że się wtrącam - zaczęła - ...ale nie wydaje wam się, że Minty ma rację? To niemożliwe ze względu na Felixa i Lucasa.

- Nie chcę być dla pani nieuprzejma - odezwała się Poppy niebezpiecznie napiętym głosem.

Dałam Paige znak kiwnięciem głowy.

- Chłopcy chcieliby, żeby został tutaj - powtórzyłam z uporem. - Ja też chcę, żeby leżał tutaj, w Londynie.

Oczy Poppy zrobiły się tak wielkie, jakby zaraz miała zemdleć.

- Nigdy nie myślałaś o nikim poza sobą.

Niemowlę wydało z siebie donośny pisk. Nie zwracając na nie uwagi, Paige ruszyła mi z odsieczą.

- Minty, jako żona, ma pełne prawo decydować, gdzie Nathan zostanie pochowany. Jestem pewna, że po chwili zastanowienia uznacie jej rację. - Mówiła spokojnym tonem, takim, jakim prowadziła negocjacje, będąc szefową zespołu w banku.

Myślałam tylko o tym, żeby się nie rozplakać. Wolałabym umrzeć, niż okazać poczucie winy, wstyd i słabość. Poppy odwróciła się do Richarda tak gwałtownie, że czarna spódnica zafalowała jej wokół nóg.

- Nic z tego.

Richard posłał mi nad głowę żony spojrzenie, które mówiło, że spróbuje przekonać Poppy w rozmowie na osobności.

- Richard, nie upieram się po to, by wam cokolwiek utrudniać - tłumaczyłam.

- Nic dziwnego - wycedziła Poppy. - Nic dziwnego, że serce taty nie wytrzymało. Nie wytrzymało przez ciebie.

- To oburzające - włączyła się Paige.

- Zapomnę, że to powiedziałaś, Poppy. - Zwracając się do Richarda, dodałam: - Ale musicie już wyjść, natychmiast.

Pozostawili za sobą gorzki posmak tego, co zostało i nie zostało powiedziane. Paige wcisnęła mi w objęcia niemowlaka i z trudem poruszając się po kuchni - „nacięcie krocza, sama rozumiesz, Minty” - zrobiła kolejny dzbanek herbaty. Następnie wetknęła mi kubek do ręki i pocałowała mnie w policzek. Trzymałam dziecko, którego maleńka twarzyczka pomarszczona była z wysiłku, jaki stanowiło samo życie.

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że wszystko, czego doświadczam, jest jakby z drugiej ręki? No więc to nie jest.

- Nie - powtórzyła jak echo Paige. - Nie może być. - Usiadła z jękiem bólu i wyciągnęła ręce po dziecko. - Przepraszam za najście. Dzwoniłam do ciebie i dzwoniłam, Minty, ale nie odbierałaś.

Zmęczona, przesunęłam ręką po twarzy.

- Było tak dużo telefonów. Nie dawałam sobie z nimi rady.

- No właśnie. Dlatego tu jestem, żeby ci pomóc.

- To miło z twojej strony, Paige.

- Jak się czujesz?

- Mój mąż umarł.

- Zatem nie jest najgorzej - wymknęło się Paige. - Przepraszam. To było niewybaczalne.

Ano było. Siedziałam na krześle przy kuchennym stole i zanosłam się histerycznym śmiechem z niefortunnego żartu Paige. Charlie beknął, wypuszczając z ust strumyczek mleka. Paige wytarła go wprawnym ruchem.

- Mój mąż jest na sprzedaż - oświadczyła. - Jakież oferty kupna?

Wraz z pocztą przyszedł raport z sekcji zwłok. Siedząc przy kuchennym stole, czytałam słowo po słowie, rozszyfrowując medyczne terminy, żeby poznać stan serca, płuc i mózgu Nathana.

Mózg był w porządku. Tyle to i ja mogłam powiedzieć. Każdy głupi (nie wyłączając Rogera) to wiedział. Klik, klik. Impulsy przebiegały bezbłędnie od synapsy do synapsy. Jeden z tych impulsów był bardzo prosty: muszę zarabiać na moją rodzinę. Drugi: pozwólcie mi dalej pracować.

Płuca Nathana? Jak na człowieka w jego wieku, w doskonałym stanie.

Arterie? Jeśli można tak powiedzieć, okazały się piętą achillesową Nathana.

Jak często interesowałam się fizyczną formą Nathana? Setki razy. Należał do osób, które wyglądają dobrze na swój wiek. (Nawiasem mówiąc, ta etykieta ma zupełnie inne znaczenie, kiedy przykleja się ją mężczyźnie). Prezentował się tak samo dobrze w starej niebieskiej koszuli noszonej po domu czy na plaży, z włosami potarganymi wiatrem. W swoim ulubionym szarym garniturze do pracy wyglądał solidnie i kompetentnie. Jednak, jak się okazało, ten zadowolający wygląd zewnętrzny był wrogiem dla sieci żył i tętnic, w których powstały zdradzieckie zatory.

W miarę jak studiowałam i rozszyfrowywałam raport, widziałam coraz wyraźniej, że jesteśmy architektami własnej śmierci. Mózg i płuca Nathana należały do dumnego człowieka sukcesu. Ale wewnątrz jego arterii odkładały się warstwy skrywanego żalu, które go w końcu zabiły.

Zostawiłam raport na kuchennym stole, otworzyłam tarasowe drzwi i wyszłam na słońce.

Była wiosna. Na początku naszego romansu, podczas spotkania przy lunchu w moim mieszkaniu, Nathan przysłał mi kartkę walentynkową. Wielka i wulgarna miała na środku wypchane serce z różowego atlasu (tak Nathan rozumiał żarty), a wewnątrz napis: „Wiosną myśli zwracają się ku miłości”.

- Miłość - powiedział z rozmarzeniem, podpierając się na łokciu. - Chciałbym umieć opisać, jaka jest w dotyku... - Drugą ręką leciutko przesunął po moim nagim ramieniu. - Już zapomniałem, jaka jest wspaniała.

W Vistemaksie mieliśmy mały kryzys produkcyjny i w momencie, kiedy ja wymieniałam nielegalne pocałunki z jej mężem, Rose pilnie pracowała przy biurku, zadowolając się kanapką zamiast porządnego lunchu.

- Wybaczysz mi... - Palec Nathana zatrzymał się na mojej piersi. - ...Jeśli będę nieporadny w tym temacie.

- Oczywiście - zapewniłam pośpiesznie. Teraz, kiedy seks mieliśmy już za sobą, chciałam jak najszybciej znaleźć się z powrotem w pracy.

Nathan ułożył się wygodnie na poduszkach.

- Czuję, że mnie uratowałaś, Minty. Dzięki tobie odzyskałem poczucie celu.

Wypadało mi się bardziej zaangażować w tę intymną rozmowę.

- Z Rose nigdy nie rozmawiałeś o takich rzeczach?

Skrzywił się.

- Od razu widać, że nigdy nie byłaś mężatką.

- Kiedyś musieliście o tym rozmawiać.

- Takie tematy znikają. Pod warstwą codzienności. - Uniósł rękę i zaczął wyliczać na palcach. - Rachunki. Jazdy do pracy i z pracy. Niekończące się rozmowy o dzieciach. Utrzymanie domu.

Pamiętam, że poczułam wtedy złość w imieniu Rose. Przynajmniej to można mi zaliczyć na korzyść.

- Ona tylko urodziła ci dzieci, prowadziła dom, ogrzewała ci łóżko i bez wątpienia sortowała twoje skarpetki. Wszystko po to, żebyś miał lekkie życie.

- Owszem. Nie mogę zaprzeczyć. - Przewrócił mnie na posłanie i zaczął całować; usta miał gorące i leniwe po zaspokojonym pragnieniu.

Czy zdarzyło mu się, kiedy był już żonaty ze mną, spędzić z Rose kradzioną godzinę w porze lunchu, przy butelce dobrego szampana? Czy przewracał ją na to łóżko z niebiesko-białą narzutą i całował jej nagie ramiona, a potem wsparły na łokciu wdawał się z nią w intymną pogawędkę? Czy mógł się zwierzać swojej byłej żonie: „Z Minty rozmawiamy tylko o rachunkach i prowadzeniu domu, ale ty, Rose, dajesz mi miłość doskonalszą, niż mógłbym sobie wyobrazić”?

Żałuję, żałuję, że wtedy, nad tym wypchanym atlasowym sercem nie powiedziałam Natha-nowi, że go kocham, bo to by go uszczęśliwiło.

Trawnik zarósł, chłopcy stratowali spulchnioną przez dżdżownice ziemię. Wkrótce musiałam pomyśleć o koszeniu, którym nigdy dotąd się nie zajmowałam. To była domena Nathana. Przy drzwiach leżała porzucona piłka Felixa; gdy ją podniosłam, grudki zaschłego błota pobrudziły mi palce.

Byłam głodna, ale na myśl o jedzeniu robiło mi się niedobrze. Kiedy próbowałam przełknąć kawałek chleba albo kęs omletu, miałam wrażenie, że się udławię. Jednak z głodu zaczynały mi drzeć mięśnie i byłam słaba. Podniosłam do góry ręce i przyjrzałam się im uważnie. Palce wyraźnie się trzęsły. Paznokieć na jednym kciuku pękł i maleńka kropelka krwi zasychała na skórcie. Wyssałam ją i omal nie zwymiotowałam od metalicznego smaku.

Zatrzymałam się przy krzaku bzu - stanowił doskonale miejsce na odpoczynek podczas spaceru wokół ogrodu. (Rose o tym wiedziała). Zadarłam głowę. Kilka świeżych, jaskrawozielonych listków całkiem się już rozwinęło. Kolory raziły mnie w oczy, dźwięki i zapachy budzącego się życia były nie do zniesienia.

„Młode i piękne - jak stwierdziła jedna z przyjaciółek Rose, pocieszając ją po odejściu Nathana do mnie - potrafią być podłe". Ale uchodzi im to na sucho tylko przez krótki czas.

Dokładnie sześć lat.

- Nathan - powiedziałam w ten świeży, promienny poranek. - Czego byś chciał? Chcesz leżeć na spokojnym przykościelnym cmentarzyku pod cisami? Czy może wolisz zostać tu, gdzie żyłeś, walczyłeś, krzątałeś się wokół codziennych spraw i spłodziłeś swoje dzieci?

Spojrzałam na trawę i lzy nabiegły mi do oczu. Bez wątpienia należało ją skosić, a ja nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać. Ale w końcu koszenie trawników nie mogło być aż takie trudne.

Rozdział czternasty

Rose zadzwoniła, kiedy planowałam uroczystości pogrzebowe. Spytała, jak się miewam, czy w ogóle spałam, a potem od razu przeszła do rzeczy.

- Minty, chciałabym wygłosić mowę na pogrzebie.

- Żony wygłaszają mowy?

- Nie zapominaj, że nie jestem jego żoną. Jestem... zaprzyjaźnioną byłą żoną.

- Myślałam, że tylko ludzie, których zmarły specjalnie nie obchodził, wygłaszają mowy, bo inaczej można się załamać.

- To mój ostatni prezent dla niego. Dzieciom się spodoba.

- Twoim dzieciom.

- Dzieciom Nathana. - Jej głos brzmiał, jakby dobiegał z bardzo daleka.

- Gdzie jesteś?

- W Rumunii. Ten wyjazd był planowany od miesiący i nie mogłam go odwołać. Ale skracam pobyt. Zgoda? Tylko pięć minut, ale nie wierzę...

- Wierzę - powtórzyłam słabo niczym gasnące echo.

- ...by ktoś inny znał prawdziwego Nathana.

Czy prawdziwy Nathan to człowiek, który trzymał swoje papiery w kolorowych teczkach? Który mówił: „Musimy uważać z wydatkami”. Czy ten, który marzył, by w starych dżinsach i mocnych butach wędrować po skałach nad zatoką Priac?

A może ten, który podparty na łokciu bezskutecznie szukał słów, by wyrazić, jak bardzo jest szczęśliwy?

- Rose, już podjęłam decyzję. Nathan zostanie pochowany w Altringham. Pomyślałam, że będzie mu lepiej gdzieś, gdzie był znany. Gdzie nie będzie sam.

- Och, Minty... - Ledwie ją słyszałam. - Dziękuję ci. Nie minęło pół godziny, jak zadzwoniła Poppy. Była nastawiona wrogo, ja nie inaczej.

- Co do hymnów, Minty, to tata najbardziej lubił „Nieśmiertelny, niewidzialny”. Powinniśmy od niego zacząć. Przywiązywał wielkie znaczenie do hymnów.

- Doprawdy?

- Możesz o tym nie wiedzieć. Na twoim ślubie nie były potrzebne. A na zakończenie „Na-przód żołnierze Chrystusa”.

Przywołałam w myślach mgliste wspomnienie ślubu jednego z kolegów Nathana z Vistemaxu, kiedy śpiewano oba te hymny.

- Nie wydaje mi się, żeby lubił któryś z nich. Uważał, że są nudne.

Jednak Poppy wyznaczyła sobie rolę strażniczki pamięci ojca i nie miała zamiaru pozwalać, by tę rolę zakwestionowano. Głos jej się trząsał od gniewu.

- Chyba to my lepiej wiemy, co tata lubił, a czego nie lubił...

Kiedy śpiewano pierwszą zwrotkę „Nieśmiertelnego, niewidzialnego”, Sam spuścił głowę i zapłakał. Jilly wsunęła rękę pod jego łokieć i przysunęła się bliżej. Sam, nie patrząc na żonę, odsunął się i wydmuchał nos. Jilly opuściła rękę i patrzyła prosto przed siebie.

Felix i Lucas, siedzący po drugiej stronie przejścia, po obu moich stronach, zaczęli się niespokojnie wiercić na widok rozpaczony swego starszego przyrodniego brata. Po raz setny zadawałam sobie pytanie, czy w ogóle powinni brać udział w pogrzebie. Przed wyjściem z domu na mszę obaj gdzieś przepadli i po nerwowych poszukiwaniach Eve znalazła ich w szafie Nathana. Wywabiłam ich stamtąd torebką mordoklejków (zwykle zakazanych). Felix, gdy wsiadaliśmy do samochodu, zapytał:

- Jeśli włożymy tatusia do ziemi, czy to znaczy, że znowu wyrośnie?

W ławce za nami odziana w elegancką czerń Gisela śpiewała ładnym altem: „Bóg jeden wie”. Obok niej Roger śpiewał basem, raczej fatalnie. Gisela dotrzymała słowa i pozostawała ze mną w ciągłym kontakcie.

- Pytaj mnie o wszystko - powiedziała. - Jestem profesjonalną wdową, wiem, co robić.

Trzymając chłopców za ręce, śpiewałam hymn, którego Nathan nie lubił. Rzadko nosiłam rękawiczki, poza tym robiło się ciepło, ale przy żałobnym stroju wydawały się niezbędne, tak niezbędne, jak sam obrzęd pochówku. Nie mogłam się doczekać tej chwili. Powiedzenie, że zmarli zawsze są przy nas, zakrawa na truizm, ale truizmy mają to do siebie, że wyrażają prawdę. Każdemu towarzyszą jakieś duchy, przewijają się przez życie w różnych momentach. Każdy z obecnych w tym kościele był nimi otoczony. Czułam też, że Nathan unosi się gdzieś ponad nami, szukając pozwolenia, by odejść.

Kościół w Altringham okazał się rzeczywiście tak stary i ładny, jak mówiła Poppy; wszystkie ławki były zajęte, co świadczyło o szacunku dla Nathana, zważywszy, że dojazd do Altringham z Londynu trwał ponad godzinę. Nawę wypełniał zapach narcyzów i lilii, sączący się z podokiennych wnęk, gdzie ustawiono wielkie wazon. Narcyzy i lilie zdobiły również ołtarz i otoczenie trumny wykonanej z bambusa - Nathan szedł do grobu w wytwornej oprawie zieleni. Na wieku

trumny leżały dwie kompozycje kwiatowe. Pierwszą stanowił bukiet z różowych i białych kamelii z napisem: „Nathanowi i tatusiowi z miłością”. Drugą wieniec z róż wplecionych w liście laurowe i paprocie, z napisem: „Od Rose, Sama i Poppy”.

Wcześniej, przed nabożeństwem, zostawiłam chłopców pod opieką Eve i zakradłam się do pustego jeszcze kościoła. Czy wszystko było jak trzeba? Chciałam o to spytać istotę spoczywającą w trumnie, już nie ciało, a jeszcze nie ducha. Podoba ją ci się kwiaty? Kwiaciarka polecona przez Giselę okazała się więcej niż pomocna.

- Proszę zdać się na mnie, pani Lloyd - powiedziała. - Zrobię wszystko tak, żeby się pani i jemu podobało.

Czy wino, które miało być podane na stypie, jest odpowiednie, a herbata i kanapki smaczne? Zasady przeprowadzania uroczystości pogrzebowych były mi prawie tak samo nieznane jak te, które kierowały moim chwiejącym się małżeństwem. Miałam nieodparte poczucie, że dobrze zorganizowany pogrzeb zostawał w pamięci na dłużej niż ślub. Wiele zawdzięczałam Nathanowi, a nie zdołałam spłacić mu tego długu, więc przynajmniej mogłam się postarać, żeby pamięć o nim przetrwała.

W przedsionku kościoła leżało mnóstwo ulotek, książeczek do nabożeństwa i świętych obrazków. Zapach był tak intensywny, że zakryłam usta dłonią obciążoną rękawiczką. Już na zawsze ta nieznośnie słodka woń miała mi się kojarzyć ze śmiercią.

Hymny... przedsiębiorcy pogrzebowi... herbata dla bliźniaków... Idąc przez kościół, bliska hysterii, odhaczałam kolejne pozycje na liście, którą miałam w głowie. Było tyle spraw do ogarnięcia, padło tyle rad, z których na ogół nie pamiętałam ani słowa... poza tą, którą usłyszałam od pani Jenkins w szkole. Przyjęła mnie w okularach zsuniętych na czubek nosa, co miało zniechęcać do zbyt bliskiego kontaktu, i przedstawiła mi swoją opinię, według której Felix i Lucas powinni uczestniczyć w pogrzebie ojca, ponieważ to im pomoże pogodzić się ze stratą.

Zbliżyłam się do trumny, wykorzystując moment ciszy i spokoju, żeby spróbować po raz ostatni porozmawiać z Nathanem.

Chciałam mu powiedzieć, że jest mi przykro.

Moje obcasy stukały o nierówną posadzkę; jakaś kobieta siedząca w ławce na samym przodzie odwróciła się z zaciekawieniem.

- Domyśliłam się, że to ty - odezwała się Rose. Z włosami związanymi w miodowo-kasztanowy węzeł, ubrana w doskonale skrojoną lnianą sukienkę i żakiet (bez wątplenia francuskie), trzymała na kolanach bukiet białych róż przybranych laurem i paprocią. Twarz miała wprawdzie bladą, ale jako „nie całkiem, ale prawie wdowa” prezentowała się nad wyraz dostojnie.

Usiadłam w ławce obok niej. Spojrzałam w zwróconą ku mnie twarz. Rose była jak moje własne ciało i krew, niemożliwa do zignorowania. Nie potrafiłam wykorzenić jej ze swojego życia. Nathan najpierw z nią żył, miał z nią swoje pierwsze dzieci, przy niej umarł. Tego ostatniego dnia, cierpiący i zgnębiony, resztkami sił dotarł... do Rose.

Ponosiła winę za wszystko i jednocześnie nie była winna niczemu.

Wazon-y we wnękach okiennych jakby unosiły się w powietrzu, zawieszona na granicy pomiędzy tym światem a jakimś widmowym bytem.

- Myślisz, że jest dość kwiatów? Ta kwiaciarka miała niesamowite wyczucie. Jakby wiedziała wszystko.

Rose się zawahała.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się urażona, ale rozmawiałam z nią i powiedziałam, co Nathan lubił. - Dotknęła jednej z róż w swoim bukiecie. Kremowobiałe, w pełni rozkwitłe, doskonale... jak przystało na kwiaty wybrane przez Rose. - Pomyślałam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu. Przecież i tak wybrałabyś to, co Nathan lubił.

- Powinnaś była mnie zapytać. Rose lekko się zarumieniła.

- Może tak, ale byłaś bardzo zajęta, a wiem, że chcesz ograniczyć nasze kontakty do minimum. Uznałam, iż zgodzisz się ze mną, że to Nathan jest tu najważniejszy.

Popatrzyłyśmy na siebie i po raz tysięczny zadałam sobie pytanie, dlaczego ze wszystkich osób musiałam wykorzystać właśnie Rose.

Wskazała na bukiet.

- Mam zamiar położyć go na trumnie razem z twoimi kwiatami. Są od nas, od rodziny.

- Och... - wyrwało mi się bezwiednie. Rose poderwała głowę.

- Niemożliwe, żebyś się nie zgodziła. Wszystko było możliwe.

- Proszę - powiedziałam, wskazując na trumnę. Odniosłam dziwne wrażenie, że lata mojego życia z Nathanem zniknęły, starte na proch nieprzejednaną wytrwałością jego pierwszej rodziny.

Rose podniosła się z miejsca; droga lniana sukienka ułożyła się nieskazitelnie wokół ud, gruba złota obrączka zaśniła na palcu. Rose położyła swoje kwiaty obok moich i na moment dotknęła trumny.

- Dla ciebie, Nathan - szepnęła. - Najlepsze, jakie mogłam dostać.

- Bliźniacy przyjdą na pogrzeb? - zwróciła się do mnie.

- Tak. Nie byłam pewna, czy narażać chłopców... Ale są tutaj.

- Tu jesteś... - Poppy weszła do kościoła, blada, z pustką w oczach. - Przyjechałam wcześniej, żeby pomóc. - Wzięła matkę pod rękę i zajrzała jej w twarz. - Dobrze się czujesz? - spytała z

troską. Wytrzymasz to jakoś? - Poppy chciała, wymagała tego, żeby Rose ugięła się pod brzemieniem żalu. - Doskonale się trzymasz, mamó. Później się tobą zajmę.

Matka z córką wymieniły spojrzenia świadczące o pełnym wzajemnym zrozumieniu. Nie trzeba było słów, by Rose wiedziała, że Poppy jest jednocześnie przerażona i podniecona rozgrywającym się dramatem, a Poppy rozumiała, że odwaga matki wystawiona jest na najcięższą próbę.

- Minty, cieszę się, że zmieniłaś zdanie. - Poppy rozejrzała się po kościele. - Byłoby niewłaściwe chować go gdzie indziej. Co cię do tego skłoniło?

Rose pogładziła córkę po ręce.

- Cii... To nie jest odpowiedni moment.

Na chórze organista otworzył instrument i zajął miejsce przy klawiaturze. Z piszczałek organów wydobył się ciąg jęków i westchnień; niektóre brzmieniem tak bardzo przypominały ludzkie odgłosy, że usta same mi zadrżały.

Poppy jeszcze ze mną nie skończyła.

- Byłoby okropne, gdybyś powtórnie wyszła za mąż i wyjechała... sama nie wiem, powiedzmy do Hiszpanii lub gdzie indziej i zostałby sam.

- Poppy - przerwała jej ostro Rose. - Dość tego.

W tym momencie odczułam podziw dla Poppy za jej zادیorność i bezczelność oraz wymyślność obelg.

- Słuchaj, nigdy bym nie zamieszkała w Marbelli. Rozumiesz?

Wierni przy wtórze organów nieudolnie dośpiewali hymn do końca; kątem oka dostrzegłam w użyciu kilka białych chusteczek. Roger, w ciemnym garniturze i czarnym krawacie, podszedł do pulpitu. Odchrząknął. W tym momencie wyjrzało słońce i na posadzkę nawy padła wielobarwna plama światła przesączonego przez witraże.

- Znałem Nathana od dwudziestu lat, przez większość z nich byliśmy kolegami - zaczął mówę. - Był człowiekiem szczerze oddanym firmie. Stoczyliśmy razem wiele bitew i razem cieszyliśmy się ze zwycięstw.

Czy rzeczywiście Nathan był oddany firmie? Chyba tak. Roger uśmiechnął się nieznacznie, uśmiechem na tyle wyważonym, by nie budził podejrzeń o brak powagi, lecz przywodził na myśl radość wspólnego z Nathanem zabiegania o dobro firmy.

Żyjemy pośród fałszywych uśmiechów. To jedna z cen, jakie płacimy za cywilizację - wyszczerzone zęby, rozciągnięte wargi i piekielne myśli, które się za nimi kryją. Mogłam się założyć, że Roger nie potrafił sobie przypomnieć nic naprawdę ważnego na temat Nathana.

- Nathan wyróżniał się lojalnością... Był lojalny wobec kolegów, pracy, niezwykle lojalny wobec firmy...

Zagryzłam wargi, starając się nie słyszeć reszty przemowy.

Nabożeństwo trwało. Richard odczytał fragment wiersza Walta Whitmana „Żdźbła trawy”. Potem miejsce za pulpitem zajęła Rose.

- Może się to wydawać dziwne - zaczęła - ...ale Nathan nieraz rozmawiał ze mną o swoim pogrzebie.

Rose była nieszczerą. Nie ma nic dziwnego w tym, że ludzie, którzy są ze sobą od dawna i z pewnością się kochają, rozmawiają o swoim zejściu ze sceny. Raczej ci, którzy utknęli w zawilościach drugiego aktu, nigdy tego nie robią. Muszę przyznać, że my z Nathanem nigdy nie poruszyliśmy tego tematu.

Wśród żalobników przeszedł szmer ni to zakłopotania, ni oczekiwania. Światło padło na Rose. Dawno wyrosła z dziewczęcego wdzięku, a nigdy nie była seksy, jednak wyglądała pięknie. Jeśli twarz rzeczywiście jest zwierciadłem, w którym odbija się wnętrze człowieka, to Rose pokazywała swoje wnętrze, odważnie i bez udawania.

Poppy podniosła dłoń do ust. Roger gapił się przed siebie, a Felix zaczął pochlipywać.

- Słuchaj, Felix - szepnęłam, nachylając się nad nim. - To o tatusiu.

Rose mówiła dalej:

- Nathan kochał swoją rodzinę. Uwielbiał pływać łódką, łowić makrele...

Rose opowiadała swoją historię, zacierając obraz Nathana jako bezbarwnego pracownika, przedstawiony przez Rogera. Nathan z opowieści Rose był myślącym i czującym mężczyzną.

Mogła jeszcze dodać obraz Nathana, który wykrzykiwał odpowiedzi do radiowego kwizu, który nie lubił brokułów, miał zwyczaj siedzieć zupełnie nieruchomo, kiedy nad czymś myślał. Mogła opisać Nathana tulącego któregoś z bliźniaków i z trudem dobierającego słowa...

- Uwielbiał wiersz, który zaraz przeczytam. Napisał go John Donne, a Nathan czuł... Nathan cenił poczucie humoru. Będąc człowiekiem uczuciowym, nie zawsze widział rzeczy od ich zabawnej strony. Wiem, iż nie miałby mi za złe, że to mówię, wiem też, że chciałby, byście wiedzieli, że podziwiał ludzi, którzy potrafią znaleźć humor nawet w trudnych momentach... zwłaszcza w tych trudnych. - Zajrzała do kartki, z której miała przeczytać wiersz. - Druk jest trochę mały - powiedziała, wzbudzając lekki szmer rozbawienia.

Słodka Miłości, żeby cię osiąść, trzeba się starać, mocno natrudzić.

Nadzieję, że inna łatwiej mi przyjdzie, nie chcę się ludzić.

Ale że w końcu umrzeć muszę, Niechaj choć żartem ucieszę duszę.

Przeczytała wiersz trochę zduszonym, ale stabilnym głosem. To rzeczywiście był jej prezent dla Nathana, dla męża, który zostawił ją dla mnie.

Na koniec powstaliśmy z miejsc, żeby odśpiewać hymn, którego - jestem całkowicie pewna - Nathan nie znoślił.

Kanapki były znakomite, smakowały dokładnie tak, jak powinny smakować. Wino - wybór Sama - również wyborne, co taktownie podkreślali goście, spijający je w ogromnych ilościach.

Moi dawni koledzy z Vistemaxu otoczyli mnie wianuszkami. Dawni koledzy Rose skupili się wokół niej. Pośrodku była ziemia niczyja, okupowana przez krewnych i znajomych, niepewnych, do którego obozu powinni dołączyć. Bliźniacy krążyli pomiędzy obozami; trudno byłoby zliczyć, ile razy czyjaś odruchowo wyciągnięta ręka głaskała po głowie jednego lub drugiego z nich.

Połączenie szoku, żalu i dobrego wina zaowocowało rozluźnieniem języków. Mijałam właśnie z talerzem kanapek Maeve Otley, kiedy ta mówiła do Carlyne Shaker:

- Oczywiście, zachowamy go w pamięci jako miłego człowieka, ale nie był tak do końca lojalny wobec swojej rodziny...

Carlyne, nudna, miła Carlyne, wciśnięta w zbyt obcisłą granatową garsonkę, odparła:

- Ależ był lojalny na swój sposób.

Zaraz potem dopadł mnie kuzyn Nathana, Clive.

- Musisz mnie pamiętać. Poznaliśmy się na weselu Poppy i Richarda.

- Ach tak, Clive. - Clive, ekspert od turbin wiatrowych, stanowiących najnudniejszy temat na ziemi.

Z kieliszkiem w dłoni, podszedł bliżej i wtedy zauważyłam, że ma poplamiony krawat i wytarte mankiety koszuli.

- Na co staruszek umarł? - Zachowywał się dziwnie niespokojnie. - Nie był... no wiesz... - Clive postukał się palcem po nosie. - Ktoś wspomniał, że był... tego, w łóżku.

Natychmiast porzuciłam Clive'a, podeszłam do Sama i dotknęłam jego ramienia. Odwrócił się gwałtownie.

- Minty... - Przez moment jakby nie wiedział, co powiedzieć. - Dobrze to zorganizowałaś. - To już było coś. - Chcę ci powiedzieć, że bardzo mi przykro. - Wyrażanie emocji nigdy nie stanowiło mocnej strony Sama, nic więc dziwnego, że czuł się nieswojo.

Ja jednak nie ustępowałam.

- Nathan dużo o tobie mówił. Wiem, że chciał z tobą porozmawiać o tym wyjeździe do Ameryki.

Sam zacisnął palce na kieliszku.

- Właściwie przyjąłem już tę posadę i we wrześniu wyjeżdżam do Austin.

- Z Jilly?

Przymknął oczy, jakby zatrzaskiwał przyłbicę.

- Jilly jeszcze nie podjęła decyzji, ale mam nadzieję ją przekonać. - Odszukał wzrokiem żonę. Jakiś rodzaj telepatii jednak istniał, bo w tym samym momencie Jilly odwróciła się od grupy, w której stała z Carolyn Shaker i Rose, żeby popatrzeć na męża. Spojrzenia, jakie między sobą wymienili, nie były ani miłe, ani szczęśliwe.

- Na początku, przez kilka miesięcy, będę co jakiś czas przyjeżdżał - powiedział smętnym tonem. Następnie dodał: - Będzie mi brakowało taty.

Wielu z gości, zmęczonych dojazdem do Altringham, szybko opuściło stypę. Ci, którzy ze mną rozmawiali, tłumaczyli się a to jakimś zebraniem, a to koniecznością zdążenia na pociąg. „Wiesz, jak to jest z pociągami”. Carolyne i Peter Shakerowie wychodzili jako jedni z pierwszych. Peter wyciągnął rękę. Nie od razu zdecydowałam się ją uścisnąć.

- Wiem, że to trudne - zaczął Peter - ale mimo wszystko Nathan to mój przyjaciel.

- Jasne. Przyjaciel. - Ironia w moim głosie była całkowicie świadoma i zamierzona. - Z pewnością śpieszysz się na jakieś zebranie.

- Prawdę mówiąc, tak.

- Zabranie, w którym Nathan mógłby brać udział? Gdyby go nie zwolniono?

Carolyne oblała się rumieńcem; wzięła męża pod rękę. Przy bliższych oględzinach widać było efekty awansu Petera. Carolyne miała dobrze ostrzyżone włosy, a w uszach, zamiast jak dotąd wiszących złotych kolczyków, brylanty na sztyfcie.

- Nie musisz być od razu taka, Minty.

- Na zewnątrz pewnie czeka flota służbowych samochodów. Nie pomylcie się przy wsiadaniu.

Peter się uśmiechnął.

- To był piękny pogrzeb, Minty. Odpowiedni dla Nathana. Dobrze zapamiętam tę uroczystość.

- Właśnie o to mi chodziło - powiedziałam.

Pokój opustoszał, pozostała w nim tylko mgiełka tytoniowego dymu po jakimś zatwardziałym palaczu, zapach rozlewanej wina i resztki kanapek na półmiskach. Eve odwozła wcześniej protestujących bliźniaków do Londynu (obiecałam im, że będzie to o wiele przyjemniejsze niż nudzenie się w towarzystwie samych dorosłych). Została jedynie rodzina i adwokat Theo. Gestem przywołał nas do siebie.

- Może zechcecie usiąść - zaproponował.

Opierając się o stół zastawiony butelkami po winie i brudnymi kieliszkami, Theo wyjaśnił, co zawiera testament Nathana.

- Majątek ma być podzielony w następujący sposób. Zalecenia są dość skomplikowane i wymagają zaangażowania powierników, Wróć do tego za moment. W każdym razie masa spadkowa obejmuje po pierwsze dom przy Lakey Street wraz z wyposażeniem, po drugie inwestycje Nathana i gotówkę. Minty ma dożywotnie prawo do zajmowania domu przy Lakey Street, pod warunkiem że będzie w nim mieszkać. Jeśli zechce się przeprowadzić lub jeśli umrze, dom ma być sprzedany, a uzyskana ze sprzedaży kwota podzielona równo pomiędzy bliźniaków. Jeśli to nastąpi, zanim skończą dwadzieścia jeden lat, powiernicy mają zainwestować pieniądze, dopóki chłopcy nie osiągną tego wieku. Całe wyposażenie domu przechodzi bezwarunkowo na własność Minty, z wyjątkiem pewnej wazy i dwóch obrazów, które Nathan chciał przekazać Rose, Samowi i Poppy oraz stołu i krzeseł z jadalni wraz z inkrustowanym półokrągłym stolikiem przeznaczonym dla chłopców. Przedmioty te mają pozostać pod opieką Minty, dopóki chłopcy nie osiągną pełnoletności. Pozostały inwestycje i gotówka. Tym mają się zająć powiernicy, przede wszystkim wypłacając resztę pieniędzy należnych Rose na mocy ugody rozwodowej, a następnie określoną sumę Minty. Pozostała kwota ma być podzielona następująco: po jednej trzeciej dla Sama i Poppy oraz jedna trzecia podzielona między Lucasa i Felixa, kiedy osiągną stosowny wiek. Do tego czasu pieniądze mają być inwestowane przez powierników. Pozostała jeszcze emerytura Nathana. Nathan wydał zawczasu odpowiednie dyspozycje, by w razie jego śmierci Minty miała prawo do dożywotniej renty wdowiej. Jak widzicie, rozporządzenia są dość szczegółowe. Nathan wybrał mnie i swego doradcę finansowego na powierników; mamy dopilnować, by zostały wypełnione wszystkie jego dyspozycje.

Zacisnęłam ręce na kolanach. Rozdzielając swój kapitał, Nathan potwierdził, że muszę wrócić do pracy. Tak jak zawsze chciałam.

- Jeszcze jeden, ostatni punkt... - Theo podniósł rękę. - Jest tu kodycył, który Nathan dodał parę miesięcy temu. Dotyczy opieki nad bliźniakami. Na wypadek gdyby coś się stało jemu lub Minty, a bliźniaki nadal były niepełnoletnie, życzył sobie, by Rose została ich prawnym opiekunem, i wyrażał nadzieję, że Minty się na to zgodzi.

- Z pewnością miał nas na myśli? - Głos Poppy zabrzmiał nienaturalnie donośnie.

Jilly nachyliła się i szeptem powiedziała coś Samowi do ucha.

- To niemożliwe. Theo pokręcił głową.

- Nie ma mowy o pomyłce. Rose była śmiertelnie blada.

- Wiedziałas o tym? - spytałam.

- Nie. Tak. Pytał mnie okrężną drogą. Powiedziałam, że to niemożliwe, ale się uparł.

- Po moim trupie.

- Minty, nie mów tak.

- Nathan by tego nie zrobił - stwierdziłam.

Zrobiłby. Zrobił.

Theo zdjął okulary.

- Szczegóły mogą poczekać. Jeśli każde z was zechce się ze mną skontaktować, dokładnie wszystko wyjaśnię.

- Mamo... - Poppy objęła matkę za ramiona. - Nie rozmawiajmy teraz o niczym. Porozmawiamy później, jak trochę dojdziemy do siebie. Kiedy poczujesz się lepiej. Weź torebkę, odwieziemy cię do domu.

Popchnąwszy matkę w stronę szatni, zwróciła się do mnie w miarę uprzejmie:

- Dzięki za to... że urządziłaś mu ładny pogrzeb. - Sprawiała wrażenie bliskiej załamania.

Sam i Jilly rozmawiali z adwokatem, ustalając terminy, kelnerzy krzątali się po sali, zbierając talerze i filiżanki po herbacie. Uroczystość dobiegła końca.

- Staralam się jak mogłam dla twojego ojca.

Moja odpowiedź wzbudziła dziwną reakcję. Poppy zmrużyła krótkowzroczne oczy.

- Chcę, abyś wiedziała, że twoje ekstrawagancje wykończyły ojca. Zamartwiał się nimi.

Okrutne oskarżenie podziało jak smagnięcie batem.

- Tak? Skąd wiesz?

- Ty głupia, głupia kobieto... - Poppy straciła panowanie nad sobą, zaczęła się trząść. - Powiedział mi.

Oczywiście. Wyobraziłam go sobie, jak mówi do córki, a ona słucha, podpierając brodę na łokciu. „Minty chce nowej łazienki... dywanu... ale nas na to nie stać”.

Wprawni pokerzyści grają agresywnie, kiedy wiedzą, że karta im sprzyja, więc nie zamierzałam pozwolić, by Poppy uszło to na sucho.

- Prawdę mówiąc, tobą też się martwił.

- Doprawdy?

- Wiesz, że tak. Nic mu nie mówiłam, ale on sam wiedział, że masz jakieś kłopoty. - Położyłam jej dłoń na ramieniu. - Zła passa? Czy nie tak mówią pokerzyści, kiedy karta się od nich odwraca?

Rose wyszła z szatni. Patrząc mi w twarz, Poppy wycodziła:

- Dzięki Bogu, że nie musimy się więcej widywać.

Dzięki Bogu, powtórzyłam za nią w duchu. Gdybym wypowiedziała te słowa na głos, oznaczałoby to zerwanie wszelkich więzów, całkowite... co obu by nam odpowiadało. Jednak w ostat-

niej chwili przypomniałam sobie o chłopcach. Łatwość, z jaką Poppy była gotowa zrezygnować z kontaktów z nimi, boleśnie mnie zraniła. Bliźniacy kochali swoją starszą przyrodnią siostrę. „Nie-znośną” Poppy. Dawała im śmiech, zabawę, powiew egzotyki.

Poppy to ich rodzina. Rodzina może być gniazdem żmij, ale to były ich żmije, w przeciwieństwie do wszystkich innych żmij. Czując nagle przytłaczające zmęczenie, odparłam:

- Nathan chciałby, żebyśmy przynajmniej były dla siebie uprzejme. Poza tym to by zmartwiło twoją matkę.

- Moja matka... - Rose zmierzała w naszą stronę. - Moja matka jest najlepsza. Najlepsza.

Theo pakował aktówkę. Wskazując gestem na w połowie opróżnione talerze z kanapkami, brudne kieliszki, puste butelki po winie i używane popielniczki, powiedziałam:

- Zostaliśmy tylko my dwoje. Theo rozejrzał się po pustej sali.

- Kto cię odwozi do Londynu?

Na mojej liście zabrakło tego punktu. Zapomniałam się nad tym zastanowić.

- Wiesz, że nie wiem. Zerknął na zegarek.

- Podwiozę cię.

- Dzięki.

Rozdział piętnasty

Instynkt kazał mi się wystroić do Paradoxu. Stanowiło to pewien wysiłek, ale wybrałam czarne spodnie, zielony kaszmir i kozaczki na wysokim obcasie, a włosy związałam w koński ogon.

Na moje wejście Syriol aż podskoczyła, mówiąc:

- Nie spodziewaliśmy się ciebie. Czy na pewno powinnaś przychodzić?

Jej podniesiony głos zwabił do recepcji Deb.

- Minty? Jak... - Deb miała nową fryzurę i wyglądała promiennie. - Jak się masz? Nie sądziłmy...

Chris Sharp (cały na czarno) otworzył drzwi swojego gabinetu i wychylił głowę.

- Deb, możesz pozwolić na moment?

Na dźwięk swego imienia Deb lekko odwróciła głowę, od czego jej włosy zakołysały się ponętnie.

- Właśnie rozmawiam z Minty, Chris. Zaraz przyjdę.

- O, Minty. - Chris wyszedł z gabinetu i wyciągnął rękę. - Chcę ci powiedzieć, że bardzo mi przykro. - Poklepał moją dłoń. - Wszystkim nam jest bardzo, bardzo przykro.

Deb dotknęła mojego ramienia, mówiąc ściszym głosem:

- Wszyscy bardzo się zmartwiliśmy. Biedni chłopcy. Chris uniósł brew.

- Nie za wcześnie wróciłaś do pracy?

Wyjaśniłam, że chcę porozmawiać z Barrym i dowiedzieć się, co z moimi projektami.

- Nie musisz się martwić o swoje projekty - zapewniła szybko Deb. - Zajmujemy się nimi.

Barry był poważny i gotów do pomocy.

- Dobrze, że przyszedłaś, Minty. Doceniamy to. Rozłożyłam przed nim na blacie biurka swój otwarty terminarz. Strony były w większości niezapisane.

- Planuję zabrać chłopców gdzieś na krótko, a potem muszę załatwić sprawę z adwokatem Nathana. Jeśli ci to odpowiada, wrócę za trzy tygodnie?

- Trzy tygodnie? - Barry z namysłem obracał w palcach swoją komórkę. - Jesteś pewna, że to wystarczy, byś doszła do siebie?

- Najlepiej od razu chwycić byka za rogi. - Oboje gadaliśmy banały, ale zauważyłam, że w kluczowych momentach, takich jak przekazywanie złych wiadomości lub upewnianie się, czy moja kariera ma szansę rozwoju w obliczu podstępnych kradzieży, dokonywanych przez drapieżnych kolegów, frazesy raczej się sprawdzały.

Barry zamyślił się bardzo, ale to bardzo głęboko.

- Postawmy sprawę jasno, Minty. Mówisz, że nadal chcesz pełnego etatu, ale ja się zastanawiam, biorąc pod uwagę twoją nową sytuację, czy jednak nie powinnaś myśleć o niepełnym wymiarze godzin.

Tym razem moja odpowiedź była jak najdalsza od banału.

- Musi być cały etat. Barry lekko zmrużył oczy.

- Skoro tak...

- A co do moich projektów...

Barry pochylił się i położył mi dłoń na ramieniu.

- Nie musisz się o nie martwić. Chris wszystkim się zajął. Zna twój sposób myślenia. Ty musisz się skupić na odzyskaniu równowagi. - Głos miał ochryple ze współczucia, a jego szczerza troska niemal skrywała fakt, że jest mu obojętne, czy będę w biurze, czy nie.

- Obawiam się, że ludzie plotkują - powiedziała Paige. - Zawsze plotkują. Ale... - Podniosła się znad kosza z wysuszonym praniem. - Musisz przyznać, że te plotki nie wzięły się znikąd. Dlaczego Nathan był w mieszkaniu Rose? Dla plotkarzy to smakowity kąsek, Minty, jak tłusty chrześcijanin rzucony lwom.

W nagrodę za trudy poranka spędzonego nad papierami w towarzystwie Thea, wysławszy dzieci do parku pod opieką Eve, wybrałam się do Paige na lunch. Siedziałyśmy w jej czyściutkiej, pachnącej kuchni, podczas gdy na różowym piecyku gotowało się coś pysznego. Niemowlę spało na górze.

- Myślę, że Nathana skierowało do Rose coś w rodzaju poczucia lojalności.

- Naprawdę? - Mina Paige wyrażała niedowierzanie. Przycisnęłam palce do skroni.

- Nic poza tym.

Paige przyjrzała mi się z zaciekawieniem.

- Skoro tak mówisz. - Wyjęła z kosza koszulę i złożyła rękawy na gorsie, jak na świętym obrazku. - Powinna to robić Susan, której dałam dzień wolnego. Jeszcze o tym nie wie, ale to łapówka. - Sięgnęła po śpioszki w żółto-czarne paski. - Charlie wygląda w tym jak osa. Jak tam sprawy na Lakey Street?

- Zapanował spokój. Grobowy spokój.

Nathan nie żył od dwóch tygodni i dzwonek u drzwi nie dzwonił już po kilka razy każdego ranka. Nie było dostaw kwiatów, które wcześniej wypełniały wszystkie wazony. Razem z Eve jakoś się już uporałyśmy ze wszystkimi zupami i makaronami z serem w obcych pojemnikach, które w pewnym momencie zapychały całą lodówkę.

Chłopcy raz lepiej, raz gorzej radzili sobie ze zrozumieniem sytuacji.

- Tatuś wyjechał do ładnego miejsca - powiedział kiedyś Lucas do Eve. Jednak od czasu do czasu czuli się zagubieni.

Kilka razy od śmierci Nathana zdarzyło mi się nagle obudzić pod czujnym spojrzeniem pary dziecięcych oczu, a co jakiś czas jeden lub drugi z bliźniaków zakradał mi się do łóżka, niczym miękki, ślepy kret, szukając poczucia bezpieczeństwa. Chłopcy żyli jakby na huśtawce pomiędzy tym, co rozumieli, i tym, co ich przerastało; miało to wpływ na ich zachowanie - byli pobudliwi i niepewni siebie.

- Gdzie jest tatuś? - pytał Felix przy śniadaniu.

Paige odniosła koszyk do pralni i zajrzała do piekarnika.

- Wyglądasz, jakbyś pilnie potrzebowała dobrego posiłku - stwierdziła. - Co powiesz na gulasz rybny?

Byłam w połowie jedzenia, kiedy nie wiadomo skąd do mojego umysłu nadciągnęła burza. Żując tłustą różową krewetkę, poczułam, jak poca mi się podeszwy stóp, a we mnie wzbiera gniew, jakiego rzadko doświadczałam.

- Jak Nathan śmiał umrzeć? - Upuściłam widelec i odepchnęłam na bok talerz. - Jestem na niego taka zła, że nas zostawił. Co on sobie wyobrażał, że nie dbał o serce?

- Tak już lepiej! - ucieszyła się Paige. Wytarła kroplę sosu ze stołu. - W końcu ogarnęła cię porządna złość. Zawsze powtarzam dzieciom, że najlepiej to z siebie wyrzucić.

Paige była zwolenniczką „wyrzucania z siebie”. „Porządna złość” według niej miała mi ulżyć w cierpieniu po stracie męża i żalu po tym, co mnie ominęło.

- Przecież musiał myśleć o Feliksie i Lucasie, o tym, co będzie, gdy go zabraknie? Jak oni sobie mają radzić bez ojca?

Gdyby Nathan nagle wrócił z ciemności czy też tego, co znajduje się poza nią, powiedziała-bym mu: „Nathan, nigdy więcej nie poproszę cię o nową łazienkę. Obiecuję, że będę się starać, by nasz związek był udany”. Mogłam go nawet zapewnić, że nie będzie mi przeszkadzać wieczna niechęć jego rodziny i znajomych w rodzaju Frostów i Lockhartów.

Obiecałabym, że wymażę to, co było, i zacznę wszystko od nowa.

Zdjęłam z widelca okruch skorupki z krewetki.

- Jak ja sobie dam radę? Jak mam pomóc chłopcom? Jak ich wychowam? Jak utrzymam dom?

- Pewnie tak, jak sobie radzisz obecnie. Przystosujesz się.

- Miałam sen, Paige. Zmieniłam się w mądrą, zaradną matkę, taką jak ty. Taką, która w deszczowe popołudnie mówi: „Zróbmy dinozaura z kartonu albo napiszmy sztukę o tatusiu, a ja przygotuję kostiumy”. Ale to tylko sen.

- Jedz. - Paige nałożyła mi na talerz świeżą chochlę gulaszu.

Gapiłam się na mieszaninę krewetek i dorsza. Mój gniew, gorący i zawzięty, wypalił się i ostygł.

- Nathan chciał mnie upokorzyć, proponując, by Rose została prawną opiekunką chłopców... gdyby się coś stało. Jak on mógł to zrobić? Gisela twierdzi, że nie mam racji, a Nathan myślał praktycznie. Rose jest jedyną osobą dysponującą czasem, jest starsza i rozsądna. Dbałaby przede wszystkim o dobro chłopców.

Paige się zastanowiła.

- Gisela ma rację. Tak czy owak to się nie stanie. Jesteś okazem zdrowia. Może... może chciał uporządkować stosunki między wami, Minty.

- Cóż, nie udało mu się.

Paige zaczęła jeść swoją porcję z pośpiechem typowym dla zagonionej matki.

- Charlie zaraz się obudzi.

Jak na zawołanie, z głośnika dziecięcego interkomu rozległ się odgłos podobny do dźwięku włączania miniaturowej kosiarki. Rozpromieniona Paige odłożyła widelec.

- Przyniosę go tu.

Usiadła i przystawiła Charliego, już wyjącego na pełny regulator, do piersi. Podtrzymując dziecko jedną ręką, drugą wykonywała skomplikowane manewry, by dokończyć jedzenie, nie przenosząc widelca nad jego głowę.

- Jak się miewa Martin?

- Ostatnio rzadko go widuję. Wysiadałam go do gościnnego pokoju, co oznacza, że mam Charliego tylko dla siebie. - Uśmiechnęła się do niemowlęcia. - Prawda? I to jest cudowne, prawda, mój mały tygrysku? Fantastycznie się bawimy.

- W ogóle nie brak ci banku? - Szerokim gestem wskazałam na sterylizator, rozkład zajęć przypięty do tablicy na ścianie, baterię miedzianych naczyń kuchennych. - Liczby były kiedyś treścią twojego życia.

- Och, trochę tęsknię za liczbami. Tęsknię za ich czystą konkretnością, ale one stanowiły tylko część mojej pracy. Większość czasu zajmowało mi politykowanie, ocieranie się o klientów, zmaganie z problemami i nieprzychylną prasą. Krótko mówiąc, nigdy nie ma samych miodów.

Ilekczo Paige wypowiadała słowo w rodzaju „liczby” lub „statystyki”, jej twarz rozpromieniała się, tak jak w tym momencie. Gdyby wstąpiła do zakonu, z tą samą konsekwencją i zapalem starałaby się być wzorową córą bożą.

Przyłożywszy Charliego do drugiej piersi, powróciła do poprzedniego tematu.

- Będziesz musiała przemyśleć swój stosunek do Rose. Nie możesz dopuścić do tego, by stała się twoją obsesją. - Gładząc główkę dziecka, zaszczebotała: - Kim jest mój śliczny chłopczyk? No, kim? - Następnie wyprostowała się i już normalnym głosem spytała: - Chyba nie sądzisz, że między nimi coś było?

To pytanie długo nie dawało mi spokoju; powróciło wieczorem, kiedy próbowałam zasnąć, pojawiło się rano, kiedy się obudziłam, obolała i nadal zmęczona. Zawarta w nim sugestia tłukła mi się po głowie.

- Nie wiem. Wiem tylko tyle, że nie chcę teraz o niej myśleć. A Nathan swoim nedorzecznym pomysłem mnie do tego zmusił.

- Ludzie robią dziwne rzeczy, Minty.

Czułam puls bijący na moim prawym nadgarstku.

- Owszem.

- Słuchaj, w tej chwili to nieistotne. - Na widok mojej sceptycznej miny dodała: - Nie przejmuj się tym.

Zacisnęłam palce lewej ręki na pulsującej żyłce.

- Myślisz, że historia lubi się powtarzać? - Innymi słowy, czy można było oczekiwać, że Nathan będzie szukał pociechy i przyjemności u źródła, które tak dobrze znał?

- Nie wolno ci się tym przejmować. - Zarzuciła sobie na ramię batystową ściereczkę, ułożyła na niej Charliego, podniosła się zza stołu i zaczęła wykonywać kołyszące ruchy, jakby tańczyła jakiś plemienny taniec. - Tak łatwiej mu się odbije. - Charlie głośno potwierdził jej teorię. Masując sobie plecy jedną ręką, Paige zawirowała w przeciwną stronę. - Sprawdzam, czy mam jeszcze talię, i okazuje się, że mam.

Parsknęłam śmiechem.

- Domyślam się, że wszystkie badania kontrolne wypadły prawidłowo?

- Plecy trochę mi dokuczają. Nadwreżyłam sobie wiązadła. I nie sypiam już najlepiej. Ale w końcu planowałam nie spać przez najbliższe sto lat. Wejdiesz ze mną na górę, żebym mogła przewinąć Charliego?

Paige była idealną matką. Była też idealną panią domu. W jej kuchennych szafkach panował nieskazitelny porządek, żaden słoiczek z przeterminowaną przyprawą nie miał prawa zalegać na półce. W schowku z bielizną każda półka odpowiadała innemu pokojowi, a ubrania w garderobie wisiały posortowane według kolorów. Można było zniechęcić Paige, o ile się jej nie kochało.

Nigdzie w domu nie dostrzegłam śladu kurzu, a idąc za Paige na górę, zauważyłam, że firanki w pokojach dzieciennych zabezpieczone są od dołu specjalną przezroczystą taśmą. Dlatego mijając pokój gościnny, zajrzałam do środka i aż się cofnęłam: całą podłogę zaścielały rozrzucone ubrania, książki i sterty papierów.

- Patrzysz na ten bałagan? Umówiliśmy się z Martinem, że jeśli pojawi się trzecie dziecko, którego on nie chciał, zajmie wolny pokój, gdzie będzie mógł mieszkać jak w chlewie.

- Aha.

Paige przewinęła i umyła Charliego. Mimo tego, co mówiła, widać było, że jest zmęczona. Zwinęłam brudną pieluchę i przetałam matę do przewijania.

- Nie powinnaś tego robić - powiedziała Paige. - Ale jestem ci wdzięczna.

- Masz pojęcie, jak mi brakuje normalnych zajęć? - Upchnęłam pieluchę w kubie.

Paige usiadła na fotelu do karmienia; brzuch wylewał jej się nad paskiem spodni, uda miała wyraźnie zwiotczałe.

- Co dalej, Minty? Co teraz zrobisz?

- Będę żyć normalnie. Wrócę do pracy. Będę utrzymywać chłopców i siebie.

- Chciałaś wrócić do pracy.

- Chciałam.

Paige uszczypnęła skórę na udzie i skrzywiła się z niesmakiem.

- To już coś, na początek.

Tydzień później spakowałam do auta szorty, podkoszulki, swetry, wiaderka, łopatki, fasolę w puszkach, ulubione płatki śniadaniowe, pluszowe misie i makaron w kształcie literek, po czym zabierając ze sobą Eve, mapę i chłopców, wyjechałam z Londynu.

Zmierzaliśmy do Priac Bay w Kornwalii. Dokładniej, do domu, gdzie Nathan i Rose co roku spędzali wakacje. Nie mogłam powiedzieć, czy to była łatwa, czy trudna decyzja, bo to w ogóle nie była decyzja w sensie formalnym. Nigdy wcześniej nie byłam w Priac Bay, odnosiłam się nieufnie do tego miejsca.

- Na litość boską - mówiłam oburzona do Paige, gdy Nathan zaproponował, by tam wrócić. - Nathan zabierał do Priac Bay swoją pierwszą rodzinę.

Paige nie kryła zaskoczenia, tak jak oczekiwałam.

- Czy ten Nathan jest głupi? Albo ma bardzo, ale to bardzo ograniczoną wyobraźnię.

Jednak teraz czułam potrzebę, by pojechać z chłopcami gdzieś, gdzie Nathan był szczęśliwy, więc telefonicznie załatwiłam, co trzeba.

Padło, lekka mżawka sączyła się z nieba, kiedy po przejechaniu mniej więcej czterystu kilometrów samochód skręcił w nieutwardzoną drogę prowadzącą do chaty. Felix i Lucas, ogłupiali i znudzeni, milczeli na tylnym siedzeniu.

Cały świat wydawał się przemoknięty na wylot. Horyzont zasnuwała mgła, a morze ryczało, pocięte białymi grzebieniami piany. Łupkowy dach chaty lśnił od wody, na szarych ścianach widniały plamy wilgoci, a z roślin w ogrodzie kapalo niczym z zepsutych kranów.

Eve naciągnęła rękawy swetra na przeguby.

- Zimno tu, Minty.

Ja też zmarzłam, a do tego byłam zmęczona i przestraszona. Poczuliśmy się jeszcze gorzej, odkrywszy, że dwie sypialnie na górze są zawilgocone, stan kanalizacji budzi poważne zastrzeżenia, a najbliższy sklep znajduje się w odległości kilku kilometrów. Obie z Eve bardzo się starałyśmy. Pościeliłyśmy łóżka, rozpakowałyśmy bagaże, ustawiliśmy wiadra i łopaty w pogotowiu przy drzwiach. Zjedliśmy przygotowaną naprędce kolację, na którą składały się fasola i jajka sadzone, a potem patrzyliśmy, jak deszcz siecze powierzchnię morza, i słuchaliśmy krzyku mew.

- Tatusz tu przyjeżdżał - powiedziałam chłopcom. - Często. Na wakacje.

- Tatusz - powtórzył Felix. Jego niebieskie oczy pociemniały. - Tatusz.

Po chwili Lucas zapytał:

- Czy ja siedzę na krześle tatusia?

- Możliwe. Wyglądają, jakby tu stały od dawna.

Eve w milczeniu polowała na ostatnią fasolę na swoim talerzu.

Rano, kiedy Eve krzątała się po chacie, zaprowadziłam chłopców stromą ścieżką na maleńką plażę u stóp skały. Po deszczu ziemia zrobiła się kleista jak karmel; chłopcy aż piszczeli z uciechy, potykając się i ślizgając. Wilgoć z krzaków rosnących wzdłuż ścieżki moczyła nam ubrania. Powietrze było ciężkie od soli, liście i gałęzie miały jej zapach, zostawiała też słony posmak na ustach.

Na plaży odpływ znaczył ciemnymi plamami kamienie. W górze krzyczały mewy. Chłopcy biegali jak szaleni tam i z powrotem, nawołując się wzajemnie. Drżąc z zimna, usiadłam na kamieniu i patrzyłam na nich.

Miałam mokre stopy i pod kurtką trzęsłam się jak galareta. Nathan uwielbiał to miejsce. Ty-le wiedziałam, lecz poza tym niewiele. Nigdy nie pytałam, dlaczego albo który fragment plaży lubił szczególnie, czy która zatoczka najlepiej nadawała się do pływania. Milczałam. Metaforycznie rzecz ujmując, odwróciłam się plecami. „Wiesz, Minty, ty wcale mnie tak dobrze nie znasz”, rzucił mi kiedyś.

Że też wtedy go nie zapytałam... Nie usiadłam i nie powiedziałam: Porozmawiajmy, Nathan. Powiedz mi.

Odkrycie siebie, materialistycznej i przyziemnej, bezsilnej wobec bólu i brzydoty, było dziwnym i trudnym doświadczeniem. Czułam się jak rzucona na łaskę przyływu, miotana w różne strony falą równie silną jak ta, która przed moimi oczami zdzierała piasek z brzegu.

Eve pomachała do Felixa.

- Chodź tu, Felix. Znalazłam coś. - Przytuleni do siebie oglądali jakiś przedmiot na piasku. Lucas biegał dookoła nich, śpiewając bardzo głośno.

- Patrzcie na mnie. Patrzcie na mnie.

Dawno temu w biurze Vistemaxu, zanim nastąpiła we mnie ta morska przemiana, powiedziałam do Rose:

- Nie mam rodziny. Po co komu rodzina? Nie mam dzieci. Po co sobie wiązać kamień młyński u szyi?

Teraz miałam rodzinę i nieznośny ciężar wielkiego młyńskiego kamienia czułam w każdym mięśniu i kości.

- Mamo... - Felix biegł w moją stronę, z wyciągniętym przed siebie, pokrytym gęsią skórką ramieniem. Wiatr podniósł mu włosy nad czołem, drobne nóżki błyskały bielą spod krótkich spodenek. - Popatrz, co mam.

Rozpostarł dłoń, żeby mi pokazać śliczną muszelkę.

Po lunchu z chleba i sera chłopcy zostali odesłani na górę, żeby dla odpoczynku poleżeć w łóżkach. Zostawiłam Eve przy myciu naczyń, zrzedzając na brak ciepłej wody, a sama wsiadłam do samochodu i pojechałam na zakupy.

Najbliższy supermarket znajdował się na przedmieściach Penzance. Zatłoczony i hałaśliwy. To był początek (jak by powiedziała Paige) - poza wszystkim innym - oszczędzania, innego podejścia do wydatków. Dlatego wybrałam przeceniony dżem, paluszki rybne, najtańsze masło i inne artykuły, na które mogłam sobie pozwolić.

Odjeżdżałam ze sklepu trochę oszołomiona i wyczerpana. Wiatr ustał, nieruchome powietrze zaczęło się nagrzewać od słońca, a morze zmieniło kolor na niebieski. Był piękny dzień i na falach pojawiły się łódki różnej wielkości.

Eve zabrała chłopców na plażę; słyszałam ich nawoływania i piski. Powoli, niezręcznie rozpakowałam zakupy, wyjmując po kolei dżem, paluszki rybne, brokuły i marchew. Nie mogłam się otrząsnąć z obezwładniającego, wręcz przerażającego wrażenia obecności Nathana w tym domu.

W końcu chwyciłam żakiet i wyszłam na zewnątrz. Ścieżka biegnąca grzbietem skały przechodziła tuż przed domem. Ruszyłam nią prosto przed siebie. Po chwili przyśpieszyłam kroku tak, że niemal biegłam, trafiając stopami raz na miękką darń, raz na kamienie. Słońce raziło w oczy, morze, płytsze przy brzegu, miało turkusowy odcień. Morskie ptaki zataczały koła i z krzykiem nurkowały między skałami. Kiedy okrążyłam czubek wzniesienia, uderzył we mnie podmuch wiatru, tak silny, że musiałam się zatrzymać.

W pełnym słońcu, zdyszana, czułam przejmujący chłód. Wciągałam w nozdrza zapach morza i trawy, świeżość powietrza. Odwróciłam się twarzą do zatoki; woda, skały i roślinność błyszczały w słonecznych promieniach; tajemnicza i piękna trójca. Byłam pewna, że Nathan bywał na tym wzniesieniu. Może stał dokładnie w tym samym miejscu co ja, a moje stopy znaczyły ślady na jego śladach.

Stałam, słuchając nieznannej mi muzyki wiatru i fal. Akordy natury pulsowały mi w uszach i mimowolnie, z początku podejrzliwie, a potem z ulgą, poddałam się ich rytmowi.

I wtedy zrozumiałam, dlaczego Nathan przyjeżdżał tutaj. I dlaczego tak kochał to miejsce.

Tydzień później wróciliśmy późnym wieczorem na Lakey Street, wyczerpani i brudni. Po gorącej kąpieli od razu położyliśmy się spać.

Obudziwszy się, znalazłam Lucasa skulonego u wezglowia mojego łóżka, owiniętego kołderką, którą musiał za sobą przyciągnąć. Powoli oprzytomniałam ze snu.

- Cześć, skarbie. Od jak dawna tu jesteś?

- Od bardzo dawna. - Cienki głosik dźwięczał donośnie w ciszy sypialni. - Czemu się nie obudziłaś, mamusiu?

- Bo byłam zmęczona.

- Chciałem, żebyś się obudziła.

Wiedziałam, że Lucas chce mnie o coś zapytać, ale nie byłam pewna o co.

- Lepiej tu wejdz. - Uniosłam brzeg swojej kołdry i Lucas wsunął się pod nią, wnosząc ze sobą poranny chłód. Kiedy się do mnie przytulił, poczułam zapach piasku, soli i wodorostów.

Czekałam.

- Myślisz, że tatuś może nas widzieć? - odezwał się niepewnym głosem.

Popatrzyłam mu w oczy. Lucas odwzajemnił spojrzenie; wiedziałam, że z trudem próbuje zachować spokój.

- Prawdopodobnie. - Uświadomiwszy sobie, że Lucas szuka u mnie otuchy, poprawiłam się:

- Tak.

- Ja go nie widzę. - Ściągnął jasne brwi, przybierając minę, którą widywałam u niego coraz częściej.

Głaskałam go po czole, dopóki zmarszczki zdziwienia nie znikły.

- Musimy wierzyć, że tam jest.

Wtulił się we mnie mocniej, a ja otoczyłam go ramieniem.

- Tatuś był miły, prawda?

- Bardzo miły.

- Millie mówi, że jej tatuś jest zły. I też od nich odszedł. Tatusiowie nie powinni odchodzić.

- Czasami nic nie mogą na to poradzić, Lukey. - Lukey, tak nazywał go Nathan. - Twój tatuś nic nie mógł na to poradzić. Musisz o tym pamiętać. Z tatusiem Millie jest inaczej.

Lucas na chwilę się zamyślił.

- Ale tatuś Millie powiedział, że nic na to nie może poradzić.

Przytuliłam synka jeszcze mocniej, najmocniej jak mogłam.

- Lukey, musisz słuchać, co do ciebie mówię. Tatuś Millie jest inny od twojego tatusia. Twój nigdy by ciebie nie zostawił, chyba... chyba że nie miałby wyboru.

Cieszyłam się, że ani Poppy, ani Sam nie mogą mnie słyszeć.

- Dostanę nowego tatusia? - zapytał Lucas.

Czułam, że jest spięty, u nasady włosów miał maleńkie kropelki potu. Był taki szczuplutki i kruchy. Bardzo się o niego bałam.

- Nie, Lucas. Masz tylko jednego tatusia.

Za oknem pokazało się słońce. Wtulony we mnie Lucas rozluźnił się, zaczął oddychać wolniej i zapadł w sen tak szybko, jak to się zdarza tylko dzieciom.

Ostrożnie zsunęłam się z łóżka i poszłam do sypialni chłopców sprawdzić, co z Felixem. Nie było go tam.

Znalazłam go u podnóża schodów; siedział wyprostowany naprzeciwko drzwi. Był ubrany... no, prawie, w jedną niebieską skarpetkę i podkoszulek wciągnięty na górę od piżamy. Trzymał między kolanami swój ukochany wysłużony kocyk i przyciskał do piersi pluszowego misia.

Siedział całkiem nieruchomo, z cierpliwością i wyczekiwaniem przywodzącymi na myśl jakiegoś świętego, ze skupieniem nienaturalnym na jego lata.

Zbiegłam po schodach i usiadłam obok niego; niepokój ścisnął mi serce aż do bólu.

- Co ty wyprawiasz, Felix? - Przygarnęłam go do siebie. - Co ty robisz? Przestraszyłeś mamusię. Nie wiedziałam, gdzie się podziałeś.

Felix wzdrygnął się, jakbym swoim dotykiem ściągnęła go skądś, z bardzo daleka. Popatrzył na mnie niebieskimi oczyma, tak ufnymi, tak bystrymi.

- Czekam na tatusia, żeby mu pokazać swój skarb - odpowiedział, rozprostowując dłoń, na której spoczywała muszelka.

Rozdział szesnasty

Zmusiłam się, żeby wejść do gabinetu Nathana, gdzie sterta listów czekała na przeczytanie i odpowiedź. „Droga Minty - pisała Jean, sekretarka Nathana. - To wielki wstrząs. Wciąż zadaję sobie pytanie, czy mogłam coś zrobić. Był zawsze wobec mnie taki życzliwy i uprzejmy...”.

Charlie z recepcji Vistemaxu pisała: „Pan Lloyd zawsze znajdował czas, żeby się przywitać, w przeciwieństwie do innych. Zawsze pytał o Sheilę i Jody...”.

Ku mojemu zaskoczeniu napisał też Roger. „Dziękuję Ci za przywilej wygłoszenia mowy na pogrzebie. Rozumiem, jaka to musiała być dla Ciebie trudna decyzja. Mówiłem samą prawdę. Nathan był tytanem, wielkim, gdy szło o wizję, silnym, gdy trzeba było ją realizować. Cieszę się, że go znałem”.

Clive od turbin wiatrowych wybrał bardziej bezpośrednie podejście. „Staruszek miał niezły odlot. Pewnie Ci trudno. Nie zawsze się z Nathanem zgadzaliśmy, bo był upartym starym sępem, ale pochodziliśmy z tego samego pnia, a to w końcu zawsze się liczy...”.

Kilka następnych listów miało ton tak pochlebny, iż można było odnieść wrażenie, że Nathan należał do największych biznesmenów naszych czasów. Kolejny, od dawnego kolegi ze szkoły, wyróżniał się skromnością: „Nathan był miłym chłopcem...”.

„Droga Minty - zaczynał się list od Sue Frost. - Bardzo trudno mi pisać ten list. Nie znamy się i nigdy nie dążyłam do tego, byśmy się poznały. Jednak po zastanowieniu doszłam do wniosku, że powinnaś wiedzieć, jak bardzo kochaliśmy Nathana...”.

Czytanie tych wszystkich listów przypominało tasowanie kart. Nathan biznesmen. Nathan przyjaciel. Nathan ojciec.

Musiałam zachować wszystkie. Postanowiłam kupić album, powklejać je i pewnego dnia dać chłopcom. Albo może przeczytać je razem z nimi. „Ten list jest od tatusiowego szefa... ten od pani, z którą tatuś pracował”.

Musiałam wykonać jakiś niezręczny ruch, bo zawadziłam łokciem o stertę i listy rozsypały się po podłodze. Schyliłam się i podniosłam jeden z nich, napisany czarnym atramentem na drogim białym papierze.

„Droga Minty... - Pismo było zdecydowane, a jednocześnie po kobiecemu miękkie. - Piszę to po pogrzebie, ponieważ czuję się zagubiona. Wiem, że i Ty musisz się czuć podobnie. W tej chwili pewnie jesteś bardzo zapracowana i zmęczona, więc być może nie odczułaś jeszcze w pełni skutków szoku. Proszę Cię, uważaj na siebie. Chcę też powiedzieć, że czasami bywa się złym na osobę, która umiera. Doświadczyłam tego, kiedy mój ojciec umarł niespodziewanie, tak jak Nathan. Tak naprawdę byłam więcej niż zła, byłam wściekła. Ale chcę ci powiedzieć, że złość osłabia, Minty, tak jak osłabiła mnie, kiedy Nathan zdecydował o końcu naszego małżeństwa. Przypuszczam, że myślisz: jak Nathan śmiał zostawić wszystko na mojej głowie. Wciąż powraca pytanie, jak sobie poradzisz z zarabianiem na życie i wychowywaniem dzieci...”.

Słowo „dzieci” wydawało mi się szczególnie czarne na białym papierze.

„Może też myślisz, czytając ten list, że jestem niedelikatna i pobawiona wyczucia, a do tego się wtrącam. Pomyślałam jednak, że podejmę ryzyko”.

Rose zachęcała mnie, bym się z nią podzieliła swym żalem. Kiedyś ja spałam w jej łóżku, teraz ona spała w moim.

- Ale nic z tego, Rose - powiedziałam do pustego gabinetu. - Przede wszystkim i ponad wszystko jestem Nathanowi winna uczciwą, pełną żałobę. Należy mu się. I dostanie ją ode mnie. Już dostał.

Zaskakujące, ale Jilly też do mnie napisała (na równie kosztownym papierze). „Droga Minty. Pogrzeb Nathana bardzo się udał, co jak wiem, stanowiło pociechę dla Sama. On miał napisać osobiście, ale jest taki zajęty przygotowaniem do wyjazdu do Stanów. Frieda ma się świetnie i mam nadzieję, że chłopcy także nieźle się mają. Może powinniśmy się spotkać w Boże Narodzenie...?”.

- Witaj z powrotem. - Barry podniósł wzrok znad pękatego notatnika. - Tęskniliśmy za tobą.
- Miał na sobie skórzaną kurtkę, a do czerwonej kabalistycznej bransoletki dodał dwie inne, w pastelowych kolorach.

To, co mówił, zabrzmiało nawet szczerze. Poczułam ucisk w gardle, ale udało mi się pomać mu lekko, zanim zniknęłam w swoim biurze. Pod moją nieobecność zostało dokładnie wysprzątane. Na biurku piętrzyły się dwa równo ułożone stosy papierów.

- Cześć. - Deb weszła do środka swobodnym krokiem.

- Jak się miewasz?

- Chyba sobie jakoś radzę.

- Bardzo mi przykro, Minty. To musiało być okropne.

Zdołałam się uśmiechnąć.

- Tak okropne, że potrzebuję innych wrażeń. Proszę, powiedz mi, co u ciebie słyhać.

Nie musiałam powtarzać zachęty. W pięć minut dowiedziałam się o każdym dreszczu i westchnieniu składających się na romans Deb z Chrisem Sharpem. Zostałam poinformowana, że Chris jest najbardziej utalentowanym człowiekiem od czasu Einsteina, a do tego fantastyczny w łóżku. Chris miał wielkie plany dotyczące Paradoxu i był tak dalekowzroczny, że widział przyszłość branży filmowej oraz zmiany, jakie w niej nastąpią.

- Twierdzi, że ludzie będą układali swój własny program i to już w nieodległej przyszłości... Głos jej na przemian opadał, wznosił się lub rozmarzał, kiedy tak wyjawiała mi szczegóły. Mówiła rzeczy w rodzaju: „Pomyśleć tylko, że mogłam go w ogóle nie spotkać”. Albo: „Myślisz, że jest przystojny?”. Słuchając wynurzeń Deb, dawniej bezwzględnej karierowiczki, obecnie zadurzonego po uszy dziewczęcia, przypominałam sobie, że naprawdę istnieją inne rzeczy.

- Czy on jest dla ciebie miły, Deb?

- No pewnie. Oczywiście. Ale w tym momencie nie jest zainteresowany stałym związkiem. Dlatego traktujemy to luźno. - Deb nachyliła się i włączyła mój monitor. - Chris załatwia nowe oprogramowanie. - Wystukała coś na klawiaturze. - To może oznaczać, że będę się musiała rozejrzeć za nową posadą, bo nie ma sensu, żebyśmy oboje pracowali nad tym samym.

Dzwonki alarmowe zabrzęczały cicho.

- Chwileczkę, Deb. Dlaczego miałabyś odchodzić? Lubisz tę pracę i włożyłaś wiele trudu, żeby zdobyć w firmie obecną pozycję. - Widziałam jednak, że cokolwiek bym powiedziała, nie będzie miało znaczenia. Dlatego zmieniłam temat. - Opowiedz mi o projektach.

Przez urodziwą twarz Deb przebiegł cień zmartwienia.

- To dłuższa historia. Podczas twojej nieobecności mieliśmy tu małą czystkę. Chris z Barrym dużo rozmawiali o bieżących trendach. Reality shows, nieruchomości i takie tam. Chris uważa, że w ten sposób podniesiemy zyski. Teraz jest na tapecie kilka dobrych pomysłów.

- I...?

- Będziesz musiała porozmawiać z Barrym, ale mam wrażenie... Chris uważa, że nie powinniśmy być zbyt wyrafinowani ani poważni. To od razu obniża zasięg sprzedaży. - Zachichotała. - Wiesz, jak nazwał propozycję programu o wieku średnim?

- Powiedz mi.

- Czterdziestka to koniec.

Później, na kolegium redakcyjnym, omawialiśmy zasięgi sprzedaży; słyszałam uwagi wychodzące z moich ust na tyle rozsądne, że powinny obronić mój projekt. Co nie znaczyło, że Chris lub Barry ich słuchali. Byli zbyt zajęci prowadzeniem rozmowy.

- Okey - powiedziałam, dziwnie szorstkim, jakby nie swoim głosem. - Czytałam w „Harper's” artykuł o baletnicach. Jedna z nich, Nora Pavane, jest niezwykle postacią i do tego obrończynią sztuki. Myślę, że powinniśmy ją skaptować i złożyć propozycję otwarcia serialu na temat tańca.

Chris się zastanowił.

- Może nawet namówić ją do udziału.

- Aha - poparł go Barry. - Brzmi nieźle.

- Popracuję nad przynętą i pomyślę o formacie - obiecałam.

- Ed Golightly z BBC2 może być zainteresowany. Jest redaktorem artystycznym, poznałam go w Vistemaksie. Mogłabym zaaranżować spotkanie.

- Brzmi nieźle - powtórzył Barry.

W drodze do domu wpadłam do biura Thea. Chciałam omówić swoją sytuację finansową i prawną, więc zaproponował, żebym go odwiedziła.

Theo usadził mnie przy biurku i zamówił herbatę, którą przyniesiono w dzbanku z chińskiej porcelany, z chińskimi filiżankami.

- Przez najbliższe kilka miesięcy nie będzie ci łatwo - ostrzegł. - Potwierdzenie ważności testamentu trochę potrwa, a potem muszę odbyć kilka spotkań z powiernikami, żeby dokonać podziału. Vistemax zgadza się wypłacić świadczenia związane z odprawą.

Odetchnęłam z ulgą.

- No i, oczywiście, jest emerytura Nathana. Tę sprawę się rozwiąże. - Theo na moment zawiesił głos. - Istnieje pytanie, czy przypadkiem jakaś część nie należy się Rose. - Pewnym ruchem nalał mi drugą filiżankę herbaty. - Nie dostaniesz dużo, ale wystarczy na zaspokojenie podstawowych potrzeb. Jeśli dodasz do tego swoją działkę z inwestycji i akcji oraz to, co zdołasz zarobić,

powinno ci wystarczyć, pod warunkiem że nie będziesz rozrzutna. Tak czy inaczej gdybyś straciła pracę, nie grozi ci bieda i powinnaś przetrwać najgorsze.

Wpatrywałam się w brązowy płyn w filiżance.

- Theo, dlaczego Nathan zaproponował Rose jako opiekunkę prawną... Co miał na myśli? Musiał wiedzieć, jak trudne... że to będzie niemożliwe.

- Nathan postawił sprawę jasno, że chodzi mu przede wszystkim o dobro chłopców. Wierzył, że to zrozumiesz.

- Ale nie rozumiem - zawołałam. - Nie rozumiem. I żeby to ogłosić publicznie... Powinien był wcześniej ze mną porozmawiać.

Theo popatrzył na mnie z powagą. W swoim biurze był świadkiem wielu takich rozmów. Widział sceny, w których wściekłość, zdrada i gorycz przerywały tamę dobrego wychowania i uprzejmości. - Może trudno ci się z tym pogodzić tak od razu, ale czas wszystko zmienia. Czemu nie pijesz herbaty?

Wypiłam herbatę, a Theo wtajemniczył mnie w fakty i liczby związane z moim nowym życiem.

- Jeśli powtórnie wyjdiesz za mąż lub zamieszkaś z kimś innym - wyjaśnił, kiedy zbierałam się do wyjścia - ...będziesz musiała sprzedać dom, a zysk zostanie zainwestowany w imieniu bliźniaków.

Ponieważ stawka Thea za godzinę przyprawiała o zawrót głowy, przyszło mi na myśl, że w bardzo kosztowny sposób dowiaduję się o korzyściach płynących z celibatu.

Wsiadłam do autobusu. Przynajmniej tyle wiedziałam, że w nadchodzących miesiącach muszę być czujna. Bardzo, bardzo czujna. Te miesiące, a może i lata, będą wymagały energii i umiejętności atakowania. W tym momencie nie byłam pewna, czy posiadam te cechy. Nie brakowało mi natomiast lęku, a raczej wrażenia, że ogarnia mnie trudna do opanowania panika. To musiało wystarczyć. W istocie lęk, czarny i dokuczliwy, bardzo pomógł przetrwać.

Theo poradził mi, żebym wypisała sobie listę, a do tego grafik finansowy.

- Bądź surowa - powiedział. - Uwzględnij wszystkie fakty i sumy, żeby mieć pełny obraz sytuacji. Musisz się postarać wszystko ogarnąć. W ten sposób będzie ci łatwiej.

Fakt: Nie miałam na kim się oprzeć.

Fakt: Musiałam się do tego przyzwyczaić.

Fakt: Wdowie z dwójką dzieci jest szczególnie trudno.

Fakt: Po katastrofie człowiek ulega różnym dziwnym złudzeniom. Wszystkie one nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Któregoś razu w ciągu następnych tygodni moich zmagania z życiem, kiedy wcześnie rano zwlokłam się z góry, zastałam w kuchni Nathana robiącego śniadanie. Kawę. Boczek. Tosty. Wszystkie te cudowne zapachy. Ubrany w szlafrok, pogwizdywał pod nosem.

- Cześć - przywitałam go, zachwycona.

- Wcześnie wstałaś. - Nie odwracając się, wyciągnął rękę, żeby mnie objąć.

I zaraz potem już go nie było.

Tak, bez wątpienia mój umysł galopował. Straciłam zdolność koncentracji, nie mogłam nawet czytać. Leżąc bezsennie, zadawałam sobie trudne pytania. Czy Nathan wiedział, co się z nim dzieje, kiedy umierał? Czy go bolało? Miałam nadzieję, że nie. Ale może, jeśli rozumiał, co się dzieje, miał szansę w ostatnich sekundach życia pomyśleć: dziękuję za dobre życie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak to jest umierać z poczuciem, że miało się nieudane/godne pożalowania/paskudne życie.

Czy zdążył pomyśleć o którymś z nas?

W książce „Życie po życiu”, którą obecnie studiowałam, autor twierdził, że nie jesteśmy w stanie poznać śmierci. Wszystko, co nam się zdaje, że wiemy, jest czystą fantazją.

Ciekawe, skąd on to wiedział.

Sue Frost odwiedziła mnie w domu. Z początku nie rozpoznałam osoby w obciętych różowych džinsach i dobranych pod kolor mokasynach, ponieważ wyglądała starzej niż kobieta, którą spotkałam w supermarkecie.

- Zaskoczona? - powitała mnie.

- Owszem. To znaczy nie.

Wręczyła mi bukiet różowych peonii i kilka ulotek.

- Przyniosłam ci to ze względu na Nathana. Oczy jej się zaszklily, mnie niestety także.

- Dziękuję - wydukałam.

- Będzie nam go brakowało. - Teraz już otwarcie płakała. - Naprawdę go kochaliśmy.

Z policzkami mokrymi od płynących łez wypaliłam:

- Ale nie na tyle, by nawiązać ze mną stosunki, co bardzo by go ucieszyło.

Moje oskarżenie wyraźnie zbiło ją z tropu.

- No, tak. - Otarła twarz rękawem. - Wszyscy robimy rzeczy, których potem żałujemy. Ulotki. Nie wiem, czy wiesz, ale jestem doradcą, przeszkolonym na wypadek takich sytuacji. Nawet prowadzę poradnię. Gdybyś chciała, gdybyś czuła, że potrzebujesz pomocy... gdybyś potrzebowała...

- Porady - podsunęłam.

- Życzliwego ucha... Po prostu zadzwoń pod ten numer.

Sceny z naszego życia małżeńskiego, które miały mi pomóc znieść torturę bezsenności:

„To dla panny młodej”. Wróciwszy z pracy pierwszego dnia po zakończeniu naszego miodowego miesiąca, Nathan wręczył mi bukiet kwiatów tak pięknych, że aż wykrzyknęłam z zachwytem. „Jako zadośćuczynienie za brak kwiatów na ślubie”.

- Brokuły wymagają masła. - Nathan gapił się w talerz, na którym podałam mu brokuły z orzeszkami piniowymi i rodzynkami. - Dlaczego musimy tak wydziwiać z jarzynami?

- Dlatego - odpowiedziałam - żeby trochę ożywić takich konserwatystów jak ty. Różne rzeczy się zmieniają, nie wyłączając sposobu podawania brokułów.

Podpierając głowę rękami, Nathan jęknął:

- Żadnych świętości.

W sypialni wyciągnęłam koronkowy gorset z eleganckiego pudełka, w które był zapakowany. Nathan, leżąc w łóżku, zerknął w moją stronę.

- Załóż to na siebie, Minty. Chcę cię zobaczyć.

Popatrzyłam na śliczny, seksowny łaszek. Miałam w nim upchnąć ciało zmienione ciążą i udawać, że wszystko jest jak dawniej.

- Minty... - niecierpliwił się Nathan. - Załóż. Będzie... jak kiedyś.

Tego właśnie Nathan chciał. Tęsknił za ostrymi emocjami romansu, za świeżością rozpalonej, pomysłowej kochanki.

Z cichym westchnieniem zrobiłam to, o co mnie prosił i dołączyłam do niego w łóżku, ale nie byłam już rozpalona ani pomysłowa, bo przytłaczała mnie przeszłość, nuda codziennych obowiązków i zmęczenie. Żaden gorset nie mógł tego zmienić.

„Och, mamy się zupełnie dobrze”, słyszałam swój głos, mówiący przez telefon do pani Jenkins, która zadzwoniła, by spytać, czy nie potrzebuję jakiejś dodatkowej pomocy przy chłopcach. Albo: „byłoby wspaniale”, do matki Millie zapraszającej nas na piknik w parku, co mogło stwarzać wrażenie, że zarówno ja, jak i chłopcy świetnie się bawimy po śmierci Nathana.

Nie znalazłam notesu Nathana, choć dokładnie przeszukałam szuflady i przejrzałam papiery. Szukałam też w samochodzie i w kieszeniach jego ubrań. Po sprawdzeniu półek z książkami musiałam w końcu przyznać, że przegrałam tę potyczkę. Nathan postanowił odciąć mnie od osobistych wynurzeń, które czynił na stronach pamiętnika, i tym także sprawił mi przykrość.

Mimo wszystko w żałobie było jakieś dziwne piękno, posępne i samotne, trudne do opisanie i trochę niepokojące... ponieważ graniczyło z przyjemnością.

Tymczasem wciąż przedzierałam się przez listy zgromadzone w gabinecie, gotowa na wszystkie odpisać.

Uprzątając sterty gazet, nagromadzonych od śmierci Nathana i nigdy nie przeczytanych, znalazłam folder reklamujący wystawę Shiftaki, na którą zabrała mnie Gisela.

Przyjrzałam się reprodukcji obrazu na okładce. Seria swobodnych uderzeń pędzla tworzących leśną polanę, na wpeł ogołocione drzewa liściaste wymieszane z sosnami. Na tle poszycia znaczyły się linie pni i gałęzi, tak surowe i ciemne, że coś, co powinno być spokojnym, miłym dla oka widokiem, stawało się scenerią pełną grozy. Pokazałam obraz Felixowi, który tylko potrząsnął głową, wydając z siebie krótkie:

- Fuj.

- Dlaczego fuj, Felix?

- Bo tu są wstrętne rzeczy. Popatrz, mamusiu.

Felix od razu dostrzegł to, co ja rozszyfrowałam dopiero po jakichś dwudziestu sekundach. Liście na drzewach były zwiędłe, a to, co brałam za narośle na pniach, w istocie było robakami nienaturalnej wielkości. Pod zdjęciem znajdował się opis: „Tylko chrząszcze przetrwają nuklearną zimę...”.

W następną niedzielę ugotowałam na lunch parówki z piure ziemniaczanym i zjedliśmy je razem we trójkę. Potem chłopcy zażądali, by ich wypuścić do ogrodu, a ja wróciłam do gabinetu Nathana.

Rozejrzałam się uważnie po całym wnętrzu. Jeśli chodzi o gabinet, Nathan zachowywał się jak niedźwiedź w swoim mateczniku. „Niczego nie ruszaj”. To był jego osobisty pokój, męski i surowy w wystroju, zapchany papierami i teraz mocno zakurzony.

„Niczego nie ruszaj”.

Jednak żeby jakoś przeżyć sytuację, w jakiej się znalazłam - moją prywatną nuklearną zimę - należało się wychylić poza parapet. „Dobra dziewczynka”, wyobrażałam sobie pochwałę Paige.

Sapiąc z wysiłku, napałam ramieniem na biurko i zaczęłam je przesuwając centymetr po centymetrze. „Czemu nas zostawiłeś, Nathan? Czemu bardziej o siebie nie dbałeś? Tak, jestem na ciebie zła”. Udało mi się przepchnąć pod okno biurko, a za nim fotel. Teraz, siedząc przy nim, mogłam widzieć ogród, gdzie chłopcy uganiaли się za wiewiórką.

Mylisz się, pomyślałam, rozcierając bark. Mylisz się, Rose. Złość raczej wzmacnia.

Po tym przemeblowaniu gabinet wydał mi się większy i jakby inny. Miałam przed sobą nową, przyjazną przestrzeń, na której mogłam wycisnąć własne piętno. Przesunięcie biurka wywołało istną lawinę papierów; karteczki z numerami telefonów osób pracujących w Vistemaksie od razu wylądowały w koszu. Resztę stanowiły zaproszenia, rozkłady zajęć, mocno nieaktualny regulamin klubu golfowego, o którym nigdy nie słyszałam. To wszystko również poszło do kosza.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Cisza panująca w domu była tak miła, że miałam ochotę nie otwierać. Jednak dzwonek zabrzmiał ponownie, więc poszłam sprawdzić, kto chce mnie widzieć.

Na progu stała Rose. W rękach trzymała jakiś podłużny pakunek, zawinięty w brązowy papier. Miała na sobie dzinsy i krótki obcisły zakiet. Sprawiała wrażenie spiętej i wymęczonej. Odruchowo wykonałam gest, jakbym miała zatrzaskać drzwi, ale uniemożliwiła mi to, wsuwając stopę do środka.

- Wpuść mnie, Minty.

- Nie jestem pewna, czy to wytrzymam - powiedziałam, czując gorycz w gardle. - Ale dziękuję ci za list.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła, obrzuciwszy mnie taksującym spojrzeniem. - Dbasz o siebie? Bo powinnaś. Byłaś u lekarza?

- To nie ma sensu, Rose. Idź sobie i nie wracaj. Staralaś się, ale nie jesteśmy już przyjaciółkami.

- To prawda. - Pokiwała głową z namysłem. - Nie jesteśmy przyjaciółkami. Ale potrzebujesz kogoś, kto by się tobą interesował. Wiem, jak to jest.

- Nie sądzisz, że właśnie dlatego to niemożliwe?

- W normalnych okolicznościach, ale te nie są normalne. Dlatego... jestem.

Ulicą przejechało szybko kilka aut, a potem, wolno, biała furgonetka dudniąca ostrą rockową muzyką. Po drugiej stronie jezdni pani Austen uniosła głowę znad swoich doniczek i trzymając w dłoni łopatkę, gapiała się na nas bezceremonialnie.

- Bądź dobry, nawet dla psa. O to chodzi?

- Właśnie.

Gorycz przybrała smak upokorzenia.

- Poza dobrocią dla zwierząt musi być jakiś inny powód. Podała mi paczkę.

- To chyba jest przeznaczone dla ciebie. Otworzyłam. Od Nathana.

Przyjrzałam się nalepce. Paczka była zaadresowana na nazwisko Minty Lloyd, ale figurował na niej aktualny adres Rose.

- Doszło do nie tej żony, co trzeba - powiedziałam, spoglądając na Rose.

Uśmiechnęła się cierpko.

- Może Nathan zaczął myśleć o nas zbiorczo. Zawsze był oszczędny.

Oddałam jej pakunek.

- Idź sobie. I nie wracaj.

Rose powinna była usłuchać. Każda rozsądna osoba by usłuchała. Rozsądna osoba widziałaby, w którym miejscu została przeciągnięta linia i dawne sympatie wygasły.

Ale ona nie była gotowa się poddać.

- To roślina do ogrodu. Musiał ją zamówić kilka miesięcy temu.

- Roślina? Na jakie licho? Nathan rzadko w ogóle wchodził do ogrodu.

- Nie mówił ci? Planował urządzić go od nowa. Prawdę mówiąc, był mocno przejęty tym pomysłem. - Wskazała na pakunek. - Ta roślina zasługuje na to, żeby dać jej szansę, nie uważasz?

- Dlaczego?

- Z wielu powodów. Choćby dlatego, że Nathan najwyraźniej chciał mieć różę.

- To róża?

- Owszem, biała.

Miałam wielką ochotę przyjąć ten dodatkowy cios z za grobu histerycznym śmiechem.

- Nie mam pojęcia o roślinach.

- Ale ja mam.

To było nedorzeczne. Nathan powinien był postępować rozważniej. Jednak łącząc obie swoje żony, osiągał jakiś cel. A może stanął na rozstaju dróg, a czuł się zbyt zmęczony, by zajrzeć do mapy.

- Chcesz wejść, żeby to posadzić?

- No, tak. Czuję, że nie możemy zmarnować tej rośliny w obecnych okolicznościach.

Przyszły mi do głowy wszystkie możliwe powody, dla których nie chciałam, by Rose wchodziła do mojego domu z tym dziwnym prezentem od Nathana.

- Nie mam za wiele czasu. - Przełożywszy pakunek do drugiej ręki, zerknęła na zegarek, prostego kwadratowego cartiera, na opalonym nadgarstku. - No więc...?

Pani Austen po drugiej stronie ulicy całą sobą chłonęła dramat rozgrywający się na moim progu. Odłożyła łopatkę i wytarła ręce w biało-niebieski fartuch. W każdej chwili mogła przejść przez jezdnię, żeby dołączyć do mnie i Rose.

Odsunęłam się na bok, robiąc przejście.

- Lepiej wejdźmy do środka.

Rozdział siedemnasty

Rose weszła do holu i czekała. Wodziła spojrzeniem po nieotwartych listach na stoliku, hańdzie butów i kurtek u stóp schodów, stercie bielizny do prasowania na krześle.

- Nie dziw się, że tu taki bałagan - powiedziałam. - Jest mi trudno.

- Oczywiście. - Z bliska zobaczyłam, że Rose ma też podkrążone oczy. - Oczywiście, że nie możesz sobie poradzić. - Zatrzymała wzrok na płaszczu Nathana wciąż wiszącym na wieszaku i szybko odwróciła głowę. - Kiedy Nathan odszedł, było tak samo. Wszędzie porozrzucone rzeczy. Kolejne dni bez poczucia sensu. Bez kształtu.

Zjeżyłam się wewnątrz.

- Czy koniecznie musimy grzebać w przeszłości?

- Nie ma powodu udawać, że to się nie stało. - Rose wzruszyła ramionami, ale inaczej niż kiedyś. Teraz wzruszenie ramion nie było takie jak kiedyś; pełne zmęczenia i rezygnacji, lecz lekkie, jakby wystudiowane, wręcz miało jakiś francuski wdzięk.

Zaprowadziłam ją do kuchni, gdzie położyła pakunek na stole.

- Ładnie urządziłaś kuchnię - pochwaliła. - Inaczej, ale ładnie. - Zerknęła na drzwi. - Jak się mają chłopcy? Są w domu?

Znów się najeżyłam.

- Są w ogrodzie.

Spojrzała ponad moim lewym ramieniem w stronę tylnych drzwi.

- Na pogrzebie widziałam ich tylko przez moment. Byłam... wstrząśnięta, jak bardzo są podobni do Nathana. Czy Felix to ten z nieco jaśniejszymi włosami?

- Nie. To jest Lucas.

- Wydają się duzi jak na pięć lat.

- Mają po sześć - sprostowałam. - Po sześć lat.

- Sam w ogóle nie przypominał Nathana, dopóki nie skończył jakichś osiemnastu lat. Wtedy jakby zmienił skórę i zaczął wyglądać jak jego klon. Zastanawiam się, czy będą tacy wysocy jak Nathan?

- Nie mam pojęcia.

Jeśli Rose sobie wyobrażała, że rozłoży swoje matczyne skrzydła nad moimi dziećmi, to bardzo się myliła. „Nigdy nie mogłem jej niczego zarzucić jako matce - powiedział Nathan. - Nigdy”.

Wskazałam na czajnik.

- Może zrobię ci kawę?

- Nie, dziękuję.

Na ciszę, która zapadła w kuchni, padły cienie czworga dzieci.

Pierwsza ją przerwała.

- Bliźniacy nie powinni cię interesować, Rose. Nie wiem, o co Nathanowi chodziło, kiedy robił ten niezwykły... - zająknęłam się - ...bezsensowny zapis. Stroił sobie żarty naszym kosztem? Jeśli umrę, zostanę sparaliżowana albo oszaleję, moje dzieci przejdą pod twoją opiekę. Co on miał na myśli?

Rose poruszyła się niespokojnie.

- Nie wyolbrzymiaj sprawy, Minty. To tylko propozycja, a nic takiego się nie zdarzy.

- Mimo wszystko nie chcę, żeby cię z nimi łączono - powiedziałam z goryczą.

- Na litość boską - wyrzuciła z siebie. - Myślisz, że ja tego chcę? - Natychmiast się opanowała. - Przepraszam.

- Uświadomiłam sobie, że w ogóle Nathana nie znałam.

Rose westchnęła, po czym stwierdziła obojętnym tonem, jakby mówiła coś oczywistego:

- Tak właśnie myślałam, kiedy odszedł. Zdumiewało mnie, jak mało wiedziałam o kimś, z kim żyłam tak długo. Zawsze tak jest i chyba lepiej, że nie można tak do końca poznać każdego zakamarka czyjegoś umysłu.

- Czasami się zastanawiam, czy przypadkiem Nathan nie wpadł na ten pomysł z opieką po prostu dlatego, że się nudził i chciał mieć o czym myśleć. - Mówiąc to, doskonale wiedziałam, że oczerniam Nathana.

Rose najwyraźniej też tak uważała.

- Jeśli sądzisz, że Nathan byłby tak samolubny... - Posłała mi spojrzenie, które sugerowało, że żaden most nie jest na tyle długi i szeroki, by nas połączyć. - Nathanowi chodziło wyłącznie o chłopców. - Poklepała szary papier pakunku, mówiąc bez entuzjazmu: - Może się tym zajmujemy?

Zawstydzona zaprowadziłam Rose do ogrodu. Nawet jeśli niesłusznie oskarżałam Nathana o egoizm, to nie oznaczało, że jego motywy były całkiem czyste.

Bliźniacy zniknęli mi z pola widzenia, schowani za szopą na narzędzia. Po powrocie z Kornwalii mieli głowy pełne opowieści o piratach i skalnych fortecach; założyli obóz, który, jak mnie poinformowali, był bardzo, ale to bardzo tajny.

- Gdzie oni są? - spytała Rose.

Wskazałam na szopę.

- W swojej kwaterze dowodzenia. Chyba wydają rozkaz bojowy Jedi.

- Aha - mruknęła Rose ze zrozumieniem. Pochyliwszy się, wyrwała zeschnięte krzaczki lawendy. - Nie dbasz o mój ogród. Nigdy nie dbałaś.

Zapuszczony trawnik poprzerastany mchem. Krzewy wymagające przycięcia. Przerośnięte rabatki... wynik zaniedbań Nathana i moich.

- Nie. Nie dbałam.

Wyprostowała się z lawendowym wiechciem w ręce.

- Zabawne. Wyobrażałam sobie, że zachowam w pamięci każde źdźbło trawy, każdy liść. Ale kiedy się opuszcza jakieś miejsce, to się je opuszcza na dobre. A raczej ono nas opuszcza.

Owszem, poświęciłam trochę czasu na wyobrażanie sobie uczuć Rose po odebraniu jej ogrodu.

- Chcesz powiedzieć, że zapomniałaś o swoim ogrodzie?

- Nie, nigdy bym o nim nie zapomniała. - Roztarła łądzkę lawendy między palcami. - Zostało w nim wspomnienie dawnych czasów... naszych... moich.

- Wysokość, ścieżki i odpoczynek? Ty to wymyśliłaś? - spytałam.

- Wysokość? Ścieżki...? - Zdziwiona ściągnęła brwi i zaraz pojęła, o co mi chodzi. - Mówisz o planach, które wysłałam Nathanowi? Podobały mu się? Pytał mnie o pewne pomysły i stąd się wzięły. W końcu znalazłam ten ogród na wylot.

- Właściwie nigdy o nich nie wspominał. Znalazłam je w notesie.

- Aha. - Rose splonęła ognistym rumieńcem; zacisnęła usta. - Jeśli chcesz, mogę ci przysłać swoje propozycje. Mam kopię.

- Nie. Nie.

Po chwili dodała:

- Nathanowi chyba się nie spodobało, że nie mam nic przeciwko robieniu planów. Odniosłam wrażenie, że wołał, bym powiedziała, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Myślę, że był zaskoczony moim podejściem. Tak czy owak pewnie dlatego zamówił tę różę, nie sądzisz?

- Prawdopodobnie. - Machnęłam ręką w stronę zniszczonego fragmentu ogrodzenia. - Chłopcy. Piłka nożna. Wymaga naprawy, ale jakoś nigdy nie byłam tym zainteresowana. Nathan też nie jest... to znaczy nie był. Od czasu do czasu miewał wyrzuty sumienia i trochę kopał w ziemi. Kiedy się wprowadziłam, powiedział, że to była twoja domena, nie jego. Wynikało z tego, że również nie moja.

- Biedna Minty - skwitowała Rose cierpko. - Z ilomaż rzeczami musiałaś się pogodzić.

Zza szopy dobiegł krzyk, a zaraz po nim ukazał się Felix, z czerwoną buzią, zawodzący:

- Mamo, on mnie uderzył. - Przypadł do moich kolan.

- Spokojnie. Na pewno niechcący - tłumaczyłam.

Felix płakał coraz głośniej, więc lekko nim potrząsnęłam.

- Cii... Przywitaj się z panią Lloyd.

Jednak Felix nie dawał za wygraną i jeszcze zwiększył poziom decybeli.

- Nie rób widowiska - szepnęłam do niego, na co rzucił się na trawnik i zaczął wierzgać nogami w powietrzu. Wyglądał jak wściekły owad wywrócony na grzbiet. Kątem oka dostrzegłam uśmiechniętego Lucasa, machającego patykiem, do którego przywiązał ukochany kocyk Felixa. Skupiłam uwagę z powrotem na owadzie, drącym się już wniebogłosy. Klepnęłam go w siedzenie.

- Przestań - nakazałam surowo, co nie przyniosło żadnego skutku.

- O rany - powiedziała Rose rozbawionym tonem, jakiego używają świadkowie takich scen, kiedy naprawdę chcą powiedzieć: „Zupełnie nie panujesz nad swoimi dziećmi”. Ogarnęła mnie ślepa furia, coraz bardziej mi znajoma. To było brzydkie uczucie; podniosłam wrzeszczącego Feliksa gwałtowniej, niż powinnam.

- Nie waż się nic mówić, Rose.

- Dlaczego miałabym coś mówić? To mnie nie dotyczy.

- Doskonale wiesz dlaczego.

Wyciągnęła z torebki parę ogrodniczych rękawic.

- Mogę zajrzeć do szopy?

Pochyliłam się nad Felixem pełna dobrej woli.

- Może zaprowadzisz panią Lloyd do szopy, a ja porozmawiam z Lucasem. - Ale Felix, ucepiony mojej ręki, odmawiał współpracy. Kiedy mijaliśmy bez, Rose przystanęła i przyciągnęła do siebie jedną z gałązek, żeby ją obejrzeć z bliska. Po oględzinach wydała z siebie cichy okrzyk i znów ją puściła.

Zaniedbane drzwi szopy wyraźnie się zatrzęsły, kiedy Rose je otwierała. Całe wnętrze opłatały pajęczyny. Widły oparte o ścianę miały zęby oblepione błotem. Była tam też zardzewiała łopata, szpadel i stos doniczek. Pod ścianą leżał worek nawozu tak starego, że zbił się w grudy. Naciśnęłam worek czubkiem stopy.

- Nathan miał to wywieźć na wysypisko.

Przyłapałam w kącie Lucasa i nakazałam mu zwrócić kocyk, podczas gdy Rose krzątała się po szopie. W końcu wyszła z niej z widłami i koszem o postrzępionym pałaku, do którego sypnęła garść starego nawozu. Przyjrzała się po kolei nierównej linii trawnika, kępie chwastów i zdziczałemu klematisowi. Kiedy osłoniła oczy dłonią, domyśliłam się, że spogląda w przeszłość.

- Jeśli mam być szczerą, to wcale nie chciałam być ogrodniczką, Minty. A już z pewnością we własnym ogrodzie. - Nagle w jej oczach błysnęło rozbawienie. - Ale niepotrzebnie się martwiłam. - Podniosła z ziemi pakunek. - Gdzie chcesz posadzić różę?

- Wcale jej nie chcę.

Zacisnęła palce na szarym papierze.

- Ale to Nathan ją przysłał. Musiał myśleć o nas obu. Tu jest jej miejsce, więc ważne, gdzie zostanie posadzona.

- Jakie to ma znaczenie? - Objęłam ogród szerokim gestem.

- I tak nie rozkwitnie.

Rose obcięła czubek pakunku sekatorem.

- Rozumiem, że na razie będziesz tu mieszkać?

- Wiesz tak samo dobrze jak ja, że muszę tu mieszkać. Zresztą chłopcy mają stąd blisko do szkoły. Rozumiem, że rozmawiałaś z adwokatem o testamencie?

- Owszem. - Nie miała zamiaru rozwijać tego tematu.

- Skoro tu zostajesz, powinnaś pomyśleć o ogrodzie.

Drobne paluszki Felixa wpijały się w moją dłoń.

- Rose, myślę, że to nie twój interes.

To ją uciszyło. Bez wątpienia była wdzięczna za swą w szczególny sposób nabytą odporność - miała czas przyzwycząić się do życia bez Nathana, zanim umarł. Ale ja nie miałam i panowanie nad sobą sprawiało mi trudność. Nie prowokowała mojej złości, tylko uśmiechnęła się do Felixa, który w końcu uniósł głowę. Z policzkami już obeschlými z niedawnych łez przyglądał się Rose ciekawie.

Rose schyliła się do poziomu oczu Felixa.

- Właściwie jeszcze się nie przywitaliśmy, Feliksie. - Wyciągnęła rękę. - Znałam twojego tatusia.

Felix puścił moją dłoń.

- Tatusia... - powtórzył jak echo i posłał Rose jedno ze swoich zniewalających spojrzeń, o których dawno wiedziałam, że potrafią przełamać każde lody. Rose uniosła brwi, natychmiast oczarowana.

Przełknęła z trudem, przenosząc na mnie wzrok.

- Jest taki śliczny i niewinny - rzekła cicho. Oczy jej się zaszkliły. - I taki podobny... do niego. Ale czego innego można się było spodziewać?

Felix przysunął się bliżej do Rose.

- Dlaczego płaczesz? Mamusiu, dlaczego ta pani płacze? Przyłożyłam dłoń do jego pupy i lekko go popchnęłam.

- Idź, poszukaj Lucasa. Chyba jest w waszym obozie.

Felix nie potrzebował dalszej zachęty; w podskokach zniknął za szopą. Rose odwróciła się, wytarła oczy rękawem i głośno pociągnęła nosem.

- W tej chwili są dość trudni. Próbuję znaleźć na nich jakiś sposób.

Nie odpowiedziała. Balansując pomiędzy irytacją a wściekłością, powiedziałam:

- Rose, po prostu zasadź tę cholerną różę i odejdz.

- W porządku. Nie chcę tu być ani chwili dłużej, niż sobie tego życzysz. - Zaczęła chodzić po ogrodzie tam i z powrotem. - Tutaj - oznajmiła w końcu. - Jeśli zasadzę ją tutaj, będziesz ją widzieć z okna kuchni.

Nawóz wysypywał się z koszyka, znacząc biały ślad na trawniku. Rose wtarła go w ziemię podeszwą buta i zaczęła kopać.

Ostatniej nocy lekko padało, więc wilgotna gleba łatwo poddawała się łopacie.

Obserwowałam, jak Rose pracuje.

- Kiedy Nathan poprosił o pomoc przy urządzaniu ogrodu?

- Nie pamiętam.

- To znaczy, że wielokrotnie poruszaliście ten temat?

„Ogród musi mieć porządny szkielet”, mówiła pewnie Rose. Albo coś w tym rodzaju. A Nathan, bez wątpienia, wsłuchiwał się w każde jej słowo.

- Byliśmy z Nathanem w kontakcie. Oczywiście.

Czy wymiana uwag na tematy ogrodnicze zalicza się do cudzołóstwa? Tak, w pewien sposób - w znacznie wymowniejszy sposób niż dosłowna łózkowa gimnastyka czy rozmowy zaraz po niej. Nathan chciał znać opinię Rose. Chciał, by się z nim dzieliła swoim myśleniem i tworzeniem. Prosił, by go z powrotem wpisała na listę bliskich sobie osób. „Proponuję tu drzewko oliwne, a tam lawendę”.

Rose zebrała wykopane na powierzchnię kamienie i wyrównała ziemię wokół dziury. Musiała dbać o linię, bo ciało miała smukłe, a talię wyraźnie zaznaczoną.

- To wariactwo - odezwałam się w końcu.

- Wcale nie - odparła, nie przerywając kopania.

- Naprawdę jej nie chcę.

Rose wyprostowała się i oparła na trzonku łopaty.

- Powinnaś chcieć. Zamknęłam oczy.

- Często widywałeś się z Nathanem?

Gwałtownie odwróciła głowę.

- Nie widywałam się z Nathanem.

- Słucham?

Korzenie róży sprawiały wrażenie przesuszonych. Rose umieściła je w dziurze, rozsunęła i obsypała ziemią.

- Należało je na chwilę namoczyć, ale mniejsza z tym. - Udeptała ziemię. - Może powinnaś wiedzieć, Minty, że nie da się tak po prostu zakończyć małżeństwa. A wierz mi, że chciałam. Przytrzymaj to równo, dobrze?

Spełniłam jej prośbę. Czułam pod palcami kolce na twardej łodydze.

- Chciałaś, żebym się czuła głupio, Rose? Bo czułam się głupio, kiedy sobie uświadomiłam, jak często Nathan się z tobą kontaktował.

- Cóż, teraz wiesz, jak to jest - stwierdziła bez większych emocji. Klasnęła w dłonie; rękawice wydały głuchy, tępy odgłos. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. Cofnąwszy się o krok, obejrzała rezultaty swej pracy. - Ciekawa jestem, o czym myślał, kiedy zamawiał tę różę. Jest biała i kwitnie dwa razy.

Odwrociłam się na pięcie i poszłam do domu. Za sobą słyszałam stuk drzwi od szopy i kroki Rose na patio. Słyszałam też, jak woła miękkim głosem:

- Do widzenia, chłopcy. Mam nadzieję, że znów się spotkamy.

Nie zabierze mi dzieci, pomyślałam. Rose weszła do kuchni i położyła na stole opakowanie po róży.

- Nie wiem, gdzie wyrzucasz śmieci.

- Zostaw tu.

- Dobrze. - Nastąpiła krótka pauza. - Muszę iść, bo mam artykuł do napisania. Pilny. - Mówiła jak profesjonalistka do profesjonalistki. Takie rozmowy widzi się i słyszy dosłownie wszędzie. Kobiety jedzą lunch i jedna lub druga, wskazując na zegarek, mówi: „Mam zebranie”. Albo: „Powinnaś zobaczyć, jak wygląda mój dom”. Albo: „Mogłabym spać przez tydzień bez przerwy”. Kiedyś tak właśnie rozmawiałyśmy z Rose.

- Więc idź - rzuciłam coraz bardziej poirytowana. Strzepnęła kurz z rękawic do zlewu.

- A co do dzieci, Minty...

- Ich w to nie mieszaj. Świetnie dajemy sobie radę. - Przypomniałam sobie drobną postać Felixa siedzącego na schodach. - Bardzo się staramy. Nie potrzebuję pomocy.

Rose znów spojrzała na zegarek, tym razem z pewnym wahaniem.

- Podleważ różę przez kilka dni...

- Rose, ciebie to nie dotyczy. Okey?

- Nie odgrywaj się na Nathanie... - powiedziała cicho.

- Nathan nie żyje - wysyczałam przez zęby. - Nie żyje.

Po drugiej stronie ulicy pani Austen, porzuciwszy nadzieję na dalszy ciąg przedstawienia pod numerem 14, ładowała do swojego auta plastikowe torby wypchane śmieciami. Nieco dalej na poboczu ciężarówka ustawiała kontener na gruz. Doprowadzona do granic cierpliwości wykrzyknęłam:

- Zaplanowałaś to z Nathanem podczas jednej z waszych miłych pogawędek? Powiedział ci, że Minty potrzebuje pomocy? Nie poradzi sobie z opieką nad bliźniakami? W jaki sposób dał ci do zrozumienia, że nie dam sobie rady?

- To twoja interpretacja - powiedziała spokojnie Rose. - Ja mam prawo opieki tylko wtedy, gdy ciebie nie ma. To jedynie środek ostrożności, nic więcej.

- Chciałabym, żebyś zniknęła - wyrzuciłam z siebie. - Ale ty nie znikniesz.

Rose odwróciła się tak gwałtownie, że straciła filiżankę z szafki. Żadna z nas nie schyliła się, żeby ją podnieść. Filiżanka potoczyła się po podłodze i zatrzymała obok stołu.

- Nie wiem, co ty sobie wyobrażasz, Minty - odparła ze znużeniem. - Ale zastanów się przez moment. Próbowałam się uwolnić od Nathana. Po tym, jak odszedł do ciebie... Po tym, jak mi go zabrałaś, musiałam zacząć życie od nowa i było mi ciężko. Nie miałam ochoty znów dać się wciągnąć w jego życie. Ani w twoje. Nie chcę mieć nic wspólnego z twoimi dziećmi.

- Więc odejdz.

- Ale jednocześnie nie mam zamiaru zniknąć, jak to ujęłaś, dla twojej wygody. Zrobię, co zechcę i kiedy uznam za stosowne.

Wściekła, ogłupiała i bliska rozpacz przeleżałam bezsennie prawie całą noc. Kiedy pierwszy raz Rose przyprowadziła mnie do domu pod numerem 14 i przedstawiła Nathanowi, był ciepły wieczór. „Doskonały na kolację w ogrodzie. Przyjdź koniecznie”. Nim wzajemne prezentacje dobiegły końca, zaczęłam się zachowywać nielojalnie wobec Rose. Nie musiałam się specjalnie wysilać, żeby osiągnąć zamierzony efekt. Kiedy we trójkę rozmawialiśmy - tak się złożyło - o długotrwałych przyjaźniach, spojrzałam na Nathana z odrobiną zalotności. Ta odrobina wystarczyła.

Później powiedział: „Nie wiem, co się ze mną stało, Minty. Już wcześniej bywałem uwodzony, ale nigdy nie uległem”.

W końcu się pobraliśmy, oboje przekonani, że ta druga strona pragnie dokładnie czegoś przeciwnego, niż pragnęła naprawdę. Oczadziały Nathan porzucił Rose i dom przy Lakey Street, ponieważ nabrał wielkiej ochoty na życie nieprzewidywalne, spontaniczne i ekscytujące. Chciał spróbować innego życia, zanim będzie za późno.

- Twoje mieszkanie jest doskonałe - stwierdził, rzucając się na wąskie (z konieczności) podwójne łóżko. - Jesteśmy wolni od tych wszystkich nużących domowych problemów.

Nie powiedziałam Nathanowi, że zatracił jasność widzenia. To by go zdeprymowało. Nikt nie lubi się dowiadywać, że bezskutecznie próbuje cofnąć czas.

- Rozumiesz? - dopytywał. Poglądziłam go po policzku.

- Jesteśmy wolni jak ptaki.

Nie przyznałam mu się, że hołubię w myślach jakże atrakcyjny obraz kobiety, krzątającej się po kuchni domu numer 14, kobiety królującej przy stole w jadalni, obraz domu z czystymi skarpetkami w szufladach, mlekiem w lodówce, mydłem w łazience. Domu, w którym jest mnóstwo przestrzeni. Ja byłam tą kobietą.

Zegar wskazywał kwadrans po piątej rano. Przesunęłam dłonią po swoim ciele; żebra i kości miednicy były łatwiej wyczuwalne niż wcześniej. Piekły mnie oczy, głowę miałam dziwnie ciężką. Tej nocy nie mogłam już liczyć na sen. Wstałam z łóżka i wyszłam do ogrodu.

Zadrżałam z zimna. Kiedy szłam przez trawnik, spadło mi na twarz parę kropel deszczu.

Powinnam była zachować się uczciwie wobec Nathana i powiedzieć mu, że nie będziemy wolni. Że życie nie jest takie.

Jego śmierć, głupia i nie w porę, zasługiwała na to, by uczcić ją czymś więcej niż gniewną wymianą zdań pomiędzy Rose i mną. Nathanowi należał się bankiet, pożegnanie w filmowym stylu, fanfary. Byłam mu winna poważną żałobę, która by uśmierzyła złość, poczucie winy i rozczarowania.

Wiedziałam o tym, wiedziałam bardzo dobrze. A mimo to nie mogłam oderwać wzroku od róży. W końcu chwyciłam za łodygę. Cierń wbił mi się w opuszkę kciuka i na skórze wykwitła mała kropelka krwi. Syknąwszy z bólu, wyrwałam różę z ziemi.

Następnego dnia w drodze do pracy zatrzymałam się przed domem pani Austen i podarowałam jej różę.

- Wiem, że u pani będzie jej dobrze - powiedziałam.

Rozdział osiemnasty

Dwa miesiące później, dokładnie o trzeciej, Barry, Chris i ja wysiedliśmy z taksówki przy Centrum BBC TV na Wood Lane.

- Dobra - powiedział Barry, zapłaciwszy (bardzo wysoki) rachunek za taksówkę. - A teraz do boju.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - mruknęłam, a Barry ze śmiechem dotknął mojego ramienia.

- Cieszę się, że nie straciłaś poczucia humoru, Minty.

Centrum, wybudowane w latach pięćdziesiątych, stanowiło labirynt studiów, hal zdjęciowych i barów kawowych usytuowanych w dziwnych zakątkach. Gabinet Eda Golightly'ego znajdował się w piwnicy bloku E, naprzeciwko hali zdjęciowej A. Przeprowadzono nas przez prawie puste biura produkcji do gabinetu Eda, umeblowanego czarną skórzaną sofą i fotelami. Okna wychodziły na dzielnicę Hammersmith i drogę wylotową z miasta.

Ed był niski i miał rude włosy, które szczególnie przyciągały uwagę z tego powodu, że nieustannie przeczesywał je palcami. Miał też wiecznie zmęczoną twarz człowieka, który poświęcił życie niełatwemu zadaniu przepychania na antenę programów artystycznych.

Kartkował nasze (Paradoxu) dossier zatytułowane „Odejdźcie na puentach: podróżując w baletkach”, które przygotowałam i wysłałam mu dwa tygodnie wcześniej. Nie podniósł wzroku znad papierów, kiedy weszliśmy.

- Siadajcie. - Po chwili odezwał się znowu: - No, tak. - Był na tyle łaskawy, by dodać przepaszająco: - Właśnie się zabrałem do czytania.

Słyszałam nerwowe cmoknięcie Barry'ego, a Chris powiedział:

- Nie śpiesz się, Ed.

- Może chciałbyś, żebym ci zwięźle przybliżyła temat - zaproponowałam. - Pomysł i format są proste. Słynna baletnica spróbuje zatańczyć tango, breakdance, taniec brzucha i rock and rolla...

Ed odchylił się na oparcie fotela.

- Masz na myśli jakąś konkretną baletnicę?

- Norę Pavane - odezwał się Barry. - Podoba jej się pomysł. Ma nogi, którymi potrafi robić niewiarygodne rzeczy.

- Bardzo kasowa. Bardzo efektowna. Bardzo kontaktowa - zachwalał Chris.

Ed się skrzywił.

- Mam problem, poważny problem. Jeśli jako redaktor artystyczny przedstawię dyrektorowi pomysł ze słowem „taniec” w tytule, to mi najwyżej nabluzga. Albo mnie wyśmiej. Tak to wygląda. Natomiast jeśli mu powiem, że Nora zgodziła się pokazać na żywo swoją operację plastyczną, wtedy nie ma sprawy...

- Dysponujesz w ogóle jakimś budżetem? - spytał rzeczowo Chris.

- Niewielkim - przyznał ostrożnie Ed.

W tym momencie włączyłam się z propozycją:

- Może namówimy Norę na spotkanie z dyrektorem? Czy w najbliższym czasie będzie jakaś okazja, żebyśmy mogli zorganizować takie spotkanie? Jestem pewna, że gdyby ją poznał, byłby oczarowany.

Ed, jakby nieco przychylniejszy projektowi, zajrzał do notesu.

- Wygłasza wykład w Królewskim Towarzystwie Telewizyjnym...

- W takim razie sprawa jest prosta, Ed - przerwał mu Barry. - Znam szefa KTT. Pracował dla mnie przy pewnym nocnym programie. Wyślę mu maila i załatwię zaproszenie dla Nory. Może usiąść przy dyrektorze w czasie kolacji. - Odwrócił się z uśmiechem do mnie i Chrisa. - To by było na tyle, moi drodzy.

W drodze do domu odebrałam zimowy płaszcz z pralni i kupiłam dwie butelki soku owocowego w sklepie na rogu Lakey Street. Druciany wieszak z płaszczem wrzynał mi się w palce. Dzień był słoneczny i ciepły. W skrzynce okiennej pani Austen kwitła jaskrawoniebieska lobelia. Odniosłam sukces i powinnam się z niego cieszyć. A jednak gdyby ktoś mnie spytał - gdyby Nathan mi gratulował - odpowiedziałabym: „Wiesz, to nie takie znów ważne”.

Eve zmywała naczynia w kuchni.

- Chłopcy są na zewnątrz - oznajmiła. - Jest taka ładna pogoda. - Odstawiła talerze na ociekacz. - Idę już. - Oddaliła się do swojego pokoju, skąd zaraz potem dobiegł dźwięk włączonego radia.

Wyjrzałam przez kuchenne drzwi. Chłopcy biegali po ogrodzie w piżamach. Nie widzieli mnie, więc odsłuchiłam wiadomości z automatycznej sekretarki. Kuchnię wypełnił zdyszany głos Poppy. Pytała, czy mogę zadzwonić do niej do biura, będzie tam do późna. Następna była Sue Frost. Czy już powzięłam jakąś decyzję w sprawie porad dotyczących żałoby? Nalałam sobie szklanek wody, wypiłam. Jeżeli małżeństwo odbierało kobiecie prywatność, to wdowieństwo tym bardziej. Każdy chciał mniej lub bardziej ingerować w moją trudną sytuację. Pani Jenkins wydzwaniała do mnie bezustannie, mówiąc, jak powinnam postępować z bliźniakami. Paige i Gisela często udzielały mi sprzecznych ze sobą porad. Pani Austen bezceremonialnie spytała, czy starcza mi na życie. Kathleen Winsome nalegała, bym zapisała się na zabieg płukania okrężnicy. „Wspa-

niale oczyszcza. W takim okresie nie możesz sobie pozwolić na gromadzenie toksyn w organizmie". Inni chcieli wiedzieć, jak sobie radzę. Zaczynałam się czuć jak wielka ryba w akwarium, które ludzie oglądają, stojąc poniżej poziomu wody, skąd mają niezakłócony widok na podbrzusza i intymne części pływających stworzeń. Nikt nigdy się nie zastanawiał nad prawem rekina do prywatności, a powinien. Posłusznie oddzwoniłam do Poppy.

- Poppy, tu Minty. - Od czasu pogrzebu widziałyśmy się tylko dwukrotnie, za każdym razem w towarzystwie bliźniaków, więc nasze rozmowy nie wykraczały poza granice uprzejmości.

- Dzięki, że dzwonisz - powiedziała z wyraźnym wahaniem. W tle słychać było cichy szum drukarki. - Chodzi o to, Minty, że chciałam cię zapytać, jak idą sprawy testamentu taty.

Czyż to nie dziwne, że Poppy nie zwróciła się z takim pytaniem bezpośrednio do Thea?

- Będziemy... - Specjalnie położyłam nacisk na liczbę mnogą. - ... Będziemy musieli okazać jeszcze trochę cierpliwości. Theo nadal czeka na potwierdzenie ważności testamentu.

Znów wyczułam wahanie.

- To znaczy, że nie zanoszą się na szybki podział pieniędzy?

- Theo stara się jak może.

- To tak długo trwa. - W głosie Poppy pobrzmiwało zniecierpliwienie. - Nie możemy tego jakoś przyspieszyć?

- Theo wyjaśnił dokładnie, że to nie takie proste. Masz jakieś zastrzeżenia?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy - zapewniła pośpiesznie. - Tylko się zastanawiałam. Theo powiedział, że Sam i ja dostaniemy naszą część, a mnie... przydałaby się gotówka. Potrzebuję... na parę rzeczy.

- Nie możesz wziąć od Richarda?

- Nie. - Głos Poppy wszedł na wyższy ton. - To znaczy tak. Poproszę Richarda. Mogę liczyć na jego hojność. Zresztą nie jestem zależna od mojego męża. - Zaśmiała się nerwowo. Cóż, przynajmniej w jak najmniejszym stopniu. Mówiłam ci, że znowu awansował? Ja też, w pewnym sensie.

- Drukarka zakrztusiła się i umilkła. - O Boże, muszę kończyć. Próbuję wydrukować wielkie zamówienie na świece bożonarodzeniowe, a drukarka ciągle się zacina. Dasz mi znać jak najszybciej?

Przez otwarte drzwi zobaczyłam, jak Felix wystawia nogę, a Lucas się o nią potyka i pada jak długi. Powróciłam wzrokiem do kuchni. Gdyby Nathan siedział ze mną przy stole, powiedziałby: „Ona jest moją córką i muszę jej pomóc”.

Wzięłam głęboki wdech.

- Obawiam się, że masz kłopoty, Poppy. Chciałabyś pogadać?

- Nie... - Panika w jej głosie przekonała mnie ostatecznie, że się nie mylę. - To nie twoja sprawa.

- Jesteś pewna?

Poppy stała się otwarcie wroga.

- Jestem całkowicie pewna, dziękuję ci, Minty. Możemy na tym zakończyć? Proszę.

- W takim razie poproszę Thea, żeby się z tobą skontaktował.

Zakończyłyśmy rozmowę i poszłam się przywitać z bliźniakami, którzy nie odstępowali mnie przez następne dwie godziny. Jednak sprawa Poppy nie dawała mi spokoju.

Schodząc na dół, w holu natrafiłam wzrokiem na wazon ze zwiędłymi irysami. Zniosłam je do kuchni i wylałam cuchnącą wodę. Przez nieuwagę upuściłam jeden kwiat na podłogę; zgniła lodyga zostawiła mazistą plamę na kafelkach. Schyliłam się, żeby ją wytrzeć chusteczką. Chusteczka zostawiła na podłodze drobne kuleczki. Podniosłam się ociężale, by sięgnąć po zmiotkę i szufelkę, w tym momencie poczułam ukłucie bólu w kolanie, co mnie rozśmieszyło. Nathan ożenił się ze mną, ponieważ myślał, że go to odmłodzi. Tymczasem to ja się postarzałam.

Wyrzuciłam śmieci z szufelki do kosza i opuściłam pokrywę. Nagle serce ścisnął mi głęboki, nieutulony żal utraty.

Wcześniej (bardzo wcześnie) rano obudził mnie hałas na schodach, podobny do świergotu szpaków. Spojrzałam na budzik - było wpół do szóstej. Jęcząc, zwlekłam się z łóżka.

- Co wy wyprawiacie? - zwróciłam się do bliźniaków. Byli ubrani, a na ramionach mieli szkolne plecaki. - I co tam macie?

- To nasz prowiant na podróż - wyjaśnił Felix.

- Odwróć się. - Felix usłuchał, a ja rozpięłam mu plecak. W środku było jabłko, kilka czekoladowych herbatników i jego ukochany kocyk. Zwłaszcza obecność kocyka była znacząca. Felix nigdzie się bez niego nie ruszał. - Wyjęliście ciastka z puszki?

- To na naszą podróż - powiedział Lucas.

- Jaką podróż?

Felix pociągnął mnie za rękaw piżamy.

- Specjalną podróż, mamusiu.

Usiadłam ciężko na najwyższym stopniu schodów.

- Chcieliście wyjść z domu bez mojej wiedzy. Wiecie, że to by mi się nie spodobało.

Felix się zmartwił.

- Mamy zamiar odnaleźć tatusia - oznajmił.

Ukryłam twarz w dłoniach, żeby nie widzieli łez. Chłopcy poszeptali między sobą i usiedli po obu moich stronach. Wyciągnęłam ręce i przygarnęłam ich mocno do siebie.

- Co ja mam z wami zrobić? - Wiedzieli, że pytanie jest retoryczne, więc żaden nawet nie próbował odpowiadać. - Powiedziałam wam, co się stało z tatusiem. Odszedł do takiego miejsca, gdzie odpoczywa w spokoju. Ale już nigdy nie może stamtąd wrócić...

- Właśnie że tak, wróci - upierał się Lucas. - Jak go wykopiemy.

Zrobiło mi się ich żal aż do bólu. Przyciskając chłopców do siebie z całej siły, rozpaczliwie smutna, bezradnie zastanawiałam się, co powinnam powiedzieć, co zrobić.

- No dobrze - wydusiłam z siebie w końcu. - Może pomyślimy o tym w łóżku?

Piętnaście minut później obaj spali, wcześniej złożywszy mi obietnicę, że nigdy, przenigdy nie opuszczą domu, nie powiedziawszy o tym komuś dorosłemu. Leżałam bezsennie na warstwie herbatnikowych okruchów, ponieważ uparli się, żeby przed snem zjeść swój prowiant.

- Minty... - Zawołał jakiś głos za moimi plecami, kiedy wyruszałam spod numeru 14 w drogę do pracy.

To był Martin. Ubrany w garnitur, w jednej ręce niósł aktówkę, w drugiej torbę podróżną z miękkiej skóry, taką, jakie lubiła kadra kierownicza najwyższego szczebla.

- Miałem nadzieję, że cię złapię. Wybacz, że się nie pokazywałem, ale byłem bardzo zajęty. Paige mówi, że sobie radzisz, ale... - Uniósł mi twarz, podkładając palec pod brodę. - Trochę blada, chudsza, ale można się było tego spodziewać.

Oblizyłam suche wargi. Już prawie zapomniałam, jak się odzywać do ludzi, zwłaszcza do przyjaciół.

- Obawiam się, że muszę z tobą porozmawiać - oznajmił Martin.

To mnie wyrwało z odrętwienia.

- Kłopoty?

- Kłopoty - przyznał. - Masz trochę czasu? Spojrzałam na zegarek.

- Za godzinę zaczyna się zebranie. - Miało potrwać do południa. Przerwę na lunch zamierzałam wykorzystać na wyprawę do miasta po nowe mundurki szkolne dla bliźniaków. Po południu mieliśmy się spotkać z Edem Golightym w BBC i wszyscy trzymali kciuki za zielone światło. Przy odrobinie szczęścia i sprzyjających wiatrach mogłam zdążyć do domu na czas, żeby wykapać chłopców. - Mam czas.

- Wpadniemy na kawę? - Martin kiwnął palcem w stronę kawiarni na rogu.

Usiedliśmy przy małym stoliku, który chwiało się niebezpiecznie, ilekroć któreś z nas oparło się o blat. Martin podmuchał na swoje cappuccino; pianka na powierzchni zmarszczyła się podobnie jak jego czoło. Sprawiał wrażenie zmęczonego i zagniewanego. Za lewym uchem została mu kropelka kremu do golenia, co zakłócało jego nienaganną aparycję człowieka biznesu.

- Martin, zapowiada się niedobrze.

- Jest niedobrze. - Podniósł filiżankę i natychmiast odstawił ją z powrotem na stolik. - Roze-
szliśmy się z Paige - wyznał. - A właściwie to Paige kazała mi się wynosić.

- Co takiego? Nic mi nie mówiła.

Dla Martina naturalnie nie miało to żadnego znaczenia. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Znasz określenie „dostać obuchem w łeb”? Nie oddaje mojej sytuacji nawet w połowie.

Przed oczyma stanął mi widok Nathana siedzącego w niebieskim fotelu, martwego.

- Mam o tym pewne pojęcie.

- No tak, oczywiście. Zapomniałem. - Zmarszczył czoło jeszcze mocniej; oczy mu się nie-
bezpiecznie zapadły. Miałam przed sobą człowieka, który łudził się nadzieją, że się myli, zmagał
się z tajemnicą, której nie umiał rozwikłać.

- Od jak dawna się na to zanosilo? Wzruszył ramionami, udając nonszalancję.

- A kto wie, co siedzi w głowie mojej żony? Usiłowałam odgadnąć powód decyzji Paige.
Czyżby Martin ją bił? Żądał, by była jego seksualną niewolnicą?

Zacęłam od najprostszego rozwiązania.

- Wiesz, że po urodzeniu dziecka kobieta może trochę bzikować. Tak było ze mną. Czuje się
wtedy niepewnie, jest skołowana.

- Paige? Niemożliwe.

Zauważyłam, że jest ogłupiały i ma głębokie poczucie krzywdy.

- Paige uważa, że nie poświęcam dzieciom dość uwagi, a do tego za dużo od niej wymagam.
Twierdzi, że wystarczą jej dzieci do opieki i to na nich musi się skupić. Najwyraźniej ja jej w tym
przeszkadzam.

Mimo iż słońce padało mi na plecy, poczułam chłód.

- Martin, Paige naprawdę zbikowała. Jesteś pewien, że chodzi do lekarza na kontrole?
Znów wzruszył ramionami.

- O ile wiem, tak, ale ostatnio często wyjeżdżałem. - Odsunął nietkniętą kawę. - Dom stano-
wi pole bitwy, ale Paige jest w pełni poczytalna i czuje się dobrze. Nie mam co do tego wąt-
pliwości. Za każdym razem jak rodzi dziecko, robi się... coraz silniejsza i bardziej nieprzejednana.
Jak Klitajmestra czy jak tam się nazywała ta okropna kobieta, która dla zabawy zabiła swojego
męża.

- Ale on zabił jej córkę.

- Tak? No cóż. - Sięgnął po torbę. - To prawda, że nie poświęcam każdej chwili na jawie i
we śnie dzieciom. Zostawiam to Paige.

- Czego po mnie oczekujesz, Martin? - spytałam łagodnie. - Chcesz, żebym coś zrobiła?
Chociaż nie wiem, co mogłabym zrobić poza przekonaniem Paige, że nie ma racji.

Martin wbił wzrok w blat stolika. Szukał w myślach jakiegoś punktu zaczepienia.

- Próbując przekonać Paige do czegoś, osiągniesz coś wręcz przeciwnego. Ale mogłabyś mieć na nią oko. Nie jest aż taka silna, jak jej się wydaje. - Podniósł się ciężko. - Dzięki, że poszłaś ze mną na kawę. - Pochylał się nade mną wielki i zgnębiony. - Wiem, że dużo od ciebie wymagam, zwłaszcza teraz, ale gdybyś mogła, miej ją na oku. Prędzej czy później odzyska rozsądek. Prawdę mówiąc, wcale nie jestem pewien, czy w tej chwili chciałbym z nią mieszkać, taka jest okropna. - Pociągnął za uchwyt torby. - Paige nie powinna była rezygnować z pracy w banku. Tam jej energia znajdowała najlepszy upust. Dzieci ją zniszczyły.

Kiedy wreszcie dopadłam Paige, nie wydawała się ani skruszona, ani szalona.

- Martin nie umie się dopasować do dzieci - stwierdziła, przekładając Charliego od jednej piersi do drugiej. Zauważyłam, że jej biust stał się jakby mniejszy i bardziej obwisły, niż był kiedyś. - Zawsze przychodzi do domu nie w porę i chce, żeby mu podawać obiad albo prasować koszule.

- Chyba Susan może to robić, przynajmniej częściowo? Przez chwilę zastanawiała się nad tym, co powiedziałam.

Nie potrafiłam nic wyczytać z wyrazu jej oczu.

- Nie pozwala mi się skupić na dzieciach. Zmieniłam zdanie. Paige jednak chyba straciła rozsądek.

- Byłaś ostatnio u lekarza?

- Nie ma potrzeby. - Zwróciła się do kędzierzawej główki ssącego pierś syna. - Mamusia świetnie się czuje, prawda? Nic nam nie dolega.

- Powinnaś pójść.

W spokojnej, uporządkowanej kuchni słychać było szum urządzeń mechanicznych. Zmywarki. Pralki. Na górze Jackson i Lucy niechętnie zabawiali bliźniaków. Była dopiero czwarta po południu, sobota, a kuchenny stół już został nakryty do kolacji, którą Jackson i Lucy jedli o szóstej, a zegar na piekarniku nastawiony na wpół do szóstej.

Zbita z tropu, splotłam ręce na kolanach.

- Rzecz jasna, nie powinnam się wymądrzać na temat rozbitych małżeństw...

- Rzecz jasna - przerwała mi Paige gburowato.

- Ale coś mogę powiedzieć, bo wiem, Paige.

- Co wiesz?

- Jak przekonać samą siebie, że to, co robisz, jest w porządku.

Mały Charlie szarpnął główką do tyłu i sutek Paige wyskoczył mu z ust z odgłosem podobnym do mlaśnięcia.

- Popatrz - wykrzyknęła Paige. - Ma pleśniawkę. Biedactwo. - Czule otarła się nosem o policzek dziecka. - Mamusia temu zaradzi.

Nieczęsto myślałam o swojej matce i można powiedzieć, że i ona, kiedy żyła, rzadko myślała o mnie we właściwy, prawdziwie matczyzny sposób. Po pierwsze, zawsze była zbyt zmęczona zarabianiem na życie po tym, jak ojciec nas porzucił. Po drugie, nie lubiła mnie. W wyniku tego często obarczałam ją winą za swoje życiowe niepowodzenia, ponieważ jak mówią poradniki, to matka nadaje ton. Kiedy żyła, udawałam, że nie żyje. A potem umarła i przez jakiś czas udawałam, że żyje.

- Posłuchaj... - Paige nie odrywała wzroku od Charliego. Dlatego wstałam i wyrwałam jej niemowlę z ramion. Było ciężkie i pachniało na wpół strawionym mlekiem. Protestowało przeciwko tej gwałtownej zmianie sytuacji, ale nie zwracałam na to uwagi. - Będiesz mnie słuchać. Bardzo łatwo sobie wmówić, że ma się rację. Tak, sama sobie wmawiałam, że Rose jest samolubna. Nie troszczy się o Nathana tak, jak on tego potrzebuje. Zasługuje na to, by go stracić. Osoba tak niedbała jak Rose nie potrafi docenić takiego męża jak Nathan. W końcu czułam, że odebranie jej Nathana jest niemal moim obowiązkiem.

- I udało ci się. Więc?

- Nie zrozumiałaś, o co mi chodzi, Paige. Możesz sama siebie przekonać do wszystkiego. W tym cały problem.

Paige wstała i wyciągnęła rękę.

- Oddaj mi dziecko - rozkazała. - Trzeba je przewinąć.

Nie puszczałam Charliego.

- Nie możesz uczciwie myśleć, że dzieciom będzie lepiej bez Martina.

- Patrzcie, kto to mówi...

- Felix i Lucas strasznie cierpią.

Paige udało się odebrać mi Charliego.

- Doceniam twoją troskę, Minty. - Zatrzasnęła przyłbicę. - Ale wołałabym, żebyś się nie wtrącała.

Gisela powiedziała:

- Nie wyobrażaj sobie, że skoro mnie nie było, to znaczy, że straciłam cię z oczu. Chcę wiedzieć o wszystkim. Będziesz mnie nienawidzić za wścibstwo, ale też będziesz mi wdzięczna.

Spędziła miesiąc na południu Francji, a po powrocie zadzwoniła i zaprosiła mnie na lunch. Samochód z Vistemaxu zabrał mnie z pracy, czego bynajmniej nie starałam się ukryć przed Deb i resztą. Gisela siedziała w środku. Opalona i w świetnej formie, ucałowała mnie serdecznie. Ja także przywitałam ją ciepło, bo się za nią stęskniłam.

- Mam nadzieję, że domagasz się odpowiedzi od Thea - mówiła. - Jeśli nie poganiasz prawników, to sprawy leżą odłogiem.

Samochód z miękkim pomrukiem silnika kierował się w stronę Kensington. Zdałam jej krótkie sprawozdanie ze swojej finansowej i prawnej sytuacji, po czym zapytałam:

- Pomagał ci ktoś, Giselo, kiedy się zmagając z tymi wszystkimi problemami spadkowymi?

Zawahala się.

- Czasami... Marcus mi pomagał. Jest dobry w takich rzeczach.

- Właściwie to nie spadkiem tak naprawdę się martwię. Chodzi o chłopców. Tęsknią za Nathanem.

Opuściła wzrok na swoje dłonie, splecione elegancko na kolanach.

- To musi być dla ciebie okropne.

- Czasami wręcz nie mogę znieść ich smutku. Parę dni temu chcieli iść go szukać. Felix nawet spakował plecak.

Gładka twarz Giseli parokrotnie zmieniała wyraz. W końcu odezwała się szorstko:

- Musisz to znieść. - Otworzyła torebkę i wyciągnęła notes. - Teraz ja potrzebuję twojej rady. A raczej chcę z tobą porozmawiać, więc proponuję ci łąpówkę.

- Domyślam się, że chodzi o Marcusa.

Gisela popadła w zamyślenie.

- W pewnym sensie zawsze chodzi o Marcusa. Staralam się do tego nie dopuszczać, ale okazało się to niemożliwe. On jakby... zawsze jest najważniejszy.

- Ponieważ chcesz, żeby był. Zmrużyła oczy.

- Chyba tak.

Samochód zwolnił przed światłami. Na myśl o kosztownym jedzeniu, które Gisela miała zaraz dla mnie zamówić, lekko mnie zemdlilo.

- Giselo, ostrzegam cię, że właściwie nie jestem specjalnie głodna. Nie mam już takiego apetytu jak dawniej.

- Nic dziwnego. Spójrz na to od innej strony - wiele kobiet by ci zazdrościło. Wiesz, co chcę zrobić? Chcę cię zabrać na parę dni do Claire Manor i porozpieszczać. Ja za wszystko płacę, a w zamian ty będziesz słuchać o moich problemach, zapominając o swoich.

Dotknęłam jej łokcia.

- Jesteś cudowna, to by było... - A potem usłyszałam własny głos. - Jest za wcześnie, żeby zostawić bliźniaków. Nie sądzę, żebym mogła im to zrobić.

Dotąd miękkie, współczujące spojrzenie Giseli stwardniało na stal.

- Owszem, możesz, Minty.

Użyłam innej, całkowicie prawdziwej wymówki.

- Nie mogę sobie na to pozwolić, Giselo.

- Przecież ja płacę.

- Nie mogę wziąć wolnego w ciągu tygodnia. Tylko czekają na pretekst, żeby się mnie pozbyć, teraz, kiedy jestem ciężarem.

- Naprawdę?

Pomyślałam o Chrisie Sharpie.

- Tak sędzę. A raczej nie chciałabym im dać okazji, żeby to się potwierdziło.

- Oczywiście. Doskonale rozumiem. W takim razie pozostaje weekend.

Kiedy samochód stanął przed restauracją, odwróciła się do mnie.

- Źle wyglądasz, Minty. Jesteś blada i smutna. To niedobre dla Paradoxu. Musisz dać sobie dwa dni wolnego, przynajmniej tyle możesz zrobić. - Poklepała mnie po dłoni. - Umowa stoi?

- Muszę porozmawiać z Eve. Nie mogę tak po prostu się zgodzić, jak... Jak za dawnych czasów.

W oczach Giseli mignął błysk zniecierpliwienia.

- Nie przyjmuję odmowy.

Tamtej nocy, przed pójściem spać, zmusiłam się do sesji przed lustrem. Zarówno oczy jak i włosy były matowe i bez blasku. Zmartwiły mnie przede wszystkim oczy. Wydawały się całkiem pozbawione życia.

Rozdział dziewiętnasty

Zaplanowałam atak na Barry'ego bardzo starannie. Nocny klub La Hacienda mieścił się dwie kondygnacje pod ziemią i oszczędzał na świetle. Barry zabrał tam Chrisa, Deb, Syriol i mnie, żeby uczcić otrzymanie zielonego światła dla „Odejścia na puentach”. Chris i Deb siedzieli na sofie, a Syriol tańczyła solo na niewielkim kwadracie parkietu. Z głośników dobiegał ogłuszający punk rock Iggy'ego Popa. Barry powoli opróżniał butelkę Bacardi Breezer (z zawartością cukru zredukowaną do połowy).

Pociągnęłam łyk tequili; sól sparzyła mi wargi.

- Barry - zawołałam. - Mogę w piątek wyjść wcześniej? Nie ma żadnego zebrania ani nic. Sprawdziłam.

Oderwawszy się od butelki, odkrzyknął:

- Dlaczego?

Zbliżyłam usta do jego ucha, z nadzieją że nie zrozumie opacznie mojego zachowania.

- Wyjeżdżam na weekend.

- Musisz?

Rozejrzałam się po sali. Stroboskopowe światło migające nad parkietem nadawało Syriol niesamowity kolor. Na pobliskiej sofie jakaś para pożerała się nawzajem. Deb patrzyła w oczy Chrisowi, ale on nie odrywał wzroku od Syriol. Mrok i hałas męczyły mnie, czułam się jak starszka.

- Owszem, muszę - powiedziałam. - Ale będę z powrotem wcześniej rano w poniedziałek, na spotkaniu z Edem.

- Lepiej, żebyś była - ostrzegł. - Musimy naciskać, przekonać go, że to dobry interes.

Eve także się zgodziła. Wprowadziłam ją zwięźle w sytuację, przekupiłam podwójną stawką, zaplanowałam posiłki. Zadzwoiłam do Paige z prośbą o wsparcie. Wciąż urażona naszą ostatnią rozmową, nie kwapiła się być mi pomocną.

- Tylko w razie nagłej potrzeby - oznajmiła. - Jackson ma w sobotę rano zajęcia z matematyki, Lucy przez cały dzień jest na balecie, a niedzielę spędzamy u mojej matki.

Opieka nad dziećmi była więc zapewniona. Nawet czteroletniej ekspedycji na Księżyc nie można by zaplanować bardziej szczegółowo. Posiłki, ubrania, pieniądze - wszystko zostało wzięte pod uwagę.

Wyjaśniłam bliźniakom, że wyjeżdżam na dwa dni i dwie noce do miejsca, gdzie dodają człowiekowi urody, a moja obietnica, że po powrocie zabiorę ich do Muzeum Historii Naturalnej, żeby zobaczyli dinozaury, została wypisana krwią.

Jednak nie wszystko poszło tak gładko. Lucas zaczął podskakiwać w miejscu.

- Nie zostawiaj mnie. Nie zostawiaj mnie.

Cierpliwie wyjaśniłam, że Eve będzie się nimi zajmować i że to nie potrwa długo. Słuchałam własnego głosu, uspokajającego ich, że chodzi tylko o piątek i sobotę, a w niedzielę wrócę, żeby ich ucałować na dobranoc.

- Ale ty już jesteś piękna, mamusiu - uznał Felix, sięgając po kocyk.

Udało mu się wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia. Powiedziałam ostrzej, niż zamierzałam:

- Potrzebuję trochę odpocząć, Felix. Opieka nad wami dwoma to ciężka praca. Wiesz?

Felix i Lucas jak na komendę cofnęli się o krok, wymienili między sobą jakiś pozazmysłowy komunikat i bez słowa wybiegli z pokoju.

- Bliźniaki - zawołałam za nimi. - Proszę was, wróćcie.

Weszli po schodach, nadal się nie odzywając, i zniknęli w swojej sypialni. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem. Jakiś ciężki przedmiot został przeciągnięty po podłodze i oparty o drzwi.

Poszłam sprawdzić, co się dzieje.

- Felix, wpuść mnie... Lucas... - Zapukałam. Żadnego odzewu. Przyklękawszy na jedno kolano, zajrzałam przez dziurkę od klucza, ale zobaczyłam jedynie tył malowanego krzesła przysuniętego do drzwi. - Felix, Lucas... - Żałowałam, że w moim głosie nie brzmi więcej przekonania i rodzicielskiej pewności siebie.

Równie dobrze mogłabym sobie nawoływać z kosmosu. Bliźniacy znajdowali się poza linią mojego wzroku, ale w pokoju słychać było jakieś ostrożne ruchy. Supelki dywanu wbijały mi się w kolano, palce stóp drętwiały, jak zawsze w takiej pozycji. W takiej pozycji byłam głupia. W takiej pozycji bliźniacy byli górą. Kiedy się podnosiłam, spod drzwi wysunęła się kartka papieru. Było na niej napisane zieloną kredką: „Odejdź, mamusiu”.

Oparłam się o ścianę i zaczęłam się pochylać, wolno, coraz niżej, aż w końcu usiadłam. Błędnie napisane słowo „mamusia” było oskarżeniem i wyrzutem. Raniło mi serce niczym nóż.

W takich momentach zwykle żądałam: „Nathan, proszę, zajmij się tą sprawą... Bliźniaki są niezdolne/ nieposłuszne/ uparte/ rozkrzyczane...”. Spoglądając wstecz, uświadomiłam sobie, że wymagałam od niego takich interwencji znacznie częściej, niż naprawdę było ich trzeba. A Nathan, nieudolnie skrywając zadowolenie z roli domowego strażaka, wkraczał do akcji. „Wszystkich was należałoby odpowiednio ustawić. Po prostu bądź stanowcza”.

Lubił różne „złote środki” w rodzaju: „Nie słuchaj żadnych bzdur. Pokaż im, kto tu jest przywódcą stada”. Czasami dokuczałam mu ze śmiechem, mówiąc, że jest nadęty, a czasami płakałam, że nie umiem pokierować życiem rodzinnym. Tu kryła się nierozwiązywalna zagadka. Dlaczego, u licha, inteligentna, rozsądna kobieta, taka jak ja, tak sobie skomplikowała życie?

Podniosłam wzrok, spodziewając się ujrzeć Nathana na schodach, poczuć dłoń męża na ramieniu, usłyszeć jego głos. Zamiast tego usłyszałam własny szept: - Nathan nigdy tak naprawdę nie posiwieje. Ale to wszystko należało do przeszłości. „Odejdź, mamusiu”.

W Claire Manor zażyłam pigułkę nasenną i obudziłam się w nieznanym mi łóżku z muślinową narzutą *à la Polonaise*. W drugim końcu pokoju zasłony opadały bogatymi fałdami na podłogę, a poduszki na fotelach miały antyczne frędzle.

To był ten typ pokoju, który dobrze wygląda na zdjęciach w czasopiśmie. Emanował dyskretną zamożnością i komfortem, stanowił przykład interesu ubitego pomiędzy fantazją i rzeczywistością. Nikt nie mógłby - ani nie chciałby - w nim zamieszkać na stałe.

Luksusowo i wytwornie urządzone Claire Manor wcale nie było niewinnym miejscem. W istocie wszystko w nim zostało starannie przemyślane i miało swój cel. Wystarczyło odwrócić głowę, by ujrzeć całą baterię płynów i kremów, która zachęcała, by gość spakował ją do swego bagażu. Zawarte w nich obietnice kusiły: jeśli ich użyjesz, odzyskasz kolagen w tkankach, a twoja skóra stanie się jędrna i gładka. Stawiały przed ciekawym dylematem. Nie było żadnych szans, by sprawiły to, co obiecywały. Z drugiej strony, gdyby pozostawić wszystko naturze, rezultaty także nie mogły być najlepsze. Na półce stały książki o znamiennych tytułach, takich jak: „Dociekliwa dusza”, „Dziesięć kroków do pięknego ciała”, „Joga dla ducha” oraz „Zarządzanie samym sobą”, wpisujące się w tę sprytnie sterowaną znowę.

Gisela mieszkała po drugiej stronie korytarza wykładanego puszystym chodnikiem; jej pokój był taki sam jak mój, tyle że obszerniejszy i zaopatrzony w misę z owocami, a w łazience wisiało więcej ręczników.

Żadne dziecko nie postawiło nigdy nogi w Claire Manor. Żadnemu dziecku nie pozwolono by wtargnąć do tych różowych, pachnących, wyciszonych draperiami wnętrz.

Wyciągnięta na łóżku próbowałam uprawiać aerobik samymi palcami stóp, jednocześnie starając się odzyskać doskonały nastrój, jaki mi towarzyszył, kiedy zjawiłyśmy się w recepcji.

- Mogę wpaść w amok - zwierzyłam się Giseli. - Jeść marynowaną cebulę i zamówić sobie do pokoju kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem o czwartej nad ranem.

Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem.

- Minty, to jest farma piękności. Pozwól, że ci przypomnę: twoje ciało jest świątynią.

W zimnym świetle poranka, zamroczona pigułką nasenną, ujrzałam w myślach obrazek, wyraźny aż do bólu. Mogłam się założyć, że Lucas z Felixem, siedząc na łózkach, mówili do Eve: „Mamusia też odeszła”.

Kiedy jadłyśmy kolację (ragoût ze złotej fasolki i cebuli), Roger zadzwonił do Giseli dwukrotnie bez powodu. Ona słuchała, uspokajała, a potem przeproszała za to, że nam przerwał.

- Roger staje się nerwowy, kiedy wyjeżdżam. Nienawidzi tego. - Dziobnęła widelcem fasolkę. - Człowiek, który zarządzał kilkoma wielkimi firmami, zarobił milion...

- I... - ponagliłam, kiedy nagle umilkła.

Gisela sięgnęła po szklankę z wodą.

- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. Ale nie dzisiaj. Jestem zbyt zmęczona.

Groźba zapowiadanej rozmowy zawisła nade mną wraz z odejściem resztek nadziei na dalszy sen. Rozległo się pukanie do drzwi i weszła dziewczyna w różowym uniformie z tacą. Miała włosy w kolorze miodu związane w koński ogon i surowy wyraz twarzy.

- Pani śniadanie. - Postawiła przy łóżku filiżankę gorącej wody z plasterkiem cytryny. - Jest piękny dzień - oznajmiła, rozsuwając zasłony. Do pokoju wpadło ciepłe słoneczne światło. - Wyjaśniono pani program... - podniosła ze stołu zadrukowaną kartkę i przebiegła ją wzrokiem - ... więc wie pani, dokąd się udać na pierwszy zabieg. - Dotknęła mojej stopy przez kołdrę. To był profesjonalny dotyk, miał mi dodać otuchy i roztoczyć przede mną iluzję wiedzy fachowej. - Miłego dnia.

- Moje ciało jest świątynią - wymamrotałam, popijając gorącą wodę. Jeśli chodzi o ocenę śniadania, pozostawiało wiele do życzenia.

W domu pewnie Felix wpatrywał się ponuro w swój talerz z płatkami, tak jak co rano. Śniadanie nie było jego ulubionym posiłkiem. „Nie jestem głodny”. Lucas już dawno zjadł swoją porcję. Robili się chytry i przebiegli, współpracownicy w oszustwie. Myśląc, że nie widzę, Felix podsuwał swój talerz bratu. Rozmawialiśmy z Nathanem o tym, że Lucas nabiera przewagi nad bratem. Nathan podrapał się wtedy po głowie i powiedział bez cienia ironii:

- To jest prawo dżungli. Będą się musieli nauczyć.

- Dziwne - odpowiedziałam. - Coś tu się nie zgadza. Zwykle to ja jestem ta surowa, a ty wyrozumiały.

- Czasy się zmieniają.

Zmieniły się. Zmieniły. Czasy się zmieniły ponad wszelkie wyobrażenie.

Sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do Eve.

- Wszystko w porządku?

- Tak sędzę. - Głos miała szorstki i zmęczony.

- Tak sądzisz. Zakaszłała brzydko.

- W porządku.

Dziewiąta. Lekcja fitness. Wykonywałam po kolei wszystkie ruchy. Ściśnij pośladki (jak ci każą). Kontroluj oddychanie. Napnij mięśnie ud i skoncentruj się na poziomie bioder. Język i komendy wychodzące z ust szczupłej instruktorki w szarym dresie wydawały mi się znajome. Ich logika była niedościgle perfekcyjna. Tak tu zarabiano na życie.

- Rozciągnij się. Rozluźnij. Pochyl. - Do tej pory nauczyłam się innego języka, choć w jakiś sposób podobnego, pełnego komend w rodzaju: „umyj za uszami” lub „wskakuj do wanny” albo „nie będę więcej słuchać niemądrych wymówek”. Logika? Przeżyć dzień w miarę spokojnie i zakończyć go z parą nakarmionych i wymytych chłopców.

Dziesiąta trzydzieści. Weszłam (goła) do ustrojstwa przypominającego kształtem żelazny but i zostałam po szyję oblepiona mułem. Leżenie w płynnym błocie nie było tak do końca przyjemne. Po godzinie zjawiała się inna miodowa blondynka w białym uniformie. Wycelowała w moją klatkę piersiową strumień wody; aż zawylałam, bo woda okazała się lodowata. Dziewczyna uśmiechnęła się zachęcająco.

- Doskonale pani idzie, pani Lloyd. - Prześliznęła się wzrokiem po moim gołym brzuchu i biodrach.

Chwyciłam ręcznik i owinęłam się nim szczelnie. Przyzwyczajona do nagości w szatni sali gimnastycznej, do tej chwili nie doceniałam, jak przyjemna i pożądana bywa skromność.

Po każdym zabiegu dziewczyna w białym uniformie pisała raport i umieszczała go w plastikowym etui, które klient nosił ze sobą.

Pierwsza. Otulone w piękne, białe, frotowe szlafroki spotkałyśmy się z Giselą na lunchu złożonym z francuskiej fasolki i orzechów włoskich przyprawionych cytryną. Porównałyśmy swoje raporty. Jadalnia tonęła w słońcu i miała widok na nieskazitelny angielski ogród, w którym kwitły ostróżki i maki wymieszane z roślinami o egzotycznych liściach.

- Mój raport? - Gisela sprawiała wrażenie nieobecnej duchem. - Och, jest w porządku. Poza tym, że według nich mam źle zbilansowaną dietę. Zapewniłam ich, że się mylą. - Zebrała się w sobie. - Dzwoniłaś do domu? Wszystko pod kontrolą?

- Eve miała trochę dziwny głos, ale jak na razie wszystko gra.

Sos na fasolce był tak kwaśny, że wykrzywiło mi usta. Nigdy nie przepadałam za cytryną. Przełknęłam pierwszy kęs, obserwując wysokiego, opalonego mężczyznę przy sąsiednim stoliku, który wpatrywał się z nieskrywanym przerażeniem w stojący przed nim talerz z fasolką i tofu. Kiedy na mnie spojrzał, mimowolnie uśmiechnęłam się do niego współczująco. W odpowiedzi pokręcił głową i także się uśmiechnął.

Gisela nie czerpała przyjemności z posiłku. Jak zwykle była drażliwa i niespokojna. Zmusiłam się do przełknięcia kolejnej fasolki.

- Domyślałam się, że Marcus postawił ultimatum. Odchyliła się na krześle.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mnie zaskoczył.

- Zatem Marcus zażądał deklaracji. Albo Roger, albo on? Gisela wzięła do ręki łyżkę i zaatakowała nią mikroskopijny kawałek papai umieszczony na plastrze melona.

- Bardzo mi nie dogadza, że Marcus akurat teraz robi zamieszanie.

- Biedny Marcus.

Kąciki ust Giseli nieco opadły.

- Znał sytuację.

To twierdzenie nie do obalenia; zaczęłam się zastanawiać nad logistyczną stroną życia Giseli. Czy przez cały czas Marcus był jej kochankiem? Czy tylko między kolejnymi mężami? Czy istniały jakieś ustalone metody postępowania w takich wypadkach? Melon na moim talerzu był niedojrzały i tak zimny, że zęby mi zdrętwiały, kiedy odgryzłam kawałek.

- Co masz zamiar zrobić? Gisela stężała.

- Właśnie o tym chcę porozmawiać.

- Giselo, jestem wzruszona, że chcesz mi się zwierzyć... a tutaj jest cudownie... - Szerokim gestem wskazałam na otoczenie. - ...Ale nie wiem, czy potrafię ci pomóc.

- Jestem zaskoczona, że w ogóle pytasz - powiedziała cicho. - Sama przeżyłaś coś takiego.

W swoim czasie byłaś bezwzględna, więc pragnę twojej szczerzej opinii.

Przyjęłam to w milczeniu. Odezwałam się dopiero po chwili.

- Wiedziałaś, że pewnego pięknego dnia znajdziesz się w tym punkcie. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

Westchnęła.

- Nie myślałam o tym za wiele, bo kiedy próbowałam myśleć, puszczały mi nerwy. Nawet się dziwiłam, jak nietypowy i luźny jest nasz układ. Marcus godził się z tym, że za niego nie wyjdę, dopóki nie zacznie dobrze zarabiać. Miał też inne kobiety i kiedy ja byłam wolna, on nie, i vice versa. Rozmijaliśmy się pod tym względem beznadziejnie. Jednak zawsze mu powtarzałam, że w każdej chwili może odejść, więc mógł mnie zostawić dawno temu. Dopiero teraz zrobił się stanowczy. Nigdy tak naprawdę się nie zarzekałam, że za niego nie wyjdę. Ułożyło się nie całkiem po mojej myśli.

- Nie mam zamiaru bronić Rogera - zapewniłam - ale przypuszczam, że bardzo byś go zraniła, odchodząc.

Gisela zagryzła wargi.

- Normalnie nie mam z tym problemu. Moi mężowie zwykle umierają, a to zupełnie coś innego.

- Zupełnie innego. - Rozmowa pozostawiała nie całkiem przyjemny smak w ustach, więc zdecydowałam się na kolejny kęs zmrożonego melona.

Gisela zrezygnowała ze swojego posiłku.

- Uświadomiłam sobie coś przygnębiającego. Nie jestem już skłonna do ryzyka. - Już miałam powiedzieć, że uważam wręcz przeciwnie, kiedy dodała: - Marcus był moim życiem. Jeśli powiem „nie”, stracę go na zawsze, a o tym trudno mi nawet myśleć. Małżeństwo z Rogerem jest bardziej skomplikowane niż z Nicholasem czy Richmondem. Ci dwaj zostawiali mnie w spokoju, a z Rogerem jest inaczej.

- Czy Roger wie o istnieniu Marcusa? Gisela wbiła wzrok w blat stołu.

- Nie.

Dłuższa wskazówka zegara nad bufetem przesunęła się na pełną godzinę.

- Giselo, mam spotkanie z gorącymi kamieniami. Będziemy musiały dokończyć tę rozmowę później.

Zajrzała do swojej karty.

- Ja mam kąpiel błotną.

Gisela oddaliła się pośpiesznie. Kiedy klucząc między stolikami, mijałam opalonego mężczyznę, podniósł wzrok znad melona i powiedział:

- Zjadłem tofu.

- I przeżył pan?

- Ledwo.

Ten, kto wymyślił zabieg z użyciem gorących kamieni, wiedział co nieco o ludzkiej psychice. Dziewczyna w białym kitlu wyjaśniła, że w średniowieczu pacjentom stawiano bańki z rozgrzanego szkła, żeby wyciągnąć z nich humory, a obecny proces niewiele się od tego różni. Sprytny pomysł i do tego jakże sugestywny. Można się pozbyć humorów, złego samopoczucia i złości za pomocą gorącego szkła. Pewnie także żalu i smutku, zakładając, że się wierzy w skuteczność kuracji.

Wyszłam z zabiegu z czerwonymi plackami odbitymi w ciekawy wzór na moim ciele i bolącą głową - najwyraźniej wydalane z organizmu toksyny dawały o sobie znać.

Anioł w bieli uciskał zręcznie mój kręgosłup; dotyk był lekki i bezosobowy. Zamknęłam oczy.

Pod powiekami widziałam bliźniaków zbiegających po schodach do kuchni w sobotni poranek.

- Tatusiu, co będziemy dzisiaj robić?

A Nathan, wgrzając się w tosta, odpowiadał na przykład:

- No cóż, chyba zrobię wam sprawdzian z ortografii. - Następnie, przedzierając się przez coraz głośniejsze protesty: - Nie? Jestem zdumiony. Myślałem, że uwielbiacie ortografię. W takim razie wymyślę coś innego. Zaraz, co powiecie na wyręczenie mamy w odkurzaniu? Nie... - Po jakichś pięciu minutach, kiedy bliźniacy odmówili (kategorycznie) odrabiania lekcji, prac domowych i ogrodniczych, Nathan zaczynał swoją zabawę. - Chwileczkę, tak, jeden z was przesyła mi wiadomość. Brzmi... już odbieram... jak brzmi? Plac zabaw i pizza... zgadza się?

- Och, Nathan, po prostu im powiedz - wtrącałam często.

Palce masażystki znajdowały się w okolicy mojego nerwu kulszowego. Zabawa odbyła się po raz ostatni i świadomość, że już nigdy więcej się nie odbędzie, była dojmująco przykra. Wiedziałam, że będę tęsknić za jej absurdalnym dowcipem, za ożywieniem, jakie wносиła w sobotnie poranki.

- Jest pani bardzo spięta, pani Lloyd - stwierdziła dziewczyna.

Ile razy dziennie powtarzała tę mantrę, tak kojącą w swym niewymuszonym współczuciu? Dawała do zrozumienia, że ci, którzy leżą na jej łóżku do masażu, mają problemy zamknięte w mięśniach i tylko ona, profesjonalistka, jest w stanie temu zaradzić.

Chwyciwszy mnie za głowę, zaczęła kręcić moją szyją.

- Myślę, że jest pani wyjątkowo zmęczona. Poznają to po ściągniętych mięśniach. - Wprawne palce wpijały się w ciało i naciskały. - Są bardzo... bardzo... - Zrobiła pauzę dla lepszego efektu. - ...Napięte.

Czułam się tak, jakby przyznano mi medal. Moje zmęczenie było dowodem, że coś znaczę w zewnętrznym świecie (wszyscy ci zmęczeni pociąganiem za sznurki) i w pełni zasługuję na miejsce na tym łóżku. Ja potrzebowałam jej, a ona potrzebowała mojego nędznego stanu, żeby mieć co robić. To był bardzo czysty układ.

Po zakończeniu sesji zrobiła dużo zamieszania z usuwaniem ręczników.

- Zostawię panią teraz. - Przystając w progu, dodała: - Musi pani o siebie zadbać, pani Lloyd.

Wierzyła w każde swoje słowo i jednocześnie nie wierzyła w żadne.

- Dziękuję.

Właśnie umościłam się wygodnie na brzegu turkusowego basenu otoczonego kolumnami z marmuru (sztucznego), kiedy wyczułam czyjaś obecność. To był mężczyzna z jadalni.

- Witam.

Odpowiedziałam grzecznie, ale bez entuzjazmu.

- Cześć.

- Przydałoby mi się towarzystwo. - Uśmiechnął się zachęcająco. - Jestem tu sam i trochę mi ciężko.

- Jedzenie pana dobija? Opadł na sąsiedni leżak.

- Ktokolwiek wynalazł tofu, powinien być zabrany do weterynarza i uspioły.

Parsknęłam śmiechem.

- Wie pan, że może zamówić niedietetyczną dietę.

- Zamówię, zamówię. - Popatrzył na mnie. - Nazywam się Alan Millett. Jestem tu, bo rodzina wyrzuciła mnie z domu, żeby mi zorganizować urodzinową niespodziankę. Nie wiedzą, że ja wiem.

- Ale się pan zgodził?

- A czemuż by nie? Sally, Joey i Ben mają z tego wielką uciechę. Całkowicie się z nimi zgodziłem, że potrzebuję odrobiny relaksu, i pozwoliłem, żeby mnie spakowali.

Plastikowe etui zsunęło się na ziemię, więc schyliłam się, żeby je podnieść. Nagle przyłapałam się na tym, że patrzę na Alana Milletta tak samo, jak patrzyłam na Nathana, kiedy Rose po raz pierwszy zabrała mnie do swego domu, by mi przedstawić męża. Alan Millett też na mnie patrzył otwartym, szczerym spojrzeniem, które mówiło: „Mam rodzinę, kocham ją, ale... no, sama wiesz”.

- Ma pani ciekawe oczy - stwierdził. - Czy ktoś to już pani powiedział?

Czyżby moje odruchy Pawłowa uległy stopniowi? Dlaczego nie zareagowałam: ta gra może być warta świeczki? Dlaczego instynktownie nie przybrałam zalotnej miny? Zamiast tego wyprostowałam się sztywno.

- Owszem, mówiono mi. Mąż mi mówił.

Jakaś kobieta na drugim końcu basenu wstała i zdjęła szlafrok, odsłaniając jaskrawoczerwony kostium kąpielowy. Lekko i pewnie zeszła po stopniach i wstrzymując oddech, zaczęła płynąć w stronę środka.

Alan Millett spróbował jeszcze raz.

- Ma pani ochotę na drinka? Wydaje mi się, że mają tu duży wybór ekstraktów wyciskanych z perzu czy czegoś równie trudnego do wymówienia.

- Nie przyzwyczyli się pan do tutejszego stylu.

- Ani trochę - przyznał z rozbawieniem.

- Chyba nie mam panu za złe, ale proszę nic nie mówić. Moja przyjaciółka zafundowała mi ten pobyt jako prezent.

- To zabawne. Myślałem, że jest pani tu za karę.

Po chwili, podczas której obserwowałam pływaczkę w czerwieni, spytałam:

- Na czym polega pańska urodzinowa niespodzianka?

- To przyjęcie. Z festynowym namiotem i wszystkimi bajerami. Najwyraźniej sądzili, że jestem ślepy. Dziwne znaki na trawniku. Pochowane świece. I, co najbardziej wymowne, moja żona kupiła nową wagę łazienkową. To oznacza, że będzie próbowała wbić się w nową sukienkę. - Mówił to wszystko ciepłym tonem.

- Spodoba się panu?

- Jasne. Niecodziennie kończy się pięćdziesiąt lat. Więc czemu tego nie uczcić? - Pochylił się lekko w moją stronę, jednocześnie unosząc brew, i od razu wiedziałam, że wystarczy odpowiedzieć, a okazja sama do mnie przyjdzie. Lekko, zabawnie i bez zobowiązań. - Nie usłyszałem pani imienia.

- Bo go nie powiedziałam. Jestem Minty.

- Niezwykłe. Dlaczego pani tu przyjechała?

- Z różnych powodów. - Wstałam z leżaka i mocno zacisnęłam w talii pasek od szlafroka. - Wydaje mi się, że ma pan bardzo miłą rodzinę. Zapewne przyjęcie będzie wyjątkowo udane.

Zostawiłam go wpatrzonego z namysłem w niebieską głębię basenu.

Przebijając się w swoim luksusowym pokoju do kolacji, zniemacka zaczęłam rozmawiać z Nathanem.

- Stałam się dziś celem podrywu.

- I...?

- Nie byłam zainteresowana, Nathan. Miły facet, ale to nie to samo.

Odpowiedział coś niewyraźnie.

Przestraszyłam się, że Nathan traci w mojej pamięci wyrazistość. Wspomnienia już się zamazywały i zmieniały kształt. Czy to prawda? Czy rzeczywiście taki był? Czy mi to powiedział?

Rozdział dwudziesty

Minty, zmartwiłaś mnie wczoraj wieczorem. - Gisela nie owijała niczego w bawełnę. - Wyglądałaś okropnie. Reguła numer pięć: niezależnie od życiowej czy śmiertelnej sytuacji absolutnym obowiązkiem przyjaciółki jest kłamać.

- To przez toksyny - powiedziałam. - Nie chcą ustąpić.

Był wczesny niedzielny poranek. Wymknęłyśmy się na wypieszczone tereny wokół ośrodka - niskie płotki wzdłuż alejek, kamienne stopnie i wielkie połacie trawnika - żeby zaczerpnąć oddechu przed wyczerpującym porządkiem dnia. Zapowiadał się upał, ale zdążyłyśmy na moment, kiedy powietrze i rośliny są jeszcze świeże i tryskają energią. To był dobry moment, by czuć się żywym.

Gisela uczepiła się tematu.

- Z oczywistych powodów nie jesteś w najlepszej formie. - Współczująco ściszyła głos. - Ale czy coś szczególnie cię martwi? Wiesz, że możesz mi powiedzieć.

- To się pojawia i odchodzi - przyznałam. - Wpadam w panikę. - Na wymówione przeze mnie słowo „panika” jak na komendę czarne myśli zbiegły się do mojej głowy. - Wpadam w panikę, że nie udźwignę tego, co muszę udźwignąć.

Gisela, ryzykantka i realistka, doskonale mnie rozumiała.

- Zakładam, że masz dość pieniędzy. - Jako osoba dobrze poinformowana, znająca dokładną sumę odprawy z Vistemaxu (dzięki łózkowym pogawędkom), lecz niechętna się do tego przyznać, wyrażała się bardzo oględnie.

- Powiedzmy, że na razie potrzebuję posady. Spojrzała na mnie z wyrazem przebiegłości na twarzy.

- Czasami dostajemy to, czego chcemy.

- Nie chciałam, żeby Nathan umarł.

- Miałam na myśli to, że chciałaś mieć poważną pracę. Przynajmniej wiesz, co masz robić - dodała. - Można by wiele powiedzieć na ten temat. - Chwyciła mnie za ramię. - Żadnego użalania się nad sobą. Zrozumiano? Użalanie się nad sobą zostawmy głupcom. Poza tym nie myśl, Minty.

Między niemyśleniem a nieużalaniem się nad sobą pozostawało niewiele wolnej przestrzeni. Ale Gisela wiedziała, co mówi. Stawianie sobie wysokich wymagań, które nie pozwalały na rozklejanie się, miało swój sens i pomagało przetrwać.

Ruszyła przed siebie ścieżką biegnącą wzdłuż rabaty z bylin i zatrzymała się dopiero przy roślinie kwitnącej jaskrawoniebieską chmurą.

- Marcus miał prawo mieć dość, ale wołałabym, żeby tego nie powiedział. Było dobrze... tak jak było.

Pszczoly uganiały się wśród niebieskich płatków; pochyliłam się i urwałam małą gałązkę. Miała zapach ostry i jakby znajomy. Wsunęłam ją do kieszeni.

- Może dobrze dla ciebie, Giselo. Ale Marcus najwidoczniej był odmiennego zdania.

- O to mi właśnie chodziło z tym niemyśleniem, Minty. Ono osłabia naszą pozycję.

Wtedy do mnie dotarło, że Gisela i Roger stanowią idealną parę. Marcus jeszcze o tym nie wiedział, ale ze swoimi beznadziejnie romantycznymi wyobrażeniami już od dawna był przegrany.

- Marcus miał pod górkę.

Jakiś niewidzialny sznurek szarpnięciem zatrzymał Giselę w miejscu. Odwróciła się do mnie.

- Marcus nie potrafi zrozumieć, że zamieszkanie z osobą, którą się kocha, nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem.

Obejrzałam się na szacowną budowlę z szarego kamienia; każde okno wypolerowane, każde źdźbło trawy przystrzyżone. Claire Manor było drogie, ekskluzywne i poza zasięgiem większości.

- Więc o to chodzi - powiedziałam, ogarnawszy w końcu całość sytuacji. - Nie chcesz tego wszystkiego stracić. To zbyt ryzykowne. Biedny Marcus.

Drenaż limfatyczny polegał na masowaniu twarzy i szyi delikatnymi, szybkimi ruchami palców. Nie można powiedzieć, by był nieprzyjemny. Raczej wręcz przeciwnie, do tego stopnia, że poczułam miłą ociężałość.

Palce trzepotały i gładziły... Ptaki odlatujące na południe... Ćmy latające o zmierzchu... Miękkie uderzenia fal o brzeg.

Próbowałam nie myśleć.

Miękkie uderzenia fal... Takich jak w Priac Bay, które Rose tak dobrze opisała tamtego dnia... kiedy Nathan umarł w jej mieszkaniu... i które pokazałam chłopcom.

To małeńka zatoczka, powiedziała. (Miała rację, a chłopcom bardzo się tam podobało). Nadmorska ścieżka biegnie szczytem skalistego brzegu i zawsze można na niej spotkać wędrowców. Zgadza się. Rosną tam kępy zawciągu, trawa morska i - w odpowiedniej porze roku - mnóstwo stokrotek. Owszem, wszystko to było. Morze potrafi się zmieniać, mówiła Rose, ale ona najbardziej lubiła, kiedy pozostawało spokojne i pod jego turkusową taflą dało się zobaczyć ukryte skały i wodorosty. Z chaty strażnika brzegu można było patrzeć na wzniesienie, gdzie przed wiekami zbierali się rabusie, którzy zwabiali statki na skały i rozbite plądrowali. Ścieżka wchodziła w urwisko - tam stada zwierząt czekały na grabieżców, wspinających się na górę z łupami.

Po chwili palce zaczęły się przesuwac po mojej szyi.

- Będzie się pani czuła oszołomiona przez resztę dnia - poinformowała mnie dziewczyna przeprowadzająca zabieg.

- Musi się pani temu poddać.

Kiedy się ubierałam, ból głowy powrócił. Spojrzałam na zegarek. Jedenasta. Dzień przebiegał niemal jak w bajce i drugi taki nieprędko miał nastąpić. Tego przynajmniej mogłam być pewna.

Kiedy wychodziłam z Apartamentu Piękności (same różowe girlandy i wnęki, w których jak na ołtarzach stały rzędy eliksirów), zadzwoniła moja komórka. Oczekałam sześć lub siedem sygnałów, zanim odebrałam.

- Pani Lloyd... - Głos Eve brzmiał chrapliwie i zarazem panicznie. - Ja niedobrze. Ja chora.

Przysiadłam na jednym z krzeseł w korytarzu, ustawionych tu bez wątplenia dla wygody osób osłabionych pogonią za pięknem.

- Na co chora, Eve?

- Nie mogę oddychać...

- Gdzie jesteś?

- W łóżku.

- A chłopcy? Gdzie oni są?

- U pani Paige. - Wydała odgłos, jakby się dusiła, i telefon zamilkł. Duszenie brzmiało poważnie.

- Eve... Eve... słyszysz mnie? - Nieprzyjemna cisza. - Słuchaj, Eve. Natychmiast wracam do domu.

Gisela rozumiała i nie rozumiała.

- Chyba musisz jechać. - Jej ton świadczył, że nie pojmuję, dlaczego ktoś inny nie może się zająć chorą opiekunką.

- Pobyt trwa tylko do jutra.

- Wiem. Bardzo mi przykro.

Stałam w recepcji, ubrana do podróży, ze spakowaną torbą u stóp. Były tam dwie kompozycje kwiatowe w pastelowych kolorach, portret dziewczyny w obcisłym zielonym kostiumie siedzącej na koniu oraz trzy recepcjonistki o nienagannej cerze. Położyłam dłoń na ramieniu Giseli.

- Nie wiem, jak ci dziękować za wspólną myślność, ale muszę już wracać. Jeśli Eve jest naprawdę chora, muszę zorganizować jakieś zastępstwo na jutro.

Gisela odęła się, zniecierpliwiona.

- No cóż, dobrze. - Była zła, bo jej prezent dla mnie został zepsuty, i zła, bo potrzebowała jeszcze rozmowy ze mną.

- Daj mi znać, co z Marcusem. Cofnęła się o krok.

- Oczywiście.

Podnosząc torbę, usłyszałam własny głos:

- Będiesz myślała o Rogerze? - Pozostawało dla mnie tajemnicą, dlaczego w ogóle miałabym się przejmować człowiekiem, który wyrzucił Nathana z pracy.

Rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

- Nie martw się o Rogera. Dostanie, co mu się należy.

W drodze powrotnej, spoglądając na krajobraz umykający za oknem pociągu, przypominałam sobie tamtego Nathana, który zostawiwszy Rose, przyszedł do mnie ożywiony zapalem.

- Zrobiłem to, Minty. - Przeciągnął wargami po moim ramieniu, okrywając je dziesiątkami drobnych pocałunków. - Rozstałem się z Rose. Odtąd wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej.

Gapiłam się na Nathana, przestraszona rozbieżnością pomiędzy jego wyobrażeniami a rzeczywistością. Miał siwiejące włosy, bóle w stawie kolanowym i dorosłe dzieci. Mnie podobały się jego lexus, karta kredytowa i ładny dom.

Ale najciekawsze było to, naprawdę najciekawsze było to... że uwierzyłam Nathanowi.

Eve leżała na łóżku zwinięta w kłębek. Okno było zamknięte, w pokoju panował zaduch i zapach choroby. Przy łóżku stały dwie szklanki, na w pół opróżniony kubek herbaty i opakowanie aspiryny.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by dojść do wniosku, że sytuacja wykracza daleko poza fazę aspiryny. W ciągu następnych piętnastu minut zapakowałam Eve do samochodu i zawiozłam do najbliższego szpitala, gdzie był ostry dyżur.

Po trzech koszmarnych godzinach, podczas których byłyśmy świadkami pijackiej bójki, zakucia w kajdanki jakiejś wrzeszczącej dziewczyny i błagań o pomoc mężczyzny zalanego krwią, lekarz stwierdził u rozpalonej, prawie nieprzytomnej Eve zapalenie płuc, sugerując między wierszami, że zawinione przeze mnie. Wyjaśnił, że Eve wymaga parodniowej hospitalizacji dla ustabilizowania jej stanu, a następnie okresu troskliwej opieki w domu. W ostatnim zaleceniu również kryła się aluzja, że powinnam zadośćuczynić za wcześniejsze zaniedbania.

Opuściłam szpital wściekła na lekarza, na Eve, na siebie, na wszystko.

Paige przyprowadziła chłopców. Kiedy otworzyłam drzwi pod numerem 14, bliźniaki, które się mnie nie spodziewały, wydały z siebie jednoczesny pisk i z dużą szybkością wbiły się głowami w mój brzuch.

- Ostrożnie, wy dwaj. - Przytrzymałam ich na odległość wyciągniętego ramienia.

- Śmiesznie pachniesz - stwierdził Lucas, wachając moją rękę, którą tego ranka tak starannie namaszczały pracownicy Claire Manor.

- Nie podoba ci się ten zapach? To róże i tymianek.

- Ob-rzyd-liwy.

Paige zbyła moje wylewne podziękowania i odmówiła wejścia do domu. Nie mogłam się mylić: zapanował między nami nieznanym wcześniej chłód.

- Jak leci? - próbowałam zagadnąć, ale nie była skłonna do rozmowy.

- Zanim poprosisz, od razu mówię, że jutro nie mogę pomóc.

- Och, miałam zamiar poprosić. Paige pokręciła głową.

- Nie da rady. Susan dałam wolne, a ja mam mnóstwo roboty przy dzieciach. Wybacz. - Zmiękła odrobinę. - Może spytasz Kathleen Winsom albo Mary Teight? Albo Norę?

Wyszła przy wtórce powtarzanych przeze mnie podziękowań, a ja natychmiast rzuciłam się do telefonu.

Syn Kathleen Winsom po lekcjach szedł na herbatkę do jakiegoś innego chłopca.

- Żałuję, ale nie mogę pomóc, zwłaszcza że... - Pozostawiła rzeczywistą naturę swego żalu moim wdowim domysłem. Mary Teight akurat zabierała córkę do lekarza. Matka Millie, Tessa, była pełna skruchy.

- Och, Minty, bardzo mi przykro, ale Millie spędza jutrzejszy dzień z ojcem. Może zadzwonisz do agencji?

- Zrobiłabym tak, ale jest niedziela - przypomniałam jej.

- Nie możesz wziąć dnia wolnego?

Na Tessie wyczerpała się moja lista kontaktów. Nie znałam nikogo więcej czy raczej w swoim czasie nie starałam się poznać. Poza Sue Frost, która nie wchodziła w rachubę, bo nie chciałam słuchać porad na temat opieki nad dziećmi. Ten stan rzeczy jeszcze pogłębił moje poczucie osamotnienia.

Podczas gdy bliźniacy jedli duszoną fasolę na grzankach, chodziłam tam i z powrotem po kuchni, mając przed oczami twarde piwne spojrzenie Chrisa Sharpa, spojrzenie, które nie zmiękłoby ani na jotę, gdybym zadzwoniła z wiadomością, że zawały mi się plany co do opieki nad dziećmi. Z punktu widzenia Barry'ego taka ewentualność widniała na liście pod „odpowiedzialnością” i nie była ważniejsza od pracy.

Gisela zadzwoniła, żeby sprawdzić, czy dotarłam do domu, i powiedzieć mi, że straciłam cudowny masaż twarzy.

- Używają błota sprowadzanego z Morza Martwego... Załatwiłaś, co trzeba? Co masz zamiar zrobić?

- Nie wiem - odparłam całkiem szczerze.

Wydała z siebie dwa cmoknięcia.

- To chyba nie jest aż takie trudne? Mówiła do mnie bezdzietna kobieta.

- Giselo, przykro mi, że nie miałyśmy czasu dłużej porozmawiać. Podjęłaś decyzję?

- Nie wiem - odpowiedziała. - Naprawdę nie wiem.

- Strasznie dużo niewiadomych.

Bliźniacy odeszli od stołu i zaczęli się siłować; mój powrót przywrócił im poczucie bezpieczeństwa na tyle, by znów rozrabiać i hałasować. Jednak co jakiś czas jeden lub drugi podbiegał do mnie i dotykał mojego ramienia, kolana lub twarzy.

Staralam się nie wpadać w panikę. Staralam się nie nienawidzić Nathana za to, że mnie zostawił w potrzebie. Staralam się odzyskać jasność umysłu z mojego wcześniejszego życia, która by mi kazała zadzwonić do agencji z samego rana i zatrudnić kogokolwiek, kto byłby osiągalny.

Chłopcy zachowywali się coraz głośniejsze.

- Mamo! - wrzasnął Lucas i w tym samym momencie musiałam się uchylić przed mocnym ciosem w głowę.

- Nie wolno tak robić, Lucas. Mógłbyś zrobić komuś krzywdę.

Nie byłam pewna, czy mogę ich powierzyć jakiejś obcej osobie z agencji.

- Mamo - powtórzył Lucas. - Tata mówi...

Zapadła nieznośna cisza. Opadłam na kolana i przygarnełam do siebie synków. Ich małe jasne główki opierały się na moich ramionach, a drobne ciała wtulały się we mnie mocno.

- Tak, Lucas - powiedziałam cicho. - Co tata mówił?

Obcej osobie z agencji mogła się nie podobać żywiołowość Lucasa. Albo nagle zamilknięcia Felixa. Osoba z agencji mogła się z nimi obchodzić szorstko, karmić ich jajkami, których nienawidzili. Osoba z agencji mogła nie rozumieć, że tęsknią za swoim ojcem.

- Tata mówi... - zaczął Felix, patrząc na mnie spod długich rzęs, przypominających mokre pióra. Zajrzałam w niebieskie oczy, stanowczo zbyt dojrzałe jak na jego wiek. Odwróciłam się do Lucasa.

- Co tata mówi?

Lucas patrzył na mnie jakby zaskoczony, a potem pokręcił głową.

- Nie wiem... - wydukał i rzucił się na Felixa, żeby mu przyłożyć.

Dosięgnięty ciosem Felix wydał przenikliwy pisk.

Pozwoliłam im się bić. Walka przynosiła im ulgę i jakiś rodzaj pocieszenia. Spojrzałam na zegar na ścianie. Jeszcze nigdy jego cyfry nie wydawały mi się takie czarne i wyraźne. Niedziela... niedziela... czas uciekał.

Przełączyłam umysł na najwyższe obroty. Nie miałam żadnego gotowego scenariusza, co budziło moje najczarniejsze przeczucia.

- Przykro mi - powie Barry, kiedy zadzwonię i powiem, że nie będę na zebraniu w poniedziałek. - Nie jestem pewien, czy ten układ się sprawdza. - Wyobraziłam sobie, jak rozkłada ręce w geście ubolewania i bransoletka zsuwa mu się z nadgarstka. - Potrzebujemy kogoś, na kim można polegać, Minty. A ty akurat nie jesteś taką osobą.

Cechą cywilizowanego człowieka (zauważyłam, że zazwyczaj chodzi o mężczyzn, bo nikt nie zawraca sobie głowy włączaniem do tej kategorii cywilizowanych kobiet) jest umiejętność godzenia ze sobą sprzecznych faktów. Nathan nie żył. Jego dzieci żyły.

Pomysł zaczął nabierać kształtów. „Słuchaj - nalegał, kiedy próbowałam go odrzucić. Rozpostarłam dłoń i patrzyłam na palce. - Zastanów się nad tym”.

Poziom decybeli osiągnął niebezpieczną granicę, więc zabrałam się do rozdzielania chłopców. Felix przetoczył się po podłodze i ugryzł mnie w rękę tak mocno, że aż ją wyszarpnęłam.

- Nie rób tego. - Zesztywniał i przetoczył się w przeciwną stronę. Uklękałam obok niego. - Posłuchaj, Felix. Nigdy, ale to nigdy nie gryź ludzi. Słuchasz mamusi? Próbuję cię nauczyć czegoś bardzo ważnego.

Istnieje wiele sposobów walki o przetrwanie. „A teraz omówimy nieco bardziej szczegółowo walkę o przetrwanie” - pisał Karol Darwin w swoim dziele „O pochodzeniu gatunków”.

Pewnego razu, gdy byliśmy już od jakiegoś czasu małżeństwem, podczas szaleńczego stosunku Nathan nagle znieruchomiał. „Jeszcze nigdy nikogo nie pragnąłem tak, jak pragnę ciebie, Minty”, wyznał z niesamowitą pasją. Nie powiedział: „Jeszcze nigdy nikogo tak nie kochałem”, jak zdarzyło mu się kiedyś wcześniej. Zauważyłam to ominięcie, ale uznałam, że pragnienie wystarczy.

Wystarczało i nie wystarczało. Okazało się na tyle silne, że przeprowadziło nas przez pewne trudne okresy. Brak wzajemnej miłości to była inna sprawa i starałam się o tym nie myśleć.

Jeszcze raz sięgnęłam po telefon; z płaczącym Felixem uczezionym mojej nogi wykręciłam niewinny zestaw cyfr. Odebrano prawie natychmiast.

- Czy to Rose?

- Minty.

- Wiem, że cię niepokoję... - Cisza po drugiej stronie potwierdziła moje podejrzenia. - Chcę cię prosić... Muszę cię prosić o przysługę. - Rose milczała, nie miała zamiaru nic mi ułatwić. - Proszę cię... - To „proszę” bolało, czułam, jak zaczynają mnie palić policzki.

- Nie jestem pewna, Minty. O co chodzi.

- Nie masz powodu tego robić, oczywiście. Tylko że chodzi o chłopców. Jest pewien problem.

- Dlaczego ja?

- Ponieważ Nathan uważał, że powinnaś być zaangażowana. Robię to, co on... zasugerował.

- Chłopcy - przerwała mi. - Wszystko u nich w porządku? Są chorzy?

Mówienie o sytuacji, w jakiej się znalazłam, przypominało nakłuwanie wezbranego czyraka, więc w końcu zaczęłam histerycznie szlochać do słuchawki.

- Potrzebuję kogoś, żeby się nimi jutro zaopiekował. Nie mogę nie pójść do pracy, a Eve jest chora, leży w szpitalu. Pojutrze mogę sobie załatwić jakieś zastępstwo.

Rose została dostarczona przez Sama pod drzwi numeru 14 dokładnie o ósmej.

- Sam nocował u mnie i mnie podwiózł. Sam cofnął się od progu.

- Cześć, Minty. Nie mogę zostać.

- Gratuluję posady. - Wystarczyło mi przytomności umysłu, żeby to powiedzieć.

Sam zmarszczył czoło.

- W tym pucharze miodu jest trochę dziegciu. Przyjechałem omówić ostatnie szczegóły.

- Jilly zdecydowała się pojechać z tobą?

- Pracuję nad tym - odpowiedział sucho. Pomyślałam o prośbie Poppy.

- Mogę w czymś pomóc?

- Nie. Sami coś wymyślimy. - Uśmiechnął się, żeby uśmierzyć ból po ukłuciu żądła. - Ale miło, że proponujesz.

Szyki zostały zwarte, a ja pojęłam aluzję. Nie miałam dalszego ruchu, co oznaczało minus za porażkę i plus za podjęcie próby. Sam się pożegnał, a ja wprowadziłam Rose do domu.

Weszła za mną do kuchni i położyła torebkę na stole. Miała na sobie dzinsy, obcisłą koszulkę i rozpinany sweter, w którym jej ramiona wydawały się węższe niż były w rzeczywistości.

- Właściwie nie wiem, co powiedzieć, Minty. Właściwie nie wiem, czemu tu jestem. - Stała odwrócona do mnie plecami. - Ale chyba robię to dla Nathana.

Chłopcy zostali wezwani ze swojej sypialni, którą akurat zamieniali w ruinę. Lucas ubrany był w zielone spodnie, a Felix w czerwone skarpetki.

- Chłopcy, pamiętacie ciocię Rose.

- Po prostu Rose. - Wyciągnęła rękę. - Cześć Lucas? Świetnie, tym razem dobrze odgadłam. Cześć, Felix.

Powiew wiatru poruszył klapkę w drzwiach. Pac. Jak zawsze, ten dźwięk wydał mi się jakiś niesamowity. Rose zeszytniała, cień przebiegł jej po twarzy.

- To wejście dla kota - odezwał się Felix.

- Macie kota? - spytała Rose.

- Mamusia się nie zgadza.

Bliźniacy trzymali dystans, ale obserwowali Rose. W ich oczach można było wyczytać znużenie, lekką niechęć i zmęczenie.

- To mamusia Poppy - wyjaśniłam im jeszcze raz. - Przyjechała, żeby się wami dzisiaj opiekować. Pamiętajcie, że znała tatusia.

Felix zwiesił ramiona.

- A dlaczego ty się nami nie możesz opiekować, mamusiu?

- Bo muszę iść do pracy. Gdybym nie poszła, moi szefowie nie byłiby zadowoleni.

- On mówi zupełnie jak Sam - powiedziała Rose.

Stuk kociej klapki się powtórzył. Przypomniłam mi o nużącej codzienności, o nieuchronności każdego dnia z jego drobnymi rytuałami. Rose chwaliła się, że odkryła, jak cudowny i różnorodny jest świat. Ja widziałam go inaczej. Pac, pac. Stukot niepotrzebnej kociej klapki był jak kotwica trzymająca mnie na ruchomym, dudniącym nieprzyjaznym echem gruncie utraty, klęski i żalu, przez który się przedzierałam.

Rose zajęła się grzebaniem w torebce.

- Domyślałam się, że byłam ostatnią deską ratunku?

- Jeśli mam być szczerą, to owszem.

Odpowiedziała na moje wyznanie uśmiechem; atmosfera stała się nieco lżejsza.

- Wyobrażam sobie, z jaką niechęcią wykręcałaś mój numer.

- A ty, gdybyś miała być szczerą, z niechęcią tu przychodziłaś.

- Cóż, to mamy jasną sytuację. - Wyjęła z torebki paczkę kolorowych flamastrów i dwa bloki rysunkowe.

- Felix i Lucas. Sprawdzimy, kto narysuje najlepszego kota? A potem zaprowadzę was do szkoły.

Felix próbował sobie wszystko poukładać w głowie.

- Jesteś mamusią Poppy? Tak jak mamusia jest naszą mamusią?

Rose potwierdziła skinieniem.

- Dokładnie tak.

Lucas sięgnął po blok i zielony flamaster. Felix wciąż trzymał się z daleka.

- To są moje czerwone skarpetki - poinformował Rose, wysuwając do przodu nogę. - Tatusiowi się podobały.

Rose opuściła wzrok na skarpetkę i tkwiącą w niej małą stópkę. Oczy zaszyły jej łzami. Odwróciłam się.

Wychodząc z domu, zajrzałam do kuchni. Rose, z jedną nogą uniesioną nad podłogę, opierała się o stół, przy którym siedzieli Lucas i Felix, pochłonięci rysowaniem.

- Wiedzieliście, że wasz tatuś uwielbiał pływać? - odezwała się Rose. - Raz wypłynął tak daleko w morze, że musieliśmy wziąć łódź, żeby go ratować.

Można powiedzieć, że zagłębiałam się do jądra ciemności, niezależnie od tego, jak jasno było oświetlone.

- Do widzenia, chłopcy. - Zrzuciłam torbę na ramię. - Bądźcie grzeczni.

- Pa, mamusiu - odpowiedzieli, ledwie unosząc głowy.

Punkt szósta wśliznęłam się bezszelestnie do domu. Rose z chłopcami przy obu bokach siedziała na sofie w salonie. Obejmowała ich ramionami.

- Wtedy wasz tatuś chwycił linę sieci i pociągnął. Ciągnął i ciągnął...

Wszyscy troje byli tak przejęci, że nie usłyszeli mojego nadejścia. Rose wyciągnęła dłoń i jakby mimochodem pogłaskała Felixa po włosach. Przytulił się do niej mocniej.

- Wiecie, co było na końcu tej liny?

- Największa ryba. - Lucas uniósł obie ręce.

- Taka duża?

- Nie.

- Nieżywy człowiek? - Felix wytrzeszczył oczy z przestachu.

- Nie.

- Wieloryb?

- Powiem wam. Walizka podpisana „R. Person”. W środku było mnóstwo puszek z zielonym groszkiem.

Zaszurałam nogami po dywanie. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, Rose przygarnęła do siebie bliźniaków jeszcze bardziej zaborczo.

- Zobaczcie, kto tu jest...

- Tak - podchwyciłam. - Wróciła wasza mamusia.

Rose stała w holu z torebką zarzuconą na ramię.

- Do widzenia, chłopcy. Wkrótce znów się zobaczymy. - Oddała mi klucz. - Nie sprawiali żadnych kłopotów.

Czy Nathan planował wrócić do Rose? Czy zjawił się w jej mieszkaniu, mówiąc: „Chcę się z tobą przespać”? To zatrute pytanie tłukło mi się po głowie.

- Czego Nathan chciał, kiedy do ciebie przyszedł?

Rose zmrużyła oczy.

- Co ty insynuujesz, Minty?

W moich stosunkach z Rose jedno nie budziło wątpliwości. To ja byłam tą złą, czarnym charakterem, natomiast Rose tą, której wyrządzono zło, co dawało mi prawo - jeśli uznać argumenty deterministów - do dalszych niegodziwości.

- Nathan cię kochał - stwierdziłam. - Zawsze cię kochał.

Rose wybuchnęła śmiechem.

- O mój Boże, role się odwróciły. - Lekko się zakrztusiła.

- Nie widzisz, jakie to śmieszne? - Wyciągnęła rękę gestem, który miał w sobie coś z uwodzenia. - Nie widzisz?

Nie potrafiłam się zmusić do chwycenia jej dłoni.

- Będę nad tym pracować.

Rose spoważniała, na jej twarzy znów powrócił smutek i żal.

- Myślę, że Nathan rzeczywiście mnie kochał, mimo wszystko.

- A ty - naciskałam. - A ty go kochałaś? Rose skierowała się do drzwi.

- Wyświadczyłam ci dziś przysługę, Minty. I niech tak zostanie. - Położyła dłoń na klamce. -

A tak dla ścisłości, Nathan nigdy by nie zostawił bliźniaków, choć raz już zrobił coś takiego. I nigdy by nie żałował, że ich ma. Nigdy.

- Nie o to pytałam.

- Ale tak brzmi moja odpowiedź - powiedziała cicho. Pociągnęła za klamkę.

- Daj, ja spróbuję. - Napałam na drzwi. - Zamek się zacina.

- Och, wiem o tym - potwierdziła Rose. - Zawsze się zacinał.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, jak zadzwoniła Poppy.

- Minty, nie podoba mi się pomysł wykorzystywania mojej matki jako zastępczej niańki.

Okoliczności sprawiały, że akurat mnie też się nie podobał.

- Rose tak to ujęła?

- Niezupełnie, ale powiedziała, że zadzwoniłaś dosłownie w ostatniej chwili i błagałaś ją, żeby przyjechała. - Na koniec dodała: - Nie zgadzam się.

Zmęczona próbowałam się tłumaczyć:

- Musiałam znaleźć kogoś do opieki nad chłopcami.

- Ty jesteś ich matką. Nie rozumiesz, jak ją to zdenerwowało?

Staralam się pamiętać, że Poppy nie ma dzieci. I dlatego nie ma o niczym bladego pojęcia. Nie leżała naga i podłączona do aparatury, rodząc na oczach grupy ludzi, zachowujących się jak uczestnicy małego koktajl party. Nocami nie męczyły jej typowe dla rodziców urojenia, niepozwalające zasnąć. „Lucas wybiegł na ulicę, którą akurat przejeżdżała z wielką prędkością ciężarówka”. Nie rozumiała, że przystosowanie się jest niezbędne do przetrwania. Co więcej, Poppy nie miała pojęcia, jakie pomysły mogą się lęgnąć w parze małych jasnowłosych główek i jak sprytnie potrafią ominąć każdy zakaz.

- Twoja matka mogła odmówić.

W słuchawce rozległo się niecierpliwe sapnięcie.

- Czyżbyś dotąd nie wiedziała, że mama jest osobą, która na wszystko się godzi?

- Chyba się z tobą nie zgadzam, Poppy.

- Ubzdurała sobie, że tata chciałby, by się nimi zaopiekowała. Mówiłam jej, żeby się na to nie godziła. Richard uważa, że powinnaś sama się zająć swoimi sprawami.

Mimo najlepszych intencji poczułam się urażona ostatnią uwagą. Z naszych nielicznych rozmów wyniosłam wrażenie, że raczej rozumiemy się nawzajem z Richardem.

- Twój mąż naprawdę tak powiedział?

- Hm. Oboje tak uważamy.

Mogłam się założyć, że Richard nic takiego nie powiedział.

- Poppy. Staram się jak mogę. Ale w tej chwili jestem w trudnym położeniu, a chłopcy są ważniejsi niż wszystko inne.

- I?

- Bałam się, że mnie zwolnią, jeśli nie stawię się do pracy. - Wystarczyło wymówienie tych słów, by pot zrosił mi górną wargę.

- Nie możesz się jakoś dogadać? Są na to przepisy. Ja bym tego nie zniosła.

- Myślę, że byś zniosła, Poppy, gdybyś musiała. - Kolana zaczęły mi drżeć. - Co innego teoria, co innego praktyka.

- Och, na litość boską...

Rozejrzałam się po kuchni. Bez Eve sprawiała wrażenie opuszczonej. Na parapecie leżała warstwa kurzu, koło kosza na śmieci widniały plamy z kawy, a przy zlewie czekało na umycie kilka talerzy.

- A tak przy okazji, dwie rzeczy, Poppy. Nie sądzę, by moja interwencja w sytuację pomiędzy Samem i Jilly przyniosła jakiś skutek. Sam uprzejmie dał mi do zrozumienia, że nie chce, bym się wtrącała.

- Jestem pewna, że się nie starałaś.

- Właśnie że się starałam, ale było jasne, że nic nie wskóram. Obawiam się, że piłka jest po waszej stronie. Będziesz musiała sama spróbować.

- Mówisz tak samo jak Sam. Zawsze mądrzejszy starszy brat. A ta druga sprawa?

- Rozmawiałam z naszym adwokatem. Obawiam się, że pieniądze nie będą dostępne tak szybko. Nie potrafi powiedzieć, kiedy dokładnie.

- O mój Boże - Poppy westchnęła. Wyczułam w jej głosie nutę desperacji. - Jesteś pewna?

Nie miałam czasu ani, prawdę mówiąc, ochoty przejmować się kłopotami Poppy. Ubrała się na czarno na mój ślub, obraziła swojego ojca - a pośrednio i mnie - nazywając go starym capem, a do tego umyślnie psuła rodzinne święta. Nie łączyła nas więź, która sprawia, że jeśli jedna strona jest w potrzebie, druga mówi: „Trzymaj się, zaraz będę u ciebie”.

Nabrałam powietrza głęboko w płuca.

- Poppy. Coś jest nie tak. Podejrzewam, że wpakowałaś się w jakieś kłopoty przez tego pokera. Zgadza się?

Usłyszałam stłumione chlipnięcie.

- Tobie nie mogę powiedzieć.

- Właśnie że możesz.

Musiałam jeszcze trochę ponalegać, ale w końcu Poppy się przyznała.

- Poker stał się moim nałogiem. Nie wiem jak... to niewiarygodne, jak szybko mnie wciągnęło. Nie mogę spać w nocy, bo wciąż zadaję sobie pytanie, jak do tego doszło. Pożyczałam pieniądze, bo nie wygrywałam. I teraz nie jestem w stanie ich oddać. Nie mogłam spłacić karty kredytowej, więc pożyczyłam od jednej z tych firm, które obiecują Bóg wie co, ale zapominają uprze-

dzić, że na niebotyczny procent. Ten interes ze świecami nie przynosi kokosów... Cóż, to tylko świece. Muszę mówić więcej? Nie mogę się przyznać Richardowi, bo byłby przerażony, nie mogę powiedzieć mamie... Komornik mnie dopadnie i dostanę się na czarną listę bankową, jeśli szybko czegoś nie zrobię...

W tym momencie jej przerwałam.

- Poppy, słuchaj. Przestałaś grać? To pierwszy krok.

- Oczywiście, że przestałam.

Wiadomo, że Poppy to beznadziejna kłamczucha.

- Nie wierzę ci, Poppy.

Sytuacja była delikatna, a ja postępowałam niezręcznie. Poppy się wściekła.

- To nie twój interes. Poradzę sobie. Gdybyś tylko mogła załatwić coś w sprawie pieniędzy ze spadku, problem byłby rozwiązany.

Lata korzystania z poradników nagle przyszły mi z pomocą.

- Może byś z kimś porozmawiała? - Ściszyłam lekko głos. - Nie wiem tylko z kim.

Znów rozległo się chlipanie.

- Brak mi taty. Czuję się, jakbym miała dziurę w głowie. Czemu musiał umrzeć? - Nastąpiła cisza, a potem słaby, bezcielesny głos po drugiej stronie wyszeptał: - Sama wolałabym nie żyć.

Spojrzałam na zegar. Miałam do dyspozycji dokładnie godzinę, ale mogłam ją wykorzystać lepiej niż prasując żakiet, która to czynność figurowała jako następna na mojej liście.

- Trzymaj się, Poppy. - Czułam lekki dreszcz lęku, wiedząc, że wkraczam na nowe, nieznane terytorium. - Mogę do ciebie przyjechać.

- Nie. Nie przyjeżdżaj.

Eve leżała w łóżku najbardziej oddalonym od wejścia na oddział, co jak sobie wyobrażałam, zapewniało jej namiastkę spokoju. Na oddziale panował bowiem niesłychany ruch, aż się tam roiło od wózków, odwiedzających i lekarzy w białych fartuchach.

Leżała wsparta wysoko na poduszkach, tak blada, że prawie nie odbijała kolorem od białej pościeli.

- Dzień dobry, pani Lloyd.

- Eve, lepiej się czujesz? - Postawiłam koszyk z owocami na stoliku i przysunęłam sobie krzesło. Sprawiała wrażenie zbyt wyczerpanej, by móc rozmawiać, więc tylko odruchowo wzięłam ją za rękę i pogłaskałam po palcach. Gest chyba jej się spodobał, bo uśmiechnęła się słabo i zamknęła oczy. Posiedziałam przy niej chwilę, a potem poszłam się czegoś dowiedzieć.

Siostrę oddziałową znalazłam przy stanowisku pielęgniarek. Była schludna, zatroskana i tak mała, że ledwie wystawała zza sterty leżących przed nią papierów.

- Kto? - spytała. Potrzebowała paru minut, by znaleźć w notatkach nazwisko Eve, zanim mnie poinformowała, że Eve może już nazajutrz opuścić szpital, ale wymaga troskliwej opieki i nie dojdzie do pełnej formy wcześniej niż za sześć tygodni. Jednym tchem przedstawiła mi konieczność przyrządzania lekkich posiłków, robienia chorej kąpieli w łóżku i podawania leków. Słuchając tego wszystkiego, czułam, jak zimny pot spływa mi ciurkiem po plecach.

Zagadnęłam dziewczynę - jasnowłosą, uśmiechniętą Australijkę - którą przysłano jako zastępczynię Eve na tydzień, o możliwość opieki nad Eve. Niestety, tylko pokręciła głową, mówiąc uprzejmie:

- Pani Lloyd, obawiam się, że przepisy obowiązujące w agencji pozwalają mi się zajmować wyłącznie dziećmi.

Telefoniczna odyseja rozpoczęła się od nowa.

- Gdybyś mogła zaglądnąć chociaż raz - błagałam kolejno Tessę, Kate i Paige. - Żeby sprawdzić, co z Eve, upewnić się, że wzięła leki i coś zjadła.

Tessa powiedziała:

- Słuchaj, jeśli ona jest naprawdę chora, to lepiej zamów pielęgniarkę z agencji.

- Mam już niańkę z agencji i kosztuje mnie to majątek. Kate okazała więcej współczucia, ale jeszcze mniej pomocy.

- Lepiej zostań w domu, Minty. Jak byś się czuła, gdyby Eve się coś stało?

Paige oświadczyła:

- Nie rozmawiam z tobą, Minty. Nie dość, że mnie pouczasz, to jeszcze odkryłam, że trzymasz stronę Martina.

- Kiedy to odkryłaś? I w jaki sposób?

- Wypsnęło mu się, że poszłaś z nim na kawę.

- To było wieki temu. Zresztą co miałam zrobić? Udawać, że go nie widzę? - Po chwili ciszy dodałam z rozpaczą: - Potrzebuję kogoś, kto by zajrzał do Eve, a ta dziewczyna z agencji nie może albo nie chce.

- No dobrze. - Paige była daleka od entuzjazmu. - Poślę tam Susan. Może podać Eve posiłek.

Tylko tyle zdołałam osiągnąć. Było źle, ale nie beznadziejnie, więc z odrobiną lżejszym sercem zabrałam się do przygotowania listy dla Susan.

Z początku Eve była bardzo słaba. Potem trochę jej się polepszyło i wzmocniła się, ale bynajmniej nie od razu. W niektóre dni mogła wstawać na około godzinę, w inne najlżejszy wysiłek przekraczał jej możliwości. Starając się nie myśleć o topniejących zapasach gotówki, wynajęłam niańkę z agencji na kolejne dwa tygodnie.

Paige uważała, że powinnam zwolnić Eve.

- Musisz jakoś przeżyć - mówiła. - Nie możesz sobie pozwolić na słabe ogniwo. Albo ty, albo ona.

W mojej głowie nagle zaświtały wyższe idee, oparte na wiekach myśli społecznej i etycznej, nakazujące współczucie i ochronę słabszych.

- A tak z ciekawości, czy Martina też postrzegasz jako słabe ogniwo?

Paige zachowywała się, jakby miała do czynienia z bardzo małym i bardzo krnąbrnym dzieckiem.

- Ja nie mam czasu na dodatkowe obciążenia. A ty nie masz czasu na bezużyteczną opiekunkę do dziecka.

Eve była chora, ale nie głupia. Czuła, co się święci.

- Proszę nie zwalniać mi pracy - prosiła, autentycznie przerażona, że wyrzucę ją na ulicę. Przez jakieś dziesięć sekund pomyśl zakupu biletu do Rumunii, w jedną stronę, zajmował pierwsze miejsce na mojej liście. Przyłożyłam dłonie do jej wymizerowanej twarzy.

- Nie bądź niemądra, Eve. Potrzebuję cię dla chłopców, więc skup się, proszę, na dochodzeniu do zdrowia.

Wspinając się wieczorami po schodach do pokoju Eve, z jedną z niezliczonych tac z jedzeniem, zastanawiałam się, co Nathan by o mnie pomyślał.

W Paradoksie zaczęłam wieszać żakiet (zmieniany co dwa dni) na oparciu krzesła i zostawiać go tam. Miało to przekonać osobę, która by zajrzała do mojego gabinetu wcześniej rano lub późno wieczorem, że jestem już/jeszcze w pracy. Wydrukowałam grubą czcionką listę tak zwanych spotkań przy lunchu i przypięłam ją obok ekranu swojego komputera. W rzeczywistości boleśnie nadwerężałam tygodniowy budżet na taksówki, żeby pędzić na Lakey Street nakarmić Eve. Ten rozkład zajęć był zabójczy, ale za to odkryłam nową, zaskakującą cechę swojej psychiki. Chętnie zapominałam o własnych potrzebach, służąc innym.

Barry i Chris wytworzyli między sobą rodzaj niezdrowej symbiozy.

- Chris myśli tak jak ja i chodzi moimi drogami - oznajmił Barry podczas któregoś z zebrań poświęconych omawianiu pomysłów.

Deb zbladła, wpatrzona w automat do kawy.

- Szukam nowej pracy - powiedziała mi wcześniej, bez entuzjazmu.

Chris nie patrzył na Deb. Zgarnąwszy swoje papiery, pomachał nam samymi palcami.

- Do zobaczenia później, kochani.

Barry szybko podążył za nim, zostawiając mnie i Deb przy stole konferencyjnym. Deb uniosła brew nad przygaszonym okiem.

- Czuję, że się pogubiłam, Minty. I nie bardzo wiem, w którym miejscu.

W weekend zabrałam chłopców na herbatkę do Giseli. Od czasu jak ostatni raz u niej byłam, Gisela zmieniła wystrój salonu. Jasne złoto, krem, weneckie lustro i poduszki obite ręcznie tkanym materiałem.

- Felix, nie - rzuciła ostro, kiedy Felix uniósł jedną z poduszek. - Jest bardzo stara i cenna. - Zaraz potem przeniosła uwagę na Lucasa, który odkrył, że jeśli odsunie kawałek perskiego dywanu, odsłoni się interesująco śliski parkiet.

Przywołałam bliźniaków do siebie, ale byli skrepowani, niespokojni i wcale nie mieli ochoty mnie słuchać. Zachowywali się tak od kilku dni, a ja starałam się walczyć o odzyskanie u nich posłuchu. Lucas, stojący blisko Giseli, kichnął głośno; rzuciłam się, żeby mu podać chusteczkę, którą po użyciu z uśmiechem wręczył Giseli.

Gisela aż się wzdrygnęła.

- Może zadzwonię po Angelę, żeby im podała herbatę w kuchni?

Roger pokazał się na krótko przed wyjściem na spotkanie do klubu golfowego. Żwawo wkroczył do pokoju i ucałował mnie w policzek.

- Miło cię widzieć - mruknął, zerkając przy tym jednym okiem na żonę. - Mam nadzieję, że panujesz nad wszystkim. - Wyglądał jak okaz zdrowia i zamożności, ale nie sprawiał wrażenia szczególnie zadowolonego.

Kusiło mnie, żeby dopieć Rogerowi, przytaczając całą listę spraw, które wcale nie szły dobrze, ale postanowiłam mu tego oszczędzić. Niejednokrotnie w ciągu ostatnich tygodni, przypominając sobie, co spotkało Nathana, upewniałam się, że Roger, mimo swojej władzy i sukcesu, mógł zostać zwolniony tak, jak sam zwalniał innych. Prędzej czy później jego kariera także musiała się skończyć.

Kiedy już nas opuścił, a Angela wniosła herbatę i tort czekoladowy, ustawiając wszystko na stoliku ze szklanym blatem, Gisela zapytała o Paradox i moją pracę. Odstawiłam filiżankę na spodeczek.

- Mam prawdziwe urwanie głowy - przyznałam. - Będę musiała nieźle się nagimnastykować, żeby wszystkiemu podołać.

Gisela odkroiła maleńki kawałek tortu i ułożyła go na swoim talerzu.

- Wyobrażam sobie, jak musi ci być trudno, Minty. Podziwiam cię, że tak sobie ze wszystkim radzisz.

Miło, że tak powiedziała, ale nie byłam całkiem przekonana co do jej szczerości.

- Miałaś jakieś wiadomości od Marcusa?

Na dźwięk jego imienia poderwała się na nogi.

- Nie, właściwie żadnych.

Czekałam na dalsze informacje, ale Gisela popadła w bolesne zamyślenie. Scena na poduszce pod moim prawym łokciem przedstawiała myśliwych w lesie i rannego białego rogacza. Obraz lasu miał w sobie coś z sennego marzenia: w poszyciu widać było małe zwierzęta i kwiatki.

- Jesteś zła, Giselo?

- Jestem i nie jestem. - Stała przy oknie tarasowym, bawiąc się sznurkiem od zasłon. - Dobrze, powiem to. W końcu poczułam, że nie mam wyboru. Jestem zamężna z Rogerem i nie mogę złamać małżeńskiej przysięgi tak łatwo, jak się Marcusowi wydaje.

To rzucało nowe, ciekawe światło na sytuację.

- Giselo, od kiedy to przejmujesz się małżeńską przysięgą? Odrzuciła głowę do tyłu.

- Źle mnie oceniasz, Minty. Zawsze przestrzegałam zasad kontraktu. Robiłam dokładnie to, czego po mnie oczekiwano i do czego się zobowiązywałam. Małżeństwo jest czystym interesem. Zresztą cóż to za alternatywa? Jak się ma oferta Marcusa do tego, co mam, będąc z Rogerem?

- Aha.

- Czy to znaczy, że jestem martwa?

Pozwoliłam sobie na śmiały domysł.

- Marcus ci tak powiedział?

Gisela uśmiechnęła się niewesoło.

- Mniej więcej, między wierszami. Ale stało się. - Wróciła na miejsce przy stoliku. Obserwowałam, jak z powrotem wciela się w rolę gospodyni, wygładza spódnicę, bierze do ręki dzbanek z herbatą. - Dolać ci?

Nachyliłam się ku niej i chwyciłam ją za rękę.

- Jesteś pewna? Odstawiła dzbanek.

- Wiesz, co mówią o nałogowcach? Jeśli zabrać im nałóg i całe to zamieszanie z nim związane, nie pozostaje im nic, czym mogliby wypełnić dzień.

- Działalność charytatywna?

Dowcip był tak zły, że gorszy mógłby wymyślić tylko Nathan. Gisela skrzywiła się w lodowatym uśmiechu.

- To by znaczyło, że rzeczywiście jestem martwa. - Wskazała na gobelinowe obicie poduszki. - Francuskie. Osiemnasty wiek. Zwróć uwagę na użycie doskonałych roślinnych barwników,

- Zwróciłam. - Cały czas nadstawiałam ucha, nasłuchując, czy przypadkiem bliźniacy nie dają się zanadto we znaki Angeli.

Gisela obwiodła kontur rannego rogacza na poduszce palcem, na którym lśnił pierścionek z brylantem.

- Przyzwyczaiłam się do życia w układzie, w którym wszystko z wierzchu wygląda zwyczajnie, ale takie nie jest, choć tylko ja o tym wiem. Zawsze miałam pewien margines w zapasie, jak zakładkę w ubraniu. Zawsze mogłam sobie powiedzieć: Jestem żoną Nicholasa albo Richmonda, albo Rogera, ale w każdej chwili mogę spakować walizki... - Zaśmiała się sucho. Problem w tym, że odkąd odprawiłam Marcusa, myślę o nim bez przerwy w taki sposób, w jaki nigdy nie myślałam, kiedy stanowił część mojego życia.

- O rany. - Westchnęłam. - Nie jest dobrze, Giselo. To połączenie poczucia winy z syndromem „tam jest lepiej, gdzie mnie nie ma”.

Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Co masz na myśli?

- To uparta, nieznośna choroba, której nie można się pozbyć.

- Skąd wiesz?

- Bo dobrze ją znam - powiedziałam.

W drodze powrotnej do domu Felix nagle wyskoczył z pytaniem:

- Czy jak się nie ma tatusia, to znaczy, że się nie jest rodziną?

- Nie, Felix. Można być rodziną bez tatusia.

- A ty jesteś prawdziwą mamusią. Śledziłam pilnie ruch na drodze.

- Jestem prawdziwą mamusią.

Kiedy wróciliśmy, Eve była w kuchni i wyglądała na znacznie silniejszą, mimo iż ubranie wciąż na niej wisiało.

- Zrobię kolację - zaproponowała. - Zrobię - powtórzyła, uprzedzając moje protesty.

Pomogłam jej kroić ogórki, marchew i podgrzewać fasolę z puszki. Poruszała się z wysiłkiem, bardzo wolno, ale z wyrazem nieustępliwości na twarzy. Potem uparła się, żeby posprzątać ze stołu. Gdy w końcu na mnie spojrzała, w jej zwykle obojętnych oczach dostrzegłam wdzięczność.

- Jest pani miła, pani Lloyd.

Podczas niedobrych nocy stopniowo uwalniałam się od Nathana.

To powinien być logiczny proces - Nathana już nie było, nie potrzebował swoich koszul, skarpetek, garniturów, książek, krawatów, tych wszystkich rzeczy, które łatwo mogłam posortować i spakować. Jednak pozbycie się ich stanowiło odrębny problem, niemający nic wspólnego z logiką. Czasami udawało mi się przejrzeć jakąś szufladę, kiedy indziej przekraczało to moje możliwości. Robiłam to w tajemnicy, ponieważ nie chciałam, by chłopcy widzieli, co się dzieje, i ponieważ... cierpiałam. Dlatego zajmowałam się tym od przypadku do przypadku, ukradkiem, nocą.

Była za kwadrans druga, kiedy wstałam z łóżka i otworzyłam drzwi szafy Nathana. Zawartość pokrywała już cienka warstewka kurzu. Krawaty, niebieskie, czerwone i zielone. Szalik nie dbale ciśnięty na półkę. Wzięłam go do ręki. Zmięłam w dłoni miękki, drogi materiał i nagle poczułam słabe echo Nathanowej wody po goleniu. Aż zabrakło mi tchu, jakby w mojej piersi rozległo się ostre szarpnięcie struny jakiegoś instrumentu. Opadłam z powrotem na łóżko, trzymając szalik w zdrtwiałych, nagle pozbawionych czucia palcach. Nathan umarł.

Po pewnym czasie odłożyłam szalik na bok, wyjęłam z szafy ulubiony szary garnitur Nathana i ułożyłam na łóżku. Pod marynarkę wsunęłam jego ulubioną niebieską koszulę. Zawiązałam pod kołnierzykiem czerwony jedwabny krawat. Para jedwabnych skarpetek i wypolerowane buty dopełniły kompletu.

Na łóżku spoczywała zewnętrzna powłoka Nathana. Mogłam udawać, że on sam tam jest, wyciągnięty na pościeli, z rękami założonymi pod głowę. „Minty, mogłabyś zwrócić uwagę...”. Poduszka odpowiednio spulchniona. Buty zdjęte i rzucone na ziemię.

Torba przygotowana na rzeczy przeznaczone do oddania stała na podłodze. Jeśli zdejmę krawat i włożę go do torby, część Nathana odejdzie. Jeśli wyciągnę koszulę i starannie poskładaną umieszczę w torbie, zniknie kolejna część. Buty... Jeśli i je wrzucę do torby, Nathan już nigdy nie będzie mógł wejść pod numer 14 i biegnąc po schodach, zawołać: „Gdzie są moi chłopcy?”.

Wraz z garniturem odszedł dyrektor naczelny, który tworzył strategię firmy i mówił: „Nasi konkurenci są naprawdę silni, więc ich nie oszczędzajmy”.

- Kiedy wychodziłam za Nathana - zwierzała mi się Rose podczas naszych wspólnych lunchów przed laty - miałam złamane serce po nieudanym związku. Jednak Nathan tak bardzo chciał mnie uszczęśliwić, że jak mogłabym się oprzeć? Był jak skała, podczas gdy Hala mogłam porównać najwyżej do piasku. Czego więcej mogłam pragnąć?

Nie byłam do końca przekonana, czy Rose potrafi odróżnić skały od piasku. Zwierzyła mi się też, że w drodze do domu ma zwyczaj wstępować do kościoła Świętego Benedykta, żeby zapalić świeczkę pod obrazem Matki Boskiej. Czy to nie było budowanie domu na piasku?

Rose dodała:

- Hal nie mógł mi dać tego, czego potrzebowałam. Oboje o tym wiedzieliśmy. A Nathan mógł.

Z dołu dobiegł krzyk jednego z bliźniaków. Zgarnąwszy garnitur do torby, poszłam sprawdzić, który z chłopców krzyczy. Felix. Miał zły sen.

- Mamusiu, tam jest wielki, wielki kot. Miał wielkie pazury i chciał mnie nimi złapać...

Przytulając do siebie rozpalone ciało, powiedziałam szeptem:

- Już dobrze, Felix. Mamusia jest przy tobie. Wygoniłam złego kota. Patrz, już go nie ma.

Nie było dobrze. Jednak uspokajając synka tym kłamstwem, cieszyłam się, że jest jeszcze taki mały. Czerpałam dziwną przyjemność i dumę z faktu, że nim chłopcy urosną i staną się silni, to ja muszę ich chronić przed najgorszym.

Rozdział dwudziesty drugi

Wywróciwszy na lewą stronę kieszeń czarnych lnianych spodni odkryłam gałązkę, ukradzioną w Claire Manor. Od tamtego czasu zwiędła, zostały na niej jedynie mizerne ślady niebieskich kwiatków, które tak mnie zachwyciły. Zaintrygowana zajrzałam do jednej z książek Nathana. Roślina nazywała się nepeta, potocznie zwana kocimiętka, i tak mocno przyciągała koty, że trzeba było chronić przed nimi młode pędy.

Telefon zadzwonił, kiedy czytałam o kocimiętce.

- Wiem, że z tobą nie rozmawiam - zaczęła Paige.

- W porządku - odpowiedziałam. - Nie pytam cię, jak się miewa maleństwo.

- Mały okazał się niezłym krzykaczem. - Głos jej trochę drżał. - W życiu nie byłam taka zmęczona. - Jeśli Paige przyznawała się do czegoś takiego, stan musiał być poważny. - Mam troje dzieci i muszę wychować je na ludzi, sama nie zamieniając się przy tym w potwora. - Mówiła coraz głośniejsze. - Jest tak ciężko, że czasami się zastanawiam...

Niesłychana sprawa - Paige miała wątpliwości.

- Paige, masz w ogóle jakiś kontakt z Martinem?

- Wiesz co, spytaj mnie lepiej o arabeski Lucy.

- Paige. Kontaktowałaś się z Martinem?

- Minty. Nie wtrącaj się. Dobrze?

Podniosłam oczy do sufitu.

- Jak arabeski Lucy?

- To zabawne, ale bardzo dobrze. Ma doskonałą linię, niestety trochę gorzej jest ze stopami.

Będziemy musiały nad nimi popracować.

Zrobiło mi się żal biednej, terroryzowanej Lucy. Odtąd jej stopy nie będą już należeć do niej. Po drugiej stronie Paige westchnęła ciężko. Był to dźwięk brzemienny rozpaczą i niepewnością. Dorzuciłam od siebie:

- Musisz znów pomyśleć o Martinie.

- Myślę o nim, Minty. Bez przerwy. I bardzo go lubię. Bardzo. Ale nie mam czasu na bycie mężatką. Nie przy trójce dzieci. Nie, jeśli mam dobrze wypełniać swoje obowiązki.

- Paige, jadłaś coś dzisiaj?

- Czy jadłam? Niewiele. Jestem na to stanowczo zbyt zajęta. I zanim spytasz... Nie, nie śpię zbyt dużo. Wiem, uważasz, że oszalałam i mam depresję poporodową. Może i tak, ale sama się zastanów. W najlepszym razie Martin jest niechętnym ojcem. Nie podoba mu się to. Nienawidzi domu pełnego dzieci. Dlatego pytam cię, kto tu jest psychiczny?

- Mimo wszystko powinien być z wami. Zapadła złowroga cisza.

- Minty, chyba nie mam ochoty na twoje nauki.

- Gdzie Martin mieszka?

- U swojej matki. Ulokowała go na razie w sypialni na poddaszu.

Zadzwoiłam do Martina i umówiłam się z nim następnego dnia w banku.

- Minty, czy to aż takie pilne? Mam wielki zjazd w Genewie i będę w podróży przez następne dwa tygodnie. Ale jeśli koniecznie chcesz się ze mną spotkać, mogę cię wcisnąć na wpół do trzeciej.

Muszę przyznać, że Martin zjawił się punktualnie, co nie pozwoliło mi dokładnie obejrzeć oszalamiającej szklanej konstrukcji budynku. Wysiadł z windy, pocałował mnie w policzek i poprowadził korytarzem.

- Lepiej, żeby to były dobre wieści.

- Prosiłeś, żebym miała oko na Paige.

- Ach, chodzi o moją żonę. - Mimo lekkiego tonu Martin był zaniepokojony. Wprowadził mnie do stołówki, która bardziej przypominała salę bankietową, pstryknął palcami i natychmiast podano nam świeżo zaparzone espresso, gorące mleko i po kruchym włoskim ciasteczku cantucci. Najwyraźniej mieszkanie z matką nie szkodziło Martinowi fizycznie, bo w przeciwieństwie do swojej żony wyglądał nienagannie, był szczupły i miał czerstwą twarz.

Nigdy nie potrafiłam się oprzeć ciasteczkom cantucci. Umoczywszy swoje w kawie wgryzłam się w nie z przyjemnością spożywania zakazanego owocu.

- Martin, musisz wrócić do domu. Zmarszczył czoło.

- Nie zapominaj, że to ona mnie wyrzuciła.

- Dopiero co urodziła dziecko. Uzgodniliśmy, że na wpół wariujesz, jak rodzi ci się dziecko. Pozostajesz na wpół szalony, jak rozumiem, dopóki nie dorosną. Paige jest na wpół szalona, tak czy inaczej.

Martin wydał z siebie odgłos podobny do prychnięcia.

- Nie chce mnie słuchać, bo jestem grzesznikiem. W każdym razie nie słucha moich rad. -
Wbiłam tęskny wzrok w ciasteczko Martina. Poskutkowało - oddał mi je.

- Dzieci, Martin... będą cierpieć. Mogą tego nie okazywać, ale będą cierpieć. - Mówiąc to, miałam na myśli również swoich chłopców, przez co moje słowa zabrzmiały jeszcze bardziej przekonywająco. Poza tym, kiedy Felix lub Lucas cierpiał, ja także cierpiałam. - Naprawdę ich nienawidzisz?

- Tak ci powiedziała Paige? - Martin zmrużył oczy nienawidzące dzieci. - Wiedziałem, jeszcze zanim przyszły na świat, że będzie trudno, ale nawet ja byłem zaskoczony, że aż do tego stopnia. Ostrzegałem Paige, że wpada w obsesję. Ale... - Wbił we mnie twarde spojrzenie, takie, w których specjalizował się Nathan. - Nigdy bym nie odszedł z własnej woli.

- Paige niedawno urodziła. Jest osłabiona, hormony w niej buzują i nie jest w stanie rozsądnie myśleć.

Ku mojemu przerażeniu oczy Martina zaszyły łzami.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - wymamrotał. - Ale mogłabyś przestać?

Szybko rozejrzałam się po sali. Chyba nikt nie zauważył udreki Martina; gdyby rzuciła się w oczy któremuś z jego sępiookich rywali, mogłoby mu to zaszkodzić. Do stołówki wtoczyła się grupa bankierów w prążkowanych garniturach. Wszyscy byli napuszeni jak koguty i rozmawiali ze sobą niskimi, ożywionymi głosami. Wskazałam na nich palcem.

- Chyba niezbyt zabawnie się tu pracuje.

- Niezbyt. - Zakrył oczy dłonią. - Ostatnio nic nie jest zabawne.

- Możesz wszystko naprawić. Martin wziął się w garść.

- A tak między nami, Minty, dlaczego tak się angażujesz?

Martinowi chodziło o to, dlaczego akurat ja - przecież rozbiłam małżeństwo - tak mocno bronię jedności rodziny? Niby mogłam się obrazić, ale byłam przyzwyczajona do etykiety, którą mi przyklejano.

- Sama mam dwóch małych chłopców - powiedziałam.

Wzruszył ramionami, pokazując mi twarz o tak żalnym wyrazie, że musiałam opuścić wzrok.

- Po prostu wróć, Martin. Powiedz Paige, że nie ma racji i że nie chcesz mieć przetrąconej rodziny. Powiedz jej, że to dla dobra dzieci.

- Nie zgadzam się, żebyś mnie wyciągała z ważnego zebrania, by mi powiedzieć coś absolutnie oczywistego.

- Mimo wszystko.

Ku mojemu zaskoczeniu nagle ujął obie moje dłonie.

- Dobrze zrobiłaś, Minty.

Nie cofnęłam rąk. Doskonale wiedziałam, że cokolwiek powiem lub doradzę, nie będzie miało większego znaczenia, ale powiedziałam i byłam gotowa powtarzać w kółko:

- Zastanów się i powiedz Paige, że to także dla jej dobra. Zrób to.

Zostawiłam go przy najnowocześniejszej windzie świata, która w okamgnieniu miała go wynieść z powrotem na dziewiętnaste piętro, i skierowałam się do wyjścia.

Listonosz wraz z inną korespondencją przyniósł pocztówkę. „Droga Minty. Dobrze się bawiłam z chłopcami i przyszło mi do głowy... - następne słowo napisane było po dłuższym odstępnie - że może mogłabym znów ich zobaczyć? Bardzo bym chciała zabrać ich do zoo albo do kina”. Podpisano: „Rose”.

Kartka nie sprawiała wrażenia poufalej. Pismo było niepewne, a dobór słów sugerował, że Rose pisała ją trochę wbrew rozsądkowi. Jednak to, że ona ją wysłała, a ja otrzymałam, naruszyło jakiś element równowagi między nami.

Minął tydzień, nim odpisałam.

W Paradoksie dopracowywałam ostatnie szczegóły „Wyjścia na puentach”; przez chwilę zastanawiałam się nad programem o historii choreografii, ale po namyśle zrezygnowałam z niego. Deb oznajmiła, że przenosi się do Papillona, a kiedy powiedziałam, jak mi przykro z tego powodu, odparła nonszalanckim tonem, którym nieudolnie próbowała maskować żal:

- Och, nie mam już czasu, żeby się tu marnować.

Wzmianka o czasie przypomniła mi o zaniechanym projekcie na temat wieku średniego; wyciągnęłam go z teczki „Odrzucone” i odkurzyłam.

Z pasją zajęłam się domową administracją. Napisałam listy do banków. Odbyłam kilka długich rozmów z Theo. Wyszukałam doradców od uzależnień. Popłaciłam rachunki. Przetawiłam meble w salonie i sypialni; dom nabrał nowego wyrazu. Gabinet Nathana zmienił się w przytulną, kobiecą przestrzeń.

Na korkowej tablicy umieściłam swoje notatki: szkolny podział godzin, rozkład zajęć, sporządzone przeze mnie listy.

Moje ubrania zajmowały teraz całą szafę, szuflady i wieszak. Kosmetyki - półkę w łazience. Na strychu stało kartonowe pudło, zawierające Nathanową maszynkę do golenia, pędzel z borsuczego włosa, szczotkę do włosów i nowy grzebień, jeszcze nie wyjęty z plastikowego etui. Wszystkie te rzeczy miały tam czekać, dopóki ich nie dam Felixowi i Lucasowi.

Leżałam bezsennie, licząc duchy. Byłam w błędzie. Jednak istnieje jakiś rodzaj sprawiedliwości i człowiek w końcu zawsze dostaje to, na co zasłużył, ponieważ nikomu nie udaje się uciec

przed drugą osobą. Nathan nigdy nie uwolnił się od Rose. Rose nigdy nie uwolniła się od Hala. Rose i ja nigdy nie uwolniłyśmy się od siebie.

Po tym, jak Rose zwolniono ze stanowiska redaktorki książek i ja przejęłam jej obowiązki, roiłam sobie, jakie to mądre zmiany wprowadzę, jak stronicie książek rozkwitną pod moją ręką. Będą się skrzyły nowymi pomysłami. Zyskają nową efektowną formę i bogatszą treść. Jednak gdy przyszła moja kolej i Timon mnie zwolnił, zniweczył wszystkie wysiłki. „Ostatecznie, Minty, nie dokonałaś nic specjalnego. Twoje książki niczym się nie różniły od tych redagowanych wcześniej”.

Rose mówiła mi, że bardzo cierpiała przez Hala, swojego pierwszego ukochanego. Ale też przeżyła z nim chwile takiej słodyczy i uniesień, że na zawsze pozostały jej w pamięci. Ja nie mam takich wspomnień. A Rose miała. Jej wspomnienia przypominały woreczki zapachowe poukładane w szufladach. Zazdrościłam jej tego.

Potrzebowałam dużo czasu, żeby odpisać na kartkę Rose; słowa jakby utknęły w stalówce pióra i nie chciały spłynąć na papier. „Chciałabyś przyjść na Dzień Sportu w szkole chłopców?”.

Propozycja została przyjęta. Rose zobowiązała się przyjechać wcześniej, żeby wraz z Eve oglądać rozpoczęcie zawodów, a ja miałam do nich dołączyć na konkurencje, w których brali udział Felix z Lucasem. Było ich wiele: wyścigi w workach, z jajkiem na łyżce, biegi, skoki wzwyż. Jako dyscyplina dodatkowa figurowała w planie wymyślna tortura pod nazwą „wyścig rodziców”, którą, jak mnie poinformował Lucas, powinnam wygrać.

Dwanaście godzin przed Dniem Sportu: Felix i Lucas wyciągnęli mnie po kolacji do ogrodu. Chcieli poćwiczyć biegi i ściganie się na trzech nogach. Protestowałam, mówiąc, że jeszcze nie stawili jedzenia, ale Felix, ciągnąc mnie za rękaw, powiedział błagalnym tonem:

- Proszę cię.

Stałam więc cierpliwie - odkryłam, że znaczenie tego słowa ma w sobie wiele niuansów - z zegarkiem w dłoni, a chłopcy ganiali tam i z powrotem po trawniku, dopóki Lucas nie zbladł i nie oznajmił, że ma mdłości.

Pięć godzin przed Dniem Sportu: Moje ptaszyny świergotały pod drzwiami sypialni za pięć szósta rano. W końcu Lucas wśliznął się do pokoju, wszedł na łóżko i zaczął się przymilać.

- Mamusiu, musisz do nas przyjść.

- Dlaczego? - Popatrzyłam na niego półprzytomnie. Był w szlafroku.

- Chodź i zobacz - świdrował mi w uszach dziecięcy głosik.

Jakoś wygrzebałam się z pościeli i poszłam do sypialni chłopców. Na łóżku Felixa spoczywał starannie rozłożony strój sportowy: podkoszulek, granatowe szorty, białe tenisówki i białe skarpetki. Kiedy stanęłam w progu, uniósł głowę, pytając:

- Dobrze wszystko przygotowałam, mamusiu?

Na co Lucas zawołał:

- Popatrz na mnie. - Zrzucił szlafrok, pokazując, że jest w pełni gotowy do sportowych występów... tyle że podkoszulek włożył tyłem do przodu. Zrobił kilka wymachów rękami i przyklęknął na jednym kolanie.

- Gotowi do biegu... Start!

- Chodź tu, Lukey. Źle włożyłeś koszulkę.

Felix wczuł się pod łóżko, z triumfalną miną wyciągnął stamtąd mój dres i złożył mi u stóp.

- To na twój wyścig, mamusiu.

- Aha... - mruknęłam, zmagając się z koszulką Lucasa. Felix powrócił do swojego stroju.

- To są moje szorty. To są moje buty...

- Bardzo dobrze, chłopcy - pochwaliłam. - Doskonale. Nie mogło być lepiej. - Usiadłam na łóżku Lucasa. - Wiecie, która jest godzina?

Felix zakończył inwentaryzację i zaczął skakać po całym pokoju, w spodenkach od pizamy opuszczonych do kostek.

- Przyjdiesz, mamusiu, prawda? Przetarłam oczy.

- Oczywiście - zapewniłam.

W Paradoksie przepracowałam solennie cały ranek i o stosownej porze byłam gotowa do wyjścia, zaopatrzona w akta zatytułowane „Analiza statystyczna depresji u kobiet, 40-65”. I w tym momencie Syriol zawołała:

- Masz gościa, Minty.

Na jednym z krzeseł w recepcji siedziała Poppy, blada i wyraźnie chudsza, kartkując tygodniowy program telewizyjny. Na mój widok odłożyła program i poderwała się na nogi.

- Cześć. Przepraszam, że ci to robię, ale masz jakieś wiadomości od Thea?

- Nie. Strasznie długo to trwa, ale nic nie mogę zrobić. Powiernicy nie dadzą się ponaglać.

Poppy wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć.

- O Boże, Minty. - Miała włosy związane niedbale z tyłu głowy, co nie dodawało jej urody.

- Usiądź - zaproponowałam.

- Nie mogę się wyzbyć myśli, że tata by mnie za to znienawidził. Zawsze był taki ostrożny i mnie też uczył ostrożności. To mnie prześladowa. Bez przerwy sobie wyobrażam, że patrzy z góry i myśli, że go zawiodłam. - Nerwowo nawijała na palec rąbek spódnicy. - Świadomość, że go rozczarowałam, jest okropna.

- Musisz porozmawiać z Richardem, Poppy.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Sama muszę się z tym uporać. Popęłniłam błąd, a to, że jestem żoną Richarda, nie znaczy, że musi o mnie wiedzieć wszystko. - Zaczęła międląc w palcach pasek od torebki. - Dług karciany jest moją prywatną sprawą.

- A twoja matka? Ona by zrozumiała.

- Nie znasz mamy - chlipnęła żałośnie. - Pewnych rzeczy nigdy nie wybacza. Potrzebuję tych pieniędzy, które tata mi zostawił, wtedy sobie pójdę, spłacę dług i nie będę cię więcej niepokoić.

- Theo wciąż się handryczy z urzędem skarbowym. Były jakieś problemy, trudne do rozwiązania, z pieniędzmi, które twój ojciec odziedziczył po twojej babce. - Nie mogłam opanować ciekawości. - Poppy, dlaczego to robisz?

Wzruszyła ramionami.

- To było pasjonujące. Wydawało mi się, że pokonam system. Typowa wymówka. - Zagryzła dolną wargę. - Nudna i przewidywalna.

Była tak nienaturalnie ożywiona, że wstałam, przyniosłam kubek wody z kranu i wcisnęłam jej do ręki.

- Wiesz, można sobie z tym poradzić.

Barry wyszedł na korytarz i widząc nas, uniósł pytająco brew. Kiedy do niego pomachałam, natychmiast zniknął. Ukradkiem zerknęłam na zegarek. Czas jakby przyspieszył; Lucas zaraz miał rozpocząć bieg z jajkiem na łyżce.

Poppy przyłapała moje spojrzenie.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę, Minty. Wiem, że jesteś zajęta. - To wyznanie było tak zaskakujące, że klapnęłam na krzesło obok niej. - Nie rozumiem, Minty, dlaczego dałam się tak wciągnąć. Chociaż myślę, że chciałam dać się wciągnąć... Och, cholera... Cholera jasna.

Nie miałam wielkich luzów w finansach, ale wystarczające, by na chwilę coś uszczknąć. Sięgnęłam do torebki po książeczkę czekową.

- Słuchaj, może na razie pożyczę ci trochę pieniędzy. To ci pozwoli na moment odetchnąć, a potem pójdziemy razem do Thea. Jest zobowiązany do dyskrecji. Poppy uniosła głowę.

- Zrobiłabyś to?

Jej zdziwienie było niemal obraźliwe, ale jakoś je rozumiałam.

- Owszem.

- Och, dzięki. - Łzy spłynęły jej po policzkach. - Jestem cholerną nieudacznicą, Minty. Taka właśnie jestem. I co mam na to poradzić?

Wyścig z jajkiem na łyżce. Potem wyścig w workach. Felix brał w nim udział. Wyciągnęłam z torebki notes.

- Prawdę mówiąc, Poppy, rozejrzałam się trochę za odpowiednią terapią.

- Och, terapia...

Popatrzyłam na nią twardo.

- Poważnie, chcesz z tego wyjść czy nie?

Poppy nie odpowiedziała. Chwyciłam ją za przegub, wyciągnęłam z budynku Paradoxu, po czym zatrzymawszy pierwszą taksówkę, kazałam kierowcy zawieźć nas pod adres w South Kensington.

- Zabieram cię do terapeuty, który cieszy się dobrą opinią. Na miejscu umówisz się na wizytę, Poppy, a ja tego dopilnuję.

Nim dotarłam na teren błoń, wyścigi się zakończyły, rozetki zostały przypięte do piersi zwycięzców i piknik trwał w najlepsze. Jak zwykle na takich imprezach było wielu rodziców, większość matek oraz paru postępowych, bezrobotnych lub zastraszonych ojców. W wydzielonej części odgradzonej liną stał stół nakryty białym obrusem, przytrzymywany w miejscu przez różnego rodzaju srebrne puchary. Można je było uznać za obiekty „ułaskawione”, ponieważ stanowiły relikty minionej epoki; od pewnego czasu trwała poważna debata w gronie pedagogicznych autorytetów, czy w ogóle należy pozwalać na tego typu współzawodnictwo.

Dzień był gorący i słoneczny; dzieci w niebieskich szortach i podkoszulkach roily się niczym mrówki. Wypatrzenie w tłumie Rose zajęło mi dwie sekundy. Siedziała na krzasiastym pleddie z Felixem, a między nimi stał otwarty kosz piknikowy. Różowa marszczona spódnica Rose miała barwę kwiatu. Otaczały ich powtarzające się w nieskończoność identyczne obrazki: krzasiaste koce, otwarte turystyczne lodówki, z których wyjmowano chipsy, plastry zimnej pizzy, soki owocowe oraz butelki wina, pozwalające zachować dorosłym równowagę umysłu.

Rose pomachała małą parówką, mówiąc coś przy tym do Felixa, który wykonywał dziwne ruchy. Śmiał się tak bardzo, że w pewnym momencie przewrócił się plecami na koc i zaczął kopać nogami w powietrzu. Zawsze tak się zachowywał, kiedy go rozśmieszyłam. Od dawna nie widziałam, żeby tak się śmiał.

- Cześć. - Usiadłam obok nich.

- Cześć.

Rose emanowała chłodem.

- Lucas jest tam. - Wskazała na wianuszek dzieci otaczający którąś z organizatorek zawodów. - Dobrze się spisał.

Felix zaprezentował jeden ze swoich ciosów głową.

- Hej, uważaj. - Pochyliłam się, żeby go ucałować. Rozgrzany i spocony pachniał żelkami i sokiem pomarańczowym; zapach nie był może szczególnie pociągający, ale dla mnie w tym momencie najpiękniejszy, jaki mogłam sobie wyobrazić.

- Jak ci poszło? - wyszeptałam mu prosto do ucha. W odpowiedzi przytknął usta do mojego ucha; miałam wrażenie, że jego głośny oddech nadweręży mi bębenki.

- Przybiegłem dziesiąty, mamusiu.

Rose patrzyła w stronę, gdzie dwie drużyny zmagaly się, przeciągając linę.

- Chłopcy ciągle o ciebie pytali. Mam nadzieję, że cokolwiek cię zatrzymało, było tego warte - dodała.

- Ja też mam taką nadzieję - zapewniłam żarliwie.

- Naprawdę warte - powtórzyła. - Lucas był... trochę płaczliwy. Zajął pierwsze miejsce w wyścigu z jajkiem na łyżce.

Wiedziałam, co Rose myśli. Goniąc za karierą, byłam gotowa poświęcić dobro i potrzeby synów.

- Och, daj spokój, Rose, dobrze wiesz, co się dzieje w biurze. Sama mi mówiłaś, że kiedy Sam i Poppy mieli śpiewanie kolęd albo zawody sportowe, prawie zawsze wpadałaś w panikę, że znowu się spóźnisz przez Vistemax.

- To prawda. - Rose była uczciwa.

Odszukałam wzrokiem Lucasa pośrodku grupy otaczającej organizatorkę zawodów.

- Co się tam dzieje?

- Dyskusyjne 1,3 sekundy w biegu na dwadzieścia metrów.

- Ton miał mi dać do zrozumienia, że powinnam wiedzieć, co się dzieje. - Miał nadzieję, że pokażesz się na czas, by zobaczyć, jak biegnie. Obaj mieli taką nadzieję. - Po krótkiej pauzie dodała cicho: - Ale ty miałaś swoje sprawy, Minty.

- Czasami mówisz zupełnie jak Nathan - stwierdziłam.

Zachnęła się lekko i na chwilę popadła w zamyślenie.

- Ale Nathan by spytał, co mogło być ważniejszego od wspierania swoich synów podczas zawodów sportowych. - Oslaniając oczy, spojrzała na Lucasa. - Przynajmniej do mnie powiedziałby coś takiego.

- Rose, nie chciałam się spóźnić.

Felix odchylił głowę do tyłu.

- Rozmawiacie o moim tatusiu? - Zamrugął niebieskimi oczyma. - Czy tatuś biegał w wyścigach?

- Jestem pewna, że biegał, Felix. - Nie spodobał mi się jej protekcjonalny ton. Lucas podbiegł do nas, wymachując rękami. Był umorusany i szczęśliwy. Minał mnie nie patrząc, rzucił się na Rose.

- Byłem bardzo szybki. Rose zgięła się w pół.

- Owszem, byłeś. Felix i ja zdarliśmy sobie gardła od krzyku. - Dotknęła palcem rozetki na jego koszulce.

- Lukey... - Czułam, że pąsowieję z zazdrości. - Cześć. Pokaż mi swoją rozetkę.

Rose odgadła moje myśli. Mogła powiedzieć: „Ale ty zabrałaś Nathana”. Zamiast tego uniosła brwi i zwróciła się cicho do Lucasa:

- Przywitałeś się z mamusią?

Przyciągnęłam Lucasa mocno do siebie. Nie wiedziałam, dlaczego postanowiłam ani się nie bronić, ani nie wyjaśniać Rose powodów spóźnienia. Nic mi nie kazało stawać po stronie Poppy, może poza dziwną do zrozumienia lojalnością.

Rose schyliła się, żeby pozbierać z koca plastikowe talerze i kubki. Następnie zgarnęła opakowania po chipsach i upchnęła je w koszyku.

- Jadłaś coś? Została jedna kanapka.

- Nie, dziękuję. - Głos mi drżał.

Rose zachowywała godne podziwu opanowanie. Strząsnęła z palca okruch chipsa.

- Skoro już jesteś, to chyba ja powinnam już pójść. - Podniosła z koca płócienną torebkę i zarzuciła sobie jej pasek na ramię.

Kilka metrów od nas jakiś maluch płakał za matką, grupa dzieci bawiła się w berka, biegając między rozłożonymi kocami, jedna z nauczycielek strofowała zawstydzoną dziewczynkę z potarganymi warkoczami.

- Dawno nie byłam na szkolnym dniu sportu. - Rose wskazała na płaczące dziecko. - Chyba ma matkę? A tak przy okazji... Minty, nie wiem, co ty na to, ale Felix ciągle wspomina o kotku. Pozwolisz, żebym mu przyniosła? Znam pewne źródło.

- Nie - powiedziałam stanowczo. - Żadnych kotków. Żadnych kotów.

Rose wzruszyła ramionami.

- W porządku. Pomyślałam tylko, że to by mogło pomóc Felixowi...

- Może nie powinniśmy tego powtarzać - dodałam. - To zbyt trudne. Przykro mi, że angażowałam cię do opieki nad chłopcami.

- Co za głupota, Minty. - Na szyi Rose wykwitła czerwona plama; w jednej chwili chłodne opanowanie ustąpiło miejsca nieskrywanej złości. - Nie potrafiłabym zrobić im żadnej krzywdy. Interesuje mnie ich los. Lubię ich.

- Mimo wszystko, Rose.

- Nathan miał rację.

- Niby w czym Nathan miał rację? Do jakich doszliście wniosków podczas swoich miłych pogawędek? Rose patrzyła na mnie z jawną niechęcią.

- Nijakich. - Poprawiła na ramieniu pasek torebki i odeszła.

Rozdział dwudziesty trzeci

Pracowałam do późna w nocy nad wskrzeszonym pomysłem programu o wieku średnim. „Jeśli przyjmiemy, że czas jest sztuczną koncepcją - pisałam w swoich notatkach - to istotą jest doświadczenie. Doświadczenie uczy nas pokory i pomaga znosić błędy. Pomaga nam też zrozumieć, że śmierć, która czeka u końca drogi, nadaje pełnię życiu”.

Czy tak było w istocie? Czy w to wierzyłam? Jako teoria brzmiało dobrze i przekonywająco, a ludzie, do których się odnosiło, stanowili sól ziemi: dobrze uformowane, pełne, dojrzałe osobowości. Miło byłoby powiedzieć, że jestem jedną z nich.

Odsunęłam notatki na bok. Pomysł wymagał dalszej pracy, jako że wciąż był w fazie poczwar. Potrzebował czasu, żeby rozwinąć skrzydła.

Przetarłam oczy i przeczesalam palcami włosy, którym należało się strzyżenie, choć nie wiedziałam, kiedy to będzie możliwe.

W czym Nathan miał rację?

Co oboje z Rose stwierdzili na mój temat?

Wróciłam na stare, kręte tory.

Idąc do kuchni, żeby zrobić sobie herbaty, spojrzałam na półpiętro, gdzie stała deska do prasowania i gdzie Rose, kiedy tu mieszkała, miała swoje biurko. Wciąż była obecna w tym domu, podobnie jak Nathan.

Nastawiłam czajnik, otworzyłam tylne drzwi i wyszłam z domu w letnią noc.

Co Nathan i Rose postanowili między sobą?

Usiadłam na ławce i przeciągnęłam paznokciem po blacie ogrodowego stołu. Był pokryty zielonym nalotem mchu, wymagał porządnego szorowania. Pamiętałam, jak Nathan siedział naprzeciw mnie przy tym stole. Byliśmy małżeństwem od trzech lat i jednego dnia. W bardzo ciepły wieczór jedliśmy kolację, makaron z owocami morza (ja jadłam owoce morza bez makaronu) na powietrzu, rozmawiając o tym, gdzie powinniśmy spędzić wakacje.

- Chcę pojechać gdzieś, gdzie jest gorąco - powiedziałam jak zawsze. Mój wybór nie stanowił niespodzianki.

Nathan wbił widelec w makaron i obrócił nim zrecznie przed podniesieniem do ust.

- A ja chcę pojechać do Kornwalii - powiedział jak zawsze.

- Znalazłam pewne miejsce na Rodos. Ładny apartament nad morzem. Chłopcom by się spodobało.

- Chłopcy są za mali. Kiedy zabraliśmy Sama i Poppy... - Urwał, odkładając widelec.

Patrzył wszędzie, tylko nie na mnie.

Wtedy jakiś zimny głos we mnie powiedział wolno i wyraźnie:

- Zdajesz sobie sprawę, że zebrałeś w sobie wystarczająco dużo historii z przeszłości, żeby zappełnić bibliotekę?

Wstałam od stołu, weszłam do domu i zaczęłam głośno szukać soli w kuchennych szafkach. Byłam zawstydzona i zmartwiona tym, co powiedziałam, a jednocześnie dziwnie spokojna, ponieważ odtąd wszystko stało się całkowicie jasne.

Nathan nigdy nie zamierzał zapomnieć o swoim dawnym życiu, nigdy nie potrafił o nim zapomnieć. Przyszedł za mną do kuchni.

- Minty, to się musi skończyć. Nie mogę udawać, że ich nie miałem.

- Nie - przyznałam.

Na górze zapłakał któryś z bliźniaków. Jednocześnie odwróciliśmy głowy w tamtą stronę.

- Ty czy ja? - zapytał Nathan.

W tym przynajmniej byliśmy zgodni.

Znalazłszy się z powrotem w kuchni, nalałam do miski gorącej wody i zanurzyłam w niej zziębnięte dłonie. Poczekiałam, aż czajnik zagwiżdże, po czym wzięłam ze sobą na górę kubek rumiankowej herbaty, którą wypiałam w łóżku.

Nathan nie żył, a ja miałam trudności z wybaczeniem mu, że mnie opuścił. Było to z mojej strony nie w porządku, ale tak właśnie się czułam.

Miał się nigdy nie zestarzeć i to też było nie w porządku, bardzo nie w porządku. Uciekł przed zawodnością umysłu i niedołęstwem ciała, ale stracił możliwość patrzenia na dorastanie synów. I tego było mi żal.

Zgasiałam światło i położyłam się. Po chwili wyciągnęłam rękę, kładąc ją tam, gdzie powinien być Nathan.

Rose nie odpowiadała na wiadomości, które zostawiałam jej na automatycznej sekretarce. Odczekałam dwa dni, a następnie wybrałam się po pracy do jej mieszkania.

Otworzyła drzwi ubrana w spódnicę od Prady, kardigan z imitacji lamparciej skóry i naszyjnik z wielkich drewnianych kulek. Wyglądała doskonale i wcale nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

- Przypuszczałam, że się zjawisz, wcześniej czy później.

Nie zaprosiła mnie do środka, więc musiałam postępować dyplomatycznie.

- Nie odpowiadałaś na moje telefony. Przyszłam wyjaśnić sytuację. - Rose milczała z ręką na klamce. - Rose, jeśli raz to załatwimy, będziemy miały problem z głowy.

W końcu usunęła się z progu.

- Wejdz.

Salon był pełen kwiatów, które cudownie pachniały. Rose wyjaśniła:

- Właśnie załapałam się do jednego z odcinków telewizyjnego serialu o ogrodnictwie. Robię małe ogródki miejskie. Ludzie byli bardzo mili i przysłali kwiaty.

- Z kim?

- Z kanałem Activity, ale serial jest produkowany przez Papillona. Prawdopodobnie nie zdobędzie wielkiej oglądalności, ale trzeba chwycać każdą okazję. Na pewno zapowiada się dobra zabawa.

- Papillon? To musi być sprawka Deb. - Zerknęłam na bilecik przy wielkim bukiecie lilii. Było na nim napisane: „Z miłością od Hala”.

- Jak się miewa Hal? - spytałam.

- Świetnie. Zajęty.

- Często się zastanawiałam, czybyś za niego wyszła.

- Tak się składa, że poprosił mnie o rękę. - Wskazała mi niebieski fotel. - Usiądź, Minty.

Unikając niebieskiego fotela, w którym umarł Nathan, wybrałam sofę.

- Czemu nie miałabyś poślubić Hala?

- Podoba mi się tak, jak jest. Dobrze mi tak, jak jest. Nie chcę nic zmieniać. - Twarz jej złagodniała. - Hal należy do typu osób, które nigdy cię nie opuszczają. Dlatego... - Nagle umilkła, nie kończąc. - Nie wiem, co myśleć. Może wyjdę, a może nie. Nie chcę życiowych zakłóceń. Przyzwyczałam się do niezależności. - Dostrzegłam błysk wątpliwości. - To trudne w moim wieku... Więc... - Zmieniła temat. - Mów, co masz do powiedzenia, i idź sobie. Nie marnujmy nawzajem swojego czasu.

Usta i gardło miałam zaschnięte z nerwów, ale nie mogłam się zdobyć na prośbę o coś do picia.

- Chcę wiedzieć wszystko o tobie i Nathanie.

- Chcesz wiedzieć? Nathan i ja byliśmy małżeństwem. Mieliśmy dwoje dzieci. Ja miałam dobrą pracę. Potem zatrudniłam ciebie i przyprowadziłam do domu, żebyś go poznała podczas kolacji, podczas której jedliśmy spaghetti. Resztę historii znasz.

- Nie. Nie o to pytam.

Rose coś przede mną ukrywała. Światło igrało na jej miodowych włosach i kremowej skórze. W przeszłości Nathan dotykał tych włosów i tej skóry. Należały do niego.

Spragniona i płonąca upokorzeniem zadałam pytanie, które musiało paść.

- Rose, przyjąłś Nathana z powrotem jako kochanka?

Rose poruszyła się na krześle. Szczupła, lecz nie chuda, gładka i zdrowa, w niczym nie przypominała tamtej umęczonej pracującej matki, którą poznałam w biurze Vistemaxu. Mimo to była bezbronna. „To trudne w moim wieku”. A bezbronność miała w sobie pewien szczególny erotyzm. Oczywiście, że Nathan chciałby ją znowu mieć dla siebie.

Położyła dłoń na piersi, w okolicy serca.

- Żałoba po Nathanie jest jak kamień przygniatający pierś. Jak gigantyczny atak niestrawności.

- Wiem - powiedziałam.

„Płaczesz po nim tak jak ja?”, mogłyśmy się nawzajem zapytać.

- Naprawdę?

- Nie odpowiadasz na moje pytanie.

- Dlatego, że nie mam zamiaru na nie odpowiadać. Zagryzłam wargę.

- Powiedz mi, Rose. Do jakiego wniosku doszliście z Nathanem?

- Twierdził, że jesteś ambitna.

- On także był w moim wieku. I ty też. Walczyłaś z nim o możliwość powrotu do pracy.

Dłoń na piersi Rose zwinęła się w pięść.

- To teraz nieistotne. Stare, stare dzieje, nie chcę do nich wracać.

- Może dla ciebie stare dzieje. - Na moment zamknęłam oczy. - Ale Nathanowi to się nie podobało i było źródłem napięcia.

- Na litość boską, Minty. Czego ty chcesz?

- Chyba... - zaczęłam żałośnie. - Chcę ci powiedzieć, że nie był tak naprawdę szczęśliwy ze mną. I żałował, że cię zostawił. - Zawahałam się, po czym wydusiłam z siebie przez zaciśnięte zęby: - Wrócił do twojego łóżka? - Rose wydała z siebie dziwny odgłos, coś pomiędzy śmiechem a westchnieniem. Ale nie ustępowałam. - Nathan był tu tyle razy... - Tak, Nathana łączył z Rose język zwykłych codziennych dźwięków. Słuchał jej oddechu w nocy, słyszał, jak myje zęby, napełnia czajnik... Rose zrobiła gest, jakby mnie chciała uciszyć, ale ja nie dawałam się powstrzymać. -

Nie mogłam sprostac tej dlugiej historii waszego wspolnego zycia. Nie bylam w stanie sie z nia mierzyc. Ty zawsze istnialas, przede mna. Zawsze.

- Dosyc, Minty.

Starczylo mi rozumu, by tym razem jej usluchoac. Rose zmruzyła oczy i usmiechnęła się kwaśno.

- Chciec nie znaczy dostac. - Czesto uzywalamy tego zdania w biurze. Kiedyś. Przed laty. Timon, nasz naczelny, zawsze chcial wiecej ksiazek, mniej ksiazek, innych ksiazek. „Chciec nie znaczy dostac”, mowilyśmy wtedy do siebie. Tyle ze w tamtym wypadku ten, który chcial, zwykle dostawal. Rose mowila dalej: - Kiedy Nathan po raz pierwszy sie przyznal, ze ma z toba romans, spytalam, dlaczego mi o tym mowi. Jesli ktos ma romans, powinien byc bardzo sprytny i bardzo dyskretny. Nadal tak uwazam.

- Mimo wszystko musze wiedziec.

Rose przestala sie usmiechac, Nachyliła się ku mnie, zeby podkreślić wagę tego, co miała mi zakomunikowac. Poczulam jaśminowy zapach jej perfum.

- Nie musze ci nic mowic, Minty. - W jej glósie nie bylo zlosliwosci, przeciwnie, brzial calkiem lagodnie. - Stracilas prawo do moich zwierzen dawno temu, wiec nie musze nic z toba omawiac, a juz na pewno nie musze ci pomagac w rozwiazowaniu twoich problemow.

Wstala i zniknela w drzwiach, by po chwili wrócic z taca, na ktorej stala butelka i kieliszki.

- Lepiej bedzie, jak sie napijemy. Hal przywiozl to z Wloch.

Kiedy sie pochylalam, zeby siegnac po kieliszek, obcisla bluzka wpiła mi sie w skóre pod pachą.

- Chlopcy pytaja o ciebie. Nawet dosc czesto.

Nie uszedl mojej uwagi blysk zadowolenia na twarzy Rose.

- Chlopcy... - W jej glósie bylo cieplo i cos w rodzaju czulej zaborczosci. - Sa uroczy.

Mialam ochote syknac: trzymaj sie z daleka od moich synow. Wiedzialam, ze to niemadre. Opuściam wzrok na swoje dlonie, zastanawiajac sie nad dobozem slow.

- Stare przyjaznie i stare zobowiazania. Pamietasz, mowilas o nich przy tamtej kolacji, kiedy poznalam Nathana. I o tym, jak trudno sie od nich uwolnic.

Usmiechnęła się smętnie.

- Wierz mi, moge sie od ciebie uwolnic, Minty, i to bez trudu. Niewiele by mnie to kosztowalo.

Wiedziala, co mowi. Zaczerwienilam sie, nie ze zlosci, tylko z bezsilnej rozpacz. Jako kobieta, ktora ukradla jej meza, bylam winna i zarazem godna pozalowania; Rose mogla mnie obrzucać epitetami, gdyby zechciala. Pijac wino, rozejrzalam sie po pokoju. Spokojne kolory magnolii i

bieli, z niebieskimi akcentami tu i ówdzie, odzwierciedlały obecny status Rose. Był to pokój urządzone całkowicie według upodobań osoby, która go zajmowała.

- Są pewne plusy mieszkania w pojedynkę - stwierdziłam. Natychmiast odgadła, co mam na myśli.

- Owszem.

Wymieniłyśmy spojrzenia. To zabawne, ale się rozumiemy, pomyślałam. Rose odstawiła swój kieliszek.

- Nathan i ja długo byliśmy małżeństwem. Dobrze się znaliśmy. Tak jak... tak ja ty i ja. Łatwo nam się rozmawiało. - Wstała i podeszła do okna. - Moje życie z Nathanem biegło spokojnie, dopóki ty się nie zjawiłaś. Jeśli nawet nasz związek miał skazy i słabe punkty, pozostawały one naszą prywatną sprawą i nie zagrażały trwaniu związku, dopóki ty ich nie obnażyłaś. Od tego momentu wszystko stało się widoczne dla każdego, jakbyśmy żyli w otwartym domu. - Obejrzała się, wbijając we mnie chłodne, twarde spojrzenie. - Musisz przyznać, że nic nie jestem ci winna, Minty. Żadnych wyjaśnień. Żadnej lojalności.

- Nathan przychodził tu, bo pragnął pociechy i rozmowy - wykrzyknęłam. - Nie znajdował ich u mnie. Twoje łóżko byłoby naturalnym krokiem dalej!

Dotknęła czołem zasłony.

- Mogło być. - Westchnęła ciężko. - Dlaczego nie poprzestaniesz na tym i sobie nie pójdziesz?

- Bo jestem wściekła na siebie, Rose. Ale też jestem zła na Nathana.

Odwróciła się gwałtownie.

- Czyż sama mi kiedyś nie powiedziałaś, że Nathan nie żyje? Nie żyje. Nie powiedziałaś mi tego? W typowy dla siebie, rzeczowy sposób.

- Tak, powiedziałam.

- Więc zostaw go. Daj mu spokój. Masz rację, nie powinnam tu przychodzić.

- Pewnie - potwierdziła chłodno. Doląła sobie wina i przycisnęła kieliszek do piersi. Nie poruszyłam się, więc ponagliła: - Nie wychodzisz? Idź.

Co poradniki-samouczki mają do powiedzenia na temat przeproszania pierwszej żony przez drugą żonę? Te poradniki, które zachęcają ludzi, by wierzyli, że mogą panować nad własnym życiem i dokonywać w nim zmian. Te poradniki, które snują najróżniejsze fantazje o postanowieniach, wybaczeniu i innych zamkach na piasku?

- Chcę ci powiedzieć, że mi przykro - wyznałam. - Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co zrobiłam, dopóki nie poślubiłam Nathana i nie urodziłam chłopców. Wtedy wszystko zaczęło wyglądać inaczej, zwłaszcza odkąd sobie uświadomiłam, jak bardzo rozczarowany był Nathan... Cza-

sami, kiedy na mnie patrzył, czułam, że nienawidzi tego, co zrobił. Nie mogę powiedzieć, że o mnie nie dbał, ale dotarło do niego, jak bardzo zależało mu na tym wszystkim, co odrzucił.

Nathan paskudnie wykorzystał Rose. Ja ją paskudnie wykorzystałam. Prawdziwy ciężar winy za swoje występki czuje się dopiero po latach. Poradniki o tym nie wspominają. Zapewne temat jest dla nich zbyt skomplikowany, by go w ogóle poruszać.

- Biedna Minty - powiedziała Rose z kłującą ironią. Pochylona nad kieliszkiem ani nie piła, ani nie patrzyła na mnie. - Łatwo ci z nim poszło - przyznała. - Bardzo mnie zranił. Niekiedy miałam wrażenie, że tego nie przeżyję. Ale znasz to powiedzenie, że czas leczy rany? To prawda. Dzięki Bogu. Kiedy się tu zjawiał tamtego dnia, nie powitałam go zbyt życzliwie. Właściwie nie chciałam go tu. Miałam sporo zajęć. Był wyraźnie rozczarowany. Ale sama rozumiesz, nie widziałam powodu, żeby rezygnować ze swoich planów. Tyle czasu zajęło mi odzyskanie wolności, a do tego problemy Nathana nie były moimi problemami... Nie potrafiłam już się angażować w jego życie, nawet jeśli on tego chciał... Prawdę mówiąc, obwiniam się za to.

- Szkoda - wydukałam. - Być niepożądanym gościem, kiedy się umiera, to straszne, straszne...

Wydała z siebie odgłos podobny do zdławionego szlochu.

- Na litość boską, zostawił mnie dla ciebie. Pamiętasz o tym? - Zwróciła ku mnie udręczoną twarz. - Pamiętasz?

- Myślę o tym niemal bez przerwy. Nigdy nie myślałam tyle, ile ostatnio.

Rose odezwała się z widocznym trudem.

- Ze względu na chłopców nie możesz, nie powinnaś mieć w sobie złości. Sam i Poppy cierpieli. Może ci się wydawać, że byli dorośli, ale tak naprawdę nie byli i cierpieli. Obwiniam za ich ból ciebie i Nathana. Nie byłam w stanie im pomóc. Nie możesz narażać na to samo swoich dzieci. - Obróciła kieliszek w palcach. - Nie pozwolę ci.

Spojrzałam na Rose. Mała żyłka pulsowała jej na skroni; na mojej bez wątplenia także. Przeniosłam wzrok na ciemny ekran telewizora w kącie pokoju.

- Naprawdę mi przykro z powodu Poppy i Sama. - Dla pełnej jasności dodałam: - Poppy odegrała się na mnie. Jest waleczna.

Rose schyliła się, żeby podnieść z dywanu maleńki guziczek z macicy perłowej.

- Tak widzisz Poppy. A Sama? Teraz też prowadzi walkę. Trochę się martwię o niego i Jilly... Ta praca w Ameryce ich poróżniła. Wydaje się, że tak do siebie pasują, ale nigdy nic nie wiadomo. Chciałabym być przy nich, żeby pomóc, ale jestem zajęta, zarabiam, mam swoje życie, więc muszą sami sobie z tym poradzić. - Głos miała pełen czułości. - Chociaż... chociaż bardzo ich kocham.

Ta czułość mnie wykluczała.

- Z wiekiem staję się coraz bardziej niewidzialna, Rose.

- Ja czułam się tak samo. Żal odbiera pewność siebie - dodała łagodniejszym tonem. - Tyle ci mogę powiedzieć, Minty. Ale jeszcze może być dobrze. Wierz mi. - Szerokim gestem wskazała na pokój. Kiedy Nathan odszedł, czułam, że zawiodłam samą siebie i dzieci, ale udało mi się przetrwać. Dużo mnie to kosztowało, ale się udało. - Zakołysała guziczkiem na otwartej dłoni. - Nathan zrobił, co chciał. Nie zauważyłam, że z wiekiem zaczął się zmieniać. Dlaczego miałby się nie zmieniać? Takie było jego prawo. Ale wtedy tego nie rozumiałam. Więc to nie była wyłącznie twoja wina.

Rose trochę ułatwiała mi sytuację. Wino rozwiązało mi język.

- Roger i Gisela Gard przyszli kiedyś do nas na kolację. Możesz wierzyć lub nie, ale uprawiałam politykę biurową. Któryś z bliźniaków nie mógł zasnąć i to Nathan się nim zajął. Widziałam, jak Roger patrzył na Nathana, niemal słyszałam, jak myśli: „oto człowiek, który stracił moc i napęd”, i przyszło mi do głowy, że lepiej umrzeć niż ponieść klęskę. - Odstawiłam kieliszek. - Nasuwa się pytanie, czy życzyłam Nathanowi śmierci, Rose?

Rose poruszyła kieliszkiem, mieszając wino.

- Kiedy Nathan odszedł, pomyślałam, że wdowie jest o wiele łatwiej niż porzuconej żonie. Po pierwsze, nikt nie mógłby powiedzieć, że to moja wina, chyba że karmiłabym go co wieczór hamburgerami i frytkami. Gdyby wtedy umarł, miałabym łatwiejszą sytuację. Wszyscy miewamy mroczne fantazje.

- Owszem.

Odstawiła kieliszek na stół, błyskając przy tym obrączką.

- Ale i tak straciłabym przez ciebie pracę, prawda?

- Prawdopodobnie - przyznałam. - Chciałam tej posady i uważałam lojalność wobec współpracowników za przeżytek.

- A teraz?

Pomyślałam o Chrisie Sharpie.

- Właściwie uważam tak samo. - Opuściłam wzrok na dywan. - Czy Nathan chciał mnie upokorzyć, kiedy poprosił, żebyś została prawną opiekunką chłopców?

- Może myślał o tym, co jest najlepsze dla chłopców.

- Może.

Rose ujęła moją dłoń. Gest był zupełnie niespodziewany.

- Minty, nie rozumiesz jednego... Ja się uwolniłam. W końcu. Przestałam marzyć o Nathanie. Nie zamierzałam się ponownie angażować w jego życie. Odcięłam się od niego.

Nie cofając ręki, wyznałam, co mnie męczy.

- Ja go nigdy nie kochałam, Rose. Nie tak naprawdę, sercem, duszą, ciałem i umysłem. Wiedział, że się starzeje i pragnął czegoś innego, a ja nie miałam zamiaru mu nic ułatwiać. Gdybym go kochała, pozwoliłabym mu... och, na wyjazd do Kornwalii i milion innych rzeczy. - Zacisnęłam palce na dłoni Rose. - Myślę, że czuł się rozpaczliwie samotny.

Rose wyswobodziła rękę z mojego uścisku.

- Pokażę ci pewien list, Minty. - Podeszła do biurka w kącie pokoju, wyjęła z niewielkiej szuflki kopertę i podała mi ją.

Rozłożyłam dwa gęsto zapisane arkusze.

Najdroższa Rose... - Najdroższa, znaczy najbliższa sercu. - Nie mam prawa prosić o to, o co zamierzam poprosić, ale coś mi mówi, że to może być konieczne. Jeśli otrzymasz ten list, który deponuję u Thea, to będzie znaczyło, że miałem rację. Proszę Cię, byś pamiętała, że kiedyś byliście z Minty przyjaciółkami. Jeśli to czytasz, to znaczy, że została sama z bliźniakami. Oczywiście, nie mam pojęcia, na jak długo. Kiedy przyszedłem się z Tobą spotkać w Twoim mieszkaniu, spytałem, czy się zgodzisz przejąć opiekę nad dziećmi, gdyby jej się coś stało, a chłopcy nadal byli niepełnoletni. Powiedziałaś, że się nad tym zastanowisz. Nie mam nikogo bardziej odpowiedniego, komu mógłbym sprawę powierzyć. Wiem, że proszę Cię o wiele, zwłaszcza biorąc pod uwagę naszą przeszłość, ale znam Cię bardzo dobrze, Rose, i nie ma nikogo, komu bym bardziej ufał...

Przez chwilę nie byłam w stanie czytać dalej.

- Och, Nathan...

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Rose.

Pokiwałam głową.

Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że skomplikowane uczucia i odruchy prowadzą nas dziwnymi drogami. Mnie odprowadziły od Ciebie, którą kochałem, do Minty. Ale Minty też kochałem i chcę powiedzieć, że ma wiele cech godnych podziwu (pierwsza je dostrzegłaś, kiedy zostałyście przyjaciółkami) i że nadal ją kocham. Nie jest jej łatwo, bo czegoś innego się spodziewała. Dlatego jeszcze raz Cię proszę, gdyby kiedyś była w potrzebie i poprosiła Cię o pomoc przy chłopcach albo nawet gdyby nie zwróciła się do Ciebie, proszę, pomóż jej.

Odłożyłam list, wzięłam torebkę i podniosłam się z sofy.

- Czemu mi o tym nie powiedziałaś? Wiem, że to ci sprawiało ogromny ból, ale powinnaś była mi powiedzieć.

Odpowiedź Rose była krótka i prosta.

- Tak.

- Wszystko stałoby się łatwiejsze do zniesienia.

- Tak, chyba tak. Ale nie myślałam o tobie, Minty.

Zatem Rose zemściła się na mnie, zachowując milczenie, a ja nie mogłam się spodziewać niczego innego.

W głowie mi się kręciło, chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu.

- On wiedział, że nigdy go prawdziwie nie kochałam. - Rozpłakałam się. - To wynika z listu.

Rose poskładała list i odłożyła z powrotem na biurko.

- Kiedy Nathan mnie zostawił, przestałam go kochać w taki sposób, jak on tego chciał. To było nieuniknione. Nie miałam innego sposobu na przetrwanie.

Patrzyłyśmy na siebie, mając w oczach naszą wspólną przeszłość, oplakaną i odżałowaną. Rose podała mi inną, grubą kopertę.

- Jeszcze jedna rzecz. Nathan poprosił Thea, żeby to mnie przesłał. Jego notatki, coś w rodzaju pamiętnika. Nie czytałam go, Minty. A raczej tylko mały fragment. Nie byłam w stanie. Myślałam, że powinnaś go wziąć.

Wcisnęłam kopertę do ręki, a ja zajrzałam do środka. To był notes, którego nie mogłam znaleźć. On także trafił do Rose.

Najtrudniej jest rządzić sercem; nareszcie zrozumiałam, że nie mogę winić Nathana za jego wewnętrzne zmagania. Skoro nasza własna natura i odruchy pozostają niezgłębione, to sięgnięcie do umysłów innych, zrozumienie ich gniewu, pasji i lojalności wydaje się tym bardziej niemożliwe.

Rose, Nathan i ja, każde na swój sposób, oszukiwaliśmy się wzajemnie, a tym samym oszukiwaliśmy siebie. Żegnając się z Rose, powiedziałam:

- Muszę się bardziej postarać, Rose. Żeby coś z tego pojąć. Dotknęła przelotnie mojego ramienia.

- Tak. Musimy.

Kiedy wróciłam do domu, chłopcy, którzy czekali na mnie, wyglądając przez okno, wybiegli na zewnątrz, żeby się przywitać. Zagarnełam ich w ramiona i wprowadziłam z powrotem do domu. Potem zamknęłam drzwi i oparta o nie plecami odetchnęłam głęboko.

Rozdział dwudziesty czwarty

Był piątek, cztery tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Siedząc w sali konferencyjnej Paradoxu patrzyłam, jak na zegarze mija wpół do szóstej. Barry perorował i nic nie wskazywało na to, by miał szybko skończyć. To, co mówił, brzmiało całkiem interesująco, ale żałowałam, och, jak bardzo żałowałam, że nie powiedział tego wcześniej w ciągu dnia.

Chris z głową podpartą na ręce co jakiś czas robił notatki. Przyłapawszy moje spojrzenie skierowane na zegar, spytał:

- Spieszysz się, Minty?
- Wcale nie - odpowiedziałam chłodno.
- Przejdziemy do ciebie za minutę, Minty - powiedział Barry.

Starając się - dość nieporadnie - wprowadzić przedświąteczny nastrój, Syriol upięła sznur kolorowych światełek nad obrazem wiszącym na ścianie. Dzieło wyszło spod ręki Shiftaki, a ja przekonałam Barry'ego, że stanowi dobrą lokatę kapitału, kiedy postanowił zainwestować odsetki od zysków Paradoxu w jakieś aktywa. (Kiedy zasugerowałam, że mógłby uznać za aktywa firmy swoich pracowników, Barry się roześmiał, mówiąc, że potrzebuje pewnych aktywów).

Obraz Shiftaki przedstawiał abstrakcyjną postać, pół ciało, pół szkielet, leżącą na płonących węglach. Paleta kolorów obejmowała jaskrawą czerwień, najczarniejszą czerń oraz białe tło, które można było opisać jedynie jako brudne. Na etykietce pod obrazem znajdował się napis: „Kyoto, niech odpoczywa w spokoju”. Jeszcze nie potrafiłam zdecydować, czy uważam Shiftakę za dobrego malarza, ale pracowałam wytrwale nad swoim „niewyszkolonym okiem”. Jednak skoro Barry uznał, że Shiftaka to awangarda, zakup musiał być korzystny.

Kiedy zabrałam Barry'ego do galerii Marcusa, żeby pokazać mu obraz, Marcus siedział przy biurku pochylony nad laptopem. Gdy na nasze wejście podniósł głowę, przeżyłam szok, ponieważ wydał mi się znacznie starszy, niż go zapamiętałam. Potrzebował jakichś dwóch sekund, żeby mnie rozpoznać, a kiedy to nastąpiło, w jego oczach rozbłysła nadzieja, która szybko zgasła, gdy stało się jasne, że nie przysłam jako wysłanniczka Giseli.

Przedstawiłam sobie obu panów i wyjaśniłam, że Barry rozgląda się za dobrą inwestycją. Marcus natychmiast wcielił się w rolę profesjonalnego marszanda - swobodnego w obyciu, cierpliwego, umiejętnie wabiącego potencjalnego klienta - a mnie przyszło do głowy, że jest człowiekiem znacznie miłszym od Rogera.

Kiedy Barry przechodził do drugiego pomieszczenia galerii, Marcus odwrócił się ku mnie i spytał zaskakująco niskim głosem:

- Jak się miewa Gisela?

- Chyba dobrze. Ostatnio rzadko ją widywałam.

Marcus postanowił nie bawić się w nic nieznaczące, grzecznościowe pogawędki - kolejny punkt na jego korzyść - i od razu przeszedł do rzeczy.

- Gisela chyba nie rozumie, że ja nie chcę żony. Chciałem jej. Nie kogoś, kto robi przetwory z owoców i ustala jadłospis na kolację. Jednak gdy przyszło do decyzji, chyba uznała, że to właśnie woli. Gisela przywykła do bycia profesjonalną żoną.

- Wiesz, myślę, że masz rację.

Jednak fakt, że ma rację, niewiele Marcusowi pomagał.

- Co może osiągnąć z Rogerem? Nuda takiej egzystencji... To ja ją kochałem, nie Roger.

Z żalem zauważyłam, że używa czasu przeszłego,

- Nie jest nudna, Marcus. Jest inna.

Barry przystanął, wskazując na „Kyoto, niech odpoczywa w spokoju”.

- Wezmę ten. - Przysunął twarz do twarzy Marcusa. - Ale jest pan pewien, że nie wyrzucam pieniędzy?

Marcus nawet nie mrugnął.

- Nic nie jest pewne.

W ten oto sposób Shiftaka doznał zaszczytu ozdobienia ściany Paradoxu.

- Minty. - Barry wreszcie skończył swoją przemowę. - Chcesz zabrać głos?

Przyciągnęłam do siebie notatki.

- Okey. Pamiętacie, jak w zeszłym roku dyskutowaliśmy nad pomysłem programu o wieku średnim. Nie wypalił. Ale ten wypali. Trzyczęściowy serial o byciu rodzicem. „Miłość dziecka”. Format? Każdy odcinek trwa godzinę, występują eksperci gadające głowy i przedstawiamy osobiste doświadczenia rodziców. Program stawia pytania: Jakie stresy i obciążenia spadają na nas z chwilą zostania rodzicem? Czy w ogóle można się do tego przygotować? Jakie fizyczne i emocjonalne zmiany następują wraz z rodzicielstwem u mężczyzny i kobiety? Jak posiadanie dzieci wpływa na małżeństwo i przyjaźnię? Czego się spodziewać, zostając macochą lub ojczymem starszych dzieci? Jak sobie radzić z poczuciem, że jest się złym rodzicem? Jak sobie radzić, będąc samotnym rodzicem?

Dobre pytanie. Jak sobie radzić, będąc samotnym rodzicem?

Chris uniósł brew. Następnie chrząknął i coś zapisał w swoich papierach. Mówiłam dalej:

- Chodzi o to, żeby przedstawić materiał w nowy, odważny sposób, nie bać się poruszać trudnych aspektów rodzicielstwa. Program musi być uczciwy i mówić rzeczy, o jakich większość

ludzi jedynie myśli. Dzieci nas zmieniają. Nie zawsze je kochamy. Rodzice czasami zawodzą jako rodzice. I czują się osamotnieni.

- Są jakieś jaśniejsze strony? - wtrącił się z pytaniem Chris.

- O, tak - zapewniłam. - Ale te zostawię do opisania rodzicom. Zrobią to najlepiej. - Podałam Barry'emu materiały, które przygotowałam. - Ma być szybko, kolorowo, śmiało i według mnie naszym celem powinno być BBC 1.

Chris zmarszczył czoło. Deb i Barry wpatrywali się z zadumą w „Kyoto, niech odpoczywa w spokoju”.

- Dziękuję, Minty - odezwał się wreszcie Barry. - Nie jestem do końca przekonany, ale się zastanowię. Pogadamy.

Chris przyszedł do mojego biura, kiedy porządkowałam papiery. Zamknął drzwi i oparł się o nie.

- Chciałbym dobrze przemyśleć niektóre rzeczy, Minty.

- Jasne. - Włączyłam ekran swojego komputera. Kładąc rękę na myszce, zauważyłam, że ślubna obrączka jest znacznie luźniejsza, a na mojej dłoni wyraźnie rysuje się wypukła żyła. Niedobry znak. Gwiazdy filmowe robiły sobie operacje plastyczne przy mniejszych defektach.

- Słyszałaś, że Carlton zgodził się na współpracę przy dokumencie o papieżu? - Pstryknął palcami. - To powinno zwiększyć kwartalne sumy.

- O tym chciałeś ze mną porozmawiać? Chętnie, ale może jutro? Muszę wracać do domu.

Oderwał się od drzwi i przysiadł na moim biurku. Mój mały gabinet zrobił się nagle strasznie ciasny. Chrisowi błyszczały oczy.

- Miałaś ciężki rok, Minty.

Ta życzliwość była zupełnie nieoczekiwana, a ja wciąż miałam kłopot z życzliwością jako taką. Niemal czułam, że mnie ogranicza.

- Owszem. Ale się przyzwyczajam i jakoś wychodzę na prostą.

Nie chciałam marnować energii, ponieważ życzliwość Chrisa musiała być środkiem do jakiegoś innego celu.

- Wiesz, Minty, może byłoby lepiej, gdybyś pracowała dla jakiejś większej organizacji. Większa organizacja oferuje więcej możliwości dla kogoś w twojej sytuacji. Bardzo trudnej sytuacji.

Nie było sensu się złościć. Jeśli miałam przetrwać w Paradoksie do czasu, gdy będę chciała odejść na własnych warunkach, nie mogłam wpadać w gniew.

- Radzisz mi czy ostrzegasz?

Uśmiechnął się łagodnie; nie potrafiłam odgadnąć, czy ten uśmiech był szczery.

- Mówię jako przyjaciel, w tym interesie trudno znieść dodatkowe napięcia. Firma tak wymagająca jak Paradox musi mieć pewność, że funkcjonuje optymalnie, bez zbędnych potknięć. Trzeba wiedzieć, kiedy pojawiają się problemy i zawczasu im zaradzić. Wiesz, co mam na myśli.

- Miło z twojej strony, Chris - mruknęłam.

Dawniej wykorzystałabym w takiej sytuacji swoje seksualne walory... dla których stracił głowę Nathan. Otworzyłam szeroko oczy, zatrzepotała rzęsami, upewniła się, czy przedziałek na dekolcie jest dobrze widoczny. Mogłabym podziękować za zainteresowanie, co trąciłoby lekko nutę obietnicy, wystarczającą, by zbić Chrisa z tropu. Nie twierdzę, że zaczęłam gardzić tego rodzaju taktyką czy już nigdy jej nie użyję, tylko że seks jest czasochłonny, a na mnie czekali moi chłopcy.

Zamiast tego zgarnęłam resztę notatek i zapięłam torbę.

- Chris. Może lepiej nie ciągnijmy tej rozmowy. Jeśli próbujesz sugerować, że jako pracująca matka jestem obciążeniem, możesz sobie napytać kłopotów...

Nie był głupi, od razu się wycofał.

- Chodziło mi tylko o ciebie - zapewnił.

W drodze powrotnej mijalam dom Paige. Ogródek od frontu wyglądał nienagannie, jako że ogrodnik właśnie zakończył jesienno-wiosenne porządki.

- Nie możesz ich nazywać wiosennymi porządkami - powiedziałam do Paige, dzwoniąc do niej poprzedniego dnia.

- Mogę je nazywać, jak chcę - brzmiała odpowiedź.

- Chciałam sprawdzić, czy widziałaś się z Martinem. Paige się najeżyła.

- Wolalabym, żebyś się nie wtrącała.

- I?

- Był tu w weekend. Ale nie przyjmę go z powrotem, Minty. Mówiłam ci, że mam za dużo pracy przy dzieciach, żeby jeszcze być mężatką.

Kiedy wreszcie dotarłam do domu pod numerem 14, zastałam scenę mniej więcej taką, jakiej się spodziewałam. Eve siedziała bez sił na krześle w kuchni, a na górze, w sypialni chłopców, panował zwykły rwetes. Ręka, którą Eve trzymała na stole, była tak blada i chuda, jakby uszło z niej wszelkie życie. Widziałam, że dziewczyna jest zupełnie wyczerpana.

- Słuchaj - zwróciłam się do Eve. - Nie jest dobrze. Mijają całe miesiące, a tobie wcale się nie poprawia. Musisz pojechać do domu, odwiedzić rodzinę.

Uniosła głowę; oczy jej rozblęły.

- Do domu? - Nabrała powietrza głęboko w płuca, jakby już wdychała zapach rzeki i gór z rodzinnego kraju.

To zdecydowało.

- Musisz pojechać do domu na dwa tygodnie, zobaczyć się z rodziną, odpocząć, a potem tu wrócić.

- Zarezerwuję autobus. - Podniosła się z krzesła, uśmiechnięta radośnie. - Zadzwoń. Zaraz.

- Autobus?! Nie, to dwudniowa podróż w każdą stronę. Nie, musisz polecieć.

Wzruszyła ramionami.

- Pieniądze.

Dokonałam w myślach błyskawicznych kalkulacji. Eve potrzebowała przerwy w pracy. Potrzebowała matki. Cztery dni w autobusie to nie był żaden wypoczynek. Ja potrzebowałam Eve. Potrzebowałam Eve zdrowej i silnej.

- Zapłacę ci za przelot. Musisz jechać najszybciej, jak tylko da się to zorganizować.

Kiedy wbiegałam po schodach na górę, by spacyfikować chłopców, w mózgu wyświetliło mi się końcowe podsumowanie moich obliczeń. Jak pogodzę ten dodatkowy wydatek z pożyczką dla Poppy? Opłata za bilet na samolot dla Eve oznaczała cięcia na liście prezentów gwiazdkowych. Z całą pewnością wykluczała wizytę u fryzjera. A koszt zastępstwa za Eve kazał się pożegnać z wszelkimi świątecznymi zakupami, które nie były absolutnie niezbędne. Ale skoro nie były absolutnie niezbędne...

Dzień przed Wigilią słabe słońce pokazywało się na niebie i znikało, jakby stroiło sobie żarty. Wjechałam na parking i wysiadłam z samochodu. Było bardzo zimno, więc zasunęłam zamek bładoniebieskiej wełnianej kurtki i postawiłam kołnierz. Owionął mnie zapach ściętych mrozem, spleśniałych liści i rozgrzanego tłuszczu; ten ostatni dolatywał od stojącej nieopodal furgonetki, z której sprzedawano gorące przekąski.

Napawając się momentem wolności, pozwoliłam sobie na chwilę swobodnej zadumy, nim znów będę zmuszona do pełnej koncentracji. Takie chwile pozwoliły mi zachować wewnętrzną równowagę.

Zastanawiałam się, czy nie wrócić do samochodu, gdy srebrne coupe wcisnęło się na wolne miejsce obok mnie. Drzwi od strony pasażera się otworzyły i wyskoczył z nich Lucas.

- Mama... - Tuż za nim wysiadł Felix. - Mama... - Obaj trzymali w rękach książeczki z obrazkami, z dinozaurem na okładce. Widziałam, bo Felix niemal przytknął mi swój egzemplarz do twarzy.

Zza kierownicy wysunęła się postać odziana w miękką skórzaną kurtkę, czarne spodnie i wysokie skórzane buty.

- Cześć - przywitała mnie Rose.

Zamknęła samochód i wszyscy czworo ruszyliśmy w stronę stawu.

- Lucas nie zjadł za wiele na lunch - powiedziała Rose. - Był zbyt podniecony. Obejrzelśmy wystawę poświęconą w całości tyranozaurom. Model drapieżnika zjadał model ofiary, kłapiąc przy tym szczękami. Lucas był zafascynowany, a Felix... cóż, nie jestem pewna, czy Felixowi się podobało.

- Było dużo ludzi?

- Czy było dużo ludzi?

Okrażyliśmy staw tylko raz i mieliśmy dość. Na powierzchni wody unosił się obrzydliwy kożuch; widocznie władzom miasta za wcześnie skończyły się pieniądze na uporządkowanie tego miejsca. Poza tym było za zimno na spacer. Zgodnie wróciliśmy do samochodów.

- Jakie masz plany? - spytałam Rose.

- Po świętach jadę odwiedzić Hala na farmie. Nie widziałam go od kilku tygodni. - Jej mina wyrażała przyjemne oczekiwanie. - A potem chyba Wietnam. Muszę tam zrobić pewien materiał.

Stałyśmy przy autach.

- Bardzo ci dziękuję, że się dziś nimi zająłeś - odezwałam się. - Jestem ci wdzięczna. - Odnalazłam w kieszeni kluczyki sklezione landrynką, którą dałam Lucasowi ostatnim razem, kiedy się skarżył na mdłości. Rose wyjęła swoje kluczyki z pięknej zielonej torebki z jaszczurczej skóry.

- Następnym razem zabiorę ich do zoo. Jak się robi cieplej.

Obie równocześnie się pochyliłyśmy; nastąpiła sekunda niezręcznej ciszy, nim dotknęłyśmy się policzkami, wymieniając zdawkowe cmoknięcia.

- Dzięki - powiedziałam jeszcze raz.

- Nie ma za co. - Pocałowała Felixa, a potem Lucasa w czubek głowy. - Bądźcie grzeczni, chłopcy, i pamiętajcie, co wam mówiłam.

Kiedy już przypięłam chłopców pasami do fotelików, rozjechałyśmy się z Rose w przeciwnych kierunkach. Tuż przed zniknięciem nam z oczu leciutko zatrąbiła klaksonem.

Wracałam do domu oświetlonymi ulicami, pośród innych ludzi wracających z pracy. Miałam wrażenie, że wszędzie widzę pary. Trzymające się za ręce. Rozmawiające. Pijące wodę z jednej butelki albo jedzące chipsy. Niektóre się obejmowały. Jakiś mężczyzna trzymał rękę w kieszeni kurtki swojej dziewczyny. Na rogu Albert Bridge Road i Battersea Bridge Road stała kolejna para, spleciona w uścisku. Mijając ją, dostrzegłam wyraz twarzy dziewczyny. Była ożywiona, rozświetlona radosnym oczekiwaniem.

Oczy zaszczyły mi łzami.

Od tygodni nie czytałam żadnego poradnika. Po pierwsze, sprawdziłam dane statystyczne. Jeden z badaczy twierdził, że najpewniejszym nabywcą nowej książki na dany temat jest osoba,

która kupiła podobną w ciągu ostatniego półtora roku. To nasuwało pytanie: Jeśli poradniki tak bardzo pomagają w rozwiązywaniu problemów, to po co kupować następny na ten sam temat?

- O czym Rose kazała wam pamiętać? - spytałam w końcu.

- Wrr, wrr. To był dinozaur jedzący konia - powiedział Lucas.

- To nie były konie - sprostował Felix. - Nie wtedy.

- Chłopcy, o czym Rose kazała wam pamiętać? Widziałam w lusterku, jak Felix marszczy czoło z wysiłku.

- Powiedziała, że z każdym dniem robimy się coraz bardziej podobni do tatusia.

Wysunęłam język, żeby zlizać łzy spływające po policzku. Szósta z zasad rządzących moim życiem była zapożyczona od Rose. Brzmiała: musisz się trzymać, bo to także minie.

Poppy trochę kwaśno przyjęła decyzję rodziny, żeby zjeść bożonarodzeniowy lunch pod numerem 14.

- Richard i ja moglibyśmy się poczuć urażeni - stwierdziła. - Poza tym nasz dom jest większy.

Udobruchała się jednak, kiedy zostało ustalone, że Jilly z Friedą przyjadą z Bath, a Sam przyleci ze Stanów, żeby spędzić u niej parę dni. Jilly znowu była w ciąży i według ostatnich doniesień Sama umówili się, że pozostanie w Anglii do rozwiązania - „nie możemy sobie pozwolić na poród w Stanach” - a potem dołączy do męża w Austin.

Razem z dziećmi wybrałam choinkę u handlarza na rogu Lakey Street i przyniosłam do domu; na życzenie chłopców kupiłam też zestaw wyjątkowo brzydkich pstrokatych bombek i kolorowe światełka, w których się wręcz zakochali. Nie było sensu im tłumaczyć, że srebrne bombki i białe światełka wyglądają znacznie ładniej. Po prostu mieli swoje zdanie na ten temat, wobec nieprzejednanego uporu bliźniaków musiałam się więc pożegnać z marzeniem o wysmakowanym, eleganckim bożonarodzeniowym drzewku.

Ostatecznie to była ich choinka.

Ustawiliśmy ją w holu; Felix z Lucasem podtrzymywali pionowo pień, podczas gdy ja wczołgałam się pod spód, żeby go osadzić w stojaku. W końcu wszyscy troje odsunęliśmy się, żeby z daleka ocenić efekt naszych działań.

- Mamusiu, ona jest trochę krzywa - oświadczył poważnie Felix. Zagryzłam usta. Osadzanie choinki należało do Nathana; wywiązywał się z tego zadania perfekcyjnie. Niemal czułam, że w tym momencie chłopcy myślą o swoim tacie.

- Strasznie jesteś wybredny, Felix - powiedziałam, wczołgując się jednak z powrotem pod pachnące sosnowe gałęzie i myśląc: Nathan, powinieneś mnie teraz zobaczyć.

Zaplanowałam wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Prezenty... olejek do kąpieli dla pań, który kazałam zapakować Syriol, chętnej zarobić parę dodatkowych pensów, i butelka dobrego wina dla panów. Jedzenie... indyk, gotowa polewa, sos żurawinowy, sos chlebowy i pudding miały być dostarczone z supermarketu. Doszłam do wniosku, że brukselkę mogę przyrządzić w domu z pomocą chłopców.

Eve wyjechała w Wigilię, uśmiechnięta od ucha do ucha i z taką ilością bagażu - głównie swetrów i skarpet od Marksa i Spencera - że byłam pewna, iż nie uda jej się przejść przez odprawę.

Napełniłam gwiazdkowe skarpety kilka dni wcześniej.

W dzień Bożego Narodzenia od świtu byłam na nogach, zajęta nakrywaniem stołu. Po długich i intensywnych rozmyślaniach nad odpowiednim usadzeniem biesiadników doszłam do wniosku, że Sam powinien zająć miejsce u szczytu stołu, z matką po jednej stronie i Jilly po drugiej. Richard miał usiąść przy drugim końcu ze mną. Poppy zgodziła się na ochotnika siedzieć między chłopcami, żeby mieć na nich oko. Macie prowadzić przyzwoitą rozmowę, zapowiedziałam im. Felix natychmiast spytał, co znaczy „przyzwoita”.

Sam przyjechał wcześniej, prosto z lotniska. Był zmęczony, zarośnięty i miał nieświeży oddech. Zaprowadziłam go na górę, do gościnnego pokoju, gdzie mógł się w spokoju umyć i ogolić. Reszta zjawiała się pół godziny później.

Rozgorzała dyskusja - wprowadzająca małe zamieszanie czy prezenty powinno się otwierać przed czy po lunchu, ale ucięłam ją stanowczo, mówiąc, że jedzenie się spali, jeśli będziemy opóźniać posiłek. Sam pokroił indyka, Richard otworzył wino. Poppy przyniosła świece (czerwone, migoczące), których szczerze mówiąc, sama bym nie wybrała, i zabawiała chłopców podczas podawania do stołu. Rose, obejmując jedną ręką Friedę, zagadywała Jilly z ożywieniem.

Nikt nie zwracał na mnie szczególnej uwagi, ale nie miałam im tego za złe, zaabsorbowana pracą w kuchni. Było dokładnie tak, jak chciałam. Kiedy zasiedliśmy do jedzenia, rozmowa toczyła się swobodnie ponad stołem, zaprawiona strzępkami plotek, jakimś starym żartem, odrobiną wspomnień. Od sześciolatek nie należało wymagać zbyt wiele, toteż wkrótce uznali, że są skaczącymi fasolkami i Richard musiał się przesiąść, żeby pomóc Poppy nad nimi zapanować.

Kiedy wyszłam z kuchni z dwoma wesoło płonącymi puddingami na półmisku, rozległ się głośny aplauz. Usiadłam wyczerpana, oniemiała i w ogóle niegłodna.

Rose odwróciła głowę i uśmiechnęła się do mnie.

Potem rozmawialiśmy o przekraczaniu stref czasowych i wynikających z tego kłopotach.

- Brałem melatoninę, ale niewiele pomaga. - Sam przetarł dłonią twarz.

- Powinieneś spróbować arniki. Mam na myśli pigułki - doradziła Rose.

- Może byłoby lepiej, gdybyś nie wlewał w siebie tyle wina na pokładzie. - Poppy wychyliła się, żeby szturchnąć brata. - Co?

- A kimże ty jesteś, żeby mnie pouczać? - Sam mimo wszystko się uśmiechnął. - Znam twoje sekrety. - Na moment w oczach Poppy pojawił się strach. Chwyciłam jej rękę pod stołem i uściśnęłam. Poppy również odpowiedziała uściskiem. Sam mówił dalej: - Kto w piątej klasie zwędził czekoladowego zajączka Gavinowi? Chciałbym wiedzieć.

Po deserze Sam wstał i unosząc kieliszek z winem, powiedział:

- Myślę, że powinniśmy wznieść toast. Za nieobecnych przyjaciół.

Zapadła bolesna, gęsta od emocji cisza, której nikt nie chciał nadmiernie przedłużać. Bliźniacy się wiercili, Frieda stroiła niemądre miny, a dorośli wypili toast. Nieobecni przyjaciele.

W tym momencie Frieda odchyliła się na krzesło i straciła równowagę.

- Och, na litość boską - zirytowała się Jilly. - Mówiłam, żebyś tego nie robiła. - Zaraz jednak sobie przypomniała, że są święta, i twarz jej się rozpozodziła. - Chodź, skarbie, pocałujemy i nie będzie bolało.

Sam wyciągnął cyfrowy aparat.

- Proszę o najlepsze, odświeżające uśmiechy - rozkazał. - Mamo, możesz się trochę przysunąć? Frieda, siedź spokojnie. Lucas, mógłbyś usiąść swojej mamie na kolanach? Dziękuję.

Wytrzymał przez chwilę w bezruchu, nastąpiło kilka pstryknięć, po czym Sam pomajstrował przy aparacie i puścił go w obieg.

- Możecie pooglądać - zachęcił.

Rose znajdowała się pośrodku grupy, z Jilly u boku. Richard miał czerwone oczy. Lucas poruszył się w kluczowym momencie i dlatego wyszedł trochę zamazany. Felix pokazywał na coś palcem. Poppy patrzyła na Richarda. A ja? Byłam w lewym rogu zdjęcia i wyglądałam na nieco zmęczoną, czemu trudno było się dziwić.

- Całkiem ładnie wyszłaś, Minty - powiedziała Poppy, oddając aparat Samowi.

Rose pochyliła się ku mnie.

- Myślałam o ogrodzie, tak jak prosiłaś. Mogłybyśmy posiać kocimiętkę przy płocie. Dobrze by tam wyglądała i zostałyby miejsce do zabawy dla chłopców. Co o tym sądzisz?

Jedna ze świec zamigotała, więc osłoniłam płomień dłonią. Wzdrygnęłam się, czując żar na skórze.

- Mamo! - zawołał Felix. - Mamo, możemy już dostać prezenty?

Płomień się uspokoił; cofnęłam rękę.